

W mrokach Dolnego Śląska komisarz Iwanowicz szuka sprawy krwawych morderstw. Jediną wskazówką są ponumerowane ciała.

KOLEJE NOSIĆ



HUBERT
HENDER

FILIA
MROČNA
STRONA

KOLEJNOŚĆ

HUBERT
HENDER

FILIA

Piskliwy dźwięk zegarka elektronicznego odbił się echem od ścian. Mężczyzna odłożył narzędzia i usiadł w niewielkiej kamiennej niszy. Była zimna i wilgotna, ale w ogóle tym się nie przejmował. Siadał w tym miejscu zawsze, gdy dochodziła dwudziesta druga. Był to czas odpoczynku po kilku godzinach ciężkiej pracy. W zależności od przypadającej zmiany przychodził na dwunastą w południe lub na szóstą rano. Dwudziestominutową przerwę wykorzystywał aż do ostatniej chwili. Płacili mu tak mało, że nigdy nawet nie pomyślał, by odejmować sobie choć minutę z przysługującej przerwy.

– Nigdy, przynigdy, niech ich szlag... – mamrotał pod nosem. Uważał, że nie powinno się pracować więcej niż trzeba. Zwłaszcza dla tych wyzyskiwaczy. Nie było to zajęcie jego marzeń ani takie, jakie można by nazwać godnym pozazdroszczenia. Takich przecież zresztą nie ma. A może...

Czasami myślał, że ta cała sielanka, ten raj, to był tylko zmyślony obraz z amerykańskich filmów, które od lat oglądał. Młodzi, elegancko ubrani ludzie, którzy przesiadywali całymi dniami w wysokich wieżowcach. Nosili drogie i piękne garnitury. I jedli lunchy, za które płacili więcej, niż wynosiła jego dniówka. Tak, tylko oni... Tylko oni byli zadowoleni ze swej pracy. I tylko oni mogą ją kochać.

Usiadł wygodnie i wyjął z plecaka termos oraz kanapkę, a potem zaczął szybko jeść. Popił gorącą herbata roztaczającą wokół zapach owoców leśnych. Wyciągnął niewielki telewizor na baterie, który przed wieloma laty kupił na ryneczku w centrum miasta. Oglądanie umilało mu czas i sprawiało, że na moment odrywał się myślami od roboty.

Znosił to utrapienie dzień po dniu, bez względu na porę czy dzień tygodnia. Wiele by dał, żeby – jak ci ludzie z amerykańskich filmów – zjeść rano śniadanie z rodziną, odprowadzić dziecko do autobusu, potem ucałować żonę, wziąć teczkę i pojechać do pracy – do biura albo jakiegoś innego miejsca, w którym spędzało się szczęśliwie cały dzień – a później, po ośmiu godzinach, wrócić radosnym krokiem do domu. Kto by nie chciał takiego życia? Zdawał sobie jednak sprawę, że była to rzecz nieosiągalna dla niego, a może i dla każdego, kto urodził się w tym miejscu, w tej okolicy.

Włączył urządzenie i zaczął oglądać wiadomości. Monofoniczny głos spikerki rozszedł się echem po korytarzu, ale nie zwrócił na to uwagi. Nie robiło to na nim wrażenia jak dawniej, gdy głos z urzędnika się odbijał, przez co można było odnieść wrażenie, że ktoś mówi zza ściany. Kiedyś te odbijające się fale przerażały go; zastanawiał się wówczas, jak to się dzieje, że powstaje echo, i dlaczego wciąż wywołuje w człowieku tyle niepokoju i zdziwienia. Ale z czasem dał sobie spokój. Osiem klas szkoły podstawowej to za mało, żeby pojąć te wszystkie tajemnice codzienności i praw fizyki.

Ustawił głośniej, by zagłuszyć echo oraz dźwięki cichego, rytmicznego kapania wody ze ścian. Cholernie go to denerwowało, czasami nic bardziej go nie irytowało niż te systematyczne pluśnięcia towarzyszące kroplom uderzającym nieustająco cały dzień ciałem w to samo miejsce, aż do znużenia. Była to najgorsza tortura.

Głos prezenterki robił się niewyraźny. Po chwili sygnał zaczął zanikać. Mężczyzna wyciągnął antenę na całą długość i odpowiednio ustawił.

Rozejrzał się na boki. Po obu stronach długiego na ponad siedemdziesiąt metrów korytarza nie było żywej duszy. W oddali w obu jego krańcach świeciły się żarówki, przysłonięte przez ochronne klosze przemysłowe. Był tylko on i ten telewizor, który akurat teraz musiał gubić sygnał. Właśnie w tej chwili, kiedy miał przed sobą jeszcze dziewiętnaście minut przerwy. To prawie całe wiadomości i prognoza pogody. Wieczność. To tyle, żeby zdążyły odpocząć ręce i żeby można nabrać oddechu. Zaklął w myślach. Nienawidził tych przeciwności losu, które akurat teraz musiały dać o sobie znać. Odłożył kanapkę na bok, wstał i ruszył powoli w kierunku wyjścia.

Przeszedł kilkanaście metrów, gdy nagle poczuł na karku powiew chłodnego powietrza. Na

monitorze pojawił się przejrzysty obraz. Dźwięk stał się wyraźniejszy. Zawahał się chwilę, nie wiedząc, co robić. Zostać w tym miejscu czy wrócić do niszy?

Odstawił telewizor na podłogę.

– Trudno, trzeba będzie zmienić miejsce – powiedział do siebie, żeby się pocieszyć, a potem powoli ruszył po plecak.

Nagle zatrzymał się, bo w oddali zgasło światło. Obrócił głowę. Po drugiej stronie też zgasło. Zrobiło się ciemno.

– Halo! Jestem tu, nie gaście!

Włączył latarkę, by oświetlić sobie trasę. Chwycił plecak i wrócił na miejsce. Przykłęknął pod ścianą, spojrzal za siebie i zaczął przeżuwać kanapkę. Czemu zgasły światła? Cholera. Czyżby znowu zamokła instalacja i doszło do zwarcia, jak niemal codziennie? Ściszył urządzenie, bo dźwięk stał się już wyraźniejszy. Spikerka mówiła o zmianach w resorcie, a po chwili ukazała się sylwetka reportera stojącego przed ministerstwem.

W oddali usłyszał jakieś hałasy. Jakby szuranie. Ktoś wszedł do korytarza. Był pewien, że odgłosy nie dochodziły z odbiornika. Nie, na pewno nie – pomyślał. Coś się poruszyło.

– Halo, kto tam jest?! – Zmrużył oczy i odsunął ekran od twarzy. Zamrugał kilka razy, by sprzed oczu znikła niebieskawa plama.

Nikt nie odpowiedział. Wyczuł, że ktoś idzie w jego kierunku. Powoli. Małymi krokami. Słyszał szuranie. Dźwięki robiły się coraz głośniejsze i wyraźniejsze. Nie widział niczego poza blaskiem monitora. Błyskawicznie odłożył na bok kanapkę i wyciągnął latarkę. Trwało to zaledwie kilka sekund. Nagle tuż obok usłyszał stuknięcie buta o podłogę. Dźwięki były głośne i wyraźne. Zamarł. Cóż to, do cholery, ma być? Gasnące światło, a teraz jeszcze to?

Kłęcząc w nienaturalnej pozycji, nie wiedząc, co robić. Wstrzymał na moment oddech i rozejrzał się na boki. Nic nie widział, ale mimo to nie mógł się powstrzymać i odruchowo kręcił głową na boki. Coś było w pobliżu, raz bliżej, raz dalej, ale w żaden sposób nie mógł tego namierzyć ani zidentyfikować. Trwał nieruchomo przez kilkanaście sekund. Każda z nich wydawała się wiecznością. Czekał.

Nagle znów usłyszał kroki. Intruz przeszedł tuż obok, nie zwracając na niego uwagi. Mężczyzna odruchowo obrócił głowę i popatrzył za nim, ale i tak niczego nie zobaczył. Nie wiedział, co robić. Odezwać się? Milczeć?

Nie minęło kilka chwil, gdy nieznamy przystanął, a potem zaczął wracać, jakby się namyślił albo zgubił drogę. Robotnik zgaśnił siebie w myślach. Najpierw ktoś zgasił światło w długim podziemnym korytarzu, a teraz chodził i szukał czegoś po ciemku. Ale dlaczego boję się wyjść z kąta i odezwać? – pomyślał. Przecież to na pewno ktoś z nocnej zmiany.

Nagle postać niespodziewanie stanęła przed nim. Usłyszał jej oddech. Błyskawicznie włączył latarkę i już chciał skierować przed siebie snop światła, gdy bolesne uderzenie wytrąciło mu ją z rąk. Po chwili poczuł, że coś chwyciło go za rękę. Był to potwornie silny uścisk, który z sekundy na sekundę stawał się jeszcze silniejszy. Ktoś bezlitośnie miazdził mu dłoń.

Jak to wszystko możliwe? Czy to jakiś cholerny duch? Kto i dlaczego zabawiał się jego kosztem, jego wolnym czasem?

Spróbował wyszarpnąć rękę z żelaznego uścisku, ale nie mógł. Po chwili poczuł kolejny uścisk. Ktoś złapał go za drugą rękę, by uniemożliwić mu jakiegokolwiek ruchu. Zaczął się szarpać, ale niewiele zdołał zrobić, ponieważ uścisk stawał się coraz silniejszy, jakby rękę zgniatano w imadle. Czuł, jak z dłoni odpływa mu krew. Ból przybierał na sile, a po paru sekundach był już nie do zniesienia. Poczul mrowienie rąk, a zaraz potem stracił w nich czucie. Przebiegło to tak szybko, że nie mógł pojąć, co tak naprawdę się dzieje.

Co za dumny żart? – pomyślał. Przecież dopiero co skończyłem pracę, jadłem kanapkę,

oglądałem wiadomości... a zaraz będę musiał wrócić do pracy, którą muszę skończyć! Kto i po co...

Doznał szoku. Przez moment nie wierzył w to wszystko. To nie mogła być prawda... ale mrowienie było nad wyraz dokuczliwe. Czuł je zbyt wyraźnie, by mogło mu się śnić.

Jednak wszystko było tak nierealne. Tak jak nierealne są wypadki i inne nagłe wydarzenia. Mózg działa w odmienny sposób, jakby był przez chwilę napędzany cudzymi myślami. Umysł potrzebuje czasu, by się przyzwyczaić, by zrozumieć, co się stało. I teraz całą realną ciągłość nagle coś przerwało.

Mężczyzna wciąż próbował uwolnić się z uścisku, chociaż czuł, że nie zdoła. Po chwili dał za wygraną. Nic z tego. Był słabszy od swojego przeciwnika. Ale może zaraz ten ktoś się zmęczy i podda, wszystko się wyjaśni, a on dokończy kolację? Bo to pewnie jakiś żart któregoś z pracowników? Ale kto i co, do jasnej cholery, mi to robi? – zastanawiał się. To muszą być oni. Tak, to na pewno oni.

– Ładne żarty, skurwysyny! Nigdy się do mnie nie odzywaliście, nie zadawaliście się ze mną, a teraz tak pogrywacie? W taki sposób? Co wam zrobiłem? Poczekajcie, już ja wam się odwdzięczę, przekłete mendy. Też wam zrobię taki kawał. Będziecie tego żałować, wy cholerne obiboki. Nie wiem co i nie wiem kiedy, ale zrobię coś, wymyślę. I to wcale nie będzie śmieszne. Już ja się na was odegram, sukinynty.

Nagle usłyszał oddech, czyjaś głowa przysunęła się na tyle blisko, że poczuł odór dobywający się z ust nieznanego.

– Puszczaj, mówię... – wybełkotał. Napastnik to zrobił, a on poczuł uderzenie w brzuch, które odebrało mu oddech. Zaczął się dusić i dławić jednocześnie. I znowu kopnięcie. Tym razem silniejsze. Po ciosie w brzuch zgiął się wpół. Uderzył głową w twardą masę, która znajdowała się przed nim.

Ledwo stał o własnych siłach, czuł, że zaraz upadnie. Chciał krzyczeć, ale nie był w stanie. Nadal nie mógł złapać oddechu. Nie czuł dłoni i na dodatek tracił oddech. Każda sekunda była walką o przetrwanie. Byle tylko się wywinąć, byle uciec, myślał.

Runął na ziemię. Zaczął się tarzać po zimnej, wilgotnej posadzce. Poczuł ulgę, bo wreszcie mógł się skulić. W tej pozycji lepiej znosił ból brzucha.

– Co... do... kurw... – Mówienie było ponad jego siły. Wciąż nie wierzył w to, co się stało. To jakiś żart, jakiś cholerny żart – powtarzał w myślach. Mógł już oddychać, bo ucisk w płucach trochę zelżał. Od razu chciał coś powiedzieć lub wykrzyzczeć, ale jeszcze nie dał rady. Z jego gardła wydobywał się tylko przeraźliwy chrząst, który przypominał kaszel gruźlika. Czuł, jak organizm odmawia mu posłuszeństwa. W oddali usłyszał dźwięki telewizorka rzuconego w kąt.

Mijały sekundy, a on wciąż leżał i dochodził do siebie. Chwała Bogu. Koniec. Koniec tego idiotycznego dowcipu. Zaraz usiądę, zjem i wrócę do pracy. Tylko to jest ważne. Nie chcę już roboty w amerykańskim wieżowcu, chcę pracować tu, byle normalnie, bez tego bicia. Już mi wszystko jedno, byleby tylko spokojnie robić swoje. I nigdy nie stracić oddechu, bo chyba nic gorszego nie można sobie wyobrazić. O nie, już wszystko zniosę, byle nie to – mówił do siebie.

Krew zaczęła napływać mu do dłoni i powoli zaczął poruszać palcami. Poczuł ciepło, a po chwili silne klucie, jak wtedy gdy zbyt długo spał z ręką pod poduszką. Nieraz budził się przerażony w nocy, gdy nie mógł ruszać całym ramieniem, a potem po kilkunastu sekundach ciepło i czucie w ręku wracało. Odczekał jeszcze parę sekund i zaczął się niezdarnie podnosić.

Nagle znów usłyszał ten głośny oddech. Ten ktoś wciąż przed nim stał. I czekał. Oddychał coraz głośniej, jak przez maskę przeciwigazową. Słyszał tylko rytmiczny szum.

– Kim jesteś? – wybełkotał, kłęcząc.

Cisza. Nie doczekał się żadnej odpowiedzi. Ale wiedział, że ktokolwiek tu był, musiał go słyszeć. Strach powodował, że pulsowanie krwi w głowie stawało się coraz szybsze i silniejsze.

– Kim...

Nagle poczuł kolejne uderzenie w brzuch i znów zwałił się na ziemię. Było o wiele silniejsze niż poprzednim razem. Zaczął się dusić i wierzgać, leżąc na wilgotnym betonie.

Następne uderzenie, równie silne. A potem kolejne.

To nie były żarty kolegów, których o to wszystko podejrzewał. Ale przecież nie mam żadnych wrogów – pomyślał. Nic nikomu nie jestem winien... Więc... Co jest?

Dostał dwa silne kopniaki w brzuch. Zaczął tracić świadomość, choć wciąż czuł przeszywający ból. I znów ten oddech.

A może to był tylko sen? Albo film, który puścili po wiadomościach? Może usnął na filmie o jakimś psychopacie, który kogoś zaatakował w ciemnym tunelu?

W blasku niebieskiej poświaty bijącej od małego ekranu dostrzegł sylwetkę, która trzymała w dłoni coś o długim, błyszczącym ostrzu. Co to takiego? Nóż? A może ostrze jakiegoś miecza?

Wiedział, że ten obraz zaraz się skończy, pojawią się napisy końcowe, a on wróci do swojej zniechęconej pracy. A jeśli to jednak sen, to pewnie też się zaraz skończy. Wszystko jedno, byleby ten ból ustał. Wołał swoją przeklętą pracę niż ten ucisk w płucach, brzuchu... I ten ciągły, niekończący się strach. I duszności, które utrudniały mu oddychanie.

W pewnej chwili usłyszał niewyraźny głos reportera, który relacjonował na żywo wydarzenia z jakiegoś wypadku. Mówił, że liczba ofiar nie jest dokładnie znana, więc ostatecznie może wzrosnąć.

Znów usłyszał głośny oddech, ktoś na nim ukląkł albo usiadł niczym zawodnik sportów walki, który siada na pokonanym przeciwniku, wyciągnąwszy w górę rękę, by pokazać, że zwyciężył przed czasem.

A potem już tylko usłyszał swój przeraźliwy krzyk, który odbił się głośnym echem w długim i ciemnym korytarzu.

A więc to jednak nie sen, pomyślał.

Głos spikerki nagle się urwał.

Rozejrzał się wokół. W oddali dostrzegł wóz strażacki. Radiowóz, którym przyjechali, stał na polu, kilkanaście metrów od brzegu. To stamtąd dochodziły do niego stłumione głosy policjantów rozmawiających przez radio.

Po chwili nadjechał samochód pletwonurków. Wysiedli z niego dwaj mężczyźni, podeszli blisko brzegu i spojrzeli w kierunku rzeki, która skręcała nieznacznie w lewo, ciągnąc się przed siebie, gdzieś w dal. Usłyszał, że coś ustalali, być może miejsce, z którego zaczną poszukiwania. Wrócili do auta i zaczęli wypakowywać sprzęt.

W tej samej chwili dotarł do niego huk pociągu jadącego po moście kolejowym. Blachy łomoty nienaturalnie głośno. Dochodziła szesnasta, a upał topił tętniące życiem miasto.

Zastanawiał się, co jeszcze mogą zrobić w tej sytuacji. Kilka godzin temu policjanci otrzymali zgłoszenie, że zaginął jedenastoletni Karol. Funkcjonariusze rozmawiali z jego dwoma najlepszymi kolegami. Chłopcy powiedzieli, że grali z Karolem w piłkę, a przed południem rozeszli się do domów na obiad. Jak zawsze mieli pograć jeszcze później, a potem iść nad rzekę, żeby się wykapać. Tak się umówili. Nic więcej nie wiedzieli. Karol mówił im, że gdzieś się wybiera. Ustalenia były jasne. Chłopcy przyznali się później, że rodzice nie pozwalali im kąpać się w rzece. Chcieli zrobić to po kryjomu, jak zwykle. Tym razem jednak zrezygnowali. Karol nie wrócił do domu. Zaniepokojeni rodzice obdzwonili wszystkich znajomych, potem szukali go przez dłuższy czas. Niestety bezskutecznie. Dopiero gdy na jaw wyszła informacja, że chłopcy zamierzali iść nad rzekę, skupiono się na tym miejscu. Policja oraz straż miejska szukały chłopca w pobliżu brzegu rzeki Bóbr w obawie, że mógł pójść tam sam, chociaż wcześniej umawiał się z kolegami. Nikt się nie zastanawiał, dlaczego chłopiec miałby to zrobić, po prostu musieli jak najszybciej sprawdzić, czy nie doszło do tragedii.

Nagle ktoś chwycił komisarza Iwanowicza mocno za ramię, przywołując do rzeczywistości. Mężczyzna nawet nie słyszał zbliżających się kroków.

– Chodź, musimy wracać. Dostaliśmy przed chwilą wezwanie z Kowar – powiedział podkomisarz Jacek Gawłowski. Wyglądał na zmęczonego. Ubrany był w jasną koszulkę i krótkie spodenki z wypchanymi kieszeniami. Miał około pięćdziesięciu lat. Szeroką szczękę pokrywał kilkudniowy zarost. Gawłowski wyglądem przypominał osiedlowego boksera, choć jego oczy zdradzały obrzydzenie do siłowych rozwiązań. To się czuło, choć nieraz w tej pracy musiał walczyć.

– Do jakich Kowar? Przecież jesteśmy tutaj, mamy robotę. Nie widzisz? Musimy im pomóc. – Iwanowicz poczuł gdzieś w głębi wzbierający gniew, ale po chwili uznał, że niepotrzebnie się uniósł. W ostatnich dniach działał zbyt impulsywnie i był rozdrażniony.

– Nie wkurzaj się, wiem, co chcesz powiedzieć. Zostaw to, chodź.

Iwanowicz skrzywił się i spojrzął na rzekę. Zamyślił się, ale wciąż dźwięczały mu w uszach słowa partnera. W gruncie rzeczy miał rację, chłopca szukało kilku strażaków oraz mundurowi, wyglądało na to, że robiono wszystko, by dzieciaka odnaleźć.

– Znalezione zadżganego gościa – kontynuował podkomisarz. – Chodź. Nie chcą tego ruszać bez nas. Dzwonił Jastrzębski.

Iwanowicz skrzywił się na myśl o tym człowieku. Zaciśnął zęby ze złości. Robił to nieświadomie, gdy się denerwował. Nienawidził tego sukinsyna i sama myśl o spotkaniu z nim podniosła mu ciśnienie. Jastrzębski uchodził za najgorszego komendanta w regionie, choć sam uważał się za doskonałego policjanta. Menda, tylko tyle można było o nim powiedzieć i tylko takimi słowami komisarz Iwanowicz w duchu go nazywał. A gdyby miał się pokusić o inne, to rzekłby, że jest to chociaż zero, które ledwo skończyło jakąś podręczną szkołę. A potem zatrudniono go w policji. Wtedy było inaczej, stanowiska obsadzano przypadkowo albo po znajomości. Choć tu sytuacją

pokierował los, jak to często w życiu bywa. W Kowarach brakowało policjantów, więc udało mu się zalać na zwykłą służbę, a potem po latach, dzięki odpowiedniej protekcji, awansował na komendanta. Przez ponad dziesięć lat pracy na tym stanowisku wyrobił sobie fatalną opinię wśród współpracowników z innych komisariatów oraz swoich podwładnych. Niejednokrotnie wdawał się w pijackie burdy, ale bez konsekwencji, zawsze się jakoś wywinął. Głównie dzięki znajomościom.

– Kto go znalazł? – zapytał Iwanowicz, wpatrując się w sunący leniwie nurt rzeki.

– Sąsiad. Kolega. Chodź, nie ma czasu.

Zajechali do komendy przy ulicy Nowowiejskiej. Iwanowicz ruszył do biura. Kręcił się chwilę bez celu, a potem poszedł do toalety. Było to nieduże pomieszczenie wyłożone kremowymi kafelkami, których widok przyprowadził go o mdłości. Zamknął się w niej. Musiał przez moment odpocząć i uspokoić myśli. Jedna sprawa, chwila później kolejna. Ledwie przyjechali nad rzekę, a zaraz mieli już co innego do roboty. Za dużo się działo w ostatnim czasie.

Nabrał zimnej wody w dłonie i ochlapał twarz. Od świtu był na nogach. Dochodziła siedemnasta, panował piekielny upał, a wszystko wskazywało na to, że jeszcze przez kilka godzin nie będzie mógł odpocząć. Wiedział, że trzeba będzie obejrzyć miejsce zbrodni, a potem jeszcze przesłuchać świadków. Nie miał na to dzisiaj najmniejszej ochoty. Z drugiej strony niemal każdego dnia łapał się na tym, że żaden dzień nie był dla niego dobry na przesłuchiwanie świadków. Miał coraz mniej zapału do pracy. Każde kolejne śledztwo wysysało z niego energię. Za każdym razem coraz więcej i więcej. I potem, jak każdego roku, latem albo jesienią znów będzie musiał się zaszyć gdzieś daleko, by набrać sił. Na pustkowiu. W samotności.

We wrześniu planował wyjazd w Bieszczady. Zamknie się w jakimś domku letniskowym. Zapomni na pewien czas o sprawach związanych z tym miejscem, z Jelenią Górą. Będzie żył według własnego naturalnego rytmu dnia. Bez telefonów, e-maili, a przede wszystkim bez stresu.

Kłós próbował otworzyć drzwi do łazienki. Postukał kilka razy, szarpnął klamkę, a potem zrezygnował, przeklinając pod nosem.

Komisarz Iwanowicz doszedł do wniosku, że musi stawić czoło codzienności. Czuł, że jego cierpliwość niemal się wyczerpała. Ile jeszcze pociągnę? – pytał niemal co dzień samego siebie. Czuł monotonię, choć nigdy się do tego nie przyznał. Nigdy tego nie powiedział na głos ani Gawłowskiemu, ani komendantowi. W pracy nie miał nikogo innego, z kim mógłby o tym szczerze porozmawiać. Milczał, udając, że wszystko jest w porządku.

– Boże, daj mi sił, jeszcze tylko trochę, kilka tygodni. Muszę dać radę... – wyszeptał. Znów ochlapał twarz wodą i spojrzał na swoje odbicie. Chociaż od kilku tygodni miał letnią opaleniznę, wyglądał na zmęczonego. Zawsze dbał o swój wygląd, interesowało go, jak jest postrzegany przez innych, ale to już historia. Coraz mniej spał i był zmęczony. Nie ćwiczył i od dłuższego czasu nie uprawiał żadnego sportu.

Na czole pojawiło się kilka zmarszczek, a skronie, które jeszcze do niedawna pokrywały ciemne, gęste, choć krótkie włosy, przybrały gdzieś tam popielatą odcień. Z rosnącym niepokojem obserwował, jak mocno się postarzał w ciągu krótkiego czasu.

Umył ręce, a potem wyszedł przed komendę. Gawłowski siedział w służbowym oplu i nerwowo stukał palcami po kierownicy w rytm szybkiej piosenki, która leciała w radiu.

Wyjechali z miasta w stronę Kowar. W radiu puścili jakąś piosenkę disco. Spiker powiedział, że niespodziewanie stała się ona hitem tegorocznych wakacji. Iwanowicz zmienił stację.

Południowa droga z miasta była kręta. Prowadziła w kierunku czeskiej granicy, ale także do Kowar oraz mniejszych, pobliskich miejscowości usytuowanych na rozłożystych wzniesieniach.

– Lubię tędy jeździć. Ale za cholere nie wiem czemu... – rzekł Iwanowicz, gdy tylko minęła tabliczkę informującą, że przekroczyli granicę miasta. Parokrotnie złapał się już na tym, że mówił to zawsze, bez względu na to, z kim jechał i w jakich okolicznościach. Odruch, zaśmiał się w duchu.

Nie miał na niego wpływu i trudno było się go pozbyć.

– Droga jak droga, może to dzięki tym widokom, co? – odpowiedział bez przekonania kolega, nie odrywając wzroku od jezdni. – Mnie też się podobają.

Oddalali się od miasta. Domy i bloki zamieniały się w coraz mniej wyraźny szereg kwadratów i prostokątów, który po kilku minutach zniknął pomiędzy wzgórzami.

Spiker Muzycznego Radia zapowiadał na najbliższe dni upały. Cały tydzień ma być ciepły, dopiero kolejny przymiesz więcej ochłodzenia. Na koniec dodał, by cieszyć się prażącym słońcem, pojechać nad jezioro albo nad rzekę. A potem puścił kolejną wakacyjną piosenkę. Na tyle radosną, że można było zapomnieć o całym parszywym dniu.

Iwanowicz pomyślał, że dziennikarze traktowali słuchaczy jak małe dzieci, co chwila ich przed czymś przestrzegając. Przed słońcem, deszczem, upałami, śniegiem. I tak nieustannie. Sądził, że za kilka lat telewizja i radio staną się aniołem stróżem człowieka, który przestanie sam sobie ufać i będzie żyć wyłącznie pod dyktando mediów. To one będą wyznaczać sens i cel życia. Nakazywać i zabraniać. A jeśli to się nie uda od razu, to przynajmniej usilnie będą się starały – tak aby ludzie w pełni im się podporządkowali.

Przed nimi wylądowały się coraz wyższe i rozleglejsze wzniesienia. Na niebie wisiało nisko uwieszone czerwone słońce, które bez pośpiechu chowało się za jedną z gór. Minęli kilka małych miejscowości, w których domy, niemal wszystkie białe, ciągnęły się wzdłuż głównej drogi.

Niejednokrotnie zastanawiał się nad wyprowadzką z miasta na wieś, być może właśnie do którejś z nich. Podobały mu się te miejscowości skryte u podnóża gór, które rozciągały się na wzniesieniach jak okiem sięgnąć. Im bliżej Karpacza czy Szklarskiej Poręby, im wyżej, tym bardziej były urokliwe. Czasami marzył, by sprzedać mieszkanie, kupić dom z dużą działką i założyć własny interes. A przede wszystkim zaszyć się gdzieś w górach, pod lasem, zostawiwszy dotychczasową pracę, ludzi i obowiązki. Zapomnieć o tym wszystkim, co zrobił do tej pory. Skoncentrować się na czymś innym. Mniej podłym i odrażającym. Przez większość życia Iwanowicz pracował w wojsku, w jeleniogórskiej jednostce radiotechnicznej. Armia ukształtowała jego postawę, charakter oraz podejście do rzeczywistości. Wiele lat temu różne jednostki, w tym jeleniogórska, były likwidowane lub reorganizowane i przenoszone. Znaczną część kadry przeniesiono do większych jednostek we Wrocławiu bądź Świętoszowie. Iwanowicz mógł się stąd wyprowadzić, zaproponowano mu bowiem posadę, ale wiązałoby się to z wyjazdem na stałe. Przekroczył już wówczas czterdziestkę i nie chciał wyprowadzić się z Jeleniej Góry, bo tu czuł się dobrze. Połowę życia spędził w wojsku, to wystarczająco dużo. Postanowił zostać. Długo nie szukał pracy i dzięki Jackowi Gawłowskiemu, którego znał prywatnie, zahaczył się w policji, gdzie szybko awansował. Byłych wojskowych chętnie przyjmowano. No i akurat Iwanowicz trafił w idealny moment, ponieważ w policji było kilka wolnych etatów. Co prawda nie miał doświadczenia w kryminalistyce ani działaniach śledczych, jednakże dzięki odpowiedniej rekomendacji Gawłowskiego komendant dał mu szansę. Początek jego przygody z policją musiał uznać za udany.

Zamknął oczy, a po paru minutach usnął. Śniło mu się, że opala się nad jeziorem. Bez troski sięga po gazetę. W tle słychać bawiące się dzieci. Przegląda prasę, gdy nagle zbudził go ryk mijającego samochodu.

– Cholerny rajdowiec. Nigdy nie zrozumiem, po co oni zdejmują tłumiki i udają, że mają świetne samochody?

– To tylko dzieciaki. Oglądają za dużo filmów. Co zrobisz? Nic – odpowiedział Gawłowski i wzruszył ramionami. W ten sposób często próbował zbyć wszystkie pytania, na które nie znał odpowiedzi albo które chciał przemilczeć. – A może mu się zwyczajnie przepalił albo urwał na jakimś podjeździe. Cholera wie.

– Łebki udające cwaniaków w ledwo trzymających się furach – rzucił zirytowany Iwanowicz.

Chciał jeszcze coś dodać, ale w ostatniej chwili się powstrzymał.

Minęli tablicę informacyjną z napisem Kowary. To niewielkie gminne miasto leżało na pograniczu Karkonoszy i Kotliny Jeleniogórskiej. Liczyło niewiele ponad jedenaście tysięcy mieszkańców. Kiedyś słynęło z prężnego przemysłu; wielkiej fabryki dywanów oraz kopalni uranu. Wszystko przed laty popadło w ruinę, a teraz straszło przyjezdnych wielkimi ruinami i porzuconymi placami. Miasto pełne miejsc porzuconych, niepotrzebnych.

Jechali wąskimi uliczkami. Na niektórych trudno było się minąć z drugim samochodem. Dotarli do centrum miasta, a potem skręcili w jedną z bocznych uliczek. Zatrzymali się naprzeciwko radiowozu, który stał obok wejścia do starej kamienicy.

Budynek miał czerwony szpadzisty dach oraz ściany rdzawego koloru. Do kamienicy przylegały inne o podobnym kształcie. Reszta wyglądała jak pozostałości po jakimś większym ciągu budynków, ale zostały przebudowane bez jakiegokolwiek logicznej konsekwencji. Ciągnęły się wzdłuż krótkiej uliczki.

Komisarz spoglądał na to wszystko z rosnącym niesmakiem. Wszędzie było brudno. Na chodnikach leżały porozbijane butelki, puszki po piwie i poruszające się na wietrze reklamówki.

Iwanowicz i Gawłowski spojrzeli po sobie, mignęli tutejszemu funkcjonariuszom światłami, a potem wysiedli i do nich podeszli. W radiowozie siedział podkomisarz Zdzisław Jastrzębski.

– Co to się stało, że musieliście nas ściągać z Jeleniej? – zapytał zaczepnie Gawłowski.

– Znaleźliśmy trupa w szafie; a co, oderwaliśmy was od jakiejś ciężkiej pracy? – odezwał się miejscowy komendant. Mówił szybko i niedbale. – Jesteście sami czy czekamy jeszcze na kogoś?

– Zaraz będą technicy. Bez nich niczego nie ruszamy, tylko się rozejrzemy.

– W środku aż tak źle? – zapytał po jakimś czasie Iwanowicz, który nieustannie się rozglądał.

– Mało powiedziane, zaraz zobaczycie.

Miejscowi funkcjonariusze wysiedli z auta. Komisarz spojrział na Jastrzębskiego kątem oka i uściśnął mu dłoń. Komendant się przeciągnął. Był wysoki i chudy, a jego kości policzkowe przypominały dwie połówki jabłka przyklejone do twarzy, przez co wyglądał odrażająco i zarazem komicznie. Miał na sobie koszulę w kratę i dżinsy. Iwanowicz chciał zadać kilka pytań na temat tego, co już zdążyli zrobić, ale nie chciał wdawać się z nim w żadne pogawędki, więc na razie się powstrzymał. Tym zajmie się Gawłowski.

Weszli do obskurnego korytarza, w którym śmierdziało moczem i rozlanym spirytusem. Drewnianymi schodami dotarli na pierwsze piętro. Stopnie trzeszczały pod ich ciężarem, alarmując mieszkańców. Skierowali się na lewo i podeszli do ostatnich drzwi w korytarzu. Iwanowicz zauważył, że na parterze znajdowały się dwa mieszkania, a na piętrze trzy. Ściany korytarza pokrywała zielona farba, która odchodziła płatami. Po obu stronach holu znajdowały się nieduże, dwuskrzydłowe okna; jedno wychodziło na ulicę, a drugie na podwórze. Wszędzie czuć było stęchlizną i jakimś innym dziwnym zapachem, którego komisarz nie potrafił zidentyfikować. Przypominał trochę woń zgnilizny, na jaką można się natknąć w piwnicach i ciemnych, wilgotnych miejscach.

– To miejsce chyba nie ma gospodarza, co? Ktoś tu w ogóle sprząta? Wali jak z kocię kuwety.

– Nie wiem, sprawdzimy, kto odpowiada za ten dom, jeśli trzeba – odparł komendant.

Nagle usłyszeli jakieś odgłosy. Z mieszkania naprzeciwko wyszedł mężczyzna. Stał w drzwiach, opierając się barkiem o framugę. Miał zniszczoną twarz i szkliste oczy. Ubrany był w poplamiony podkoszulek, krótkie spodnie oraz brudne skarpetki.

– Nie wychodź, kurwa, nigdzie z domu, zaraz będziesz nam potrzebny! – krzyknął do niego Jastrzębski.

Mężczyzna spojrział na niego błędnym wzrokiem, wybełkotał niezrozumiale coś pod nosem, a potem trzasnął za sobą drzwiami.

– Ładnie traktujesz mieszkańców – zareagował Gawłowski, który szukał wzrokiem zrozumienia u Iwanowicza.

– A co? Żuł, jakich tu pełno – odpowiedział komendant pretensjonalnym tonem. – Jakbym był miły – wskazał ręką na zamknięte przed chwilą drzwi mieszkania – toby nikt się policji nie bał. On czy inni. Nieważne kto. Ten czy tamten. Nie ma co się nad takimi litować. Wolę trzymać tu każdego za mordę. Czy się to komuś podoba, czy nie.

– Taa... – wysapał na potwierdzenie drugi policjant i wzruszył ramionami, jakby nie zrobiło to na nim wrażenia. Wszystko, co mówił przełożony, potwierdzał automatycznie bezmyślnym uśmiechem.

– To czemu nie trzymasz za mordę prawdziwych bandziorów, którzy mordują ludzi? – odparł Iwanowicz. – Co?

Jastrzębski zrobił się purpurowy na twarzy, ale nic nie odpowiedział. Kiwnął tylko głową w kierunku drzwi i rzekł:

– Dobra, nie ma co gadać i rozczulać się. Wchodźcie i pokażcie nam, jak się u was pracuje. Zobaczymy zaraz, kto kogo złapie za mordę.

Mieszkanie składało się z dwóch pomieszczeń, skromnie umeblowanych. Przestronna kuchnia na pierwszy rzut oka wyglądała, jakby niczego w niej nie brakowało. Na środku stał zniszczony stół z jednym krzesłem, w kącie znajdował się piec kaflowy, a obok niego stara umywalka.

Podłoga była betonowa – żadnej wykładziny ani kafi – pomalowana zieloną farbą olejną. Leżały na niej dwa chodniczki: przed drzwiami i w centralnym miejscu. Pod ścianą wały się butelki po wódce i winach. Ściany również pomalowano zieloną farbą, choć miały ciemniejszy odcień. Jak zawsze Iwanowicz starał się zapamiętać każdy szczegół. To bardzo ważne – dostrzec rzecz, element, na który przeciętny człowiek zwykle nie zwraca uwagi. Właśnie tym się różnił od innych.

W pomieszczeniu znajdowało się jedno okno, wysokie na ponad metr, dzielone na trzy części. Naprzeciwko stała stara lodówka, która włączała i wyłączała się co chwila, jakby miała rozregulowany termostat.

– Ten apartament ma jeszcze pokój i łazienkę – powiedział Jastrzębski. Miało to zabrzmieć ironicznie, ale nikt się nie zaśmiał.

Ostrożnie przeszli do niewielkiego pokoju. Tak jak Iwanowicz się spodziewał, tu też było skromnie i brudno. Tego, kto tu mieszkał, na pewno nie interesowało wyposażenie. Nie wiedział też, co to porządek. W kącie stał stary telewizor, na środku stół przykryty brudną kremową ceratą. Obok – dwa krzesła. Znowu odnotował to w pamięci. Dwa miejsca. To znaczy, że nie potrzebował więcej. Wokół ani śladu drogiego sprzętu, który można by sprzedać. Niczego wartościowego. Zwykle zwracał na to uwagę i od razu wykluczał lub potwierdzał w myślach, co mogło być powodem napaści. Rabunek, pieniądze? Wszystko stało na swoim miejscu. Syf, ale i tak niczego nie ruszano. Nikt niczego nie szukał, znowu notował w pamięci. Na ścianie wisiał marny obraz, który przedstawiał panoramę Kotliny Jeleniogórskiej sprzed wielu lat.

– Gdzie on jest? – mruknął Iwanowicz.

– W łazience. Tam – Wskazał palcem. Łazienka była mała. Wydzielono ją z pokoju, zniekształcając naturalną symetrię i projekt mieszkania. Musiała zostać stworzona przez właściciela, tak by przylegała do ściany od strony kuchni, co umożliwiała podłączenie się do rury z wodą. Jastrzębski otworzył drzwi na oścież i odsunął się, by nie zasłaniać im widoku.

– Oto on. Jest już wasz.

Obaj policjanci podeszli ostrożnie. Łazienka wyłożona była starymi kaflami. Na środku stała wanna, w której leżały skulone zwłoki mężczyzny. Denat wyglądał, jakby zwinął się do snu. Nogi miał podciągnięte pod brzuch. Na w pół otwarte oczy, zastygłe w bezruchu, spoglądały w niewidoczny punkt. Komisarz przekroczył próg.

– Nie czekacie na techników? – zapytał Iwanowicz, ale nie doczekał się odpowiedzi.

Pod wanną położyli folię, by nie zatrzeć żadnych śladów. Iwanowicz nachylił się nad zwłokami. Poczłupając smród, który zmieszał się z wonią niespukanych odchodów w klozecie. Cofnął się do pokoju, naciągnął rękawiczki i otworzył okno na oścież. Zaczepił świeżego powietrza i wrócił do łazienki. Skrzywił się i podsunął głowę bliżej zwłok. Krew zakrzepła. Nad ciałem zaczęły już latać muchy. Denat ubrany był we flanelową koszulę w kratkę i stare spodnie. Były wilgotne od moczu. Komisarz uznał, że najprawdopodobniej nie zdążyły jeszcze wyschnąć, choć stan zwłok wskazywał na to, że przeleżały tutaj już kilkanaście godzin. Tułów obryzany był krwią.

– Zwłoki muszą leżeć już dobrych kilkanaście godzin.

– Skąd wiesz? – zapytał Jastrzębski.

Nie odpowiedział. Ciekaw był, ile ten człowiek wie o ludzkiej śmierci, zwłokach i plamach opadowych. To, jak na pierwszy rzut oka określić szacunkowo czas zgonu, musiało być dla niego tajemnicą, której nie zdążył jeszcze zgłębić, mimo tylu lat pracy w policji. Iwanowiczowi cisnęło się na usta, by mu to wygarnąć. Wściekał się, że skoro zostali przydzieleni do tego śledztwa, przypuszczalnie będzie musiał z nim pracować przez jakiś czas. Tylko tego mu teraz brakowało. Środek wakacji, a on będzie musiał męczyć się z tym całym kurewstwem.

Przysunął bliżej głowę i delikatnie podniósł denatowi koszulę. Pamiętał o podstawowych zasadach, by niczego nie ruszać, ale ciekawość wzięła górę.

– O w dupę! – krzyknął, gdy odsłonił koszulę.

Mężczyzna miał rozpruty brzuch. Ze środka wystawały rozdęte i sine jelita. Wydzielały przeraźliwy smród. Doskonale znał tę woń i sądził, że zdążył się już do niej przyzwyczaić, ale w tym momencie wydawała się o wiele intensywniejsza. Gawłowski nachylił się nad nim.

– Ożeż kurwa, ładnie go poharatał – powiedział, a potem powoli sięgnął po papierosa i podszedł do okna. Wiedział, że gdy tylko pojawią się technicy, to będą na niego wrzeszczeli za to, że ruszył denata, ale miał to gdzieś. Zacieranie śladów, naruszenie miejsca zbrodni – setki razy słyszał od nich te słowa, ale za każdym razem przyzymkali na to oko i odchodzili, by robić swoje.

Iwanowicz klęczał nieruchomo nad zwłokami.

– Nieźle się ktoś na nim wyładował, musiał komuś porządnie zaleźć za skórę – oznajmił, przyglądając się każdemu fragmentowi ciała. – W porządku – rzekł po jakimś czasie. – Nie ma co biadolić. Co już zrobiliście? Przesłuchiwaliście świadków? Macie kogoś na oku? – zapytał, nie odwracając głowy.

– Kogo? – odparł Jastrzębski.

– Świadców, sąsiadów – odburknął zdenerwowany Iwanowicz.

– Tak, przesłuchaliśmy tego, którego widziałeś na korytarzu. Zeznania mam w aucie.

Trzeba je będzie zaraz zweryfikować, powiedział do siebie. Kto wie, co jeszcze spartolili albo czego nie zrobili.

– W porządku, zostawiamy go w spokoju i niczego już nie ruszamy. Czekamy na chłopaków. Przeszukaliście dokładnie mieszkanie?

– Czy dokładnie, to nie wiem. Przejrzeliśmy wszystkie kąty. Tak pobieżnie. Nie mamy sprzętu, to zadzwoniliśmy do was. Teraz już chyba wiecie dlaczego.

– Mamy tu gościa z wyprutymi flakami. Wygląda jak jakieś, kurwa, zarżnięte zwierzę pod lasem, a ty mi mówisz, że dokonaliście pobieżnego przeszukania? Jaja sobie ze mnie robisz?! – wrzasnął na niego komisarz.

Wychodząc, Iwanowicz trzasnął drzwiami. Poszedł do ich radiowozu, odszukał w nim zeznania świadka, po czym wrócił na miejsce. Był piekielnie zły, miał ochotę rozszarpać tego całego komendanta. A może i każdego, kto stanie mu na drodze i będzie pieprzył głupoty.

– Tylko jednego przesłuchaliście? – zapytał, gdy wrócił.

– No, tego, co mieszka naprzeciwko – odparł Jastrzębski.

– A reszta?

– Nie mogliśmy. Nikt więcej nam nie otwierał. Albo ich nie ma, albo śpią, albo cholera wie. –

Wzruszył ramionami.

Komisarz kiwnął na Gawłowskiego i wyszli na korytarz. Nie mógł znieść już ani sekundy dłużej w towarzystwie tutejszego komendanta. W myślach rysowała mu się ponura wizja trudnej współpracy.

– Co o tym sądzisz? – zapytał wprost Iwanowicz.

– A co mam sądzić? Jakiś psychol rozpruł gościowi brzuch. I tyle. Trzeba go szybko namierzyć i udupić.

– Powalająca logika, nie ma co. Nie chcę przedwcześnie oceniać, ale chyba nie poszło o pieniądze.

– A o co niby, porachunki? Mafia w Kowarach? Nie podejrzewam. Nie wygląda mi to na typową egzekucję.

– Ale wykluczyć tego nie możemy, póki nie sprawdzimy – odpowiedział komisarz poważnym tonem, przygryzając nerwowo wargę.

Podszedł do drzwi znajdujących się naprzeciwko i zapukał. Po chwili usłyszał odciąganie zasuw zamka. Zza drzwi wyłoniła się głowa mężczyzny, którego widział przed paroma minutami.

– Dzień dobry... – Nie dokończył, gdy zobaczył, że mężczyzna machnął ręką i otworzył drzwi na oścież.

Weszli do środka. Lokal wyglądał jak lustrzane odbicie tego, w którym mieszkał denat. Spojrzał pobieżnie; pierwszym pomieszczeniem była kuchnia, a przymknięte drzwi odsłaniały widok tylko na niewielki fragment zagraconego pokoju. Wewnątrz panował taki zaduch, jakby od lat tu nie wietrzono.

– Pozwoli pan?... – zapytał Iwanowicz, sięgając do okna, by je uchylić.

– A rób, pan, co chcesz – rzekł mężczyzna, odkasznął i splunął. Iwanowicz mu się przyjrzał. Facet był pijany, plątał mu się język i ledwo co kontaktował. Komisarz otworzył okno na całą szerokość i usiadł przy stole.

– Nazywam się Marek Iwanowicz, a to podkomisarz Jacek Gawłowski. Jesteśmy z jeleniogórskiej policji. Chciałbym zadać kilka pytań w związku z... – Wskazał palcem za siebie.

– Pytał pan – wybełkotał gospodarz.

– To mieszkanie jest tej samej wielkości co tamto... – Nie dokończył, gdy zobaczył, że mężczyzna kiwnął głową.

– Tak... takie samo.

Gawłowski kręcił się po kuchni, ale wreszcie usiadł przy stole. Iwanowicz spojrział na zeznanie, ale co chwila zerkał na świadka. Mężczyzna kołysał się na krześle, nie mogąc utrzymać równowagi. Miał pewnie około sześćdziesiątki, łysiejącą głowę z dwiema kępami włosów nad uszami i pomarszczoną skórą na twarzy z mnóstwem popękanych naczynek.

Iwanowicz zerkał to na niego, to na zeznanie. Było krótkie i niedokładne. Przeczytanie całości nie zajęło mu nawet pół minuty. Nie odnalazł w nim żadnej wzmianki, by facet widział sprawcę. Komisarz dla pewności przeczytał raz jeszcze całość.

W tym czasie Gawłowski znowu zaczął rozglądać się po mieszkaniu, a mężczyzna co chwila opuszczał głowę, a potem znów ją podnosił. Sprawiał wrażenie, jakby usypiał, ale po chwili znów się budził. Spoglądał na nich błędnym wzrokiem, jakby nie wiedział, co się dzieje.

– W porządku. Jak się pan nazywa? – spytał Iwanowicz.

Chwilę trwało, nim ich gospodarz zorientował się, że to pytanie skierowano do niego.

– Rzońca Roman.

– O której pana przesłuchiwali? – kontynuował komisarz, by sprawdzić trzeźwość, pamięć i prawdziwość świadka.

– No jakieś... – Spojrzał na zegarek, mrużąc oczy, a po kilku sekundach namysłu powiedział: – Godzinę lub dwie temu. Nie wiem, kimnąłem trochę.

Iwanowicz wyczuł, że rozmowa wiele do sprawy nie wniesie. Dopóki rozmówca w pełni nie wytrzeźwieje, nie będzie ani pomocny, ani wiarygodny. Zarówno teraz, jak i w chwili składania zeznań znajdował się pod wpływem alkoholu, na dodatek wszystko wskazywało na to, że nie trzeźwiało od kilku dni, więc każda informacja będzie musiała zostać potwierdzona przez inne osoby. Jeśli tego się nie uda zrobić, trzeba będzie ostrożniej podchodzić do jego zeznań.

Iwanowicz spojrzał porozumiewawczo na kolegę. Ten tylko uśmiechnął się pod nosem. Myślał dokładnie to samo.

– Co pana łączyło z... – Spojrzał w dokumenty. – Z Wiesławem Grońskim?

Mężczyzna podniósł głowę, wytyczył wzrok, próbując wyostrzyć spojrzenie i odparł:

– No jak to co? Był moim sąsiadem. I najlepszym kolegą.

– Byliście spokrewnieni?

– Że co? Nie, nie – wybełkotał.

– Miał żonę, dzieci?

– Żona zmarła, a dzieci... – Zawiesił głos.

– A dzieci co?

Świadek wziął kilka głębokich wdechów, próbując się skoncentrować, i spojrzał komisarzowi głęboko w oczy. Nie trwało to długo, bo znów opuścił głowę, jakby ten wysiłek okazał się za duży.

Iwanowicz czuł, że traci resztki cierpliwości. Miał dość jałowej rozmowy i całej tej sytuacji. Nienawidził przesłuchiwać pijanych świadków. Wiedział, że jest to często zmarnowany czas, skutkujący bezwartościowym materiałem śledczym.

Mężczyzna jęknął. Z ust wyciekła mu ślina. Wytarł się niezręcznie.

Komisarz wiedział, że nie ma szans na konstruktywną rozmowę. Mimo to musiał podjąć próbę, by dowiedzieć się jak najwięcej, nawet jeśli miał to być nieskładny, bełkotliwy potok słów, który później trzeba będzie rozszyfrować. Wszystko bowiem wskazywało na to, że na razie Rzońca był jedyną osobą, która mogła mieć coś do powiedzenia na temat zabójstwa.

Iwanowicz spojrzał na partnera i kiwnął głową. Gawłowski szybko stanął nad chwiejącym się mężczyzną i złapał go mocno za ramię.

– Niech pan posłucha. Albo pan weźmiesz się w garść, albo jedziemy najpierw do izby wytrzeźwień, a potem na komendę do Jeleniej Góry. Tam nie będziemy się cackali. Wybieraj – rzucił ostro.

Rzońca podniósł głowę i spojrzał na niego z przerażeniem.

– Nie mamy czasu na to, by cucić cię co minutę, jasne? – dodał Gawłowski.

– Jakie było... A, dzieci. Tak, miał córkę, ale niewiele wiem. Mieszka gdzieś... Bo ja wiem, wyjechała parę lat temu i w ogóle się nie kontaktowali.

– Zna ją pan?

– Żonę, no jasne, ale zmarła parę lat temu – odpowiedział. Jego głos był pewniejszy, jakby wizja izby wytrzeźwień zadziałała na niego magicznie.

– Pytam o córkę, nie o żonę. Zna ją pan?

– Nie, to znaczy tak. Tak trochę, ale wyprowadziła się, więc pamiętam jak przez mgłę.

– Przyjeżdżała tutaj po tym, jak już się wyprowadziła?

– Nie, nigdy.

– W porządku, czyli żona zmarła. Ma córkę, ale nie utrzymywał z nią kontaktów.

Mężczyzna kiwnął głową, a potem otworzył szerzej oczy. Dopiero teraz było widać, jakie są

przekrwione.

– Dalej: kiedy po raz ostatni widział pan swojego sąsiada?

– Wczoraj wieczorem. Byłem u niego.

– W jakim celu?

– Rozmawialiśmy.

Gawłowski się uśmiechnął.

– Od której do której?

– Och, trudno powiedzieć, od... może siódmej do dziesiątej w nocy. Mniej więcej.

– Byliście sami?

Przytaknął.

– Ktoś w tym czasie przychodził do Wieśka?

– Byliśmy sami.

– A później?

– Nie, nikogo nie widziałem.

– No dobra. A czy ktoś go w ogóle odwiedzał poza panem? Z kimś się kolegowal? Pytam ogólnie, nie tylko o ostatnie dni. Interesuje nas teraz każda osoba, z którą rozmawiał w ostatnim czasie. Pan może coś wiedzieć na ten temat, więc proszę niczego przed nami nie ukrywać.

Pokręcił głową, mówiąc:

– Nie, żyliśmy po sąsiedzku. Wie pan, wiecie, różnie bywało. Wieczór u mnie, wieczór u niego, raczej o wszystkim wiedziałem... Z nikim się nie kumpłował tak jak ze mną. Rzadko kiedy wychodził z domu. Nikt do niego w ostatnim czasie nie przychodził.

– Podejrzewa pan kogoś o zabójstwo? – zapytał wprost Iwanowicz.

– A skąd, w życiu! Coś pan oszalał? Brał czasami wino na kreskę, ale chyba za to nie mordują, co?

– Miał wrogów?

– Nic o tym nie wiem, znaliśmy się od lat. Mieszkaliśmy tu od zawsze. Nic mi nie mówił, a nawet jeśli, to co był komu winien?

Gawłowski kręcił się nerwowo po kuchni.

– Wie pan, święty może nie jestem, nie będę ukrywał. Lubię popić. To chyba widać. Bywa, że piję codziennie, a gdy nie ma kasy, to rzadziej. Ale nie szkodzę nikomu, nikogo nie pobilem, nikogo nie okradłem. Nie jestem żadnym przestępcą. Wiesiek też nie był.

– Nikt tego nie sugeruje. To rutynowe przesłuchanie – wytłumaczył podkomisarz.

– O której pan go znalazł?

– Dzisiaj rano. Mieliśmy iść razem na miasto. Wiecie, coś pokombinować. Więc poszedłem po niego, zastukałem, ale nie wychodził. Czekałem i czekałem, potem ruszyłem drzwiami i okazało się, że są otwarte. Wszedłem, bo czemu nie. Zawsze tak robiłem.

– Drzwi były uchylone?

– Tylko zatrzasknięte. Nie były zamknięte na klucz.

– I co dalej? – spytał Gawłowski, który nieustannie rozglądał się po mieszkaniu. Zachowywał się jak małe dziecko, które nudziło się w teatrze na nieciekawym spektaklu, wyczekując końca. Iwanowicz doskonale znał ten odruch. Często też nie mógł się powstrzymać przed oglądaniem każdego nowego miejsca, w którym się znalazł. Tyle że robił to mniej ostentacyjnie. Przynajmniej tak mu się wydawało. Gdy wchodził do czyjegoś mieszkania, to nie mógł się powstrzymać przed oglądaniem każdego kąta. Szczegóły wiele mówiły o człowieku. Zawsze uznawał to za zbroczenie zawodowe. Odruch, silniejszy od wszystkiego innego, ale jakże cenny w tej pracy.

– No i wszedłem, zawołałem go, a że wczoraj poszedł spać trochę podпиты, więc pomyślałem, że jeszcze kima. Wiecie, twardy, kamienny sen, każdy z nas czasami taki ma – wyjaśnił. – Ale w pokoju

go nie było. Łóżko było skotłowane, ale puste. Wróciłem do kuchni, bo pomyślałem, że może zasnął pod stołem czy gdzieś indziej. Wiecie, co mam na myśli? Ale nie. Na stole stało niedokończony wino, więc dopilem. Niedużo, raptem parę łyków. Pokręciłem się po mieszkaniu.

Nagle rozmowę przerwał hałas za drzwiami. Na schodach dało się słyszeć głośne kroki.

– Pewnie technicy – powiedział cicho Gawłowski. – I co dalej? – ponowił pytanie, chcąc go pospieszyć.

– Pomyślałem, że wyszedł na miasto beze mnie. Wiecie, chłopaki śmiali się z nas, że jesteśmy jak bracia. Cały czas razem. No bo w sumie trochę tak było. Mieszkał blisko, więc co? Miałbym szukać kolegi na drugim końcu miasta? Dogadywaliśmy się, a to najważniejsze.

– To ciekawe, co pan mówi, ale wróćmy do tematu. Wszedł pan do kuchni, dopił wino i co potem? – kontynuował Gawłowski.

– Miałem już wyjść, ale wolałem się upewnić, więc sprawdziłem łazienkę, bo mógł usnąć na kiblu. Nieraz mu się zdarzało. No i tam go znalazłem. Leżał w wannie. Wszystko we krwi, jak w rzeźni. Pobiegłem szybko na dół zadzwonić, bo ja nie mam telefonu.

– Skąd pan zadzwonił?

– Spod sklepu, na policję przecież jest darmowy – wyjaśnił.

– I?

– I wróciłem do domu, to znaczy na korytarz. Bałem się tam wchodzić. Nie chciałem na to patrzeć. Czekałem na policję tu na schodach. Bałem się, bałem jak nigdy. Czekałem na schodach i cały czas się rozglądałem, bo kto wie, co mogłoby się stać.

– Domyślam się, że nie słyszał pan w nocy żadnych krzyków? Innych dźwięków? – zapytał Gawłowski.

– Nic a nic, spałem jak zabity.

– Biorąc pod uwagę okoliczności, to chyba nie jest najlepsze porównanie – skwitował komisarz, a potem podszedł do drzwi prowadzących do pokoju i zajrzał ukradkiem. – Ostatnie pytanie. Kto jeszcze mieszka w tej kamienicy? Tu w tym mieszkaniu obok – powiedział, nie odrywając wzroku od szczeliny.

Mężczyzna machnął ręką na odczepnego.

– A ja tam wiem? Większość mieszkań stoi pusta. Jakaś rodzina pracuje w Niemczech pod Hamburgiem, a na parterze mieszka dziwna babka, ale głucha jak pień.

– A czy Wiesiek był winien panu jakieś pieniądze? – Przeszło mu przez myśl, że być może to świadek zamordował kolegę, a teraz zgrywał niewinnego i przejętego. Kluczem było słowo „pieniądze”, na którego dźwięk poruszy mu się warga albo może inaczej się zdradzi. Obaj przyglądali mu się uważnie.

– Nie. Ostatnio ja kupiłem flaszkę, dziś on miał coś wykombinować.

Koło się zamyka, zaczyna się to samo, skwitował w myślach komisarz.

– W porządku, to by było na tyle. Dziękujemy za poświęcony czas – powiedział na odchodnym, dodając jeszcze, by starał się ograniczyć spożycie alkoholu, ponieważ w najbliższych dniach może tu zaglądać policja.

Przeszli do mieszkania ofiary, kierując się do łazienki. Jastrzębski z drugim funkcjonariuszem asystowali technikom, którzy przeprowadzali oględziny mieszkania. Lekarz kłęczał przy wannie.

– No i jak?

– Na razie niewiele wiemy, dopiero zaczęliśmy. Zaraz będziemy ustalać, co się stało. Ale z tego, co widzę, to gość został zadżgany w tym miejscu – rzekł Jończyk, pokazując palcem. – Nie ma nigdzie śladów krwi, ani w kuchni, ani w pokoju. Wynika więc, że był w łazience, gdy został zadżgany. Gość ma tak rozszarpany brzuch, że nie ma szans, by ktoś najpierw go poharatał, a dopiero potem przeniósł do wanny. Musiałby zostać jakiś ślad, a ja tu niczego nie widzę.

– Chyba że go najpierw ogłuszył, a potem zaniósł do wanny i zaszlachtował – dodał Jastrzębski.

Iwanowicz nawet na niego nie spojrział, choć przyznał, że może mieć rację. Możliwości jak na razie było kilka, ale niektóre z nich już teraz należało wykluczyć.

– Dopóki nie znajdziemy śladów walki, uznajemy, że wszystko odbyło się w łazience. Zresztą biorąc pod uwagę, że w kiblu znajduje się jego klocek, najprawdopodobniej siedział sobie spokojnie na szacu. I wtedy ktoś wszedł do łazienki, uderzył go czymś, a potem przerzucił do wanny. Nie spuścił wody. Bo zresztą po co? Ale dla nas to znak, że właśnie siedział na kiblu.

– Zgadza się, stolec jest dość świeży – odezwał się lekarz, Marian Krawczyk. – To bardzo prawdopodobne, że załatwiał się, gdy dostał w głowę. Mam tu cholernie słabe oświetlenie, ale widziałem... – Zawiesił głos i wstał na moment. Był to mężczyzna średniego wzrostu, dość szczupły i sprawiał wrażenie, jakby cierpiał na ADHD. Mówił szybko i machał rękami, co być może pomagało mu w artykułowaniu słów. – Z prawej strony czaszki ma ślad po uderzeniu. – Odgarnął włosy na głowie denata, by pokazać im ślad.

– Czym dostał? – zapytał Gawłowski.

– Bo ja wiem? Nie ma połamanych kości czaszki, więc nic ostrego, samo uderzenie nie było też mocne. Średnia masa. Naprawdę nie wiem, co to było, ale nic wielkiego. Sądzę, że po takim uderzeniu nie stracił przytomności. Jedyne był trochę ogłuszony. I pewnie o to zabójcy chodziło. Chociaż... tak sobie teraz myślę, że albo uderzył dość słabo, by go tylko ogłuszyć, albo po prostu nie miał wyczucia.

– Ogłuszył i przerzucił go do wanny.

– Wszystko na to wskazuje. Na pewno brzuch rozpruł mu wtedy, gdy ofiara już leżała w wannie. Dziurę w brzuchu widzieliście, więc daruję sobie wnikliwe prezentacje. No, chyba że chcecie?

– A sam zgon?

– Na pewno nie umarł od razu. Chwilę to trwało, nim się wykrwawił. Na razie nie widzę innych obrażeń, narządy wewnętrzne nienaruszone, więc stawiam na wykrwawienie. Dowiemy się, gdy go obejrzymy z Zalewskim.

– Długo tu leży?

Krawczyk obszedł wannę z prawej strony. Łazienka była na tyle mała, że mieściła jedynie nieobudowaną wannę i klozet. Na ścianie wisiało stare brudne lustro połączone z miniaturową półką. Stał na niej kubek, w którym znajdowała się maszyna do golenia i nieruszana chyba od lat szczoteczka do zębów. Nic więcej, jakby od dawna nikt tutaj nie mieszkał.

– Krew... – Zawiesił na chwilę głos, a potem mówił dalej: – Musiało minąć minimum kilkanaście godzin. Ale ma też mokre spodnie. A że w tym miejscu jest wilgotno i zimno, to plama nie zdążyła wyschnąć. Więc pewnie nie dłużej niż dwadzieścia godzin. Sprawdzę to, ale gdy już będzie u nas.

Iwanowicz podszedł bliżej i rzekł:

– Sąsiad zeznał, że siedzieli wczoraj do dwudziestej drugiej. Nie wiem, na ile można mu wierzyć, ale to by się chyba zgadzało. Być może zabójca czekał, aż wyjdzie ten drugi. Może się gdzie czaił, na przykład na podwórzu? Odczekał jakiś czas, a później wszedł do mieszkania. Zrobił, co miał zrobić, i ulotnił się.

– To by dawało, jeśli chodzi o czas zgonu, mniej niż dobę. Ale jak mówię, wszystko to sprawdzimy, gdy już będziemy go mieć na stole. Facet jest w ubraniu, więc nie sprawdzę aż tak dokładnie plam opadowych, chociaż czekaj...

Schylił się nad zwłokami i ostrożnie odsunął koszulę, ukazując część tułowia nieboszczyka. Chwilę się przyglądał i liczył w myślach.

– No... będzie już z piętnaście, może osiemnaście godzin. Zobaczcie, jakie ma sztywne

kończyny. Praktycznie jak kamień.

Spojrzał na zegarek.

– Jest osiemnasta trzydzieści. – Szybko policzył w pamięci. – To by się zgadzało, czyli zginął mniej więcej po północy.

– W porządku, jedno mamy z głowy – powiedział Iwanowicz.

– A co z wejściem do domu? Jak się tutaj dostał? – zwrócił się do techników Gawłowski.

Jednym z nich był Rafał Jończyk, chudzielec po pięćdziesiątce, drugim – Tomasz Żabicki, o parę lat młodszy, niższy od kolegi. Zawsze we dwóch przyjeżdżali na miejsce zbrodni.

– Bo ja wiem. – Jończyk wruszył ramionami. – Ej, masz coś?! – krzyknął do Żabickiego.

– Na razie nic.

– Sam widzisz. Wystarczy, że był ostrożny, a na pewno był, bo miał rękawiczki, a już sprawi nam spory problem. Pozostają oczywiście jeszcze ślady butów. Nie będzie łatwo, ale jakoś sobie damy radę.

– Czyli okno było zamknięte. A drzwi... są jakieś ślady grzebania przy zamku?

– Daj nam więcej czasu, tylko rzuciliśmy okiem, ale wygląda to tak, że był ostrożny, o ile w ogóle wszedł drzwiami. Ale sam widzisz – zatoczył ręką wokół siebie – nie mogą zająć się wszystkim naraz. Potem zajmujemy się drzwiami dokładniej.

– Dobra, szukajcie dalej. O wszystkim chcę wiedzieć.

Iwanowicz wyszedł na korytarz i rozejrzał się po klatce schodowej. Stał przy oknie wychodzącym na podwórze. Plac przed budynkiem był szerokości domu i długi na kilkanaście metrów. Na zaniedbanym podwórzu wałało się pełno śmieci. W przeważającej części były to stłuczone butelki, puszki po konserwach oraz niedopalki, jakby od wielu tygodni wszystkie śmieci wyrzucano przez okno. Wyglądało to jak miejska popielniczka, w której zbierał się brud całej okolicy. Po jednej stronie podwórka leżała sterta złomu, obok rozwalona krajzega, nieopodal sterta desek, które czekały na pocięcie. Sądząc po dużej ilości mchu i zielonego nalotu, czekały już od wielu lat. Jeden wielki syf, uznał.

Wrócił myślami do sprawy. Zabójca. Kto go mógł zabić? – zastanawiał się. Może ten sąsiad? Może to on w zamroczeniu alkoholowym zadźgał kolegę, a teraz tylko udawał, że niczego nie pamięta. Albo rzeczywiście niczego nie pamięta, bo to nie on. Są dwie możliwości i trzeba szybko jedną wykluczyć.

Nagle coś mu zaświtało. Wrócił do mieszkania ofiary i rzekł do policjantów:

– Przecież świadek zeznał, że gdy rano tutaj wszedł, drzwi były otwarte, więc możliwe, że gość położył się spać, nie zamknąwszy drzwi.

Iwanowicz, nie czekając na reakcję kolegów, wrócił do mieszkania Rzończy. Zastukał głośno. Nie czekał długo, bo mężczyzna momentalnie mu otworzył. Pewnie nasłuchiwał. Policja, morderstwo – nikt, nawet najbardziej pijany, nie zdołałby się oprzeć takim atrakcjom. W tej chwili Iwanowicza to nie interesowało. Prawo nie zabraniało podsłuchiwać czy też obserwować. Czasami to nawet dobrze, że ludzie się nawzajem obserwują, bo dzięki temu w ogóle są świadkowie różnych przestępstw.

– O której wszedł pan do mieszkania kolegi?

– Bo ja wiem, rano jakoś, może około dwunastej, trzynastej – wykrztusił. Z ust jechało mu zepsutymi zębami. Iwanowicz odsunął się odruchowo. Rozmówca niczego nie zauważył.

– Drzwi były otwarte?

Chciał się upewnić, choć wcześniej świadek już to zeznał. Doświadczenie podpowiadało mu, by przesłuchiwanym zadawać co jakiś czas te same pytania. Zazwyczaj za każdym razem pada taka sama odpowiedź, ale być może po którymś razie usłyszysz coś innego. Niekiedy pomyłki i kłamstwa wychodzą na jaw przez tak prozaiczne rzeczy jak zmęczenie. I wtedy trzeba od nowa cisnąć

świadców, bo może przypomną sobie coś więcej. A czasami ta pomyłka, to przejęzyczenie, to znak, że gdzieś zakradało się kłamstwo.

– Tak, były otwarte.

– A czy pana kolega zamykał wczoraj drzwi za panem, gdy już pan wyszedł?

– Nie pamiętam, byłem zmęczony.

Iwanowicz bez słowa odszedł i wrócił do policjantów. Mężczyzna przez moment chwiał się w progu, a potem zamknął za sobą drzwi.

– No więc tak. – Skierował wzrok na policjanta siedzącego obok Jastrzębskiego, ignorując tego ostatniego. – Trzeba dopisać do zeznań, że około dwunastej lub trzynastej świadek wszedł do tego mieszkania. Wszystko wskazuje na to, że było ono przez całą noc otwarte, więc zabójca swobodnie mógł wejść i wyjść. Praktycznie nie tylko on, ale każdy mógł to zrobić bez większego problemu. W takim razie zabójca musiał... – podrapał się po głowie i spostrzegł, że wszyscy na niego patrzą – ...śledzić tego faceta, albo może nawet znać. Wiedział, że pije...

– Chłał jak świnia – wtrącił Jastrzębski.

– Daruj sobie te porównania. Nazywaj to, jak chcesz, ale zachowaj dla siebie, jasne? Twoje interpretacje i tak nie znajdują się w protokole – powiedział i poczuł, że robi się czerwony ze złości. Nie mógł tego opanować i starał się nie przekroczyć granicy, za którą krył się szal.

– Uważam, że zabójca musiał znać ofiarę. Zresztą, jak długo żyję, to jeszcze nie słyszałem o tym, by wypruto komuś flaki przez przypadek. Uderzenie w głowę – tak, popchnięcie kogoś – tak, postrzał – tak, ale wypatroszenie kogoś jak zwierzaka? Takie rzeczy się nie zdarzają, i tyle. Wszystko jasno wskazuje nam, że było to zaplanowane zabójstwo. Może nawet rutynowa egzekucja na zlecenie. Teraz tylko trzeba zebrać ślady i na ich podstawie dotrzeć do zabójcy.

– To co w takim razie robimy? – zapytał miejscowy policjant, marszcząc czoło.

– Na razie to, co zawsze. Przeszukamy dokładnie mieszkanie, centymetr po centymetrze. Chłopaki robią, co do nich należy: zabezpieczają ślady, odciski i wszystko inne. Jeśli niczego nie znajdziemy, to wtedy będziemy główkować. Trzeba zrobić solidne rozeznanie. No i postępujemy zgodnie z procedurami. Waszym zadaniem jest przepytanie wszystkich znajomych, czy miał wrogów. Takich, którzy byliby w stanie popełnić taką zbrodnię. Pytajcie, czy w ogóle znał kogoś, kto byłby zdolny do takiego bestialstwa. Świadek zeznał, że gość nie miał żadnych wrogów. Raczej trzymali się razem, rzekomo dobrze się znali. Koledzy po fachu, jak to się mówi, od flaszki. Ale i tak trzeba to sprawdzić, bo nie mamy podstaw, by uznać go za prawdomównego. A w przypadku zabójstwa stopień nieufności wobec bliskich czy znajomych ofiary powinien być równie wysoki jak wobec każdego. Zwłaszcza jeśli ktoś ledwie kontaktuje. Tak czy owak, to nasz świadek, ale jednocześnie nieoficjalnie podejrzany. Pamiętajcie, że niczego nie może wyczuć ani się domyślić. Traktujemy go normalnie. No i z szacunkiem.

Kiwnęli zgodnie głowami.

– Zajmiecie się tym i to najlepiej jutro z samego rana. Zróbcie też listę wszystkich przestępców...

– Sporo tego będzie – wtrącił Jastrzębski.

– Daj mi skończyć. Listę kryminalistów, którzy w ostatnim czasie wyszli z więzienia, a siedzieli za coś poważniejszego niż kradzież czy drobne pobicie. W grę wchodzi pobicie ze skutkiem śmiertelnym, ugodzenie nożem, zabójstwo na zlecenie, przynależność do zorganizowanej grupy przestępczej, tego typu sprawy. Dziwne zachowania, nękanie, publiczne obnażanie się, cokolwiek, co odbiega od normy. Nie powinno być tego aż tak dużo, by zadanie było niewykonalne. Weźcie pod uwagę mieszkańców Kowar i okolic.

– Coś jeszcze? – zapytał sucho Jastrzębski.

– Tak. Przesłuchajcie kobietę, która mieszka na dole. Ponoć jest głucha, ale może chociaż coś

widziała. Może coś wie. Obejrzyjcie resztę mieszkań i przesłuchajcie każdego. O ile w ogóle ktoś tu mieszka. A jeśli są puste, to dowiedzcie się dlaczego. Musicie zapytać właściciela kamienicy...

– Czyli gminę.

– No to zapytajcie w urzędzie gminy, czemu te mieszkania są puste, i załatwcie listę lokatorów, którzy w nich mieszkali. Popytajcie też ludzi, którzy mieszkają w domu naprzeciwko. Może widzieli kogoś, kto się kręcił w okolicy albo obserwował to miejsce. Wczoraj, przedwczoraj... Ludzie wieczorami często siedzą w oknach, zwłaszcza latem, więc ktoś mógł coś widzieć lub słyszeć. Mogli widzieć jakiś samochód, jakiegoś podejrzanego typka, który kręcił się w pobliżu. Zresztą to wasz teren, więc powinniście takich znać. No a potem zreszcie połączyć fakty.

– Gdybyśmy mogli połączyć fakty, tobyśmy was nie zwywali...

Iwanowicz spojrział na niego tak, jak drapieżnik patrzy na swoją ofiarę tuż przed atakiem. Zaciął pięść. Jastrzębski chwilę spoglądał na niego, a potem skierował wzrok na posterunkowego i powiedział:

– Dobra, zajmijmy się tym jutro.

– Sąsiadów przepytajcie jeszcze dzisiaj, najlepiej zaraz – wycedził komisarz przez zaciśnięte zęby.

– Ludzka pamięć zawodzi, zwłaszcza gdy pytania zadają policjanci, więc lepiej nie zwlekać. Im szybciej to zrobicie, tym lepiej – dodał Gawłowski.

– No dobra, wygrałeś, szefie. – Obaj niemal jednocześnie kiwnęli głowami.

Iwanowicza denerwowały takie odzywki. Czuł, że jeszcze kilka złośliwych czy ironicznych tekstów, a wygarnie Jastrzębskiemu. Nie wiedział jeszcze tylko, kiedy go zaatakować. Czy przy wszystkich, by zrobiło mu się cholernie głupio przy podwładnych, czy na osobności, w cztery oczy. Czyli tak, jak powinno się załatwiać takie sprawy. Każda z możliwości była na swój sposób kusząca i każda w pewien sposób by poskutkowała, choć nie wiedział, która okaże się lepsza i pozwoli mu się uvolnić – w mniejszym lub większym stopniu – od tego człowieka. Brał też pod uwagę, że może sobie tym zaszkodzić, bo Jastrzębski, wyczuwając i dostrzegając w nim wroga, za wszelką cenę spróbuje się odegrać w ten czy inny sposób. I właśnie dlatego należy wziąć na wstrzymanie. Przynajmniej na razie.

Myślni wrócił do sprawy i do planowania dalszej części śledztwa. Obawiał się, że to on będzie musiał podejmować większość decyzji, bo tutejszych policjantów nie nie ruszało, a stopień chęci działania i przeprowadzania jakichkolwiek czynności śledczych równał się zeru.

– I ostatnia rzecz. Świadek zeznał, że Groński ma córkę. Musicie ją znaleźć. Powinna mieć ze dwadzieścia–trzydzieści lat. Dość duża rozpiętość, ale z tym nie powinniście mieć problemów. Zadzwoncie do niej, zadajcie kilka rutynowych pytań, zapytajcie, czy wie coś o ewentualnych wrogach ojca, a jak trzeba będzie, to wyśle się jej wezwanie do złożenia zeznań w jakiejś komendzie, bo rzekomo mieszka daleko. Ale gdzie, to już wy sprawdzicie. To by było na tyle. Aha, zróbcie rzetelne rozeznanie. Zastanówcie się, czy to nie była zwykła egzekucja. Jakieś porachunki? Ktoś na własną rękę wymierza sprawiedliwość? To wasz teren, więc powinniście wiedzieć najlepiej.

– Już jedziecie? – zapytał Jończyk.

– Wracamy do miasta. Wy róbcie swoje. Jutro się skontaktujemy i będziemy omawiać to, co udało wam się ustalić. Oby było tego jak najwięcej.

Iwanowicz zerknął kątem oka na policjantów, którzy sprawiali wrażenie, jakby po raz pierwszy widzieli pracę techników kryminalistyki. Godny pożałowania widok, który przyprawiał go o mdłości. Chciał coś powiedzieć, ale machnął na to ręką. Nie będzie toczył w pojedynkę boju z ludźmi, którzy nie nadają się do tej roboty. Jastrzębski nie był wzorem godnym naśladowania.

Komisarz wciąż nie potrafił wyzbyć się dziwnego przekonania, które tkwiło w nim już od dłuższego czasu. Ciągłe wydawało mu się, że musi wszystkiego pilnować i wydawać wszystkim

polecenia, bez względu na to, czy wymagała tego sytuacja, czy nie. Rozkazywał nie tylko podwładnym. Czuł się odpowiedzialny za to, co działo się w regionie, więc dla spokoju ducha wydawał rozkazy nawet wtedy, gdy każdy wiedział, co miał robić. Czuł się wtedy po prostu lepiej i bezpieczniej. Wiele lat pracy w wojsku wyrobiło w nim poczucie dyscypliny, co rzucało się w oczy. Bywało, że aż za bardzo. Ale z drugiej strony wyznawał przekonanie, że tylko silna ręka dowodzącego – w tym wypadku dowodzącego śledztwem – była w stanie dużo zdziałać. Nie mógł sobie pozwolić na rozluźnienie stosunków w pracy ani na jakieś zażyłości. Praca w policji to pełne poświęcenie, bez miejsca na sentymenty i słabości. Wiedział o tym. Ale wiedział też, że nie każdy podzielał jego punkt widzenia. I że on sam też często był słaby lub zmęczony, jak chociażby ostatnio. Ale nie okazywał tego. Za wszelką cenę ukrywał wszystkie swoje słabości.

W ostatniej chwili uznał, że warto rozejrzeć się po Kowarach. Nie był tutaj już ponad rok. Coś mu podpowiadało, że powinien zobaczyć, w jakim stopniu miasto się zmieniło, co nowego powstało, co zburzyli, a co wciąż trwało nienaruszone. Chciał również zweryfikować swoje odczucia względem tego miejsca. Nie lubił go przede wszystkim za tę przygnębiającą atmosferę. Przez to, że z roku na rok wzrastało tu bezrobocie, a tym samym spadała stopa życiowa, często zmuszając ludzi do popełniania różnych wykroczeń, od zwykłych kradzieży do poważniejszych rozbojów. Przez lata miasteczko uchodziło za jedno z niebezpieczniejszych w okolicy, choć nie przypominał sobie, by w ostatnim czasie zdarzyło się tak brutalne morderstwo.

– Cholera, ciągle się zastanawiam nad jedną rzeczą. Zazwyczaj wszystkie sprawy rozwiązywali miejscowi. Dlaczego teraz dostaliśmy wezwanie? – zapytał Iwanowicz, gdy już wsiadli do auta. – Przecież miewali już morderstwa. I to nie jedno...

– Bo ja wiem? – odparł Gawłowski, wruszając ramionami. – Trochę ich to przerasta, i tyle.

– Widziałeś tam coś niezwykłego? Owszem, nie mówię, że flaki to codzienny widok, nawet dla takich policjantów jak oni, ale po cholere jak nas wezwali?

– Z góry założyli, że nie dadzą rady. Zobaczyli pełno krwi i już trzęsą dupami.

– Przecież nawet nie rozpoczęli śledztwa, więc co? Uznali, że to przerasta ich możliwości? Z góry tak założyli czy znów, kurwa, z lenistwa?

Gawłowski milczał. Wyjechali z ulicy Słonecznej, a potem powoli sunęli główną ulicą wzdłuż rzeczki, która ciągnęła się na całej długości miasta. Głośny szum górskiego potoku mieszał się z odgłosami miasta, które powoli otulał zmierzch. Komisarz odnosił wrażenie, jakby z każdego okna kamienicy spoglądali na nich mieszkańcy. Dla tutejszych byli intruzami. Choć reprezentowali władzę i prawo, czuł, że są tutaj niemile widziani. Być może demonizował i niepotrzebnie o tym wszystkim myślał, ale nie mógł się wyzbycić wrażenia, że są śledzeni, a każdy ich krok rejestrowany jest przez wrogie spojrzenia. Na ulicach gdzieś przesuwały się sylwetki młodych osób. Młodzież, będąca nieodłącznym elementem krajobrazu tego miejsca, pojawiała się i znikła. Stali w niewielkich grupkach, przeklinając i plując pod nogi. Pokazywali, że wszystkim jest im obojętne.

Iwanowicz dał znak koledze, by przyspieszył i czym prędzej wyjechał z tego rozgrzanego słońcem piekła, w którym nijak nie dało się dostrzec choć odrobiny radości.

– Jak dla mnie to miejsce mogłoby nie istnieć – oświadczył, nie spoglądając na partnera. A po chwili pomyślał, że niepotrzebnie to powiedział. Mimowolnie wypowiadał niekiedy swoje opinie i nie potrzebował, by ktoś się z nimi zgadzał. Czuł, że musi czasami coś powiedzieć. Mówił, bo dzięki temu łatwiej mu było znosić codzienność. Po prostu wyrzucał z siebie myśli, zapominając po chwili, że je w ogóle wypowiedział. Łapał się na tym, że coraz częściej wypowiadał je na głos. Pozwalał sobie na to tylko w obecności Gawłowskiego, jakby tylko jemu był w stanie zdradzić ułamek swoich myśli. Pracowali ze sobą na tyle długo, że pozwalał sobie na wszelkie komentarze i rozmowy na każdy temat. Spędzali ze sobą dużo czasu, dzielili się przemyśleniami, opowiadali sobie różne historie. Niewiele rzeczy przed sobą ukrywali, toteż bez względu na okoliczności lub czas rozmawiali

o wszystkim.

Jechali coraz szybciej. Spojrzał na swoje odbicie w bocznym lusterku. Jego zmieniający się wygląd wciąż nie dawał mu spokoju. Dopiero dzisiaj uświadomił sobie, że oznaki przemijania już dawno pojawiły się na jego twarzy, a on – żyjąc coraz intensywniej i coraz mniej poświęcając sobie czasu – wcześniej tego nie zauważył. Jeszcze rok temu poświęcał sobie więcej uwagi, szanował swój czas, uprawiał sport. Jednak prowadzenie tak wielu śledztw mocno odbiło się na jego zdrowiu, kondycji i samopoczuciu.

– Nie przesadzaj, za bardzo się nakręcasz – odezwał się po pewnym czasie Gawłowski, jakby przez ten czas zapomniał, że miał udzielić jakiejś odpowiedzi. – Miasto jak miasto. Co tu dużo mówić...

Nie było o czym, partner miał rację. To tylko miasto, nic więcej – podsumował w myślach komisarz.

– Może i racja. Ale ostatnio za bardzo się wszystkim przejmuję. – Po raz pierwszy tego dnia się zaśmiał.

Gawłowski uśmiechnął się pod nosem.

Iwanowicz poruszył głowę, poglądził się po zmarszczkach, a potem usłyszał słowa kolegi:

– Żona kazała cię pozdrowić.

Spojrzał zdziwiony na Gawłowskiego. Od ostatnich pozdrowień minęły całe wieki.

– Powiedziała, żebyś wpadł do nas na kolację. Co ty na to?

– Coś ty, poważnie? Zaprosiła mnie na kolację? – zapytał sarkastycznie.

– A co w tym dziwnego? Stary, bez przesady. Po prostu wie, że dużo pracujemy, więc nie proponuje zbyt często takich spotkań. Zdaje sobie sprawę, że to nie ma sensu. Poza tym zawsze odmawiasz. No prawie zawsze, kiedyś byłeś kilka razy. No a teraz są wakacje, niedługo weekend, więc może to dobry pomysł? Zrobię grilla. Wypijemy po piwku, zrobimy karkówkę z ziołami, że nie będziesz mógł się oderwać i jeszcze u nas zamieszkasz. Mówię ci – spojrzał na zegarek – o dziewiętej rozpalam maszynę, wyciągam browar z lodówki, stawiam krzesła na tarasie i zaczynamy kolację. Aśka zrobi sałatki i inne babskie dania, dzieciaków nie ma, bo są u dziadków w Zgorzelcu, więc będzie miło.

– Na pewno nic jej się stało, że chce, bym do was przyjechał?

– Oj, przestań. Po prostu chce, żebyś wpadł na kolację. To wszystko. A ty szukasz dziury w całym. To, że nie zapraszała cię od dawna, nie znaczy, że przestała cię lubić.

– Podziękuj jej. Na pewno skorzystam.

Znowu skłamałem, przecież nie przyjadę, pomyślał. Zawsze wykręcał się brakiem czasu albo jakimś nagłym wyjazdem. W ten sposób zwodził znajomych. I choć nie było ich wielu, każdy z nich próbował go do siebie zaprosić, umilić mu czas, by w ten sposób powrócił do świata żywych.

Iwanowicz był dobrym gliną i kolegą, na którym zawsze można było polegać. Był stanowczy, chwilami współczujący, chociaż rzadko to okazywał, ale przede wszystkim można było na niego liczyć i dlatego wiele osób go ceniło i chciało mu pomóc. On jednak odmawiał, z zasady, niemal automatycznie. Nie wprost, ale stosował różne wykręty. I nigdy z tych zaproszeń nie korzystał. Zawsze uciekał, znikał, bo taki system zachowań wypracował kilka lat temu i trudno mu było to zmienić. Nie przyznawał się do tego, że zamknął się w skorupie i nie dopuszczał do siebie innych. Nie umiał z tym walczyć, jakby poddał się i biernie znosił codzienność. W pewnym sensie wygodnie mu było trwać w tym stanie i żyć tak, jak sobie postanowił, bo bał się, że nie zdoła odnaleźć się pośród innych ludzi i zawsze wyjdzie z niego gliniarz.

Obaj zamilkli, wsłuchując się w wiadomości. Chcieli oderwać myśli od tego, z czym mieli do czynienia jeszcze przed parunastoma minutami.

Dochodziła dziewiętnasta, gdy wjechali do spowitej wieczorną szarością Jeleniej Góry.

Zanim Iwanowicz wrócił do domu, wybrał się jeszcze na zakupy. Kupił butelkę czerwonego wina, trochę przekąsek, kilka butelek wody mineralnej, mięso oraz środki czystości. Pojechał po dwa produkty, a jak zawsze wyszedł ze sklepu z dwiema reklamówkami.

Wciąż myślał o tym zaproszeniu. Wahał się, czy pojechać do Gawłowskich, czy też zostać w domu jak zawsze. Jeszcze przed laty większość jego kolegów spotykała się po pracy w różnych knajpach. Z czasem jednak te policyjne zwyczaje zaczęły stopniowo zanikać. Coraz rzadziej organizowali wspólne wypadki, choć wciąż dużą popularnością cieszyły się w ich środowisku imieniny któregoś z nich. Zauważał, że coraz rzadziej organizowano spotkania. Wszyscy, co od jakiegoś czasu rzucało się w oczy, coraz chętniej zamykali się w domach, a kontakty towarzyskie zastępował internet, telefon i telewizja. Tyle wystarczało, by zapomnieć o drugim człowieku. Internet, sieć – iluzja normalnej komunikacji. Jemu akurat to nie przeszkadzało, jednakże dostrzegał tę zmianę.

Wspiął się na drugie piętro. W domu było dziewięć mieszkań, po trzy na każdym piętrze. Jego znajdowało się wprost schodów. Miał to szczęście, że po obu stronach mieszkali czujni sąsiedzi, którzy wiedzieli o każdym jego kroku, o każdym wyjściu, odwiedzinach.

Na klatce było czysto – zasługa dozorczy z prawdziwego zdarzenia. Wszystkiego dopilnował, wszystko wyczyścił, pomalowane, jakby każdą wolną chwilę poświęcał na dopieszczanie wyglądu klatki schodowej.

Iwanowicz otworzył drzwi antywłamaniowe, rzucił zakupy na podłogę i poszedł od razu pod prysznic. Gdy wrócił, rozpakował torby, a potem włączył telewizor i poddał się rutynie kolejnego wieczoru. Każdy dzień kończył podobnie: zazwyczaj z książką w dłoni, czasem oglądając programy przyrodnicze lub popularnonaukowe, a niekiedy popijając piwo na balkonie. Wykonywał te czynności niemal automatycznie, nie przywiązując do nich większej wagi, choć to one nadawały jego codzienności sens, dzięki czemu znosił ją wytrwale.

Zegar wybił ósmą. Miał przed sobą sporo czasu. Uznał, że nie chce spędzić kolejnego wieczoru przed telewizorem. Choć raz miał ochotę na coś innego, co wybije go z rutyny.

O wpół do dziewiątej spakował torbę sportową i pojechał na pływalnię, która znajdowała się w kompleksie sportowym przy szkole podstawowej numer jedenaście w jeleniogórskiej dzielnicy Zabobrze. Szkoła znajdowała się pomiędzy wysokimi, szarymi blokami. Jakiś czas temu spółdzielnie mieszkaniowe zdecydowały, że tę komunistyczną szarość zakryją pastelowymi odcieniami różowej i pomarańczowej barwy, które miały odzwierciedlać kolorowe i nowoczesne czasy, jakie rzekomo nastąpi.

Niestety, kolory szybko pokrywał ołowiany brud, a miasto – dotychczas szare, a potem odnowione, znów wracało do swoich pierwotnych barw. Przenikało powoli, stopniowo, jakby chciało udowodnić, że nie wszystko da się ukryć jednym pociągnięciem pędzla.

Zaparkował samochód przed szkołą. Był to niski, rozłożysty kompleks budynków podzielony na kilka mniejszych i większych części; salę gimnastyczną, główną część szkoły i basen, do którego prowadziło osobne wejście. Z boku znajdowało się boisko piłki nożnej. Była to jedyna w mieście kryta pływalnia o przyzwoitym standardzie, zadbana i nowoczesna, w której można było się swobodnie zrelaksować.

Rozpędził się i wskoczył na główkę do wody, a potem przepłynął kilkanaście metrów pod wodą. Po wynurzeniu poczuł upragnioną lekkość, za którą tęsknił od wielu miesięcy. Otulająca go woda rozbuźliła w nim pamięć dawnych czasów.

Ze szczerym usmiechem na twarzy dał nura pod wodę, wynurzył się, przepłynął kilka razy całą długość basenu, a potem podpłynął do krawędzi i oparł się o nią. Poczuł pieczenie mięśni. Dawno

ich solidnie nie wymęczył, a właśnie tego mu było trzeba. Podobnie jak mózg, potrzebowały ciągłego treningu. A przyjemny wysiłek fizyczny, taki jak ten, był lekarstwem na wiele bolączek. W tym, paradoksalnie, na zmęczenie pracą i codziennością. Takiego ruchu potrzebował. Nie mocnego, ale takiego, który znów rozrusza mięśnie i stawy, rozciągnie je i nieco wzmocni.

Był na siebie zły, że tak późno przypomniał sobie o basenie i treningach. Uznał, że w miarę możliwości powinien podreperować kondycję, dzięki czemu trochę się wzmocni fizycznie i psychicznie.

Rozejrzał się po basenie. Był niemal pusty. Jedyne na drugim końcu krzątał się zdruzony ratownik, który co chwilę rzucał okiem na zegarek, przyglądając się starszej kobiecie, nieporadnie podskakującej w wodzie. Widocznie nic więcej nie potrafiła. Wyglądało to na tyle komicznie, że uśmiechnął się pod nosem, a potem odbił dynamicznie od brzegu i znów przepłynął kilka długości basenu.

Po dziesięciu minutach dopłynął do krawędzi, by sprawdzić godzinę. Dwadzieścia pierwsza dwadzieścia pięć. Na telefonie widniał komunikat o trzech nieodebranych połączeniach od Gawłowskiego i jednym esemesie. Wiadomość poczty głosowej z informacją, że w skrzynce pozostawiono wiadomość. Oddzwonił. Słychać było tylko sygnał, a potem siarczyste przekleństwo kolegi. A później cisza. Wybrał numer do Gawłowskiego i czekał, ciągle do połowy zanurzony w wodzie. Gawłowski odebrał po pięciu sygnałach.

– No co jest, dzwonię i dzwonię od dawna, śpisz czy co?

– Przecież oddzwaniam, wyluzuj – odpowiedział zdyszczym, ale spokojnym głosem.

– Biegales?

– Tak. Jestem w parku. – Iwanowicz skrzywił się w uśmiechu, ocierając twarz z wody.

Pytanie kolegi było zasłoną dymną. Gawłowski chciał jedynie sprawić wrażenie zaintrygowanego i odwrócić uwagę od czegoś innego, by po chwili niespodziewanie przejść do sedna sprawy. Często to na tym łapał, choć nigdy mu tego nie wypominał. Nie lubił w nim tej nierzeczowości, dlatego w ramach rewanżu pozwalał sobie czasami na złośliwostki.

– Dobra, mów, po co dzwonisz, bo wiem, że nie interesuje cię, jak spędzam wolny czas.

– Przed momentem dzwonił do mnie Jastrzębski. Zrobiło się gorąco.

– Wiem, że jest.

– Nie chodzi o pogodę, żartownisiu. Dzwonił na komendę, ale tam od razu skierowali go do nas. A ponieważ ty nie odbierasz jak człowiek...

– Możesz powiedzieć wreszcie, o co chodzi? Coś ustalili? Coś nowego w sprawie Grońskiego?

– Gorzej – wypowiedział szybko jak automat, po czym zawiesił głos. Czekał na kolejne pytanie Iwanowicza, ale ten milczał. Odczekał jeszcze chwilę.

– Mów albo się wyłączam.

– Przed chwilą znaleziono kolejne ciało.

Iwanowicz oparł się łokciem o posadzkę i błyskawicznie wyszedł z wody. Włożył klapki i skierował się w stronę szatni.

– Chyba jednak nie jesteś w parku. Słyszę echo...

– Nie zmieniaj tematu, Sherlocku. Co tam się znowu stało?

– Wiem tylko, że dwie godziny temu znaleziono zwłoki w starej sztolni w Kowarach. Wiesz, gdzie to jest?

– Kojarzy, znam trochę miasto. Chociaż jest tam kilka kopani i sztolni, więc nie wiem dokładnie w której. Ale mniejsza o to.

– Podobno gość był... – Można by pomyśleć, że coś przerwało połączenie, jednak komisarz wyraźnie słyszał jego oddech.

– Co był?

– Rzekomo został wypatroszony jak świnia. Właściwie Jastrzębski tyle mi powiedział. W życiu nie słyszałem, żeby był taki zdenerwowany. Nie uwierzyłbyś. Był naprawdę przestraszony. Chyba zmiękł. Niezły cwaniak, a jednak zaczyna wysiadać, bo drżał mu głos i nie było mu do śmiechu.

Iwanowicz udał, że go to nie zainteresowało.

– Kto znalazł ofiarę?

– Pracownicy sztolni. Nie wiem dokładnie, jak to było, ale od razu wezwali policję, a tamci zajęli się resztą.

– Wiadomo coś jeszcze?

– Mało. Tylko tyle, że gość musiał tam leżeć ponad dobę.

Iwanowicz próbował wytrzeć się jedną ręką, a potem nałożyć spodnie i bluzę.

– Jasna cholera... No dobra, potrzebuję piętnastu minut. Będę na ciebie czekać pod komendą.

Wyrobisz się?

– Wyrobię, wyrobię, zaraz wyjeżdżam z domu.

Rozłączył się, ubrał w pośpiechu, wszedł do swojego czarnego volvo i ruszył w kierunku komendy.

Miasto spowijały ciemności. W oddali słychać było samochody mknące po głównej drodze międzymiastowej prowadzącej do Wrocławia, która znajdowała się tuż za blokowiskiem. Chciał wpaść do mieszkania, by się przebrać, bo miał na sobie spodnie od dresu i bluzę z kapturem i wyglądał jak podstarzały dresiarz albo szef lokalnego gangu. Nie był to odpowiedni strój na wyjazd służbowy, ale machnął na to ręką. Uznał, że nie mają ani chwili do stracenia.

Iwanowicz wybrał najkrótszą trasę. Pojechał ulicą Różyckiego, potem bocznymi drogami dotarł do ulicy Wincentego Pola, a później Wojska Polskiego już niemal bezpośrednio do Nowowiejskiej. Na miejscu znalazł się po dziewięciu minutach.

Gawłowskiego jeszcze nie było. Zadzwoił do niego, ale ten odrzucił połączenie. Zawsze tak robili, gdy któryś z nich był już w pobliżu umówionego miejsca.

W oddali ujrzał auto kolegi, które po chwili zajeżdżało na plac. Szybko zostawił je na policyjnym parkingu i podbiegł. Gawłowski miał na sobie koszulę w kratkę i dżinsy.

– Mów, co tam się stało.

– niewiele wiem, bo Jastrzębski gadał niejasno. Wiem, że ofiarę znaleźli niedawno i że czekają na nas.

– Robili coś?

– Zabezpieczyli teren, ale jeszcze nie ruszali denata.

– Co ustalili lekarz?

– A co miał ustalać? Stwierdził zgon, spisał co trzeba i tyle. Reszta należy do nas. Dowiemy się wszystkiego dopiero, gdy zwłoki trafią na stół Zalewskiego.

– Technicy już są na miejscu?

W odpowiedzi skinął tylko głową i włączył radio.

Milczeli całą drogę. Dojechali do miasta kilkanaście minut po dwudziestej drugiej. Ominęli centrum, kierując się na południe drogą, która prowadziła do Lubawki, w stronę czeskiej granicy, a potem skręcili znów do miasta, tylko z innej strony. Droga była wąska i dość kręta. Gdzieś tam mijali zabudowania, w których nie dostrzegli żadnych oznak życia. Tylko w kilku zobaczył migającą niebieską poświatę telewizora. Iwanowicz, nie zważając na wąską drogę i niebezpieczne warunki, jechał, nie odrywając wzroku od ciemnej linii asfaltu, który niemal wtapiał się w naturalne odcienie tego miejsca. Przy tej prędkości, gdyby ktoś lub coś nagle wyskoczyło im na drogę, nawet nie zdążyłby zahamować. Licznik wskazywał ponad dziewięćdziesiąt kilometrów na godzinę, co przy tych warunkach dawało niewielkie szanse na odpowiednią reakcję. W pewnym momencie tak gwałtownie skręcił, że auto wyniosło na pobocze, a Gawłowski uderzył głową o boczną szybę. Komisarz nie zwalniał, spojrzął tylko na kolegę, ale nic mu się nie stało. Dalej już droga prowadziła pomiędzy wysokimi sosnami porastającymi tutejsze wzgórza.

Mięło kilka minut, nim zajechali na nieduży plac. Zewsząd otoczony był kamieniami i skałami. Nieopodal stał samochód techników oraz dwa miejscowe radiowozy. W obu migaly koguty, rozświetlając to miejsce na niebiesko. Przy jednym z nich stał policjant, nerwowo paląc papierosa i rozglądając się niecierpliwie na boki. Wyglądał na wystraszonego. Na ich widok rzucił niedopałek za siebie i szybko podbiegł do ich samochodu. Wskazał miejsce, w którym powinni zaparkować, i zbliżył twarz do bocznej szyby. Nie czekając, aż wysiądą, zaczął mamrotać coś niezrozumiale pod nosem. Może nie zdawał sobie sprawy, że go nie słyszą.

Iwanowicz machnął mu, by poczekał chwilę. Zgasił silnik i wysiedli.

– Czekamy na was, chodźmy.

Komisarz wyjął z bagażnika kurtkę, broń, a potem trzasnął kłapą i poszedł za nimi.

– Chodźcie, tędy – ponaglił ich nerwowo miejscowy funkcjonariusz.

Wejście do sztolni znajdowało się na wprost, kilkanaście metrów od miejsca, gdzie zostawili auto. Wtopione było w górę, którą pokrywał las. Obok wejścia zamontowano masywne kraty chroniące przed niepożądanymi gośćmi.

Mężczyzna wskazał drogę i puścił ich przodem, a potem szybko dogonił i poprowadził do środka.

– Tędy, tutaj. Tylko patrzcie pod nogi i uważajcie na głowę, gdy będziemy przechodzili między korytarzami. Łatwo można sobie rozwalić łeb.

Weszli w mroczny, zimny, wilgotny tunel. Iwanowicz aż gwizdnął z wrażenia. Trudno było oszacować długość korytarza, ponieważ jego koniec spowijała ciemność. Podejrzewał, że mógł mieć nawet sto metrów, na co wskazywało odbijające się w oddali echo. Tunel był wysoki na ponad trzy metry i miał podobną szerokość. Pod sufitem zamontowane były stare lampy przemysłowe, otoczone metalowym kloszem. Znajdowały się w dużej odległości od siebie, dając tylko słabe, punktowe oświetlenie. Miejscowy policjant miał ze sobą latarkę, więc oświetlał drogę.

Szli przed siebie parę minut, potem skręcili w niewielki wąski korytarz, na którego ścianach wisiały podwieszane grube przewody elektryczne. Po kilkunastu metrach ponownie skręcili, aż wreszcie przeszli do kolejnego długiego tunelu.

– Cholera, końca nie widać – powiedział cicho Gawłowski, a jego słowa powędrowały w przód i w tył jednocześnie.

Korytarz był wyższy niż poprzedni. Mógł mieć ponad cztery metry wysokości. Całość wydrążono w kruchej skale. Po bokach znajdowały się listwy zabezpieczające przed wykruszaniem się kamieni do wewnątrz. Dokładnie nad nimi, na samym szczycie, podwieszona była gruba rura hydrauliczna, która ciągnęła się przez całą długość holu, niknąc gdzieś daleko w ciemności.

Przez parę minut szli jednostajnym tempem. Monotonia marszu powodowała, że ta wędrówka zdawała się nie mieć końca. Szli w mroku, potem na moment pojawiała się światło, po czym na powrót znikali w ciemności i chłodzie niekończącego się rękawa wydrążonego pod ziemią. Czuli, jak z każdym krokiem robi się coraz zimniej.

Nagle przystanęli, policjant poświecił latarką, wskazując kolejne przejście. Był to wąski przesmyk do następnego, równoległego korytarza, który dzieliła kilkumetrowa ściana. Między nimi znajdowały się grube metalowe wrota, wyglądające jak drzwi pancerne.

– Uwaga na głowy.

Znów ciemność, a potem, gdy przeszli w kolejny tunel, przed oczami ponownie zaczął migać snop światła latarki. Dzięki temu dostrzegali fragmenty podłoża. Podwieszane lampy ze słabymi żarówkami nie spełniały swojej funkcji.

– Daleko jeszcze?

– Kawalek – odparł policjant niemal szeptem, a jego słowa odbiły się echem od ścian.

– Choleronie tu zimno – powiedział przez zęby Gawłowski.

Miejsce kompletnie zapomniane przez świat, codzienność i cywilizację, dodał w myślach Iwanowicz. W pewnej chwili doznał dziwnego uczucia. Było to coś jak déjà vu albo chwilowe omdlenie. Coś z pogranicza obu tych stanów, niczym błysk flesza, zamroczenie i koniec. Miał to od dawna i nigdy nie umiał tego wyjaśnić. Przystanął na chwilę, wziął kilka głębszych wdechów, poczekał, aż zamroczenie minie, i ruszył dalej.

Dotarli do końca tego tunelu, a potem przeszli do następnego. Iwanowicz zapamiętywał drogę, by poznać to miejsce. Były to równoległe wydrążone korytarze, które dzieliła kilkumetrowa warstwa skały.

Iwanowicz i Gawłowski przyspieszyli nieco kroku. Po jakimś czasie dostrzegli w oddali niewielkie źródło światła, przy którym stały miniaturowe sylwetki, około pięćdziesięciu metrów przed nimi.

To wszystko, pomyślał Iwanowicz, wydaje się nierealne. Znajdowali się wewnątrz wielkiej góry, w niemal kompletnej ciemności, gdzieś na pustkowiu. W miejscu zapomnianym przez cywilizację.

Przeszły go dreszcze. Nie wiedział, czy z zimna lub strachu, jakie wywoływało to miejsce, czy jeszcze z innego powodu. Odnosił wrażenie, że robiło się coraz duszniej, a ciśnienie wewnątrz ziemi spowodowało, że zatykało mu się jedno ucho.

Dojście do celu zabrało im jeszcze niespełna minutę.

Gdy dotarli, przywitali się jedynie skinieniem głowy. Dostrzegł mężczyznę, którego nigdy wcześniej nie widział. Wszyscy stali w pobliżu zwłok, jednak w takiej odległości, jaką wyznaczili technicy. Nie mieli ochoty na podawanie sobie rąk. Żaden też z obecnych nie wyrażał nawet cienia entuzjazmu z powodu okoliczności spotkania. Zebrani mieli ponure miny.

– To on – pospieszył z wyjaśnieniem młody policjant, ten sam, który po południu asystował im przy oględzinach zwłok w kamienicy.

Komisarz kucnął, uważając, żeby nie wdepnąć w krew na podłożu, i przyjrzał się twarzy denata. Zmrużone oczy skierowane były wprost na niego. Twarz i ręce mężczyzna miał osmolone, jakby od dłuższego czasu się nie mył. Miał kilkunastymetrową czarną brodę. Dostrzegł, że była wysmarowana czymś jasnym, co przypominało krem. Denat ubrany był w granatowy strój roboczy, dość wygnieciony i poszarpany. Krótkie włosy były ostrzyżone niedbale i krzywo. Musiał strzyć się samemu, być może w pośpiechu i bez lustra, pomyślał komisarz. Zwrócił też uwagę na szeroko otwarte usta. Może przed śmiercią krzychał, a z powodu stężenia pośmiertnego mięśnie znieruchomiały i pozostały już w tej pozycji. Krzychał z bólu, cierpienia, przerażenia i strachu, pomyślał Iwanowicz, po czym spojrzał na zebranych.

– Kto go tutaj znalazł? – spytał.

– My – odrzekł mężczyzna, który stał pomiędzy funkcjonariuszami. Ubrany był w podobny strój jak denat. Na głowie miał żółty kask z wmontowaną latarką, wskutek czego wyglądał jak górnik.

– Kim pan jest?

– Nazywam się Janusz Korecki. Jestem tu brygadystą.

– Kiedy go dokładnie znaleźliście? Był pan sam czy z kims?

– A jakoś po osiemnastej. W sumie nawet po dwudziestej – poprawił się. – Pracujemy tutaj na różne zmiany. Przyszedłem dziś nieco później. Robilem obchód przez rozpoczęciem, jak zawsze. No więc szedłem korytarzem... i znalazłem go tutaj. Leżał dokładnie tak jak teraz, nic nie ruszałem. Od razu pobiegłem do biura po telefon, a potem szybko aż do wyjścia, bo na tej głębokości nie mogłem złapać zasięgu, i zadzwoniłem pod sto dwanaście.

– Był pan sam? – powtórzył pytanie.

– Tak.

– Jak się nazywa denat?

– Rysiek Próchnicki.

– Długo tu pracował?

– Od... bo ja wiem... – Zawiesił na moment głos. – Jakieś półtora roku.

– Czy się zajmował?

Brygadysta wzruszył ramionami, jakby odpowiedź na to pytanie była oczywista.

– Jak my wszyscy tutaj. Był zwykłym robotnikiem.

– Co dokładnie robił? – wtrącił się Gawłowski.

– To zależy. Do niczego konkretnego nie został przydzielony. Robił różne rzeczy, od zwykłego sprzątnia po kucie w ścianach wyłobień na kable elektryczne aż po przenoszenie worków z cementem czy odgruzowanie. Nie ma tutaj żadnych prac umysłowych. Nie w tym miejscu. Tu się ciężko pracuje. Jesteśmy przecież w starej kopalni. Chyba zresztą widać – odpowiedział nieprzyjemnym tonem, jakby tłumaczenie i odpowiadanie na zwykłe pytania było zbyt uciążliwe.

– A można dokładnie? Bo wciąż nie rozumiem, co wy tutaj robicie. Przecież kopalnia jest od wielu lat nieczynna – dodał podkomisarz.

– No tak. To się zgadza. Ale wie pan, to wszystko teraz trzeba wyremontować. Teraz to nic innego jak biznes, zwykła atrakcja turystyczna. I tę atrakcję wymyślili sobie inwestorzy, którzy to

dzierżawia.

Gawłowski milczał wymownie. Korecki kontynuował:

– Dzierżawcy postanowili przystosować te tunele do celów turystycznych. Wie pan, dadzą napis, że za Hitlera były tutaj przechowywane skarby, obok postawią sklepik z pamiątkami i interes będzie się kręcić. Niemieccy turyści przecież cały czas przyjeżdżają w okolice. Karpacz, Kowary, Szklarska Poręba, Świeradów. W tych miastach aż roi się od turystów. I to głównie ze względu na nich są robione takie rzeczy. Pensjonaty, baseny, wesołe miasteczka, stare kopalnie, podziemne tunele. Czysty biznes. Szef planuje jakieś wycieczki, turnusy, pensjonaty i inne cuda na kiju.

Iwanowicz pokręcił głową, nie odrywając wzroku od denata.

– Odsunąć się jeszcze bardziej do tyłu – nakazał kryminalistyk. – Muszę mieć więcej miejsca. Marek, ty też.

Zebrani zrobili kilka kroków w tył, tak by nie przeszkadzać technikom.

– I wy zajmujecie się tutaj przygotowaniem tego wszystkiego? – kontynuował swoje dociekania Gawłowski. Choć nie była to dobra chwila na dyskusję, podkomisarz nie mógł się powstrzymać przez wypytywaniem o to miejsce.

– Trafil pan w sedno. Od dwóch lat, prawie. A dodatkowo, wie pan, teraz to wszystko musi spełniać wymogi Unii Europejskiej. Wiecie, oświetlenie, stopień zapylenia, odpowiednia szerokość tuneli, oznakowanie, nawiew powietrza. I cała masa różnych nieprzewidywanych rzeczy, które wychodzą na jaw dopiero w trakcie roboty.

Przerwał na chwilę, spojrzął na swoich słuchaczy, po czym dodał:

– Ale chyba warto... bo ja wiem, może nawet i fajnie. Widziałem projekty. Łącznie będzie kilkaset metrów chodników w głąb ziemi, a do tego jakieś bary i restauracje. Nie mówiąc o sklepach czy leczeniu jodem.

Iwanowicza zdziwił charakter i cel tej inwestycji. Zwłaszcza że jeszcze parędziesiąt lat temu było to niemal katorżnicze miejsce pracy, w którym wiele osób traciło zdrowie lub życie. Nie wpadłby na to, że stara, opuszczona kopalnia rudy uranu może stać się obiektem turystycznym.

– Wracając do rzeczy, ilu ludzi tu pracuje? – Iwanowicz zmienił temat, bo czuł, że za bardzo odchodzą od sedna.

– Szesnastu. Ze mną.

– Pracujecie przez całą dobę?

– Zazwyczaj. Zwykle na dwie albo trzy zmiany, w zależności od grafiku na dany miesiąc. Czasami trzeba podgonić z robotą, a czasami mamy więcej wolnego. Różnie. Wie pan, takiej pracy nie da się zaplanować jak od liniiki. Pracujemy tyle, ile trzeba. I wtedy, gdy trzeba.

– Czym się ostatnio zajmował ten mężczyzna? Jaką przydzielił mu pan robotę? – spytał Iwanowicz.

– Miał zrobić rowki pod kable elektryczne. Widzi pan – Korecki wskazał głową ścianę – został nam do zrobienia tylko ten korytarz. Reszta jest już prawie gotowa. W przyszłym tygodniu mieliśmy instalować stałe oświetlenie, bo teraz jest zamontowane tylko tymczasowe. Ledwo co świeci. Zresztą idąc tu, na pewno widzieliście. Ale nie wiem, czy się przez to wszystko wyrobimy – zakończył i wskazał ręką na ciało. – Pewnie będziemy mieli kilka dni opóźnienia.

Iwanowicz zauważył, że brygadzysta za bardzo nie interesował się tym, co się wydarzyło. Myślał jedynie o spóźnieniu, które będą musieli nadrobić.

– Nic na to nie poradzę, ale niestety to miejsce na pewno zostanie wyłączone na jakiś czas z remontów. Popracujecie gdzie indziej. Od dziś ten wytyczony fragment będzie dla was niedostępny. Do odwołania.

Korecki zrobił wielkie oczy, jakby go kto prądem raził, ich białka kontrastowały z ciemną

i brudną twarzą.

– To niemożliwe! Dostaniemy po dupie od szefa, gdy tylko go o tym wszystkim dowie! – wykrzyczał, machając rękami. – Nie, nie wyobrażam sobie tego. Już dość mam jego narzekania, że wolno nam iść. Ciągłe tylko wolno i wolno, a teraz jeszcze to wszystko!

– Sami go o tym powiadomimy. To nasza zadanie, proszę się nie przejmować.

– To niemożliwe – powtórzył.

Iwanowicz uśmiechnął się smutno.

– Pan chyba czegoś nie rozumie. To jest miejsce zbrodni, więc podlega ono teraz innym prawom. My decydujemy, kto i co tutaj będzie robił. Nie pan, nie pański szef, ale prokuratura, policja. Koniec dyskusji. – Komisarz mówił podniesionym głosem.

Brygadzysta machnął ręką na odczepnego. Odszedł od nich kilkanaście kroków i zapalił papierosa. Zaciągnął się kilka razy, odczekał, aż emocje trochę opadną. Po jakimś czasie odezwał się z oddali:

– Dobra, nie wiem, róbcie, co chcecie, ale załatwcie to z szefem. Nie chcę, żeby to było na mojej głowie. Bo znowu mi się oberwie. Boję się już do niego dzwonić z czymkolwiek, rozumiecie?

Iwanowicz zignorował pytanie mężczyzny i zwrócił się do Jończyka.

– Co o tym sądzisz?

Technik wzruszył ramionami, notując coś w raporcie.

– Za dużo ci teraz nie powiem. Ogólnie wychodzi na to, że gość leżał tutaj całą dobę. Choć nie jestem lekarzem, mogę śmiało twierdzić, że śmierć nastąpiła na skutek obrażeń jamy brzusznej. Jeśli chcesz, to odsuń koszulę, może jeszcze zobaczysz, co gość jadł na kolację. Jestem pewien, że czegoś takiego nikt by nie przeżył. Więcej będzie miał do powiedzenia lekarz sądowy. Potrzebuję jednak jeszcze czasu, by ustalić, jak zadawano ciosy.

– Jak mówię, musiał leżeć od wczorajszej zmiany – wtrącił się brygadzysta, który znowu do nich podszedł i teraz nerwowo zaciągał się papierosem. – Bo tylko on robił w tym korytarzu. Reszta chłopaków miała zupełnie inny sektor, więc nikt z nich nawet tutaj nie wchodził.

– To co, nie robicie obchodów, kontroli wejść i wyjść pracowników?

– Robimy, ale wie pan, jak to jest. Nie mamy do tego oddzielnie zatrudnionej osoby, która siedziałaby tutaj i tylko pilnowała drzwi. Poza tym one są dość daleko. Daleko od miejsca pracy, jak sami widzieliście. A kamer tu nie zainstalowano. Poza tym pracownicy meldują, że kończą, i idą do domu. To są dorośli ludzie. Nie mamy takich zasad jak w fabryce, że trzeba podbijać karty. To nie te czasy. Poza tym tutaj trudno się odnaleźć, to kilkadziesiąt metrów tuneli. Nawet gdybym miał sam chodzić i sprawdzać, nie dałbym rady wszystkiego skontrolować.

– Znalście go? – Iwanowicz zwrócił się do miejscowych policjantów.

– Nazwisko mi nic nie mówi, ale twarz chyba skądś kojarzę. Chociaż trudno mi coś więcej powiedzieć – odparł jeden z funkcjonariuszy.

– Z tego, co wiem, nie mieszkał w Kowarach. Chyba w jakiejś wiosce niedaleko. Miłków czy coś takiego, ale musimy to sprawdzić – dodał brygadzysta.

– Będziemy potrzebowali teczek z jego dokumentami.

Mężczyzna parsknął śmiechem.

– Teczki to chyba wasza działka, nie nasza.

Iwanowicz zacisnął szczękę ze złości. Uznał, że nie będzie tego komentował.

– No ale chyba macie z nimi umowy o pracę? I jakieś dane personalne?

– Tutaj mamy tylko kserokopię dowodu osobistego. Reszta jest u szefa.

– Ile osób było na wczorajszej nocej zmianie?

– On i... – zmrużył oczy i spojrzął na sufit, wypuszczając z ust kłęby dymu – jeszcze dwóch. Czyli w sumie trzech.

– Gdzie teraz są?

– Pewnie w domach. Zaczynają zmianę dopiero jutro o osiemnastej.

– Będziemy potrzebowali danych osobowych. Poza tym musimy przesłuchać każdego pracownika, bez wyjątku. Pana też.

– Mnie? A teraz to niby co, nie przesłuchanie?

Iwanowicz nie odpowiedział. Nie zamierzał jeszcze bardziej się irytować. Uodpornił się na tego typu zachowania. Wiedział, że to nieuniknione, zwłaszcza w tej pracy i w takich okolicznościach. Podczas dochodzeń miał do czynienia z różnymi ludźmi – wyszczekаныmi, nierzadko bezczelnymi i chamskimi, którzy lubili się awanturować i wyklócać o byle co. Wielu próbowało za wszelką cenę pokazać, ile znaczą, ile wiedzą, bez względu na to, czy byli świadkami, czy poszkodowanymi.

– Jak sądzicie, zamordowano go tutaj czy zwłoki przeniesiono? – zapytał Gawłowski.

– Na pierwszy rzut oka? – odezwał się Jończyk, który na ogół nie słuchał, o czym rozmawiali policjanci, ponieważ skupiał się na swojej pracy. – Raczej tutaj. Wskazuje na to sporo krwi. Muszę się jeszcze upewnić, ale nie widzę żadnych śladów świadczących o tym, że został przyniesiony czy przyciągnięty.

Iwanowicz kiwnął głową, odnotowując w pamięci słowa technika, po czym zmienił temat.

– Podejrzuwa pan kogoś o morderstwo? – zwrócił się do brygadzysty.

Mężczyzna zrobił zdziwioną minę, jakby zobaczył ducha i wskazał na siebie palcem. Nie krył zaskoczenia.

– Ja? A skąd mam to niby wiedzieć? Pojęcia nie mam. Zielonego. Jestem brygadzystą, i tyle. Znam trochę tych ludzi, ale nie aż tak, żeby wiedzieć, co któremu we łbie siedzi. Żaden ze mnie jasnowidz, a i żaden kumpel, któremu by się zwierzały ze swoich problemów czy długów. To nie moja rola. Ja tylko przydzielam robotę, a jak trzeba to i sam tyram.

Iwanowicz zwrócił uwagę na słowo „dług”, którego użył mężczyzna. W grę mogły wchodzić porachunki. Czy to z powodu pieniędzy rozszarpano komuś brzuch tu, na odludziu, w wnętrzu ciemnej i zimnej góry? To już druga ofiara w tej okolicy. Druga osoba zabita w ten sam brutalny sposób. Dług? Pieniądże? Po głowie krążyły mu różne myśli.

– Zdarzały się ostatnio jakieś bójkі między pracownikami? Kłótnie, poważne nieporozumienia?

Mężczyzna wzruszył ramionami, ale nic nie odpowiedział.

– Może kłócili się o pieniądze, o liczbę nadgodzin? – dążył komisarz. – Ktoś miał za mało, a ktoś za dużo? Takie rzeczy chyba widać, co?

– Bo ja wiem. Nie wtrącam się w ich sprawę. Mogło się coś wydarzyć, nie mówię, że nie, ale nic o tym nie wiem.

– Nikt się nie skarżył na innych pracowników?

– Nie przypominam sobie.

– A o liczbę godzin, nadgodzin?

– Nie żartuj pan. Ja ustalam ogólnie grafiki, i tyle. Nie ma się o co kłócić. Jak komuś nie pasuje, to proszę bardzo, droga wolna. – Wskazał ręką w kierunku wyjścia. – Kolejka przed urzędem pracy jest długa. Nikogo tutaj nie zmuszamy do roboty. Poza tym, wracając do pana pytania, każdy pracuje tyle samo. Tylko ja, z racji pełnionej funkcji, mam trochę więcej godzin i wyższą dniówkę.

Iwanowicz cofnął się parę kroków i spojrzał na wszystko z kilkumetrowej odległości. Stał w tej pozycji przez kilka minut. Odszedł jeszcze dalej. Uklęknął, dotknął ścian, potem zimnego i wilgotnego podłoża. Każdy jego ruch odbijał się echem.

Wciąż myślał o tym, co tu się stało. Kowary – małe miasteczko leżące u podnóża gór, z dala od wielkiej cywilizacji. Senne i nieco wymarłe, żyło swoim rytmem. Wielu ludzi egzystowało tu na granicy ubóstwa. Miasto kiedyś wprawiało w ruch Kotlinę Jeleniogórską, funkcjonowały tutaj duże

fabryki i te kopalnie. Teraz jednak wszystko było szarością, cieniem, który ledwo odbijał się na tle współczesności, szybkiej i zmiennej, nie nadążając tym samym za jej zmianami i ciągłym postępem.

Kiedyś w rejonie jeleniogórskim, głównie w latach dziewięćdziesiątych, dochodziło do licznych porachunków gangsterskich. Gangi walczyły o wpływy, a kolejne znalezione zwłoki nie budziły takiego szoku i zdziwienia. W okolicy zginęło wielu bandziorów. Od lat jednak nie słychać było o poważniejszych wojnach. Zdarzały się, jak w wielu miejscach, pobicia, kradzieże, wymuszenia. Ale nic na taką skalę.

Dwie ofiary jednego dnia. Jedno zabójstwo, zaraz potem kolejne, niemal identyczne. Iwanowicz nie wykluczał egzekucji na zlecenie. Te słowa chodziły mu cały dzień po głowie. Analizował, czy to możliwe. Tutaj ofiary już na pierwszy rzut oka różniły się od typowych gangsterów i to mu właśnie nie pasowało. Czuł i widział tę niezgodność. Nie wiadomo skąd i nie wiadomo dlaczego, ale ktoś postanowił wyrównać rachunki. Pytanie tylko jakie. Kto rozpętał piekło, mordując tych ludzi?

Znajdował się tak blisko wilgotnej ściany, że zaczął dygotać z zimna. Kłęczał jeszcze tak przez chwilę, a potem podniósł się i podszedł do policjantów. Nie przekroczył linii, którą wyznaczali technicy.

– Znaleźliście coś przy nim?

– Miał tylko plecak z jedzeniem i przenośny telewizorek. Leżał tu na ziemi. Był wyłączony albo rozładował się akumulator.

– Telewizor? – zapytał zdziwiony.

– No tak. Jedni bawią się telefonami, drudzy noszą w torbie małe radio, a jeszcze inni przenośne telewizory na baterię. Później go dokładnie sprawdzimy – dodał technik, uprzedzając polecenie Iwanowicza.

– Dobra. A w plecaku?

– Nic ciekawego. Żadnych dokumentów. Sporo żarcia i termos z herbatą. Musiał jeść tyle co słoń. W kieszeniach miał tylko papierosy i zapalniczkę.

– A klucze od mieszkania?

– Nie było.

– Daj mi na chwilę latarkę – powiedział Iwanowicz do policjanta, który ich tutaj przyprowadził.

Chwycił ją, przeszedł kilka kroków w głąb długiego korytarza i po chwili zniknął w ciemności. Przystanął w niewielkiej odległości od nich, a potem rozejrzał się dokładnie, świecąc po ścianach.

W oddali słychać było rytmiczne kapanie wody z sufitu. Krople co kilka sekund uderzały o kamienne podłoże, tworząc miniaturowe kałuże, które potem – gdy już zrobiły się większe – przelewały się i spływały złozeniem znajdującym się pod ścianą. Dzięki niemu woda kapiąca ze ścian nie gromadziła się, lecz spływała.

Wrócił do techników.

– Zastanawialiście się, dlaczego leżał akurat tam? – zapytał, jakby dopiero teraz dotarło do niego pytanie, które zadał wcześniej Gawłowski.

– No gdzieś musieli pozostawić zwłoki. Tu czy tam... – odparł jego kolega.

Komisarz zwrócił uwagę na liczbę mnogą, której użył podkomisarz. Nie skomentował tego, choć go to zastanowiło.

– Nie o to mi chodzi. – Spojrzał pod nogi i przecesał wzrokiem niewielki fragment tunelu. – O której pracownicy mają przerwę? Chodzi mi oczywiście o nocną zmianę – uściślił.

– O dwudziestej drugiej.

Spojrzał na zegarek.

– Ten telewizor...

– Co?

– Trochę dziwne, że był w tym miejscu. Może denat miał przerwę, skoro go wyciągnął?
– Może, ale tego akurat nie jesteś w stanie dowieść, a poza tym, jakie to ma znaczenie? – zapytał podkomisarz.

– Takie, że jadł kolację, gdy go zaatakowano i zamordowano. Jeśli tak, mamy w miarę dokładną godzinę zgonu. Poza tym... – Iwanowicz zawiesił na moment głos, by przyjrzeć się twarzy nieboszczyka. – Spójrz na to. Jest na niej pełno śladów masła. Niby szczególnie. Ale to oznacza, że jadł w tym czasie.

– I co z tego? Co za różnica?

– Macie stołówkę? – zapytał brygadzisty.

– Nie, każdy je w tym miejscu, gdzie akurat zostanie go przerwa. Ja też.

– Hm... To nasuwa pewien wniosek. Nie znam osoby, która pracuje na stojąco cały dzień, a później je posiłek, również stojąc. Z tego wynika od razu druga rzecz: musiał gdzieś tutaj siedzieć. W tym akurat miejscu nie widzę niczego, na czym można by usiąść.

– Marek, do czego zmierzasz, bo nie rozumiem? – zapytał Gawłowski.

– Chwila, chcę coś ustalić. – Zbliżył się do ciała i spojrzał na zmasakrowany brzuch ofiary. Za koszulą dojrzał żółtawe fragmenty tłuszczu, a pomiędzy nimi bladoniebieskie jelita, które pokryła warstwa zakrzepłej krwi. Wypełniały fragmenty ciała oraz ubrania, zabarwiając je na brunatny kolor. Przeniósł wzrok na twarz i przyjrzał się jej z bliska. Mężczyzna wyglądał staro. Twarz miał bardzo zniszczoną.

– Ile miał lat? Co pan o nim wie?

– Bo ja wiem, może z sześćdziesiąt, a może trochę więcej.

– Znał go pan prywatnie? Miał rodzinę? Bo kogoś trzeba będzie powiadomić.

– O rodzinie nic nie wiem.

– Wygląda na starszego... Leć pan do siebie do biura i przynieś nam jego dowód.

Mężczyzna nie wiedział, czy to było polecenie, ale po chwili, gdy skupiły się na nim spojrzenia reszty policjantów, ruszył w głąb ciemnego korytarza. Jeszcze przez kilkanaście sekund słychać było odbijające się echem kroki.

Iwanowicz cały czas oglądał miejsce, w którym się znajdowali, co chwila zerkając na zwłoki. Nie przestawał ich obserwować. Stan, w jakim się znajdowały, wskazywał, że najprawdopodobniej mężczyzna został zaatakowany podczas kolacji. Odrażająco brutalna napaść. Brygadzista wspomniął o trzech pracownikach, którzy mieli zmianę tej nocy. Być może coś słyszeli albo widzieli kogoś, kto kręcił się w pobliżu, choć nawet mogli nie zdawać sobie sprawy, że był to zabójca. Sam kierownik przyznał, że nie jest w stanie w pełni kontrolować, kto tutaj wchodził i stąd wychodził. Poza tym ciemność robiła swoje – można było tutaj swobodnie się schować i pozostawać w ukryciu przez dłuższy czas. No i w ciemności trudniej jest kogoś rozpoznać, co tylko ułatwiło zabójcy dotarcie na miejsce, a potem ucieczkę.

W oddali usłyszeli głośne sapanie brygadzisty, który nadchodził w pośpiechu.

– Trzymajcie. Nic więcej nie mam – rzekł.

Iwanowicz wziął brudną i cienką teczkę, na której odręcznie napisano: „Ryszard Próchnicki”. Szybko przekartkował jej skąpą zawartość. Znajdowała się w niej tylko kserokopia dowodu osobistego oraz oświadczenie o odbytym wstępnym szkoleniu BHP. Na luźnej kartce zanotowano numer telefonu stacjonarnego. Z dowodu tożsamości wynikało, że mężczyzna miał pięćdziesiąt cztery lata i mieszkał Kowarach. Iwanowicz podsunął dowód osobisty policjantowi, wskazując adres.

– Wiesz, gdzie to jest?

– Tak, to w kierunku starego tunelu kolejowego, po drugiej stronie miasta. Niby jeszcze Kowary, ale dom znajduje się prawie w lesie, z dala od centrum. Tam są praktycznie same pola.

– Jak długo tam się jedzie?

– Myślę, że nie więcej niż parę, może paręnaście minut.

Iwanowicz spojrział na Koreckiego.

– Czyli nie mieszkał w Miłkowie, jak pan mówił.

– Na to wygląda, musiałem go z kimś pomylić. Jak mówiłem, nie znam za dobrze swoich pracowników.

Komisarz kiwnął głową.

– Czy to wszystko? – zapytał Iwanowicz, ale Korecki pokręcił stanowczo głową.

– A umowa o pracę, zaświadczenia lekarskie, kserokopie świadectw pracy? Chyba zna pan przepisy i wie, że pracodawca obowiązково powinien mieć takie rzeczy?

– Panie, mówiłem już przecież, że jestem tylko brigadziwą, a nie szefem. Odpowiadam za postęp robót, a nie za prowadzenie biura. Kieruję ludźmi i ustalą grafik. – Wzruszył ramionami.

W jasnym blasku lamp halogenowych jego twarz przypominała gładkie oblicze wielkiego, grubego manekina, który gapił się na nich tępo i w którego wzroku nic się nie kryło. Może poza złością, że mu przeszkadzają w realizacji zadań i poleceń szefa. Wyglądało to tak, jakby wciąż nie docierało do niego, co tu się wydarzyło, i tylko wściekał się, że robota stała w miejscu.

– W takim razie gdzie są jego dokumenty?

Wyciągnął kolejnego papierosa, odpalił od poprzedniego i powiedział, wzruszając ramionami:

– Pewnie u szefa. Jak znam życie, to wozi wszystko ze sobą. Wie pan, my się śmiejemy, że to taki mobilny szef, co to biuro wozi ze sobą w bagażniku. Różne dokumenty, segregatory, komputer i Bóg wie, co tam jeszcze. Jeździ po kraju, załatwia ciągle jakieś interesy. No i ma wszystko pod ręką. Podejrzewam więc, że ma nasze papiery w swoim wozie.

Iwanowicz podał teczkę koledze. Obrócił się i spojrział na miejscowych policjantów.

– Zeznania?

– Zaraz się tym zajmujemy – rzekł Jastrzębski. Obok niego stał młody funkcjonariusz, który co chwila odwracał głowę od nieboszczyka, a potem znów na niego spoglądał. Ciekawość bierze górę nad obrzydzeniem, doszedł do wniosku Iwanowicz.

– Spiszcie wszystko dokładnie. My jedziemy do jego domu. Musicie też skontaktować się z jego szefem i poinformować go o wszystkim. Niech zjawi się tutaj osobiście. I to jak najprędzej. W przeciwnym razie będziemy zmuszeni zamknąć kopalnię aż do czasu zakończenia śledztwa.

Spojrział na zegarek. Czas prawie stał w miejscu.

– Najlepiej zadzwonić do niego dzisiaj, nie jest jeszcze tak późno. A od jutra zacznijcie przesłuchiwać pracowników. Choć wiedzieć wszystko.

Nie czekał na odpowiedź, odwrócił się i skierował do wyjścia, ale po chwili przystanął i zapytał brigadziwę:

– Czy drzwi między tymi tunelami są zamykane?

– Nie. Jak na razie są nie do ruszenia. Trzeba zmienić zawiasy albo te przeszlifować. Są stare i porządnie. A co?

– Ile jest łącznie wejść do tego miejsca?

– To jedno, główne, którym weszliśmy.

– Czyli nie można tu się dostać w inny sposób?

– Nie, choć tak naprawdę te tunele połączone są z innymi sztolniami, zupełnie innymi. W tych górach istnieje sieć tuneli, część dróg jest zagruzowana, część całkowicie zasypała, niektóre nawet zalała.

– Chłopaki, pamiętajcie o śladach – rzekł Iwanowicz do techników.

Jorczyk wzruszył ramionami.

– Stary, tutaj jest pełno śladów, teraz sami zadeptaliśmy to miejsce, inaczej się zresztą nie dało podejść. Ale zaraz gdy się trochę przersedzi, to zdejmujemy, ile się da. Sęć, kurwa, w tym, że

podłoże jest mokre, a fatalne oświetlenie nie ułatwia nam pracy... Ale zrobimy, co w naszej mocy. Boże, cały dzień na nogach, już nie mam sił. – Ostatnie zdanie powiedział pod nosem. Iwanowicz to usłyszał, ale nie skomentował. Sam ledwo stał.

– Jest was dwóch, dacie radę. My jedziemy do jego domu. Jesteśmy w kontakcie.

Gdy już ruszyli do wyjścia, Iwanowicz znów zastanawiał się, kto mógł się dopuścić tak brutalnego zabójstwa. Zaczął podejrzewać, że mieli do czynienia z nieobliczalnym, choć wyrachowanym mordercą. W taki sposób nie zabija się przypadkowo. Od razu to zwróciło jego uwagę.

Możliwe, że mordercy zabijanie po prostu sprawiało przyjemność. Bez litości wypatroszył ofiarę.

Komisarz odnosił wrażenie, że na zewnątrz było jeszcze ciemniej niż wtedy, kiedy tutaj wchodzili, jakby ktoś założył czarną kotarę na wszystkie źródła światła w oddali.

– Prowadź samochód, lepiej znasz okolicę – powiedział Iwanowicz, gdy wyszli z ostatniego korytarza i stanęli przy aucie. W oddali słychać było szum płynącego potoku, ukrytego między drzewami w niewielkim naturalnym leju, nieco poniżej parkingu.

Wrócili tą samą drogą, którą tu dotarli. Była to jedyna trasa dojazdowa. Komisarz rozglądał się na boki, mając nadzieję, że dostrzeże coś niepokojącego. Poza drogą można było do sztolni jedynie dotrzeć pieszo, przez lasy. Jak więc dostał się tutaj zabójca? Przyjechał, przyszedł? Przedzierał się przez te skaliste wzniesienia i zarośla? Idealne miejsce ucieczki to lasy. Kłós ostrożny mógł pozostawać niewidoczny przez długi czas.

Gdy wyjechali na główną drogę, Iwanowicz wyciągnął telefon i wybrał numer Jończyka.

– Zapomniałem powiedzieć. Zdobądźcie plany tych tuneli, bo trzeba się będzie jutro tam rozejrzeć. Musimy opracować plan dojścia oraz ucieczki zabójcy, a z planami pójdzie nam szybciej. Pewnie brygadzysta będzie kręcił nosem, ale zmusz go. Powiedział, że jest tylko jedno drożne dojście, ale dobrze byłoby wykluczyć inne trasy.

Wyłączył telefon, odchylił oparcie fotela do tyłu i zamknął na moment oczy. Przez chwilę próbował nie myśleć o tym wszystkim, co się stało i co widział, ani nawet nie wyciągać żadnych wniosków. Już drugi raz w ciągu jednego dnia odjeżdżali z miejsca zbrodni, a on odrywał się od tego wszystkiego i przez jakiś czas odcinał się od rzeczywistości. Zdziwił się, że przyszło mu to z taką łatwością.

– Sądzisz, że to robota tego samego gościa? – zapytał Gawłowski.

Długo milczał, nim odpowiedział.

– Bardzo podobny modus operandi. Na mój gust to ten sam sprawca. No i jeszcze miejsce i czas. Niemożliwe, żeby to był przypadek.

Dojechali do skrzyżowania. Gawłowski zawahał się, w którą stronę jechać, a potem skrzył do części miasta, która znajdowała się po przeciwnej stronie rozległego wzniesienia.

– Obie ofiary były w podobnym wieku – odezwał się komisarz po jakimś czasie. – A ten... to też chyba jakiś typak spod ciemnej gwiazdy. Wygląda mi to na porachunki. Wiesz, może razem coś ukradli, nie podzielili się zyskiem z kimś, kto położył łapę na tym mieście. Mało tu takich czubów? Może ukradli komuś coś cennego?

– Lokalna mafia wymierza sprawiedliwość?

Zabrzmiało to tak niedorzecznie, że obaj się uśmiechnęli.

– Coś mi mówi, że mamy do czynienia z popaprańcem, który naoglądał się za dużo filmów. Bo to na pewno nie kwestia przypadku, że już drugi raz odsyłamy kogoś do kostnicy. Wygląda to tak, jakby ktoś tu rozpoczął polowanie. Tylko kto? I po co?

Jechali wąską drogą. Po obu stronach znajdowały się niewielkie domy jednorodzinne, oddzielone od siebie pasmami pól uprawnych. Na rozwidleniu skrzyłi w długą i wyboistą polną drożkę.

Zajechali aż pod samą bramę prowadzącą na wielkie podwórze, na którym rosło kilka krzaków oraz parę niewielkich drzew owocowych. Całość ogrodzono wysokim płotem. W centralnym miejscu stał mały parterowy budynek z płaskim dachem. Na czołowej ścianie miał tylko dwa okna. Wewnątrz było ciemno. Drzwi musiały się znajdować z boku albo z tyłu. Obok stał drewniany wychodek.

Wysiedli z auta, nie wyłączając świateł. Wzięli ze sobą latarkę i otworzyli furtkę. Reflektory oświetlały przednią ścianę domu, na której odbijały się cienie zaostzonych sztachet.

Podeszli bliżej. Na tle domu zobaczyli swoje wyolbrzymione cienie, które z każdym kolejnym ich krokiem się zmniejszały. Nie słyszeli żadnych dźwięków ani odgłosów zwierząt, jakby wszystko

zamarło.

Pusto. Zdziwił się, że tak odległe miejsce przynależało jeszcze do tego miasta.

Drzwi wejściowe znajdowały się po prawej stronie budynku. Staęli na betonowym progu i zastukali.

Cisza. Żadnego odzewu. Po kilkunastu sekundach uznali, że nikogo nie ma w środku, ale nie wykluczali, że ktoś może spać, więc zapukali jeszcze kilka razy, za każdym razem mocniej. Musieli mieć pewność.

– W takim domu mogą mieszkać dwie, góra trzy osoby – ocenił szeptem Gawłowski, spoglądając na budynek.

Obešli dom dookoła i zastukali w okna. Żadnych oznak życia. W odległości trzydziestu metrów znajdowało się ogrodzenie, a za nim połacie pól uprawnych, które wtapiały się w ciemność.

– Co robimy? – zapytał Iwanowicz. Chociaż raz nie chciał podejmować decyzji. Partner wzruszył ramionami.

– Wchodzimy?

– Sam nie wiem. Bez nakazu? I właściwie niby czemu mielibyśmy to robić?

– No a co chcesz zrobić? Wiesz, że im szybciej się działa, tym lepiej. Kiedyś powiedziałeś, że zakazy tylko ograniczają naszą pracę.

– Bo to prawda. Po części...

– To jak?

Komisarz pokręcił głową, nie do końca przekonany. Gawłowski podszedł do drzwi i zdecydowanym ruchem nacisnął klamkę, ale te nie ustępowały. Szarpnął mocniej – bez rezultatu.

– Wyważamy?

Komisarz wolał powstrzymać się od demolki i załatwić sprawę w miarę możliwości spokojnie. Jako policjanci mieli wiele przywilejów, z wyłamania drzwi łatwo można było się wytłumaczyć.

Jednak teraz sytuacja była inna, bo jak wytłumaczyć się z wyważania drzwi, gdy nikomu nie zagrażało niebezpieczeństwo ani jeśli nie podejrzewali, że wewnątrz może znajdować się poszukiwany? Iwanowicz analizował za i przeciw. Wiedział, że przy temperamencie kolegi musi uważać – czasami wystarczyło powiedzieć Gawłowskiemu słowo, by zaczął działać bez zastanowienia.

– Chcesz czekać, aż same się otworzą, czy wrócimy tu jutro? Może facet ma żonę, która jest w pracy. Trzeba to sprawdzić.

– Może. Na razie odpuszczamy. Jeśli się okaże, że mieszkał sam, wejdziemy jutro.

– Jak wolisz – odpowiedział Gawłowski i ruszyli w kierunku auta.

Iwanowicz nagle się zatrzymał. Stał przez chwilę bez ruchu. Nasłuchiwał. Miał wrażenie, że coś usłyszał. Odwrócił szybko głowę w stronę domu, ale niczego nie dostrzegł.

– Jedziemy do Jeleniej czy wracamy do kopalni?

Komisarz zaczął szukać jakiejś stacji radiowej.

– Do domu. Chłopaki niech dokończą swoją robotę. Nie ma sensu się tam teraz kręcić. Jeśli coś znajdują, zadzwonią.

– Ty tutaj rządzisz – rzekł Gawłowski i wrzucił wsteczny bieg.

Kiedy wykręcał do tyłu, pasmo światła przesunęło się ze ściany domu na boczny fragment podwórka, oświetlając jego prawą część. Sztachety z bramy rzuciły czarny cień na dom. Wyglądały jak wielkie i ciemne rakiety skierowane ku niebu, czekające na odpalenie.

Nagle przed oczami mignęła Gawłowskiemu sylwetka mężczyzny.

– O kurwa! – krzyknął głośno. Gwałtownie wcisnął hamulec.

– Co? – zapytał Iwanowicz, który oderwał wzrok od radia i spojrzął na kolegę.

– Widziałeś? Ktoś tam stał. Ja pierdołę, szybko!

Obaj wyskoczyli z auta. Błyskawicznie znaleźli się na podwórzu, oświetlając je latarką. Podbiegli w to miejsce, które wskazał Gawłowski. Nie było nikogo.

– Idź za dom, musiał tam się schować, ja sprawdzę z drugiej strony! – krzyknął Gawłowski. – Na pewno ktoś tu jest. Widziałem go!

Przebiegli przez podwórze, ale nikogo nie znaleźli. Iwanowicz podbiegł do drzwi i sprawdził wejście. Zamknięte. Zdenerwowany zaczął się dobijać. Po chwili przybiegł Gawłowski.

– Nie ma nikogo. Są ślady stóp, ale licha wie czyje, może nasze. Sprawdziłem też wychodek, ale nikogo w nim nie ma. Szlag by...

– Jacek, jesteś pewien, że kogoś widziałeś?

– Przecież minęła chwila, dosłownie, kurwa, chwila!

– To niby gdzie on jest?

– Może to jego syn. Wyszedł z domu, a potem wrócił do środka?

– I teraz boi się nam otworzyć?

– A niby czemu nie? Dobijamy się w środku nocy, nie wyglądamy jak przedszkolanki tylko jak bandziory w dresach. Za bramą stoi czarne volvo, a nie radiowóz. Ty byś otworzył ludziom, którzy włączą się po twoim podwórzu i wałą w drzwi? Cholera wie, może ktoś ich straszy w ostatnich dniach, więc się boją.

– Nie wiem, może. Tu wszystko wydaje się jakieś popieprzone. Dobra, nasłuchuj. – Wskazał w kierunku drzwi.

Stali przez kilkanaście sekund w milczeniu. Mieli nadzieję, że usłyszą czyjeś kroki albo odgłosy, ale panowała cisza. Z domu też nie dobiegały żadne dźwięki.

– To nie ma sensu, nie uciekałby przed nami. To się nie trzyma kupy, Jacek.

Podkomisarz odszedł kilka kroków od domu, zawahał się chwilę, a potem wziął rozpęd i z całych sił rzucił się na drzwi. Nie poddały się, więc napał jeszcze raz.

Iwanowicz uniósł brew.

– Rozumiem. Chcesz uwiarygodnić, że nie mamy złych zamiarów, więc wywalasz drzwi z futryną?

Wreszcie ustąpiły i otwały się przed nimi na oścież. Gawłowski uśmiechnął się ponuro.

– Jak nie po dobroci, to siłą.

Weszli niepewnie, trzymając broń w pogotowiu. Iwanowicz macał ręką po ścianie, by odnaleźć włącznik. Poczul, jak coś przebiegło mu po ręce. Odruchowo mocno strzepnął i nacisnął na włącznik światła. Ujrzeni niewielki korytarz. Uciekający pająk po chwili skrył się w kącie przedsionka.

Wewnątrz śmierdziało zgnilizną, ale nie tylko. Być może był to kurz, który w połączeniu z odorem wydobywającym się z kilku par starych butów dawał taką obrzydliwą woń.

– Ale syf – wyszeptał Iwanowicz.

Pod ścianą znajdowało się kilka par gumowców, na wieszaku wisiały stare zniszczone kurtki. Przeszli do kolejnego pomieszczenia.

Pokój był duży. Pod oknem stał telewizor. Na ścianie po lewej stronie znajdowała się duża meblościanka, na której stały kryształowe oraz kilka opartych o nie widokówek. Iwanowicz podszedł bliżej. Pochodziły sprzed wielu lat i były wyblakłe. Nie dostrzegł niczego, co nawiązywałoby do ostatnich miesięcy, a nawet lat. Wszystko było zapomnianym wspomnieniem dawnych czasów. Obok mebla znajdowała się duża szafa dwudrzwiowa. Zajrzeli do środka. Wewnątrz wisiało kilka starych ubrań, na dole piętrzył się stos poukładanych spodni i koszul. W kącie stało żelazko, obok para butów.

Komisarz zwrócił uwagę na pojedynczy fotel stojący przy telewizorze.

– Nie wygląda na to, by z kimś mieszkał.

Obok znajdowała się niska ława, a na niej gazeta z programem telewizyjnym. Pod ścianą, przy

samym wejściu do kuchni, stała rozkładana kanapa.

– Nic nie ma – dodał po chwili Iwanowicz.

Przeszli do małej kuchni. W oknie wisiały stare półprzezroczyste firanki, które tylko częściowo zasłaniały wnętrze. Ale przecież tu i tak nikt nie zaglądał, bo w pobliżu nie było domów.

– Nigdzie nie ma łazienki, musiał się tutaj myć. Może w zlewie albo w tym – powiedział zdziwiony Gawłowski i wskazał palcem na miskę stojącą przy lodówce.

Iwanowicz pozostawił to bez komentarza. Odtworzył sobie w głowie plan budynku. Cały dom był prostokątem. Pokój zajmował niemal dwie trzecie całości, a kuchnia całą resztę. Mały korytarz zajmował tylko niewielki fragment.

Na środku kuchni stał stół, obok niego dwa krzesła. Na ścianie wisiały małe białe szafki, pod nimi znajdował się blat. W rogu stała lodówka. Podkomisarz zajrzał do środka.

– Ubogo... to już chyba w plecaku miał więcej żarcia niż w domu – zauważył.

Dwa pasztety, woda mineralna, wypita do połowy butelka piwa. Przeczesał wzrokiem kuchnię, zajrzeli do pozostałych szafek, lecz nic nie wzbudziło ich podejrzeń.

– Nic tu prawie nie ma.

– A czego się spodziewałeś, skitranego kawioru? – odpowiedział podkomisarz z ironicznym uśmiechem, a potem obrócił głowę i przesunął wzrokiem po ścianie, którą mieli za plecami. Nagle uśmiech zniknął mu z twarzy i Gawłowski stanął jak wryty. Przez ułamek sekundy nie wiedział, co się dzieje. Jakby na moment coś go unieruchomiło. – Ożeż kurwa... Co... co to ma znaczyć? – powiedział niemal szeptem.

Było już po północy. Dla wielu osób dzień dawno temu się skończył. W Kowarach w większości domów światła już pogasły, gdzieś tam tliły się jeszcze niebieskawe poświaty, które po kilkunastu minutach zanikały w ciemności, jaką przyniosła duszna i gorąca noc. Policjanci wiedzieli, że czeka ich jeszcze sporo pracy, a do domów wrócą najwcześniej za godzinę lub dwie, i to tylko pod warunkiem, że technicy szybko uwiną się ze swoją robotą.

Gawłowski palił przed domem papierosa. Musiał się uspokoić. W oddali dostrzegł światła radiowozy, rozświetlające okolicę na niebiesko. Na przemian wznosiły się i opadały, gdy samochód pokonywał wyboistą polną drogę. Za nim w odległości kilkunastu metrów jechał kolejny pojazd.

Zatrzymały się pod bramą.

W tym czasie Iwanowicz przeszukiwał podwórze. Wciąż próbował odtworzyć w pamięci przebieg wydarzeń. Od tamtej pory minęło nie więcej niż dwadzieścia minut. Którędy uciekł? To wszystko wydawało się nierealne, ale wykonalne. Wcześniej przez chwilę nie dowierzał Gawłowskiemu, bo w nocy, gdy człowiek jest już zmęczony i zestresowany, widzi różne rzeczy. Ale potem, gdy weszli do domu, wszystko się zmieniło i stało się jasne. Ktoś musiał w nim być przed nimi.

Iwanowicz wciąż się zastanawiał, jak ów tajemniczy mężczyzna mógł się tam pojawić. Dookoła ciągnęły się rozległe pola, gdzieś tam rosły kępy drzew, między którymi bez trudu można się było schować. Mężczyzna, który tutaj stał, mógł przebiec kilkaset metrów, a potem położyć się w oddali w trawie i teraz ich obserwować. Po drugiej stronie ogrodzenia rozciągało się kolejne pole, więc ukrycie się w takim miejscu nie stanowiło żadnego problemu, zwłaszcza nocą. Poza tym mógł pobiec do miasta którąkolwiek z dróg albo też schować się w lesie znajdującym się nieopodal drogi dojazdowej.

Komisarz podniósł się, by rozprostować kości. Jego auto wciąż stało przed wjazdem, częściowo oświetlając podwórko. Jończyk od razu podszedł do Iwanowicza, gdy w tym czasie Żabicki przygotował sprzęt.

– Co jest? – Głos miał zmęczony i przygaszony.

– Najpierw sprawdź ślady przed domem. Trawa się trochę odkształciła, ale tam ktoś musiał stać. Trzeba to sprawdzić. Po prostu Jacek kogoś tu widział. Może uda ci się ustalić, którądy gość spieprzył. Kurde, sam nie wiem. Może jutro nam to w czymś pomoże. Sprawdzimy dokładnie w dzień ślady, teraz to jak szukanie igły w stogu...

– A potem?

– Druga sprawa to ściana. Ale nie tylko. Sprawdźcie uważnie cały dom. Ktoś w nim był dosłownie na chwilę przed nami, więc musiał coś po sobie pozostawić. – Iwanowicz zawiesił głos. Rozejrzał się po okolicy, choć w ciemnościach niewiele dawało się dostrzec. Wciąż zastanawiał się, o co w tym wszystkim chodziło. Jak do tego doszło? Dręczyła go myśl, że minęli się z zabójcą, ale potem przyszło przypuszczenie, że może to tylko jakiś szurnięty dzieciak, który włamywał się do obcych domów.

– Nie wiem, co o tym sądzić. Podejrzewam, że w okolicy grasuje jakiś psychol, który wypruwa flaki swoim ofiarom. Po co to robi i dlaczego, nie mam pojęcia, więc musimy za wszelką cenę ustalić, co się tutaj, kurwa, dzieje. Każdy ślad, każdy szczegół. Dlatego wiele zależy teraz od waszej pracy i tego, co uda wam się zebrać.

– No dobra, zajmijmy się tym. Masz już jakieś podejrzenia?

Komisarz lekko wzruszył ramionami i pokręcił głową.

– Nie, ale wiem jedno. Musimy być cholernie ostrożni. Nie wiemy, kogo obrał za cel. I dlatego. Czuję jednak, że jesteście blisko i że depczemy mu po piętach, więc trzeba się sprężyć. Kosztem naszego zdrowia, zmęczenia i wszystkiego innego. Trzeba zmobilizować siły. Zróbcie, co

w waszej mocy. Niczego nie możemy teraz bagatelizować.

– Okej, więc nie marnuję czasu. – Technik obrócił się i ruszył w kierunku domu Próchnickiego, ale zatrzymał go jeszcze głos Iwanowicza:

– Co wam się udało ustalić w mieszkaniu Grońskiego?

– Nic. Żadnych odcisków palców. Ten, kto to zrobił, musiał mieć rękawiczki. Widać, że był ostrożny. Ale jeszcze jutro tam jedziemy – powiedział od niechcenia i zamknął na kilka sekund oczy, a potem przetarł je palcami jak po przebudzeniu. – Za to udało nam się zebrać i zabezpieczyć ślady odcisków butów. W kopalni jeszcze nie zdążyłem, bo nim zaczęliśmy pracę, przyjechaliśmy tutaj. Później tam wrócimy i skończymy robotę.

Iwanowicz splunął, a potem kiwnął głową. Podszedł do swojego auta, wsiadł i rozciągnął się w fotelu. Skoncentrował się na tym, co do tej pory udało się im ustalić. W gruncie rzeczy mieli niewiele poza ciągiem domysłów. Poprzedniej nocy nieznan sprawca zakradł się do domu jednego z mieszkańców Kowar. Nie dał swojej ofierze szans, ugodził ją kilkanaście razy nożem. Zamordowany to samotnie mieszkający mężczyzna. Zaniedbany, bezrobotny. Zabójca nie zostawił żadnych śladów. Prawdopodobnie wszedł drzwiami – wszystko wskazywało na to, że były otwarte – choć mógł też wejść przez okno.

Następne zwłoki zostały znalezione w tunelu starej kopalni. Mężczyzna był w podobnym wieku jak poprzednia ofiara. Cała reszta – niejasna. Ze wstępnych oględzin domu wynika, że denat mieszkał sam. Raczej wykluczał, by było to zabójstwo na tle rabunkowym. Związek z pierwszą ofiarą jak na razie pozostawał nieznan, ale to się może zmienić, gdy prześwietlą wszystkie kontakty i sprawy ofiar. Będzie to zapewne żmudne, ale konieczne, doszedł do wniosku Iwanowicz.

Otworzył oczy i spojrzął za siebie. Światła miasta oddalonego o ponad kilometr oraz pobliskich latarni pozwalały ocenić ukształtowanie terenu. Jedne znajdowały się nisko, u podnóża wzniesienia, a inne górzal. Resztę okolicy wypełniała ciemność. To ona skrywała tajemnicę tego miasta.

Po chwili podszedł do niego Gawłowski.

– Napiłbym się kawy albo czegoś, co mnie choć na chwilę postawi na nogi. Padam już na twarz – powiedział cicho.

– Nie ty jeden. Od świtu jesteśmy na nogach – odparł Iwanowicz. – Pocieszę cię, jutro też nie będzie łatwiej. Robi się naprawdę nieciekawie, jesteśmy krok za nim. Na razie nie wiemy, kto to jest i dlaczego to robi, ale czuję, że jesteśmy blisko. Skoro tu był przed nami, znaczy, że daleko nam nie ucieknie.

– Obyś miał rację...

– Znalazłeś coś?

– Nie, jest za ciemno. Pewnie niczego nie znajdzie. Mam już dość. To bez sensu. Same pola. Czego mamy szukać?

– Pamiętaj, Jacek, teraz trzeba ustalić, czy ci dwaj zabici mogli być ze sobą spokrewnieni. Jeśli nie, to czy coś innego mogło ich łączyć. Może pierwsza ofiara również pracowała w kopalni? Teraz lub kiedyś? Może mieli jakiegoś wspólnego wroga? Zatargi? Konflikty? Szukamy jakiegoś powiązania. Na pewno coś ich łączyło, bo inaczej nie doszłoby do tej masakry. Coś. Pytanie tylko co.

Gawłowski milczał i tępo spoglądał na swojego kolegę. Jeszcze przed kilkoma godzinami tryskał energią, teraz zmęczenie i upał zrobiły swoje. Czuł się skrajnie wyczerzony. Wyglądał niewiele lepiej od ofiar.

– Może masz rację, ale to trochę potrwa.

– Tak jak zawsze. Popytamy gdzie trzeba.

Podkomisarz tylko się skrzywił, a potem usiadł na ziemi i oparł się plecami o drzwi auta.

– Wiesz, już teraz można wysunąć kilka hipotez. Czym mogli komuś podpaść? Czy obaj byli

w coś zamieszani?

– Nie mam dziś do tego głowy – odparł Iwanowicz, któremu zmęczenie też porządnie dawało się w znaki. Było ono na tyle silne, że niemal usnął w aucie. Usiadł na chwilę, żeby zregenerować siły i zebrać myśli, ale oczy same mu się zamykały. Czuł pulsowanie w głowie, a potem coraz silniejszy szum. Typowy objaw zmęczenia i wycieńczenia organizmu. Czasem, gdy wracał po całym dniu pracy potwornie zmęczony, nie mógł usnąć z powodu tego szumu. Głowa mu pękała, świat wirował.

– Spróbuj przypomnieć sobie tego gościa, którego tu widziałeś.

– Mówiłem ci już. Duży, miał na sobie coś ciemnego, cholera wie... jakby jednolity kombinezon roboczy. Chociaż... jest ciemno, więc nie mam pewności. Ale takie odniosłem wrażenie. Może przez to, że Prochnicki miał na sobie strój roboczy. To była chwila, Marek. Trochę mi się już miesza w głowie.

– Co jeszcze zapamiętałeś? Mów, może sobie coś przypomnisz.

– Stał obok domu, najwyżej dwa, trzy metry, bliżej ogrodzenia, od strony pola kukurydzy. Średniego wzrostu, ale potężny. Twarzy nie zapamiętałem, ponieważ wszystko trwało ułamek sekundy. Potem, gdy zahamowałem, strumień światła był już obok, więc zdążył spierdolić. Wiem, że brzmiał dziwnie, ale wyglądał jak jakiś pieprzony manekin albo strach na wróble.

Iwanowicz nie wiedział, czy te porównania podsunęła koleżka wyobraźnia, nagle zdziwienie czy gość faktycznie tak wyglądał, ale jedno było pewne: to miejsce potrafiło rozbudzić wyobraźnię i napędzić strachu.

– No dobra, zawsze coś. Może jeszcze sobie coś przypomnisz. Byłoby dobrze. – Wstał, by rozciągnąć mięśnie. Wyciągnął papierosy i przypalił jednego. Zaciągnął się i wydmuchnął dym. – Trzeba będzie sporządzić portret pamięciowy. Rozwiesimy go na mieście, może to coś da. Tylko najpierw musimy się zastanowić, czy w ten sposób go nie spłoszymy. Wcześniej jednak każemy Jastrzębskiemu wytypować podejrzanych. Zna to miasto od dawna. Nie jest ono aż tak duże. Raptem parę tysięcy mieszkańców. Ile tu może być osób zdolnych do takiego zabójstwa? Jedna, dwie, pięć? Może ma już kogoś na oku. Jeśli nie, to sami wytypujemy i będziemy ich po kolei sprawdzać.

Gawłowski kiwnął głową i zrobił kilka kroków, by się rozgrzać. O ile dni były morderczo upalne, o tyle nocą można było porządnie zmarznąć.

– A powiedz mi, co z tym domem? – Wskazał palcem za siebie. – Zostawiamy tutaj kogoś do pilnowania?

– Nie mamy tylu ludzi. Nikt na to nie wyda pozwolenia, a ja na własną odpowiedzialność nikogo tu nie zostawię. W Jeleniej jest od cholery roboty... Chyba że przekonasz Jastrzębskiego, żeby przydzielił tutaj kogoś stąd – powiedział, obrócił głowę i spojrział w dal. Na niebie roilo się od gwiazd, które tej nocy intensywnie błyszczały na granatowym tle. – Jeśli masz ochotę, załatw to z nim, ja nie będę z nim rozmawiać.

– Mógłbyś odpuścić. Musicie przecież jakoś ze sobą współpracować, ile chcesz się na niego wściekać? Rok, dwa?

– Co najmniej – uciął Iwanowicz i poszedł pod dom. Nie chciał więcej poruszać niewygodnego tematu. Rozmowę uznał za zakończoną, a wszelkie dyskusje za zbędne. Podszedł do Żabickiego.

– I jak?

– Na tak krótkiej trawie trudno o dobrze zachowane ślady, łatwo o pomyłkę. Wszyscy trochę ją tutaj wydeptaliśmy, więc nawet jeśli ktoś tu stał, to nie wiadomo, gdzie poszedł. Sam mówiłeś, że szukałiście go później. Problem w tym, że trawa szybko się odkształca. Ślady na trawie to prawie jak ślady na wodzie.

– Okej, rób, co możesz.

– Raczej nie chciałbym się na tym skupiać, bo donikąd nas to nie zaprowadzi. Sam zobacz – oświetlił latarką trawnik – jest tu tego pełno. I co mam z tym zrobić? Nie jestem Copperfieldem, zmierzylem kilka i wstępnie porównam z innymi. Zaraz zajmę się śladami w domu.

Iwanowicz kiwnął głową.

– A drzwi?

Żabicki bez zwłoki podszedł, przyświecił latarką i przystawił nos do samego zamka. Trwało to trochę.

– Wygląda mi na to, że nikt tutaj nie gmerał. Nie było włamania.

– Czyli co, wynika, że zabójca wziął klucze?

– Przy denacie ich nie znaleźliśmy, więc podejrzewam, że zabójca je zabrał. Spokojnie sobie otworzył, bez wytrychów czy rozkręcania zamka. Wszedł, zrobił, co miał zrobić, a potem wyszedł, zamykając drzwi za sobą.

Iwanowicz nie skomentował tego, odszedł i kazał Gawłowskiemu zadzwonić do Jastrzębskiego, by zmobilizował swoich ludzi do przeczesania okolicy. Biorąc pod uwagę, że w pobliżu znajdowało się mało dróg, mogli natrafić na blakającego się gdzieś mężczyzně.

Komisarz wszedł do budynku. Jończyk nie odrywał oczu od ściany. Na rękach miał białe rękawiczki, na nosie okulary ze szklami powiększającymi. Iwanowicz stanął z drugiej strony kuchni i spojrzął na ścianę z oddali. Na wprost niego znajdował się napis: DRUGI...

– Myślałem, że takie rzeczy dzieją się tylko w filmach – rzekł technik spokojnie, choć dało się wyczuć w jego głosie jakąś osobliwą obawę, na którą zwrócił uwagę Iwanowicz. – A tu... Powiem ci, że wolę już topielców, wypadki czy całą przeklętą resztę niż to... – Wskazał głową na ścianę. – Przerazają mnie takie nieprzewidywalne jednostki. Krew w żyłach się ścina na samą myśl. Jeden taki psychol jest gorszy od dziesięciu zwykłych bandziorów.

Iwanowicz kiwnął głową. Chciał zakończyć to wszystko i zmyć się stąd. Zniknąć, zapomnieć. Po prostu tu nie być.

– Drugi... – szepnął, a jego głos wydawał się nierealny, jakby wypowiedział to tylko w myślach.

Tutaj nie mamy do czynienia z przypadkowym działaniem, to nie był rabunek czy zwykły napad, pomyślał. To coś więcej. Istota tego czegoś zawsze kryła się w szczegółach. Z początku była niedostrzegalna, ukryta między tym wszystkim, na co patrzyli. Między detalami. Na razie nie mógł w tym doszukać się sensu. No i jeszcze ten napis: DRUGI. Czy miał zwrócić ich uwagę, czy wręcz przeciwnie – od czegoś odwrócić? A jeśli odwrócić, to od czego?

Milczał, rozglądając się po kuchni. Teraz bezmyślnie wypowiedziane słowa mogłyby tylko zakłócić spokój. Być może usłyszą coś na zewnątrz, ktoś krzyknie albo zawoła. Brał wszystko pod uwagę. Liczył, że znajdują tu jakiś ślad, choćby najmniejszy, jakąś drobinę. Przede wszystkim liczył na jakiś cud, który wyjaśni to, co się tutaj wydarzyło. Albo na nagłe ośnienie.

W oddali słychać było głosy dochodzące z podwórza. Gawłowski rozmawiał z Żabickim, śmiejąc się z ostatniego meczu piłki nożnej. Po chwili obaj zamilkli, jakby coś się stało lub ktoś przerwał im rozmowę. A może urwał się żart, który nie wymagał już więcej słów.

– Wiesz, Marek, nie wiem kto i po co, ale ktoś sobie zadał sporo trudu, żeby to zrobić. Zobacz – wskazał palcem na litery, pokazując dokładnie każdą linię i kształt – zrobił to odręcznie. Starannie. Każda litera jest wyraźnie napisana, nie są to typowe bazgroły. Widać, że miał na to czas.

– To ważne.

– I to bardzo. Pewnie sporo mówi o sposobie działania zabójcy. I o nim samym. Nie robił niczego w pośpiechu. Gdyby napisał to szybko, bo śpieszył się lub przed kimś uciekał, jak na przykład wiecznie płoszeni graficy, to sądzę, że od razu byśmy to rozpoznali. Pozostawiłby wtedy po sobie niekształtne litery. A tutaj proszę, ładnie i porządnie – rzekł spokojnie, jakby nie

chodziło w tym wszystkim o tekst napisany w domu brutalnie zamordowanego mężczyzny, ale o coś zupełnie naturalnego.

Iwanowicz doceniał taką postawę u ludzi, z którymi pracował, i zawsze uważał ją za oznakę rzetelności. Jończyk robił wszystko spokojnie i bez pośpiechu. Pracował już z nim i Żabickim od lat i wiedział, że spokój, jaki ich obu cechował, był kwestią solidnego podejścia do pracy. Nie każdy był taki.

Już nieraz myślał o tym. Kiedy zdecydował się na pracę w policji, zastanawiał się, czy będzie w stanie przezwyciężyć swoje niekontrolowane reakcje na makabryczne widoki. Wszystko przyszło stopniowo. Pierwsze tygodnie w pracy były najtrudniejsze. Stopniowo jednak do wielu rzeczy się przynawyczają. Oglądając miejsca zbrodni stawały się coraz mniej szokujące, choć to właśnie one uchodziły za najbardziej makabryczne. Policjant jadący na miejsce zbrodni nie zawsze wie, czego się spodziewać. Ma zdawkowy opis zgłoszenia przekazany przez radio. Wie, ile jest ofiar albo ciężko rannych. Ale nic poza tym. Resztę robi oczekiwanie, a więc chwila dojazdu na miejsce zdarzenia, podczas którego to wyobraźnia przygotowuje na najgorsze. Czasami jej się uda, czasem nie.

Po latach pracy wciąż cechował go swoisty stopień wrażliwości, który sprawiał mu wiele niespodzianek, choć i tak mniej niż dawniej. Nigdy nie dał sobie wmówić, że po kilku lub kilkunastu latach pracy śledczego jest się już na wszystko uodpornionym, choć wielu gliniarzy tak uważało. Tak nie jest. Po prostu pewnych rzeczy aż tak bardzo się nie przeżywa albo przeżywa słabiej. Jednak szok na widok trupa zawsze w mniejszym lub większym stopniu się odczuwa. Po latach ten szok jest mniejszy i aż tak bardzo nie zaburza logicznego myślenia jak na samym początku.

Przepracował już wiele lat i mógł śmiało powiedzieć, że coraz mniej rzeczy go dziwiło. I chociaż w swoim życiu naoglądał się już wielu okrucieństw, bardziej od samego przerażającego widoku obawiał się tej niemości, którą niekiedy odczuwał. I strachu pojawiającego się, gdy nie mieli żadnych śladów, dostrzegając bowiem wówczas przewagę, jaką miał nad nimi morderca.

Dziś poczuł się podobnie. I to dwukrotnie. Za pierwszym razem, gdy wyszli z mieszkania zamordowanego i jechali przez miasto. Dopiero wtedy po raz pierwszy pojawiła się obawa. Miasto, w którym skrył się zabójca. Między zwykłymi ludźmi, między bawiącymi się na podwórzach dziećmi. Pośród codziennego życia.

Potem poczuł to samo w domu, gdy znaleźli napis. Tyleż tajemniczy, co nierealny, niczym z nakreślonego ręką szaleńca scenariusza filmowego.

– Biorę się do robienia zdjęć. Tylko tyle mogę teraz zdziałać. Trzeba skonsultować to z grafologiem, zobaczymy, co on powie. – Technik wyciągał aparat z walizki. Nastawił ostrość i zaczął robić zdjęcia ścianie, a potem całej kuchni. – Chociaż wiem, że napis wykonany starannie i odręcznie na ścianie różni się od pisma na papierze. Niewykluczone jednak, że dowiemy się czegoś ciekawego – dokończył, nie odrywając oczu od ekranu w aparacie.

Któs z zimną krwią zabił człowieka, a potem przyszedł do jego domu i wykonał staranny napis na ścianie. Zrobił to specjalnie. Zostawił wskazówkę, pomyślał komisarz. Czy doprowadzi nas ona do motywu? Wiedział doskonale, że ten, kto tego dokonał, nie działał przypadkowo. Zrobił to celowo. Chciał zabić. Co więcej, zrobił ze śmierci przedstawienie, zapraszając ich do jakiejś przekłętej gry.

– Czym on to zrobił?

– Co, ten napis? – zapytał technik, spoglądając na kolegę.

Iwanowicz kiwnął głową.

– Trudno powiedzieć. Niby najłatwiej poznać po zakończeniach liter, tam zwykle pozostaje ślad po narzędziu. Tu jest owalne, jakby... – Przerwał i przyjrzał się z bliska ścianie. Poprawił okulary, które zwykle nosił zsunięte na czoło. Patrzył przez moment i dokończył: – Wygląda, jakby zrobił to... palcem. Choć nie ma śladów linii papilarnych, wielkość właśnie na to by wskazywała. Musiał mieć rękawiczki. Ale to nic, bo zastanawiają mnie jeszcze dwie inne rzeczy.

Iwanowicz spojrział na niego, nie udając zaciekawienia.

– Zastanawiam się, czym on się posłużył do napisania tego. To znaczy, czyja to krew? Pobrałem próbkę, więc sprawdzimy, czy należała do właściciela domu. Potwierdzenie tego teraz to rzecz najważniejsza. Bo równie dobrze może to być krew zwierzęcia.

Komisarz odnotował w pamięci słowa technika.

– Po drugie?

– Po drugie, krew musiał jakoś przetransportować. Według mnie nie musiało być jej zbyt dużo, by nabazgrać coś takiego. Niemniej musiał ją jakoś tutaj przynieść. Wiesz, co mam na myśli? Trzeba ją komuś upuścić, potem przelać do naczynia. Ale nie wiem, jak ten skurwiel to zrobił, może po prostu...

– Może przetransportował ją w jakimś słoiku albo butelce? – Iwanowicz dopiero po wypowiedzeniu tych słów zdał sobie sprawę, że brzmiało to absurdalnie. Mówienie o tym, że zabójca wszedł do tego domu, by wykonać na ścianie krwawy napis, wydawało się niemal nierzeczywiste. Nigdy w życiu nie miał do czynienia z czymś tak odrażającym. Może gdyby to mówił ktoś inny, w innych okolicznościach, gdzieś w oderwaniu od tej gorącej i dusznej rzeczywistości, wszystko by było naturalniejsze. Jednakże sam czuł, jakie było irracjonalne. Mówienie o transportowaniu krwi w słoiku zahaczało o krawędź jakiejś nierealnej sfery, której nie mógł jeszcze pojąć.

– Mogło tak być. Zabójca upuścił swojej ofierze krew, a potem nabrał ją do naczynia, by później wykorzystać do celów, nazwijmy to, kaligraficznych. Niby takie proste, nie?

Iwanowicz nic nie powiedział. Przytaknął w myślach, a potem zamknął oczy, by sobie to wyobrazić.

– A zobacz, o czym to świadczy. Kim on jest? Kto planuje takie rzeczy? – pytał dalej Jończyk z kamienną twarzą.

– Musiał ją szybko przetransportować, wiadomo, że krew stosunkowo szybko krzepnie. Oczywiście zależy od tego, ile jej miał.

– No tak, ale jeśli jest w naczyniu, to przez jakiś czas będzie mieć płynną konsystencję. A poza tym on się porusza po terenie Kowar. Raptem kilka kilometrów.

– Mógł tu przyjść albo przyjechać cokolwiek, chociażby rowerem. Nie można tego wykluczyć.

– Widziałem jakieś ślady przed bramą, zrobiłem zdjęcie. Zobaczymy, może później do czegoś się przydadzą.

Komisarz spojrział na tę niewielką, skromnie urządzoną kuchnię. Małutki stół pokryty zniszczoną ceratą w kratę. Na nim brudny talerz, obok sztućce. Szklanka, a nieco dalej stare poplamione krzyżówki, które być może denat rozwiązywał podczas posiłków. To była jego codzienność, ta część życia, która przepływa niezauważona, ale która bardzo dużo mówiła o człowieku. Tutaj, w jego domu, ta codzienność była wyjątkowo wyrazista. Nie miał komputera, telefonu komórkowego, nigdzie się nie włóczył. Jego życie toczyło się głównie w tych dwóch niedużych pomieszczeniach. Spędzał czas przed telewizorem i w pracy. Miejsce i życie człowieka, który się skrył, usunął w cień.

– Dobra, działamy. Od stania śledztwo nie posunie się naprzód – rzekł komisarz.

– W porządku. Ja niedługo tu kończę.

– Sprawdź jeszcze, czy nie włamał się przez okno.

– Wiesz, nie znaleźliśmy przy denacie kluczy, więc być może zabrał je zabójca, by na wszelki wypadek mieć swobodny dostęp do tego domu.

– Nie sądzę, ale lepiej się upewnić.

– Dobra. Wiesz, tak sobie teraz myślę... – Technik zawiesił na moment głos, odsuwając aparat i zdejmując okulary.

– O czym?

– Mam nieodparte wrażenie, że on to skrupulatnie wszystko zaplanował. Wszedł tutaj, zrobił ten napis, a potem gdzieś się ulotnił. Tuż przed naszym przyjazdem. Wiesz, taki cichy i spokojny popapraniec, który ma w dupie strach i całą resztę. Nie myśli o policji, która będzie go ścigać, nie myśli o konsekwencjach. Ma to gdzieś. Ma nas za nic. On robi swoje, a potem się ulatnia gdzieś w polu kukurydzy, jak jakiś, kurwa, zwierzak. Albo gość nie ma wyobraźni i jest głupi jak but, albo wręcz przeciwnie – jest inteligentny, bo planuje wszystko, biorąc pod uwagę każdy scenariusz, każdą ewentualność. I każdy szczegół.

Komisarz przygryzł nerwowo wargę, przytakując.

– Obyśmy go szybko dopadli. Nic więcej nie umiem teraz powiedzieć. Choć boję się, że możesz mieć rację.

Iwanowicz próbował podsumować wszystkie informacje, ale nie przyszło mu to łatwo. Miał mętlik w głowie.

– Śledztwo to męczarnia, zawsze to powtarzam – rzekł kryminalistyk.

Komisarz wyjrzał przez okno.

– Ciągle mam jakieś podejrzenia, że on jest gdzieś w pobliżu.

– Pewnie uciekł niedaleko. Zorientował się, że go nie gonicie, więc mógł pozostać na swojej pozycji i was obserwowac. Sęk w tym, że jest ciemno i może być praktycznie wszędzie. A my i tak go nie dopadniemy. Choć jeśli jest ostrożny, to oddalił się w bezpieczne miejsce.

– Może jeszcze tu wróci.

– Przed wyjazdem zabezpieczymy okna i drzwi. Jeśli spróbuje tu wejść, będzie musiał zniszczyć zabezpieczenia. A wtedy się dowiemy, że był tutaj. Że być może czegoś nie dokończył.

– Tak? I co ci to da? Pocziesz cię myśl, że przyszedł tu ponownie? Mnie jakoś nieszczególnie. Nie raduję mnie też myśl, że gościa nie odstrasza widok policji. I nie pocieszam mnie fakt, że jeśli się ulatnia na nasz widok, to tylko na moment, by nam się przyjrzeć z pewnej odległości. Czeka, śledząc każdy nasz ruch. Mnie takie czuby jak ten bardziej przerażają niż banda rozwścieczonych dresów czy innych zakapiorów. Najgorszy wróg to ten, którego nie widać i który się ciebie nie boi. Bo wtedy strach go nie powstrzymuje. Dopóki nie wiesz, z kim walczysz, znajdujesz się na straconej pozycji. A my na takiej właśnie jesteśmy.

Jończyk nie odpowiedział. Iwanowicz skierował się do wyjścia, ale przystanął w drzwiach.

– Gdy już wgrasz zdjęcia do komputera, wyślij mi mailem. Obu ofiar i napisu.

Technik kiwnął głową, nie przerywając pracy, bo chciał czym prędzej wrócić do domu. Każdy o tym wiedział. Każdy już pragnął odpocząć i szybko zapomnieć o tym wszystkim, co przyniósł upalny dzień. Dzień, który stopił całą normalność, porządek. Dzień, który rozpałił bezprawie.

Iwanowicz przeszedł do dużego pokoju i przez następne parę minut przeczesywał wzrokiem każdy kąt w nadziei, że coś znajdzie lub przynajmniej pozwoli mu to zrozumieć, kim był mężczyzna, który tu mieszkał. Jaki miał charakter, co dla niego było ważne, czym się zajmował poza pracą? Ustalenie tego miało pomóc wyjaśnić, dlaczego zginął. Komisarz zajrzał do każdej skrytki, szafy i szuflady. Poodsuwał mniejsze meble. Zaglądał wszędzie, gdzie się dało. Nie natrafił na nic ciekawego. Same stare rachunki i faktury za telefon. Wszystko opłacone, jedna faktura z bieżącego okresu rozliczeniowego. To samo za prąd. Podatki. Książka wpłat. Nic nie wzbudzało podejrzeń. Żadnych pamiętek, żadnego dziennika, notatek, zapisków.

– Drugi – powtarzał ciągle po cichu. – Drugi... Co tutaj było drugiego? Coś podwójnego?

Dlaczego pozostawiłeś nam znak? Co chciałeś nam powiedzieć? Drugi. Mieszkałeś sam, żyłeś jak pustelnik, a potem zostałeś z tego świata brutalnie usunięty. Dlaczego byłś drugi? Dlaczego? Ponieważ komuś przeszkadzałeś. Jakiś szurnięty, nikomu niezły człowiek pozbawił cię życia. Wypruł z ciebie flaki niczym drapieznik, który dopada ofiary. A potem odszedł nasycony

i zaspokojony.

Zbyt wiele niejasności.

Skąd się wziął zabójca? Pojawił się nagle w twoim życiu czy go znałeś?

Dlaczego zabił?

W jaki sposób dobierał narzędzie zbrodni? Przypadkowo? Wziął to, co miał pod ręką, czy może losował, gładząc ukryte gdzieś narzędzia palcami, rozkoszując się ich kształtem, by wybrać w ostateczności to, które najbardziej mu się spodobało. Może dotykał z rozkoszą noża, myśląc o tym, jak niebawem wbije jego ostrze w ciało swojej ofiary?

Zabijasz, by zabijać, czy zabijasz z jakiegoś powodu?

Kim jesteś i co cię odróżnia od reszty ludzi?

Tyle pytań pozostawało bez odpowiedzi. Czy ten, kto popełnił dwie zbrodnie w Kowarach w ciągu jednej doby, jest zwyczajnym mordercą, psychopatą, czy kimś innym?

Kim?

Albo czym?

Nazwał go w myślach drapieżnikiem, ponieważ rozszarpywał swoje ofiary, a potem – być może – sycił się cierpieniem swojej zdobyczy. Inaczej nie robiłby takich przedstawień. Wystarczyłoby mu pchnięcie, dwa.

Po paru minutach Iwanowicz wyszedł przed dom, włączył latarkę, okrążył podwórko, potem wsiadł do samochodu i uruchomił silnik. Dostrzegł, że Gawłowski machnął mu, by zaczął, ale odjechał bez słowa.

Musiał działać jak najszybciej, bo drapieżnik być może ruszył na kolejne polowanie.

Jechał tą samą polną drogą, którą tu dotarli. Była wyboista i co chwila słyszał głośnie szuranie podwozia o kępy trawy i kamienie, jakby ktoś regularnie co parę sekund uderzał czymś o blaszane części samochodu. Pomimo wyciszanej kabiny wewnątrz rozlegało się rytmiczne dudnienie. Włączył radio, by zagłuszyć te dźwięki.

Dotarli do skrzyżowania. Po obu stronach rozciągały się łąki i pola. Długimi światłami oświetlił las, który znajdował się na wprost, i skręcił w kierunku miasta. W lewą stronę droga prowadziła do czeskiej granicy na przełęczy Okraj. Tam przed kilkoma laty, nim Polska wstąpiła do Unii Europejskiej, znajdowało się przejście graniczne. Po obu stronach, nieopodal granicy, dwa państwa kusiły swoimi towarami eksportowymi. Rozkwitało życie mrówek, czyli drobnych przemysłowców, którzy zarabiali na przemieszczeniu pod ubraniem alkoholu i papierosów. Przekraczali granicę kilka albo kilkanaście razy dziennie. Żyli z tego. Gdzie popadnie sprzedawali towar z mniejszym bądź większym zyskiem, w zależności od dnia i klientów. W Jeleniej Górze, na straganach, czy prowadząc po cichu tak zwane meliny. Żyli nadzieją, że ten raj nigdy się nie skończy.

Jechał wolno, niespełna trzydzieści kilometrów na godzinę. Wyłączył radio, otworzył okna z obu stron i nasłuchiwał, co działo się dookoła. Chciał mieć wszystko pod kontrolą i słyszeć każdy dźwięk.

Krok po kroku odtwarzał każdy fragment tego, co dzisiaj ich spotkało. Myślał o całym parszywym dniu, który z godzinę na godzinę stawał się coraz gorszy.

I o domu ofiary, który z uwagi na napis zrobiony krwią był nie mniej ważny niż oba miejsca zbrodni. Wszystko się ze sobą łączyło, ale bardziej przypominało splątaną sieć niż spójny obraz.

Zabójca – gdzie teraz był? Jak się przemieszczał? Samochodem? Nie było żadnych śladów, które by na to wskazywały. W nocy światła auta rzuciłyby się w oczy czy to przy kopalni, czy wcześniej w centrum Kowar. Musiał więc poruszać się jakimś jednośladem. Motorem, rowerem? Albo pieszo, bo tak było na pewno bezpieczniej. Mógł uciec do lasu albo w głąb pól otaczających miasto. Stanowiły idealną kryjówkę, ponieważ w nocy nikt by go tam nie zauważył.

Iwanowicz ułożył sobie plan na najbliższe godziny. W dzień trzeba będzie zorganizować poszukiwania, nie tylko w mieście i w pobliżu miejsc zbrodni, ale przede wszystkim w pobliżu tego domu. Pola. Tylko tamtędy mógł uciec. I musiał pozostawić tam ślady. Jończyk wspominał o polu kukurydzy, które znajdowało się w pobliżu. Jeśli zwał tamtędy, na pewno zostawił jakiś ślad, choćby najmniejszy.

Niejednokrotnie udało im się namierzyć uciekającego bandytę tylko dzięki śladom, które pozostawił w błocie. Ślady. To właśnie one najczęściej są dowodami. Doprowadzały policjantów do sprawy zbrodni.

Teraz czekała ich masa pracy, powinni jak najwięcej dowiedzieć się o denatach. Kim byli? Co robili? Czym się zajmowali poza samą pracą? Gdzie bywali? Czy mieli wrogów? Ciąg pytań, które zawsze się pojawiają, gdy brak poszlak.

Nagle zawibrował telefon komórkowy, który leżał na siedzeniu. W aucie zrobiło się jasno od blasku wyświetlacza. Dzwonił Gawłowski. Iwanowicz nie odebrał.

Jechał trasą, która prowadziła do głównej części miasta. W oddali dostrzegł radiowóz. Snął blisko krawędzi drogi, najeżdżając niemal na pobocze. Zza okna wystawała ręka funkcjonariusza, który oświetlał latarką przydrożne rowy. Mieli nadzieję, że coś znajdą.

Przyspieszył, a po chwili dojechał do skrzyżowania. Droga na wprost prowadziła do Jeleniej Góry. Skręcił w lewo, do głównej części Kowar. Po drodze minął ogrodzone puste place, na których kiedyś mieściły się fabryki i zakłady. Przy jezdni stały billboardy, z których zwisały martwe plachty starych i wyblakłych reklam.

Po niespełna kilometrze po lewej stronie dostrzegł grupę młodzieży. Stali w cieniu starego, opuszczonego budynku. Zwolnił i podjechał bliżej. Nie spuszczał z nich wzroku. Przyjrzał się im uważnie. Uznał, że być może widzieli kogoś, kto tędy szedł lub jechał.

Szybko policzył, że było ich dziewięciu. Niemał wszyscy zajadali pestki słonecznika, plując sobie pod nogi i obserwując, co się dzieje dookoła. Obok stały puszki z piwem.

Podjechał bliżej, zatrzymał auto pół metra od jednego z nich. Jeszcze kawalek, a wjechałby na niego. Kilku stało odwróconych plecami i nawet nie zwrócili na niego uwagi.

Otworzył okno.

– Dobry wieczór, panowie, nie widzieliście mężczyzny średniego wzrostu, ale dobrze zbudowanego? Był sam. Możliwe, że niedawno tędy przechodził.

Spojrzeli na niego i zaczęli pluć łupinkami słonecznika w stronę auta.

Nastąpiła chwila niewygodnej ciszy. Nie wiedział, co teraz zrobić. Zignorują go, by pokazać, że są górą, odejdą, a może się na niego rzucą. To ostatnie było mało prawdopodobne, bo po co mieliby to robić. Mimo wszystko z powodu ostatnich wydarzeń brał pod uwagę każdy scenariusz. Nawet najokrutniejszy.

– A co cię to obchodzi? – burknął jeden z nich. Nawet nie dostrzegł który, ponieważ trzech z nich miało na głowach kaptury, przez co nie widział ich twarzy.

Najstarszy mógł mieć około trzydziestki, najmłodszy z osiemnaście lat. Wśród nich stało jeszcze paru w podobnym wieku. Większość była ostrzyżona na krótko. Dwóch z nich odwróciło głowę, dokładnie mu się przyjrzało, a potem znów odwróciło się tyłem. Zignorowali go i pokazali, gdzie go mają.

– Obchodzi, bo być może to on zadzgał dziś mieszkańca waszego miasta – wypalił z grubej rury. W ostatniej chwili uznał, że tylko tak może cokolwiek wskórać. Zwłaszcza wśród młodych gniewnych, którzy całe dni spędzali w tym miejscu – w tym swoim lokalnym piekiełku. Musieli tu żyć, nie mieli szansy się stąd wyrwać, więc czuli się za to miejsce odpowiedzialni. Tylko szczerą gadką mógł coś u nich wskórać. Jeśli się nie uda, na nic zdadzą się groźby czy wymachiwanie odznaką. Wiedział o tym doskonale. Przetestował to już dziesiątki razy. Musiał swobodnie operować ich językiem. Odznaka często na takich jak oni nie robiła żadnego wrażenia. Jeśli coś ma wskórać, to nie może wtrącać się w ich sprawy, w to, czy piją, ćpają, głośno się zachowują lub demolują komuś samochód. To było ich terytorium, na którym czuli się bezpiecznie. On był intruzem. Musiał ich przekonać, że przyjechał tu wyłącznie motywowany chęcią znalezienia człowieka, który grasował na ich terenie. Cała reszta była nieistotna.

W gruncie rzeczy była to prawda.

– Chcę, byście mi pomogli, bo pewnie nikt nie zna miasta tak dobrze jak wy. Chodzi o ludzi, którzy mogli wam się wydać podejrzani. A przede wszystkim ostatnio. Dziś, wczoraj, a może przedwczoraj.

Zapadła niezręczna, przeciągająca się cisza. Nie wiedział, czy nie dosłyszeli pytania, czy odwrócą się na pięcie i sobie pójdą.

– Gościu, tu co drugi jest podejrzany – odpowiedział wreszcie najniższy. Miał na sobie dzinsy i jasną bluzę z kapturem z logo amerykańskiej drużyny futbolowej. Mówiąc, gryzł paznokcie na zmianę z pestkami słonecznika.

– A dziś ilu takich widzieliście?

– Człowieku, kręć się jacyś, skąd mamy wiedzieć, kto kim jest, co? Szedł jakiś niedawno. Może i by się go podciągnęło pod twój opis. Ale generalnie, chuj go wie. A kim ty właściwie jesteś, co? – Mówił szybko, a gwałtownie wypowiedzane słowa brzmiały jak wystrzały z karabinu. Ledwo go zrozumiał.

– To nie ma znaczenia. Po prostu szukam gościa, który mógł tędy przechodzić. Godzinę, może

dwie temu. Na pewno był sam. Im szybciej go dopadnę, tym lepiej dla wszystkich.

– No, no, strażnik z Teksasu we własnej osobie – skomentował kurdupeł, na co wszyscy wybuchnęli głośnym śmiechem. Jeden z nich aż zaczął się krztusić. Drugi uderzył go mocno w plecy, by mu ulżyć. Śmiały się jeszcze przez chwilę.

– No może nie aż z Teksasu, ale z Jeleniej – powiedział. Zwykle tak mówiono w okolicy na Jelenią Górę. Mało kto posługiwał się pełną nazwą. Jelenia Góra to Jelenia albo Jelonka.

– To co z nim? Jak wyglądał? Pijany był czy trzeźwy?

– Szedł prosto, więc pewnie trzeźwy, ale skąd mamy wiedzieć? Dziwak jakiś, nie wiem, kto to był, jeśli cię to zainteresuje. Szedł tamtą stroną. Gdy nas zobaczył, skręcił w uliczkę, o tam – Wskazał palcem. Komisarz obrócił głowę. Była to wąska ulica, która znajdowała się po przeciwnej stronie, niemal niewidoczna.

– Czemu dziwak?

– Bo ja wiem, wyglądał tak jakoś. Ręce wzdłuż ciała, szedł sztywno. Jak maszyna...

– A twarz?

– Nie widziałem.

– O której to było?

Mężczyzna wzruszył ramionami.

– A chuj go wie, człowieku, nie mam pojęcia, ale z pół godziny jak nic.

– W porządku, dzięki za informacje. A wczoraj widzieliście kogoś podejrzanego? Może tego samego gościa?

– Nieee. Wariatów tu pełno, to prawda. Ale tamtego wcześniej żeśmy nie widzieli. No nie?

Nikt nie potwierdził, tylko jeden z nich kiwnął głową i nie przestawał nią ruszać przez następnych kilka sekund. Przypominał maskotkę – małego pieska umieszczonego za tylną szybą wielu aut, który kiwał łbem niustająco, gdy auto było w ruchu.

Iwanowicz mu się przyjrzał. Żuł gumę i spoglądał na jego samochód. To spojrzenie mówiło wszystko. Smaczny kasek. Wiedział, że gdyby na chwilę zostawił wóz w środku miasta w nocy, nie miałby już do czego wracać. Choć zdawał też sobie sprawę, że nie była to marka najbardziej pożądana wśród złodziei, to i tak na pewno wykręciliby z niego wszystko to, co tylko nadawałoby się na sprzedaż.

– Znaliście Wieśka Grońskiego?

– Pierwsze słyszę.

– A Próchnickiego? Ryska.

Spojrzeni po sobie i ryknęli śmiechem.

– Co jest? Co was rozbawiło? – zapytał Iwanowicz, bo nie wiedział, co jest grane.

– Daj spokój, ten to jest dopiero kosmita – znów odezwał się niewysoki.

– Kosmita?

– No, niezły przypał. Trochę szurnięty, jakby w głowie nie wszystko miał na swoim miejscu.

– Co o nim wiecie?

– Co wiemy? Niewiele, praktycznie nic. Poza tym, że jeździ tędy na rowerze. Z domu do pracy i z powrotem. Ogólnie trochę żuł, a trochę... taki wyrzutek. Ale w zasadzie spoko ziomek.

– Znaliście się z nim?

– Nie. On nie odzywał się do nikogo, jakby niemowa. Chuj wie, czy w ogóle umiał gadać. Wiesz, często tu stoimy. Widzimy, kto kiedy jedzie, czasami już znamy niektórych. Kowary to nie Wrocław. Jeździ często o tych samych porach na tym swoim składaku. Śmiejemy się, że to wehikuł czasu. Sto razy chyba był już malowany i spawany. Ogólnie zaczęliśmy sobie jaja z Rysia robić i mówić mu „cześć”. Ale nie odpowiadał nam. Trochę dziwny koleś. Ale Rysiu to Rysiu, ziomal.

– My dla niego pewnie nie ten przedział wiekowy, nie ta liga, dlatego nas ignoruje –

powiedział któryś i wszyscy się zaśmiali.

– No to mu mówimy „dzień dobry”, co by swojego poznać, ale też nic. No i od tamtej pory zaczęliśmy na niego mówić kosmita. Z deka jakby powalony.

– Mieszkał sam czy z kims?

– Sam, sam. Kto by z takim dał radę... A co z nim? Chcesz nam Rysia do kicia wpakować? Nudniej będzie bez niego. A poza tym to spokojny gość. Tylko trochę jakby... nie tego.

Iwanowicz przypomniał sobie o śladach roweru przed wjazdem, pod domem. Wygląda więc na to, że były to jego ślady, ale trzeba to będzie potwierdzić. Pytanie tylko, gdzie jest rower. Odnosił w pamięci, by zapytać brygadzystę o to, gdzie pracownicy mogą przechowywać swoje rzeczy, na przykład rowery. Może coś tam jeszcze będzie.

– Obawiam się, że mam złą wiadomość. Niestety on też nie żyje – oświadczył twardym tonem. Chciał zabrzmieć jak automat i trochę mu się to udało.

Spojrzeni na niego z powagą. Wyczekiwali, aż coś doda, ale milczał.

– Ale jak to, co ty, gościu, gadasz?

– Nic więcej nie mogę powiedzieć. Dla dobra śledztwa. Dlatego to, o co was pytam, jest ważne, bo chcę złapać faceta, który to zrobił. Dwie osoby w ciągu jednej doby. Zrozumcie, robi się tu niebezpiecznie. Jakiś skurwiel zabija mieszkańców waszego miasta i chcę go jak najszybciej dorwać.

I tak już za dużo im wyjawiał w nadziei, że strach przemówi im do rozumu i podsuną mu jakiś szczegół, dzięki któremu będzie mógł dopaść mordercę.

– Sorry, stary, ale co mamy ci powiedzieć, jak nie wiemy? Po prostu jakiś typek skręcił w tamtą ulicę, i tyle. Ale nie wiemy, kto to. Sądzisz, że ma coś wspólnego z tym wszystkim?

Iwanowicz kiwnął głową i machnął ręką na pożegnanie, ignorując pytanie.

– Uważajcie na siebie – powiedział ścisłym głosem.

Wrzucił wsteczny bieg i zaczął cofać.

Przejechał ponad dwadzieścia metrów, gdy spostrzegł, że jeden z nich ruszył z miejsca i podbiegł do jego samochodu. Komisarz zahamował i uchylił szybę.

– Ten gość miał na plecach duży napis Koltex – wydyszał zziębnięty chłopak.

– Koltex? – zdziwił się. Próbował skojarzyć nazwę, ale nic mu nie przychodziło do głowy.

– No tak, a co, nie słyszałeś?

Komisarz pokręcił głową i zmarszczył czoło.

– No przecież to firma, która robi te remonty w kopalni.

Wycofał i wjechał w ulicę, którą mu wskazali. Była wąska i jednokierunkowa. Po obu stronach ciągnęły się chodniki, na których stały zaparkowane samochody. Włączył długie światła. Nikogo nie dostrzegł. Zdziwiło go to, bo o tej porze nawet w małym mieście zawsze można napotkać snujących się mieszkańców. Było już dawno po północy, jednak to i tak nie powinno tłumaczyć takiego wyludnienia.

Jechał wolno, rozglądając się na boki, bo nie chciał niczego przeoczyć. Przykleił twarz do przedniej szyby, a łokcie oparł o kierownicę. Uliczka lekkim łukiem zakręcała w lewo. Po obu stronach wznosiły się niskie, stare kamienice. Ani władze miasta, ani sami właściciele nie dbali o nie. Nikogo nie interesowało, że tyunki sypały się na ulicę, a za dwadzieścia lat wszystko będzie ruiną. Być może większość nie nadawała się do zamieszkania, jednak wciąż w tych miejscach tliły się ślady życia i ktoś w nich mieszka. Od razu zauważył, choć nie był specjalistą, że część nie spełniała podstawowych wymogów przepisów bezpieczeństwa. Ale czy kogokolwiek to w ogóle obchodziło? Komu chciałoby się zajmować czymś takim? Kto miałby zająć się odbudową tego, co popadało w ruinę i nie nadawało się do zamieszkania?

Wypatrywał mężczyzny w ubraniu roboczym firmy Koltex. Zakotował tę nazwę w pamięci i po cichu sobie powtarzał.

Zastanawiał, czego się spodziewać. Nie sądził, że spotka tutaj kogoś, kto był akurat w domu zamordowanego mężczyzny. Ale musiał to sprawdzić i przekonać się. Jakie jest prawdopodobieństwo, że szła tędy ta osoba? Ta, której szukali. Pewnie minimalne, odpowiedział sobie, bo ile osób o rysopisie zbliżonym do poszukiwanego może przechadzać się po kilkutyścyjnym mieście? A jeśli nawet to był ten mężczyzna, to co z tego wynikało? Skręcił w tę uliczkę, bo tu mieszkał, czy tylko dlatego, żeby schować się przed nimi, a może tylko poszedł na skróty w zupełnie w inne miejsce? Trzy możliwości, a każda z nich nie zbliżała Iwanowicza do prawdy. Męczyła go już gonitwa myśli, która nie dawała mu spokoju.

Po chwili dojechał do skrzyżowania. Ustąpił pierwszeństwa nadjeżdżającemu pojazdowi i pojechał za nim. Na kolejnym skrzyżowaniu wjechał na główną drogę, którą prowadziła poza miasto, w stronę kopalni. Wzdłuż drogi ciągnął się potok, który niejako przecinał miasto na dwie części.

Po paru minutach zjechał na plac w lesie. W dole szumiał niewielki wodospad. Obok prowadziła stroma i kamienna droga do samych sztolni, na której końcu znajdował się parking na kilka samochodów. Stał, wysiadł z auta, zabierając ze sobą telefon, i zaczął się wśluchiwać w to miejsce. Potem włączył GPS i zaznaczył sobie na mapie punkt, w którym się znajdował. System zapamiętał lokalizację. Zrobił zbliżenie. Według mapy była to jedyna droga dojazdu do tego miejsca. Resztę okolicy pokrywały lasy.

Wrócił do auta, wyzerował licznik wskazujący liczbę przejechanych kilometrów. Chciał zmierzyć odległość między kopalnią a domem drugiej ofiary. Nie wiedział, czy to okaże się w czymś pomocne, ale chciał mieć jakiś wstępny zarys tego, ile czasu potrzebował zabójca, by dostać się stąd do tamtego domu. To wyczerzenie może mieć dla nich znaczenie. Na razie planował zebrać jak najwięcej danych, które później mogliby wykorzystać.

Przyspieszył gwałtownie, zostawiając za sobą ogromny tuman kurzu. Gnał tak szybko, że aż się spocił, bo kosztowało go to sporo wysiłku i manewrów. Przejechał przez miasto, a potem pod dom zamordowanego. Zajął mu to około dziewięciu minut. Skręcił na podwórze nabuzowany adrenaliną.

Przed budynkiem stał Gawłowski. Spoglądał, jak kolega wjeżdża na podwórze. Palił papierosa. Wyglądał na zmęczonego i zmartwionego.

– Gdzieś ty był? – zapytał, gdy tylko Iwanowicz wysiadł.

– Musiałem coś sprawdzić. Prawie trzy kilometry. Tyle jest stąd do kopalni.

– No i po cholere ci ta informacja? Chcesz teraz sprawdzić, czy uda ci się przebiec taki kawałek? – Mówiąc to, podkomisarz był śmiertelnie poważny. Iwanowicz uznał, że ani nie było to śmieszne, ani na miejscu, ale ugryzł się w język.

– Mam świadków, którzy niedawno widzieli pewnego mężczyznę. Wygląda na to, że mógł stąd wracać. Biorąc pod uwagę, że to całkowite pustkowie i nieczęsto ktoś tędy chodzi po nocy, podejrzewam, że to mógł być on. Na razie jest to nic nieznacząca informacja, więc podchodzę do niej spokojnie, ale...

– Przecież to miasto – przerwał mu Gawłowski. – Nieduże, ale jednak. Wiesz, ile osób chodzi tutaj nocą?

Iwanowicz podniósł głowę. O tym samym myślał jeszcze kilkanaście minut temu, ale jak na przekór tej nocy spotkał niewiele osób. Wylączając żulików, z którymi rozmawiał.

– Chcesz sprawdzić każdego, kto szedł po ulicy? To nie ma sensu. To jest miasto.

– Niby masz rację, ale trzy rzeczy wskazują, że to mógł być on. Przede wszystkim zgadza się bardzo pobieżny rysopis gościa, którego tu widziałeś. Facet był duży. Druga sprawa, wracał stąd. Z tej okolicy. Nigdy wcześniej go nie widzieli. To jednak coś. To już dwie rzeczy, które nam coś mówią i być może się ze sobą łączą.

– Kto go widział? Masz świadków?

– Teraz to nie ma znaczenia.

– No dobra, a trzecia rzecz?

– Miał na sobie strój roboczy z napisem Koltex. Tak nazywa się ta firma, która robi remonty w kopalni. Musimy to koniecznie sprawdzić. Ale rano. Przede wszystkim potrzebujemy listy wszystkich pracowników sztolni. Będziemy po kolei sprawdzać przeszłość każdego. I terazniejszość...

– ...i przyszłość? A tak serio, skąd to wszystko wiesz? – spytał, spoglądając na dopalającego się papierosa, który niemal parzył mu palce. Tylko skrawek dzielił żar od pomarańczowego filtra. Zaciągnął się ostatni raz i pstryknął nim w dal. Pomarańczowe światelko szybko zgasło w wilgotnej trawie.

– Powiedziałem ci, od świadków. Widzieli niedawno jakiegoś typu. Rysopis zgadza się z tym, który podałeś. W tym momencie ważne, by ustalić, czy facet mieszka gdzieś w pobliżu. Skoro porusza się pieszo, to jest szansa, że pochodzi stąd.

Po godzinie wrócili do Jeleniej Góry.

Była trzecia w nocy, gdy Iwanowicz przyłożył głowę do poduszki. Przez kolejne pół godziny przewracał się z boku na bok. Bezszykownie. Bezsensownie. Bezsenność była silniejsza. Na pilocie wcisnął przycisk „play”. W tle rozległy się relaksacyjne nagrania z odgłosami natury, których często słuchał wieczorami, gdy miał problem z usnięciem. Krople deszczu, szum lasu, odgłosy wodospadu. Kilka miesięcy temu rozbudował sobie system głośników. Zamontowano je w podwieszonym suficie w całym mieszkaniu i były niemal niedostrzegalne. Sprzęt wysokiej jakości z profesjonalnym wzmacniaczem połączony z różnymi źródłami dźwięku, odtwarzaczem CD, gramofonem oraz wyjściem do telewizora i laptopa. Mógł słuchać krystalicznie czystej muzyki w każdym pomieszczeniu, nawet w łazience, kuchni oraz sypialni, bez konieczności przenoszenia urządzeń.

Po niespełna dziesięciu minutach usnął twardym snem, niczym dziecko, które zapomniało o trudzie całego dnia.

Umówił się z Gawłowskim na ósmą rano, ale przyjechał o dziewiątej, poinformowawszy go wcześniej, że się spóźni. Nie chciał się przyznać, że trudno mu było zwlec się z łóżka. Spał tak twardym snem, że nie mógł się podnieść, gdy po raz pierwszy zadzwonił budzik, a kolejne nastawienie drzemki nie pomogło. Budzik trzykrotnie budził go co pięć minut, lecz za każdym razem Iwanowicz znów zasypiał, zapominając i ignorując to, że musi wrócić do rzeczywistości, w której czekało na niego sporo obowiązków. Choć, co było dla niego dość dziwne, nic nie zapowiadało tak dobrej nocy. Cały był obolały, a mięśnie miał nadwężzone. Przewracając się z boku na bok, czuł zakwasy na grzbiecie i barkach – efekt wieczornego treningu na basenie. Przerwa w ćwiczeniach była widocznie zbyt długa.

Wziął zimny prysznic. Nie poczuł się po nim może jak młody bóg, ale przynajmniej mógł funkcjonować. Gdy tylko wyszedł z łazienki, zjadł śniadanie, sprzątnął porozrzucane ciuchy, które piętrzyły się kaskadami na oparciach krzeseł i foteli. Potem włączył głośno *China Girl* Davida Bowiego, zaparzył kawę, która – na co liczył po cichu – doda mu sił na cały dzień.

Wpół do dziesiątej dojechali do Kowar. Mieli w planach zajrzeć do komisariatu, ale w ostatniej chwili uznali, że sami wezmą na siebie część obowiązków i zmienią ustalony wcześniej porządek prac na ten dzień.

Dotarli do rozwidlenia. Auto z trudem podjechało pod górę. Mieli zamiar wziąć terenowy radiowóz, jednakże woleli korzystać z nieoznakowanego auta, dlatego zrezygnowali z pomysłu i pojechali czarnym służbowym oplem. Kontrolki na wyświetlaczu poinformowały, że silnik mocno się zagrzał, o mało nie doprowadzając do awarii. Wczoraj wjechali znacznie łatwiej dzięki napędowi na cztery koła, które miało prywatne auto Iwanowicza.

Na placu przed sztolnią stał terenowy nissan i dwa stare motocykle. Jednym była czarna WSK 125, którą od razu rozpoznał, ponieważ w młodości taką jeździł. Drugi był zmodyfikowaną MZK-ką z czerwonym bakiem.

Podeszli do wejścia, kraty przy władze były przymknięte. Odchylił je i weszli w głąb ciemnego korytarza. Od razu poczuli zimny powiew wiatru i dostrzegli wiszącą przy wejściu mgłę. Zimne i ciepłe powietrze zderzało się ze sobą, co powodowało, że latem wewnątrz tunelu zawsze unosiła się mgła.

Maszerowali przed kilka minut niemal na oślep, a tylko błyski uwieszonych pod sufitem żarówek podpowiadały im, dokąd mają się kierować. Oświetlenie było jednak tak słabe, że nie widzieli nawet, po czym stąpają. Gdzieś w oddali świeciła się większa lampa. Odnosili wrażenie, że jej blask słabł z każdą sekundą, nie dając żadnej nadziei na to, że spokojnie dotrą do celu.

– Wzięłeś latarkę? – spytał szeptem Gawłowski.

– Nie – rozległ się dźwięczny głos Iwanowicza, odbijając się echem w korytarzu. Zasięg odbijających się dźwięków pozwalał oszacować, że mieli jeszcze przed sobą przynajmniej kilkadziesiąt metrów tunelu, choć obaj wiedzieli, że mógł to być mylny szacunek. Trudno było ocenić odległość w ciemności. Z każdym krokiem ich pewność siebie topniała. Obawiali się, że w razie jakiegś nagłej konieczności będą mieli problem z trafieniem do wyjścia. Iwanowicz zawsze brał pod uwagę różne możliwości. Powrót na miejsce zbrodni jest dość niebezpieczny. Nigdy nie podzielał opinii kolegów, że zabójca rzadko wraca na miejsce zbrodni. To nie miało sensu i opierało się na jakiejś mglistej teorii, która nigdy do niego nie przemawiała.

Wielokrotnie zastanawiał się, w jakim stopniu teoria sprawdzi się w konfrontacji z rzeczywistością – przewidziwą, brutalną, niemierzalną i często niewyobrażalną. Bo zabójca przede wszystkim jest nieprzewidywalny. Konstruuje plan, a potem go realizuje. Nikt nie może mieć

całkowitej pewności, że wie, co on planuje. Tego teoria nie podpowie, nawet jeśli jest potwierdzona przykładami. Jeden postępuje tak, drugi inaczej. Nawet jeśli badania mówiły o większości, to nie znaczy, że należy pomijać tę mniejszość. Wystarczyło, że zabójcą był jeden z pracowników kopalni, a cała teoria wzięłaby w łeb, ponieważ musiałby codziennie wracać do pracy, a więc *de facto* na miejsce zbrodni.

Poruszali się coraz wolniej. Było bardzo wilgotno. Oddychało się coraz trudniej. Po jakimś czasie dotarli do punktu, w którym panowała całkowita ciemność, ponieważ dawno temu minęli ostatnią lampę. Niczego nie było widać i w każdej chwili mogli się o coś potknąć.

– Cholera, chyba trochę przesadziliśmy – przyznał komisarz. – Nie mam bladego pojęcia, gdzie jesteście.

– Słyszysz krople?

– No...

– Posłuchaj.

Zatrzymali się.

– Czekaj, poświęcę komórkę. Nie mam wbudowanej latarki, ale lepsze to niż nic.

Gawłowski wyciągnął telefon z dużym wyświetlaczem, wyminał kolegę i ruszył pierwszy. Blask rozświetlał im drogę na niewiele ponad metr.

Po chwili dotarli do rozwidlenia. Po lewej stronie, tak jak przewidział komisarz, znajdowało się przejście do drugiego rękawa, a po prawej stronie rozciągał się drugi tunel. Przeszli niskim tunelem następnym kilka metrów.

– Poświęć po ścianach, może gdzieś jest włącznik. Próbuje. A nuż coś znajdziemy.

Gawłowski oświetlił ścianę.

– Kurwa, są całe mokre. Wszędzie ścieka woda. Niemożliwe, by zamontowano na nich włącznik. Musi być gdzieś indziej. – Cofnął się do przedsionka, który łączył oba korytarze, ale tam też niczego nie znalazł.

Kręcił się jeszcze przez moment, wodząc wyświetlaczem telefonu po ścianie, jakby ją skanował w poszukiwaniu ukrytych wskazówek, ale dał za wygraną. Wrócił do głównego tunelu i ruszyli w głąb ciemności.

Nagle przystanęli. W oddali usłyszeli szmery. Ich źródło znajdowało się gdzieś niedaleko. Mógł to być zarówno szczur, jak i drepzczący w miejscu człowiek. Duchota i zwiększone ciśnienie powodowały, że trudno im było jednoznacznie ocenić, co słyszeli. Ciemności wypaczały ocenę.

Stali przez chwilę nieruchomo. Gawłowski zaczął machać telefonem na boki, chcąc oświetlić większy obszar, ale niewiele to dało. Widzieli ledwie na wyciągnięcie ręki, blask wyświetlacza nie przebijał się przez gęsty mrok spowijający korytarz.

Znów usłyszeli odgłosy.

– Słyszales?

Iwanowicz wzruszył ramionami, ale wiedział, że w tych okolicznościach to żadna odpowiedź.

– Chyba. To dochodzi... gdzieś z przodu.

Wyobraźnia komisarza podsuwała rozmaite obrazy tego, co to mogło być. Prawie jak we śnie. Myślał o drepzczącym w miejscu pracowniku, który czegoś szukał albo chciał się przed kimś schować. A może to był jakiś dziki pies lub kot, który zablądził? W pobliżu, tuż za placem, rozciągał się ogromny las, obrastający wzniesienia wokół Kowar. Wejście do sztolni zazwyczaj pozostawało niedomknięte, więc to by mogło wiele tłumaczyć. Mogły tu pomieszkiwać zwierzęta, o czym komisarz pomyślał dopiero teraz.

Gawłowski jeszcze raz wyciągnął rękę przed siebie, próbując oświetlić znajdującą się przed nimi pustkę wypełnioną ciemnością, która ani trochę nie zdradzała, co się znajdowało w jej wnętrzu. Iwanowicz sam siebie zganił w myślach za to, że nie wziął latarki. Powrót do auta nie miał już

sensu, za daleko odeszli.

Nagle poczuli silny powiew wiatru, jakby ktoś otworzył wrota, które wpuściły strumień powietrza. Po chwili usłyszeli głośnie trzaśnięcie. Iwanowicza przeszedł dreszcz.

– Co to było?

– Bo ja wiem, chyba jakieś drzwi. Kurwa, czuję się jak gówniarz, który uciekł na wagary do jakiejś jaskini, zapominając, że zwykle w środku jest ciemno jak w dupie.

Korytarz rozświetlił się delikatnymi strumieniami żółtawej, cieplej poświaty. Lampy rozbłysły niemrawo. Ktoś otworzył lub zamknął drzwi i oświetlił część korytarza. Oznaczało to, że gdzieś w pobliżu znajdowali się pracownicy Koltexu, którzy rozpoczęli w tym miejscu pracę.

Policjanci poczuli ulgę. Teraz przynajmniej wiedzieli, gdzie są. Rozejrzeli się wokół – znajdowali się dopiero kilkadziesiąt metrów za pierwszym rozwidleniem. Obaj sądzili, że najwyraźniej ktoś wie o ich obecności. Ale kto? Czy ktoś ich widział, gdy wchodził do tunelu, a może to rozświetlenie ich korytarza to zwykły przypadek? A jeśli ktoś o nich wiedział, dlaczego pozostawał w ukryciu? Dlaczego nikt nie próbował się z nimi skontaktować? Czekali przez moment, a potem ruszyli. Dotarcie do następnego łącznika zajęło im parę minut. W kolejnym korytarzu widoczność się poprawiła. Przyspieszyli kroku, nie chcąc marnować więcej czasu.

Komisarz spojrział na zegarek, zbliżała się dziesiąta. Wciąż nie wiedział, czy ktoś poza nimi tu był, czy włączone przed momentem światło oznaczało po prostu przyście porannej zmiany. Być może w głębi tych korytarzy praca szła pełną parą, choć, jak na razie, nie dochodziły do nich żadne dźwięki. Słyszeli tylko echo własnych kroków. Iwanowicz był tutaj dopiero po raz drugi, ale już teraz wiedział, że nie chce więcej przyjeżdżać w to miejsce. Nie czuł się tu dobrze. Ciemność robiła swoje, tak więc każdy, kto tu pracował i znał to miejsce, miał nad nimi przewagę.

Dotarli do punktu, w którym wczoraj znaleziono ciało mężczyzny. Miejsce zbrodni otoczono żółtą, polyskliwą taśmą. Nie dostrzegli niczego poza plamą brązowej, zaschniętej krwi. Całą resztę już uprzątnięto. Został tylko ten brudny, ledwie zauważalny ślad po ludzkim istnieniu.

Znow zrobiło się ciemniej. Pamiętali, że z głębi tunelu brygadzysta przyniósł dokumenty pracownika. Wynikało więc, że gdzieś tam musiało znajdować się biuro. Nie mieli jednak pojęcia gdzie i jak daleko stąd. Do nikogo nie mogli mieć pretensji, że gubili się w tych korytarzach. Przyszli niezapowiedziani i nieodpowiednio przygotowani, winić mogli tylko siebie.

Pięć minut później dotarli do kolejnego rozwidlenia. Znajdowały się tam dwa małe korytarze. Po kilku chwilach dotarli do celu.

Czekał na nich wydzielony fragment korytarza, obstawiony szafkami. Komisarz liczył na coś bardziej spektakularnego. W końcu biuro to biuro, więc Iwanowicz wyobrażał je sobie nieco inaczej. Przy stoliku siedział brygadzysta. Usłyszawszy głosy, odwrócił się w ich kierunku.

– Co tu robicie, panowie? W zasadzie wstęp na teren budowy jest zabroniony... – odezwał się Korecki na ich widok. Wyglądał dokładnie tak samo jak wczoraj. Wielka okrągła twarz z wylupiającymi oczami. Ten sam strój roboczy i ta sama odpychająca mina, która mówiła o nim wiele – przede wszystkim to, że nie był najsympatyczniejszym gościem w okolicy.

– W zasadzie to nie zauważyliśmy żadnej tabliczki przy wejściu, wskazującej na to, że to teren budowy. A poza tym to nadal jest miejsce zbrodni, proszę o tym nie zapominać – odpowiedział Iwanowicz, któremu niemiły ton pracownika momentalnie podniósł ciśnienie.

Korecki machnął umorusaną ręką, a potem wzruszył ramionami, jakby nagle stało mu się to obojętne.

– Dobra, o co chodzi tym razem? Mam mało czasu.

– Potrzebujemy listy pracowników, łącznie z ich danymi osobowymi, a także kserokopie dowodów osobistych. Wszystkich pracowników, bez wyjątku. Im szybciej się z tym pan uwinie, tym szybciej stąd odjedziemy i nie będziemy się naprzykrzać. – Iwanowicz z impetem oparł dłonie na

biurku, aż nieprzyjemnie zaskrzypiało.

Mężczyzna założył okulary i obrócił się na obrotowym krześle. Przez moment się zastanawiał, co zrobić, jakby coś odwróciło jego uwagę. Siedział w bezruchu, a po chwili sięgnął z trudem do najbliższej szafki i wyciągnął z niej segregator z napisem „Dane osobowe”.

– Nie muszę chyba przypominać panom o ochronie danych osobowych?

Gawłowski kiwnął tylko głową na znak, że rozumiał kiepski żart.

– Byłoby naprawdę wspaniale, gdyby wszystkie niewygodne zapisy prawne w czasie śledztwa zniknęły jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, prawda? – odpowiedział Iwanowicz, biorąc dokumentację. – Mówił pan wczoraj, że ma szesnastu pracowników. Zgadza się?

– Teraz zostało piętnastu. Będę musiał kogoś poszukać na jego miejsce. Chociaż na razie – spojrzął w grafik, który wisiał nad biurkiem – nie mamy na przyszły tydzień tyle pracy, więc może wystarczy mi ludzi.

– A teraz ilu jest na zmianie?

– Czterech. Wczoraj, to znaczy o osiemnastej, przychodzi kolejna czwórka. Potem kolejna i tak przez najbliższe dni. Czasami jest ich więcej, czasami mniej, w zależności od roboty na dany dzień. Ciągłe zmiany, czy to w kadrze, czy to w planie pracy. Już szalu tu dostaję, bo to mało wdzięczna praca. Wszystko trzeba zgrać, żeby chodziło jak w szwajcarskim zegarku. A jak pracy jest sporo, to i sam biorę narzędzia i robię jak wszyscy. Ciągłe tylko dostaję po łbie od szefa, facet jest wiecznie niezadowolony.

– Przełożeni bywają kapryśni, skąd ja to znam – rzekł Gawłowski, zerkając z ponurym rozbawieniem na Iwanowicza.

Korecki spuścił na moment głowę.

– Panowie wybaczcie, czasami jestem może i mało przyjemny, ale zrozumcie, że niekiedy brakuje mi cierpliwości od tego wszystkiego. Mało to mam, za przeproszeniem, debili na głowie, którzy często przychodzą pijani do pracy? Rotacja duża, a ja co chwila dostaję takiego, który nawet młotka nie potrafi dobrze utrzymać. I muszę się użerać, oczywiście wypieprzam ich wtedy na zbity pysk do domów, ale co się namęczę, to moje. Każę im wytrzeźwieć. I tak ciągle... Niby mam więc piętnastu pracowników, ale często ktoś jest nawalony w cztery dupy, więc dzwonię po kogoś, by go zastąpił. Bo delikwent ledwo stoi.

Popatrzyli na siebie. Zdziwiło ich to, że zaczął się przed nimi tłumaczyć.

– Wiemy, jak to jest. My też mamy ciągle z takimi do czynienia.

Iwanowicz nie odrywał wzroku od akt. Miał nadzieję, że wśród dokumentów znajduje się twarz psychopaty, który rozszarpał dwie osoby. Dane każdego pracownika oddzielone były kolorowymi wkładkami. Każdy dowód osobisty został skopiowany w skali 2:1, dzięki czemu widać było dokładnie ich twarze.

Przerzucał kartki, ale nie kojarzył tych anonimowych twarzy. Z góry było wiadomo, że nikogo nie rozpozna, bo żadnego z nich nie znał i nigdy nie widział. Mimo to zawodowy odruch nakazywał mu przyrzeć się nazwiskom i kserokopiom zdjęć z dowodów osobistych.

Podał teczkę koledze i spojrzął na niego wymownie. Gawłowski wiedział, co ma zrobić. Przejrzał dokładnie każdą stronę, ale nie rozpoznał osoby, która stała wczoraj przed domem. Wszystkie były do siebie podobne. Stare, zmęczone twarze. Każdy z tych ludzi mógł być właśnie tym, którego szukali.

– Przed sztolnią stoją dwa motocykle. Do kogo należą?

– Do pracowników, a co?

– A co z pozostałymi osobami? Czy dojeżdżają?

– Różnie, większość przychodzi pieszo, bo mieszkają dość blisko.

Gawłowski kiwnął głową na kolegę, by odeszli na stronę.

- Co jest? – zapytał komisarz.
- Musimy sprawdzić każde nazwisko i zobaczyć, czy ktoś z nich był karany. Jeśli tak, to zaczniemy przesłuchanie właśnie od niego. Inaczej się nie da. Te twarze nic mi nie mówią.
- Okej, ale i tak trzeba będzie spotkać się z każdym. Mamy już piętnaście osób do przesłuchania.
- Wiem. Ale to ma sens, zabójca musi być z Kowar, może właśnie tu pracuje. Musiał przecież go znać. Wiedział, gdzie i o której znajdzie swoją ofiarę. Wiedział, w którym korytarzu i w którym dokładnie miejscu. Nikt z ulicy tu nie wejdzie. Trzeba znać to miejsce, by się zakraść niezauważonym, a potem zniknąć.
- Akurat w tym miejscu zniknąć to żaden problem.
- A więc wszystko na to wskazuje, że zabójcą musi być ktoś, kto doskonale zna to miejsce.
- Pracownik?
- Sądzę, że tak. Pytanie tylko, który z nich jest zdolny do takiej potworności.
- Cóż, nie pozostaje nam nic innego, jak się dowiedzieć.

Niespełna kwadrans później byli już w drodze powrotnej do miasta. Brygadzysta początkowo nie był pewien, czy wydać im dane pracowników bez uprzedniej konsultacji z przełożonym, ale przekonali go, że dane pracowników są im niezbędne. Rzucili formułkami o utrudnianiu śledztwa i tym zamknęli mu usta. Mieli nadzieję, że na długo.

Zajechali pod komisariat w Kowarach, znajdujący się blisko centrum miasta. Był to dwupiętrowy pomniemiecki budynek ze strzelistym dachem, który z daleka wyglądał jak zwykły dom wielorodzinny z niewielkim gankiem po lewej stronie. Tuż przed nim znajdował się parking, na którym stały dwa terenowe radiowozy i prywatne auto.

W niedużej odległości znajdowały się przecinające się drogi, a dalej niskie bloki mieszkalne.

Iwanowicz otworzył drzwi auta i odwrócił się.

– Weź klucze do mieszkania, daj im te papiery i poleć, żeby sprawdzili pracowników kopalni pod kątem karalności.

– Coś jeszcze?

– Przekaż też, by zajęli się mieszkańcami kamienicy. Trzeba wszystkich przesłuchać. Niech to zrobią porządnie, a nie na odpierdol.

Iwanowicz wysiadł z samochodu, wyszedł poza teren parkingu i stanął przy ulicy.

Zszedł kilkadziesiąt metrów w dół wybrukowaną drogą. Komisariat miał doskonałe położenie, pomyślał. Znajdował się wzniesieniu, z którego rozciągał się widok na znaczną część miasta. Przechadzał się chwilę małymi, krętymi uliczkami.

Rozglądał się po mieście. Rejestrował każdą twarz i nasłuchiwał. Było wyjątkowo spokojnie. Uśpione miasto, które bało się rozbudzić po niedawnej tragedii. Stał chwilę w jednym miejscu i wsłuchiwał się w rytm miasta, jego wszystkie dźwięki, co powodowało, że wczuwał się w nie. Dzięki temu i dzięki melodii, jaką tworzyli wszyscy mieszkańcy, odnosił wrażenie, że lepiej je rozumie. Każdy nanosił na tę partyturę swoje odgłosy. Odgłosy codziennych prac, nic nieznaczająca pozornie krzątania, przejazdy samochodów, leniwe szuranie butami po chodniku, krzyk dzieci z pobliskiego placu zabaw, trzaskanie drzwiami.

Dostrzegł z oddali wychodzącego kolegę. Ruszył w jego kierunku i spotkali się przed komisariatem.

– Masz pozdrowienia od swojego ulubieńca – powiedział z przekąsem Gawłowski.

Iwanowicz zignorował słowa podkomisarza. Nie chciał bawić się w przekomarzenia i docinki.

– Kazaleś im ruszyć w miasto?

– Tak, dziś się tym zajmą.

– Czemu nie od razu?

– Nic nie powiedzieli, tyle że się tym zajmą.

– To ich psi obowiązek, więc... A zresztą niepotrzebnie się nakręcam.

Wyjechali spod komisariatu. Iwanowicz przypomniał sobie o wczorajszym znalezisku – o napisie na ścianie w domu Ryszarda Próchnickiego. Miał przed oczami widok krwi – ohydny napis: DRUGI.

– Ten napis.

– Co?

– Ciagle mam go przed oczami. Zastanawiam się, jak on to zrobił. Musiał wykazać się ogromnym sprytem, by nie zostawić po sobie nigdzie śladów. Kiedy zabójca wszedł do tego domu, jak przyniósł krew? Czemu to wszystko miało służyć? Zmyleniu nas czy wręcz przeciwnie – naprowadzeniu na coś? Jeśli tak, to po co? Dlaczego zabójca miałby zostawiać nam wskazówkę? Czemu by to miało służyć?

– Kurwa, aleś zadał mi pytań. Mam na wszystkie odpowiedzieć od razu czy dasz mi chwilę? –

Gawłowski uśmiechnął się pod nosem.

Iwanowicz przyspieszył za skrzyżowaniem. Milczał, bo tak naprawdę to był dopiero początek pytań, jakie z każdą godziną rodziły się w jego głowie. Zastanawiał się, czy zabójca znał jakieś informacje na temat toczącego się śledztwa. Wszystko wskazywało na to, że tak. Musiał przecież ich widzieć, chociażby wczorajszego wieczoru na podwórzu. Czy wiedział, kto prowadzi śledztwo, i czy ta informacja utrudniała mu, czy też może ułatwiała działanie? Czy miało dla niego znaczenie, że do śledztwa zostali przydzieleni śledczy z komendy jeleniogórskiej?

Czy planuje kolejny krok, równie brutalny lub jeszcze gorszy? A może to już koniec?

W myślach automatycznie powrócił do tego, co go dręczyło od rana. Napis.

Spojrzał na swojego partnera, który wciąż się uśmiechał, a potem niczym nieskrępowany zaczął dłubać palcami w zębach. Następnie przecesał krótkie włosy i wytarł dłoni o spodnie.

Po jakimś czasie jego uśmiech zgasł, a mina spoważniała. Może przypomniał sobie o tym, co czeka ich za chwilę.

Napis stanowił wiadomość wieńczącą jego dzieło bądź je inicjującą, myślał Iwanowicz. Jedno nie ulegało wątpliwości – musiał coś znaczyć i w jakimś celu powstać. Nikt, nawet najbardziej niepoczytalny, skoro zadał sobie tyle trudu, nie zrobiłby tego bez celu.

Tymczasem dojechali pod kamienicę przy ulicy Słonecznej. Rankiem to miejsce wydawało się nieco mniej parszywe niż wieczorem. Z pobliskich mieszkań przez otwarte okna dochodziły odgłosy kłótni i krzyków.

Zza kamienicy znajdującej się naprzeciwko wyszło dwóch podpitych mężczyzn. Spojrzeli na nich nieufnie, a potem usiedli przy krawężniku i zaczęli się im przyglądać z zaciekawieniem. Pewnie nie mają nic lepszego do roboty, brak pracy, zainteresowań, obowiązków, zastanawiał się Iwanowicz. Przypuszczał, że jednym z niewielu ich zajęć, pewnych i stałych, było skupianie uwagi na miejscowych wydarzeniach. Jedno zabójstwo, a potem drugie na pewno były nie lada sensacją. Zdawał sobie sprawę, że w mniejszym bądź większym stopniu w oczach mieszkańców byli elementem tego wydarzenia. Wydarzenia, które wstrząsnęło miastem. Zabójstwo dwóch osób musiało wywołać niemało zamieszania, z czego doskonale sobie zdawał sprawę. Ale z drugiej strony, czy morderstwo w mieście, w którym jeszcze przed laty przemoc była na porządku dziennym, mogło kogoś przerazić? Miał mieszane uczucia, mimo to intuicja podpowiadała mu, że tak. Że brutalne wypatroszenie dwóch mężczyzn jest czymś przerażającym bez względu na to, gdzie tego dokonano.

Mineła niespełna doba, ale takie wieści szybko się roznosiły. Ludzie wiedzieli, co się stało.

Iwanowicz z Gawłowskim weszli do środka. Odór stęchlizny i moczu wciąż wisiał w powietrzu niewietrzonej kamienicy. Wewnątrz budynku panowała niemal absolutna cisza. Nie słychać było żadnych odgłosów kanalizacji, trzasków ani rozmów. To miejsce wymarło i pogrzyżyło się w swoim naturalnym śnie.

Przekręcił klucz w zamku i weszli ostrożnie do środka.

– Ale capi – powiedział podkomisarz.

– Jak w całej okolicy. W kamienicy, w mieście... Uchyl okno, niech się trochę wywietrzy.

Iwanowicz nałożył lateksowe rękawiczki, których pudełko woził w samochodzie, i poszedł do łazienki. Wanna wciąż była cała we krwi.

Gawłowski otworzył okno, przejrzał pobieżnie kuchnię, a potem stanął w wejściu do łazienki. Obejrzał wnętrze i podsumował:

– Niedługo panienska zarządzająca tym lokalem będzie miała sporo roboty, żeby to wszystko doprowadzić do porządku.

Iwanowicz przyglądał się wannie, w której jeszcze wczoraj leżał martwy mężczyzna.

– O czym ty, do cholery, mówisz?

– O jego córce – odpowiedział podkomisarz. – Wczoraj sąsiad nam o niej wspominał, już zapomniałeś?

– Ale co z tego? – Wzruszył ramionami, nie odrywając oczu od miejsca zbrodni. – To nie nasza sprawa. Jeśli ona faktycznie istnieje, bo mogło się coś temu facetowi z naprzeciwka pomieszczać w głowie, i jeśli denat nie przepisał komuś tego mieszkania wcześniej, to niech ma i robi z nim, co chce. Należy jej się. Takie jest prawo. I ty, i ja dostaliśmy coś w spadku po starych.

– Na jej miejscu nie chciałbym tu mieszkać. Nawet po remoncie kapitalnym.

– Ale nie jesteś na jej miejscu – odparł krótko Iwanowicz. Zawahał się i jeszcze dodał po chwili: – A propos. Zamiast gadać o niczym, trzeba sprawdzić, kto faktycznie jest właścicielem kamienicy, pamiętaj o tym albo sobie zapisz. Trzeba mieć pełny obraz tego, co tu się dzieje. Może tu też chodzić o jakieś sprawy spadkowe, majątkowe. Ale na razie skup się na tym, by znaleźć coś, co przeoczyliśmy wczoraj.

Gawłowski spoglądał na kolegę, czekając jeszcze na polecenia czy uwagi.

– To znaczy co? – zapytał.

– Wczoraj przeczesał się pod innym kątem. Nikt nie sądził, że zabójstw będzie więcej. Skoro pojawiła się kolejna ofiara, to musimy spojrzeć na śledztwo nieco szerzej. Wiemy, że to wszystko ma jakiś wymiar symboliczny. Szukamy czegoś, o czym wczoraj nawet nie pomyśleliśmy, bo nie mieliśmy pojęcia, że tu może być.

– Błagam, jaśniej. – Gawłowski odwrócił się do niego i zrobił kwaśną minę. – Myślisz, że w tym upale i tym parszywym miejscu mam ochotę bawić się w czytanie twoich myśli?

– Wczoraj przyjechaliśmy tutaj, bo zgłoszono napad ze skutkownym śmiertelnym. Zgadza się? Zgadza – odpowiedział komisarz sam sobie. Gawłowski na niego patrzył, ale nic nie mówił. – Dziś jesteśmy w tym samym mieszkaniu. Ale wiemy, że lokator padł ofiarą jakiegoś pieprzonego psychopaty, który zabił z konkretnej, ale nieznanego nam przyczyny. I to już nie jest przypadek, jak mogliśmy sądzić początkowo. Ale co ważne: z konkretnego powodu, zapewne niebanalnego, potem zabił kolejną osobę. To każe nam spojrzeć na to wszystko z innej perspektywy. I na to miejsce też.

– No to czego mam szukać?

– Powodu, dla którego to zrobił. Musi tutaj być coś, co wczoraj przeoczyliśmy.

Gawłowski wruszył ramionami i przeszedł do kuchni.

Iwanowicz niczego nie znalazł ani pod wanną, ani za toaletą. Podniósł wieko zbiornika na wodę. Wszystko było w porządku. Przejrzał półkę, na której stał kubek ze szczotką do zębów. Stara, pewnie nigdy nieużywana, pomyślał. Jeśli zmarli nie mogli niczego powiedzieć, to niech w ich zastępstwie przemówią przedmioty, które zdążyli zgromadzić.

Kafelki były brudne, ale na nich też nie było niczego, co stanowiłoby ślad zostawiony przez zabójcę. Sufit również czysty. Sprawdził wszystko, co się dało.

Iwanowicz poszedł do kuchni. Coś może się znajdować pomiędzy szpargałami, które kleiły się od brudu, pomyślał. Coś do odkrycia. Skoro zabójca zostawił po sobie znak w domu Ryszarda Próchnickiego, to niewykluczone, że i tutaj coś im mogło umknąć.

To nie ulegało wątpliwości. Jak wygląda ten ślad? – zadał sobie pytanie w myślach, choć chciał je powiedzieć na głos. Obawiał się jednak, że Gawłowski w niczym mu teraz nie pomoże.

Rozejrzał się, ale nigdzie nie było żadnego napisu jak tamten u Próchnickiego. Brak krwi, śladów czy znaków do zroszefrowania.

Przeszukał meble, wszystkie półki, ale niczego nie znalazł. Znalazł stare talerze, kubki, puste słoiki i pojemniki po przyprawach, stare opakowania po ciastkach, słoiki z popsutą żywnością. Podnosił każdy przedmiot i uważnie oglądał, a potem odkładał na miejsce. Trwało to ponad pół godziny. Zajrzał do każdej szafki, podniósł wykładzinę, obejrzał okna, firanki, lodówkę.

Potem zajęli się pokojem. Trzeba było przeszukać każdy zakamarek.

Mieszkanie przesiąkło smrodem, którego źródło trudno było ustalić. Być może składały się nań wszystkie przez lata wylane na podłogę płyny, kurz nagromadzony przez całe lata, moc, który nie zawsze oddawany był w toalecie. Oczywiście smród też spotęgowały leżące wczoraj zwłoki.

Iwanowicz przetarł spocone czoło. Czuł zmęczenie, mimo że byli tu od niedawna. Koszmarny upał robił jednak swoje. Po tym, jak Gawłowski otworzył okno, do mieszkania wpadało gorące powietrze. Usiadł pod ścianą, by chwilę odpocząć.

Zabójca mógł zostawić jakiś ślad, ale wcale nie musiał. To mogło znajdować się wszędzie, ukryte w najbardziej nietypowym miejscu. Ale co?

Morderca działał według pewnego schematu, więc to miejsce również musiał naznaczyć. Komisarz wykluczał, by ten sprawa postępował niekonsekwentnie. Tu chodziło o logikę, pewien wzorzec, który musieli odnaleźć. Zdarzyło się za wiele, by w grę wchodził przypadek.

Nie wykluczał, że te dwa zabójstwa mogły stanowić początek serii, ale mogły też być

egzekucjami – brutalnymi, parszowymi i odrazającymi. I tylko miały przypominać zabójstwa seryjne. Próba zamaskowania egzekucji? Obie wersje brał pod uwagę, bo brzmiały sensownie. Ale znów – gdyby były czystymi egzekucjami wykonanymi na zlecenie, to dlaczego ktoś pofatygował się i zostawił ten znak? Dla zmylenia policji?

Czas zweryfikuje, co jest prawdą. Teraz musieli sprawdzić absolutnie wszystko, co tylko wynikało z logiki poprzednich zdarzeń i tego, co do tej pory ustalono. Jeśli te założenia okażą się błędne, będzie musiał od nowa stworzyć strategię działania.

– Masz coś? – zapytał Gawłowski.

– Nic. Jeden wielki syf – odpowiedział i kichnął, bo nozdra podrażnił mu unoszący się w powietrzu kurz, który wbił się, gdy podnosił koldrę.

Komisarz wstał i zaczął przyglądać się ścianom.

– Napis... musi gdzieś tu być. Jakiś znak, coś. – Wciąż to powtarzał, by usprawiedliwić swoje działania, a może po prostu dlatego, że bardzo chciał jakiś znak znaleźć.

Minęło pół godziny. Przeszukali mieszkanie centymetr po centymetrze, a potem zrobili przerwę. Wiedzieli, że niczego nie znajdą. Mieszkanie było małe i choć miejsc, w którym zabójca mógł coś pozostawić, było wiele, to komisarz uznał, że zrobili, co w ich mocy. W gruncie rzeczy napis mógł znajdować się wszędzie, choćby bardzo niewielki, ukryty w miejscu mało oczywistym.

– Zabójca mógł użyć innego sposobu, by nam coś przekazać – rzekł Iwanowicz i oparł się o parapet.

– Przekazać?

– Nie musi to być ściana, nie musi to być nawet to mieszkanie. Lecz co w takim razie?

– Ale co przekazać?

– W tym problem, że nie wiem. Wciąż zadaję sobie to pytanie i liczę na to, że każda kolejna minuta spędzona w tym mieszkaniu przybliży nas do odpowiedzi. Ale mam też nadzieję, że jeśli będziemy mówić sobie o wszystkim, dosłownie o wszystkich wątpliwościach i pomysłach, to może wpadniemy na jakiś pomysł.

Gawłowski głęboko westchnął.

– To co proponujesz?

– Trzeba jeszcze raz przeszukać to mieszkanie. A może i całą kamienicę.

Dochodziło południe, kiedy wyszli zmęczeni bezskutecznym przeczesywaniem mieszkania. Stanęli przed wejściem do kamienicy. Powietrze zrobiło się suche i duszne. Oddychało się z trudem.

Miasto zamarło w bezruchu, wszystko wyglądało tak, jakby stało w miejscu i jakby przez ten czas nikt nawet nie drgnął ani nic się nie wydarzyło. Zupełnie nic. Kompletny bezruch. Dwaj mężczyźni wciąż siedzieli i bacznie się wszystkim przyglądali niczym najwierniejsza publiczność wyczekująca finału nudnego spektaklu.

– Mieszkacie w tej kamienicy? – zapytał Iwanowicz, wskazując palcem na budynek.

– No – odburknął jeden z nich, który wydawał się bardziej trzeźwy.

– Widzieliście, by ktoś się tu kręcił w ciągu ostatnich dwóch dni?

Pytany wzruszył ramionami i upił łyk piwa.

– Trudno powiedzieć. Tu co chwila ktoś chodzi, ktoś wchodzi, wychodzi...

– Nie zauważyłem teraz wchodzących ani wychodzących – odparł Iwanowicz.

– A trochę już tu jesteśmy – dodał Gawłowski. – I jakoś żadnej osoby nie widzieliśmy, która by wchodziła lub wychodziła, więc nie pierdol nam tu głupot.

– No akurat teraz nie, ale tak to na okrągło ktoś wchodzi albo wychodzi – odparł mężczyzna, sepleniąc. Komisarz dostrzegł, że nie miał zębów.

Drugi szturchnął go łokciem w ramię i powiedział coś cicho.

– Nie widzieliśmy nikogo podejrzanego.

Iwanowicz liczył na jakieś konkrety, ale znów się przeliczył. Bez sensu było owijać w bawełnę, więc musiał zadawać takie pytania, które trafią do jego rozmówców.

– Wiesiek Groński miał wrogów? Długi?

Obaj zastanawiali się przez chwilę. W końcu sepleniący odrzekł:

– Raczej nie. Poza tym mało go znaleźliśmy. On z tym swoim przydupasem cały czas się zadawał, z nami mniej.

– Dajcie spokój, panowie, przecież każdy ma jakiś dług, nie żyjemy od wczoraj – powiedział podkomisarz. – Nam możecie powiedzieć.

– Serio? – Obaj zaśmiali się, a potem obrócili głowy. Chcieli wstać i odejść, ale zatrzymał ich głos Gawłowskiego.

– Zaraz wam wypierdolę to piwo w krzaki i tyle będziecie mieć, a potem jeszcze każę was zawieźć na wytrzeźwiajątkę. Mówcie po dobroci albo pogadamy inaczej.

– A skąd mamy wiedzieć? Może miał. Ale na pewno nie jakieś duże. Może i wisiął komuś za wino czy wódkę, może za fajki, cholera wie.

– A Rzońca? Kumpłowali się. Może on był komuś coś winien?

– No, jak my z Jureczkiem. – Zaśmiali się i podali sobie ręce, by pokazać łączącą ich przyjaźń. – Ale nie nie wiemy, jak Bożię kocham. Nie siedzieliśmy mu w portfelu, więc skąd mamy wiedzieć?

Iwanowicz przerwał rozmowę i odszedł kawałek na bok. Stał przez chwilę i spoglądał na ulicę, podrapał się po głowie, a potem wrócił do kamienicy i zastukał w drzwi mieszkania na parterze. Czekal ponad minutę, ale nikt mu nie otworzył. Później przeszedł do kolejnego, również zastukał. Cisza. Uznał, że lokale są puste. Drzwi do wszystkich mieszkań na parterze wyglądały tak, jakby od wielu miesięcy nie były otwierane. Na każdym z nich wisiły pajęczyny, a na progach zalegał kurz.

Z budynku nie dochodziły żadne dźwięki. W oddali słychać było jedynie ciche odgłosy miasta i Gawłowskiego, który nadal rozmawiał z pijaczkami.

Wszedł na piętro i zastukał do drzwi kolejnego mieszkania. Długo czekał, nim otworzyła mu kobieta w średnim wieku. Uchyliła drzwi i ukazała się jedno oko. Na widok postawnego gościa zrobiła zdziwioną minę, jakby zobaczyła ducha. Widocznie nie przywykła do wizyt obcych, pomyślał

Iwanowicz

– Dzień dobry, jestem z policji. Czy mogę z panią porozmawiać? – Wyciągnął legitymację.

Kobieta długo się w nią wpatrywała. Czytała każdy napis, spoglądała kilka razy to na zdjęcie, to na twarz Iwanowicza, porównując je ze sobą.

– A w jakiej sprawie? – zapytała niemal szeptem.

– W sprawie pani sąsiada, Wiesława Grońskiego. Przesłuchujemy rutynowo wszystkich mieszkańców kamienicy – dodał, bo wiedział, że tymi słowami na pewno uspi jej podejrzliwość.

– Ach, ale ja... Ja nic nie wiem. Jak mogłabym pomóc?

Iwanowicza zdumiało pytanie.

– To właśnie chciałbym ustalić. Zadam pani dosłownie kilka pytań.

Długo zwlekała, nim otworzyła szerzej drzwi. Z niechęcią zaprosiła go do środka. Pewnie nie przywykła do gości, tym bardziej z policji. A może się bała. Zamordowano sąsiada, trudno więc o spokój i zaufanie wobec obcych, nawet w biały dzień. I to takich, którzy wyglądają jak wojskowi albo bandyci. Iwanowicz był świadom swojej aparycji. Wiele osób mówiło mu dawniej, że wygląda jak trep, który niedawno przyjechał na przepustkę z misji w Afganistanie. Ciało opalone, krótka fryzura i niewielka blizna na wysokości skroni, która wyglądała jak ślad po nożu. W tym miejscu nigdy nie rosły mu włosy. Miał przenikliwe spojrzenie, niski głos i sylwetkę sportowca. Wiedział, że na pierwszy rzut oka nie wzbudza sympatii.

Przeszli do niewielkiej kuchni. Mieszkanie miało taki sam układ pomieszczeń jak lokal Grońskiego. W odróżnieniu jednak od tamtego wewnątrz było czysto, a w powietrzu pachniało świeżością, jakby jego właścicielka przed momentem robiła pranie.

Dobrze było poczuć zapach nieprzywodzący na myśl moczu, potu i zmęczenia.

– Niech pan tam usiądzie. – Wskazała taboret stojący przy oknie. – I proszę o konkrety, bo nie mam sił, by siedzieć z panem za długo. Proszę wybaczyć bezpośredniość, ale choruję i jestem osłabiona.

– Muszę zadać kilka pytań w związku ze śmiercią pani sąsiada.

Kobieta nie zareagowała, czekała na to, co komisarz powie. Miała wyrazistą twarz. Posiwała włosy spięta w kucyk. Nosila okulary do czytania, zza których spoglądała przeszywająco jak surowy prokurator. Sprawiała wrażenie silnej i zdyscyplinowanej. Na odległość wyczuwało się jej twardy charakter. Być może właśnie to powodowało, że odniósł wrażenie, jakby to on miał być za moment przesłuchiwanym. Jedyne spokojny i stonowany głos do niej nie pasował.

Wyciągnął z kieszeni niewielki notes. Zza okularów dosięgło go ostre spojrzenie. Śledziła każdy jego ruch.

– Na początek chciałbym spytać o pani godność.

– Janina Pilecka.

– Czy słyszała pani jakieś odgłosy tej nocy, której zginął sąsiad?

– Chodzi panu o wczorajszą noc, tak?

Kiwnął głową.

– Niczego nie słyszałam, noszę aparat słuchowy. Niedosłuch. Zdejmuję go na noc. – Kobieta jakby uprzedziła kolejne pytanie, przechyliła głowę, odsunęła kosmyk włosów i pokazała cienki, niemal przezroczysty przewód zachodzący za ucho.

– Rozumiem. A czy wcześniej, może w dzień, dochodziły stamtąd jakieś niepokojące dźwięki?

– Proszę pana, gdyby tak było, zadzwoniłabym na policję lub przynajmniej sprawdziła, co się dzieje. Oczywiście wszystko w ramach rozsądku.

– Czyli niczego pani nie słyszała – stwierdził i zanotował.

– Sprecyzujmy, nie słyszałam niczego niepokojącego. Nic takiego, co kazałoby mi sądzić, że dzieje się coś złego.

– Czy może pani jaśniej?

– Chyba wyraziłam się całkowicie jasno. Nie słyszałam niepokojących dźwięków.

– Czy Groński wdawał się w bójki, kłótnie z sąsiadami? A może z kimś innym?

Wzruszyła ramionami.

– Sądzi pani, że miał wrogów?

– A skąd mam wiedzieć takie rzeczy? Z tego, co wiem, to nie mógł się odessać od butelki. On i jego kolega z naprzeciwka. Moi sąsiedzi do znacznych ludzi nie należeli. Nic na to nie poradzę i tego nie zmienię. Może to jakaś kara boska? – powiedziała z wyczuwalną kpiną w głosie.

Wstała i uchyliła okno. Zrobił się przeciąg, który uchylił drzwi do pokoju. Przez szczelinę dostrzegł półkę z książkami. Pilecka podeszła, by zamknąć drzwi, i usiadła przy stole.

– A bójki?

– Bójki? Proszę pana, proszę mnie zrozumieć, bo nie chcę żadnych nieścisłości w zeznaniach ani innych nieporozumień. Naprawdę nie śledzę, to znaczy nie śledziłam moich sąsiadów. Mam ciekawsze zajęcia. Wiem, że Groński był alkoholikiem, więc może i wdawał się w jakieś bijatyki. Ale chyba nie był ani gangsterem, ani nikiem w tym stylu. Dwa, może trzy lata temu zmarła jego żona. Po tym zaczął pić jeszcze więcej i zatracił się kompletnie. Pomagał mu w tym Rzońca, choć i on na bandytę mi nie wygląda. Mieszkam tu od ładnych paru lat, a zamieniłam z nim może parę zdań. Choć, jeśli mam być szczerą, z takimi mogłabym w ogóle nie rozmawiać. Moje życie ani odrobinę nie byłoby uboższe, gdybym nie mijala się z nim na korytarzu i nie powiedziała „dzień dobry”. Oczywiście tylko z grzeczności, bo tak mnie wychowała matka. Myślę, że przesłuchując go wczoraj, bo zapewne już to pan zrobił, zamienił z nim pan więcej słów niż ja w ciągu całego swojego życia.

– No tak, tak. Nie ukrywam, że chwilę trwało przesłuchanie i do najciekawszych nie należało. Ale rozumiam, o czym pani mówi.

Rzamiłk na chwilę. W oddali usłyszał klakson, potem kolejny. Pomyślał, że być może jakiś kierowca stanął na skrzyżowaniu i nie ruszał. Sekunda, dwie i nerwica kierowców dawała o sobie znać. Wszyscy się poganiali jak wściekle zwierzęta, byle szybciej, byle sprawniej ruszyć do przodu.

– Kolejne pytanie może się pani wydać bez sensu, lecz mimo to je zadam. Może pani wie, czy sąsiad mógł mieć z kimś jakieś zatargi na tle finansowym? Czy mogło chodzić o porachunki?

Pilecka wzruszyła ramionami i uśmiechnęła się, pokazując komisarzowi, jak bardzo to pytanie wykraczało poza jej wiedzę na ten temat.

– Takich rzeczy, proszę pana, to ja nie wiem. Nie mnie go osądzać, więc proszę nie zadawać takich pytań, bo szkoda i mojego, i pana czasu. Nie wychylam nosa poza to mieszkanie. Czasami schodzę po zakupy, czasami do biblioteki. Raz na kilka dni. A o byłym sąsiedzie i tym drugim to nic nie wiem, poza tym jak się nazywa i tym, że mieszkamy, to znaczy mieszkaliśmy, w tej samej kamienicy. Jak mówię, jego i Rzońcę stawiałabym na tym samym poziomie. Niemal tacy sami. W moim odczuciu obaj tak samo Bogu ducha winni. Ale jednak widać, że komuś czymś zawinił.

Iwanowicz kiwnął głową odruchowo i pomyślał o kolejnym pytaniu.

– Czy przychodzili do niego jacyś inni ludzie poza Rzońcą?

– Ależ jest pan uparty. Powiedziałam, że nie śledziłam jego życia. Nie wiem, kto i kiedy do niego przychodził. Czasami w dzień słychać było śpiewy, czasami jakieś krzyki pijackie. Panu jako policjantowi chyba nie muszą tego opisywać, bo wie pan, co mam na myśli. Kto, co i kiedy śpiewał, tego nie wiem. Zapewne on i jego towarzysze, jak się pan domyśla. Wolę bardziej wyrafinowaną muzykę aniżeli ta, jaka dochodziła z jego mieszkania.

Znow kiwnął głową.

– A czy zauważyła pani w pobliżu kogoś obcego, kogo nigdy wcześniej pani nie widziała? Ktoś może obserwowal to miejsce w ostatnich dniach?

– Nie. Niczego takiego. Naprawdę, nie wiem, po co te pytania. Nie wychylam nosa

z mieszkania, ponieważ nie pracuję. Jestem na rencie ze względu na problemy zdrowotne. Nie mam w zwyczaju być nieufna wobec otoczenia, choć nie przychodzi mi to łatwo, biorąc pod uwagę, gdzie mieszkam. Nie obserwuję okolicy, bo zwyczajnie mnie ona nie interesuje. Wczorami czytałem lub oglądałem telewizję, chociaż zdecydowanie więcej czytałem. No, ale trochę odbiegamy od tematu.

Iwanowicz spostrzegł niewielki stos książek i gazet, które stały ułożone w kilku niewielkich kolumnach między kuchennymi szafkami. Na stole leżał otwarty tygodnik oraz mała książka. Nie udało mu się odczytać autora. Jej codzienność to było to miejsce. Stół, niewielki pokój, zadbana kuchnia.

– To jest mój świat – ciągnęła. – Cała reszta nie interesuje mnie aż tak jak innych. Cóż, taka już jestem. Wszyscy dookoła siedzą w oknach, gapią się, wypatrując nie wiadomo czego. Ale nie ja. Zresztą niech pan spyta właśnie tych, co cały czas stoją na ulicy, albo tych, co to siedzą w oknach. – Zabrzmiało to jak polecenie. – Zapewne oni panu pomogą, nie ja.

– Na pewno to zrobię. Kto jeszcze mieszka w tej kamienicy?

– Nikt. Teraz tylko Rzońca i ja, reszta mieszkań jest pusta.

– To dziwne, bo wczoraj mi powiedział, że na dole mieszka jakaś staruszka. I rodzina.

Uśmiechnęła się, bezradnie rozłożywszy ręce.

– Nie widzi pan. Widocznie coś kojarzył piąte przez dziesiąte. Pewnie chodziło mu o mnie, ale najwidoczniej pomylił mu się piętra. A co do rodziny, to faktycznie do niedawna mieszkali tu jacyś. Ale z tego co wiem – zawiesiła na moment głos, by policzyć – to było już ponad dwa, prawie trzy miesiące temu, jak się wyprowadzili.

– Czyli ta staruszka z dołu...

– Nie mieszka tu żadna staruszka. Jestem jedyną kobietą, która mieszka w tym budynku. Może coś mu się pomieszało. Proszę mi wybaczyć tę szczerość, ale nie darzę go zbyt wielkim szacunkiem, mówiąc delikatnie. I przepraszam, że przy panu używam tak dosadnych określeń, ale sam pan chciał, abym była szczerą.

– W porządku, doskonale panią rozumiem. – Uderzył dłońmi w kolana. – To by było chyba na tyle.

– Gdybym mogła jeszcze w czymś okazać się pomocna, to proszę zajrzeć. Otworzę panu drzwi, rzecz jasna, ale nie oznacza to, że policja jest tu mile widziana. Wręcz przeciwnie. Wolałabym wszystkie odwiedziny ograniczyć do niezbędnego minimum.

– Nie będę pani nachodzić, jeśli oczywiście nie zajdzie taka potrzeba. Chcielibyśmy jak najszybciej złapać zabójcę. Tylko po to tutaj jesteśmy.

Wyszedł i po chwili stanął przed drzwiami mieszkania Rzońcy. Zastukał. Musiał trochę odczekać, nim się uchyliły i ukazała się mizerna twarz gospodarza.

– Słucham. – Nie zabrzmiało to jak pytanie o cel wizyty.

– Dzień dobry, możemy porozmawiać?

– A kim pan jest?

– Z policji.

– Nie znam pana, więc żegnam.

Już chciał zamknąć drzwi, ale Iwanowicz wsadził but między drzwi a framugę.

– Wczoraj pana przesłuchiwałem, byłem z kolegą, nie pamięta pan?

– Średnio.

– Zabito pana kolegę. Pisaliśmy zeznanie, co z tobą, człowieku?

Rzońca chwilę milczał. Sekundy się przeciągały.

– No może i tak było. Trudno mi się po tym wszystkim pozbierać... – zaczął kręcić. – Dobra, wchodzi pan.

Wewnątrz panował zaduch. Od wczoraj nic się nie zmieniło. Jedyną różnicą był trzeźwy

gospodarz. Usiedli w tych samych miejscach co poprzednim razem.

- Wracam od pana sąsiadki, pani Janiny.
- No i? Powiedziała coś? Widziała sprawcę?
- Niewiele. Właściwie to nic.
- To po co zwraca mi pan głowę?

Widać było, że nic go to nie poruszyło. Nie był zestresowany ani nie widać było żadnej reakcji emocjonalnej po wzmiance o Pileckiej. Morderca czułby stres, ulgę, zadrżałby, spiął się. Zareagowałby. Iwanowicz zauważyłby to. Rzońcy wszystko wisiało. To nie on jest zabójcą, doszedł do wniosku komisarz. Widział, że u Rzońcy powoli rodził się kac, więc liczyło się tylko jedno – jak najszybciej się napić. Poznawał to po jego oczach i delikatnie drżących palcach. Nie minie godzina i będzie pijany, pomyślał Iwanowicz.

- Właściwie nie po to tutaj przyszedłem. Chciałem zapytać, czy przypomniał pan sobie coś od wczoraj? Od naszej ostatniej rozmowy?

Rzońca machnął ręką, jakby chciał odgonić muchę, potem pokręcił głową.

- Nie wiem, łeb mnie boli i nic mi nie przychodzi na myśl. A poza tym powiedziałem już wszystko. Nie wiem, kto zabił Wieska. Naprawdę nie wiem, bo i skąd? – zapytał, wzruszając ramionami. – Tak naprawdę pewnie ktoś to zrobił przez pomyłkę, bo jak można zabić niewinnego człowieka?

- Niewinnego?
- No tak, a co?
- Ktoś mógł mieć powód, by go zabić?
- Nie sądzę.
- A może ktoś chciał mu wyrządzić krzywdę? Wspominał coś?
- Nikt nie mógł mieć powodu, by zrobić mu krzywdę. Nie aż taką.

Iwanowicz zmienił temat, bo w ten sposób mogliby rozmawiać do wieczora bez efektu.

- Słyszałem, że ostatnio ostro popijaliście.

Mężczyzna spojrzał na komisarza niepewnie. Iwanowicz wyczuł, że zaraz wejdą na niewygodny dla gospodarza temat. Picie, krzyki, śpiewy, zakłócanie spokoju. Będzie musiał się tłumaczyć ze swojego zachowania, a była to zapewne ostatnia rzecz, na którą miał teraz ochotę.

- I co z tego?

- Możliwe, że komus nadepnęliście na odcisk. Może komus podpieprzyliście jakieś cenne rzeczy albo obrobiliście działkę, a może samochód?

- Nic z tych rzeczy. Nie zajmowaliśmy się tym.

- Mam sprawdzić, czy ostatnio coś zginęło w pobliżu? – spytał, podniósł się, spojrzał mu w prosto w oczy, a potem podszedł do okna i wyjrzał na zewnątrz. Wiedział, że nie powinien odwracać się do niego plecami. Nigdy nie powinien tego robić, gdy był z kimś sam na sam. Nieważne, czy rozmawiał ze świadkiem, czy z podejrzanym. Osoba czująca zagrożenie mogła wykorzystać ten moment i zaatakować. Iwanowicz nawet nie zdążyłby zareagować.

- To jak? – zapytał, spoglądając na wąską uliczkę, która znajdowała się pod oknem.

- Jak Boga kocham, niczego nie podpierzdziliśmy.

- Wiesz, że to sprawdzę.

Komisarz przeniósł spojrzenie na kamienicę stojącą po drugiej stronie ulicy. Widział krzątającą się w kuchni kobietę, która robiła coś przy zlewie.

Zmrużył oczy i spojrzał w słońce, które tego dnia spalało doszczętnie to miejsce.

- Raz... – Rzońca zaczął mówić ściszym głosem. – Może z pięć lub sześć lat temu, nie wiem kiedy dokładnie, ale to stara historia. Tylko raz nam się zdarzyło, że zwinęliśmy jakiegoś frajerowi aparat. Zwykły aparat fotograficzny. Taki czarny, z obiektywem. Wiesz pan, chwila jego niewuagi,

bo zostawił rower z plecakiem na bagażniku i poszedł do sklepu. Więc wykorzystaliśmy moment. Potem sprzedaliśmy to w komisie, poszedł za dwie albo trzy stówy.

– Byliście za to karani?

Zaprzeczył.

– Gość widocznie kapnął się, gdy był już poza miastem. A może bał się iść z tym na policję. Tak to jest, dla jednego aparat to majątek, a dla innego dniówka w pracy, więc nie chcą się w to bawić. Nikt nas o to nie posądził, sprawa ucichła.

– Nic więcej? Tylko ten aparat mieliście na koncie?

– Słowo daję.

Iwanowicz nie wiedział dlaczego, ale czuł, że Rzońca mówi prawdę. Była w nim jakaś prostota, a jednocześnie szczerść. Facet przyznał się do popełnionego przewinienia. Mało kogo stać, by coś takiego powiedzieć osobie, którą widzi się drugi raz w życiu. Zwłaszcza policjantowi.

– Janina Pilecka, pana sąsiadka. Jakie ma pan z nią relacje?

Odpowiedź nastąpiła szybko. W ogóle się nad nią nie zastanawiał.

– Nie mam żadnych. I tyle. Widuję ją raz na miesiąc, nie zawsze tutaj, czasami na ulicy.

Mówimy sobie tylko „dzień dobry”.

Nic nowego. Iwanowicz znów zmienił temat, bo być może trafił na moment szczerści. Powtórzył więc poprzednie pytanie.

– Kto nie lubił Wieska? I za co?

Rzońca zdecydowanie pokręcił głową i skrzywił się. Była to jednoznaczna mina.

– Mówisz pan serio? Naprawdę nic nie wiesz?

Iwanowicz kiwnął głową.

– Czy w ostatnim czasie zachowywał się jakoś dziwnie, podejrzanie? Może czegoś się bał, czymś się martwił?

– Żył z dnia na dzień, nie przejmował się otoczeniem, jeśli o to pan pyta. Nikogo się nie bał, co najwyżej komornika. Być może by do niego zawitał, bo nie przeczę, trudno dziś płacić rachunki na czas. Sam pan rozumiesz, że trudne mamy czasy. Wiesiu nie zachowywał się dziwnie. Po prostu żył chwilą, jak to się mówi, i niczego się nie bał. Świętoszkiem nie był, ale ludziom pod nogi nie pluł.

Iwanowicz nie miał więcej pytań. Trzeba działać dalej. Mógł oczywiście cisnąć świadka i kazać mu przypominać sobie każdy szczegół tamtej feralnej nocy, ale to nie miało sensu. Dopóki sam sobie nie przypomni, na nic zdadzą się wszystkie pytania. Długo milczał, aż nabrał pewności, że już nic więcej nie przyjdzie mu do głowy, co pomogłoby w śledztwie.

Ruszył w kierunku drzwi, ale przystanął i zawahał się. Coś mu się nagle przypomniało.

– Czy Wiesiek kochał swoją córkę?

Pytanie najwyraźniej zaskoczyło Rzońcę, który spojrzał na policjanta, a potem w okno, jakby odpowiedź na to pytanie wymagała skupienia i namysłu.

– Mało o niej mówił. Praktycznie wcale. Nigdy go o to wprost nie zapytałem, bo widać było, że nie chciał o niej rozmawiać.

– Czuję, że jest jakieś „ale”.

– Tak, bo... nie wiem, z jakiego powodu unikał tematu, jak Boga kocham, pojęcia nie mam. Co jakiś czas delikatnie podpytywałem, tak, no wiesz, pan, grzecznie i po koleżeńsku. Ale trudno było coś z niego wyciągnąć. Uparł się jak osioł i unikał rozmów.

– Kochał ją czy nie, jak pan uważa?

Rzońca wbił wzrok w okno. Przez chwilę sprawiał wrażenie, jakby coś się w nim poruszyło. Iwanowicz przez ułamek sekundy miał nadzieję, że znalazł jakiś czuły punkt w relacjach między ojcem a córką. Po prostu to wyczuł, a sąsiad być może trochę orientował się w tym temacie.

– Nie wiem, jak Boga kocham, jeszcze raz powtarzam: nie wiem. Nie mam pojęcia, co mu

w głowie siedzi. To znaczy siedzi. Ale sądzę, że... nie mam pewności co prawda, ale chyba jej nie kochał... Przynajmniej nigdy tego nie okazywał. Ale, jak to się mówi, zmarłych się nie osądza, panie władzo, prawda?

Minutę potem komisarz był już na zewnątrz. Słońce wisiało wysoko, powoli roztopiając miasto. Czuć było woń nagrzanego asfaltu. W pobliżu dostrzegł bawiących się chłopców. Grali w piłkę na ulicy. Beztrudnie bawili się i cieszyli życiem. Między koszami na śmieci, które znajdowały się po obu stronach ulicy, była bramka. Drużyny liczyły po trzy osoby. Każdy z nich przede wszystkim pragnął strzelić gola. Nie znali jeszcze bólu i cierpienia. Nie wiedzieli, co to złe czy nienawiść. Trud w ich życiu miał dopiero nadejść.

Gawłowski siedział w aucie, a jakaś ulotka robiła mu za wachlarz.

– Przesłuchałem kobietę, która tu mieszka. A potem jeszcze raz Rzońcę – rzucił Iwanowicz.

– I co?

– Kobieta niczego nie wie, nie znała za dobrze Grońskiego. Nosi aparat słuchowy, więc niczego nie słyszała. A Rzońca w kółko powtarza to samo. Jesteśmy pod ścianą. – Zamilkł i zaczął się zastanawiać, którądy zabójca zbiegł z miejsca zbrodni. – A co z tymi, z którymi rozmawiałeś? Mówili coś jeszcze, gdy poszedłem?

Gawłowski wrzucił ramionami w odpowiedzi.

– Nie bardzo... Przeszedłem się po tych dwóch kamienicach. – Wskazał palcem. – Nikt niczego nie widział ani nie słyszał.

Iwanowicz zrobił kwaśną minę. Uruchoił silnik, wrzucił luz i wcisnął z całej siły pedał gazu. Silnik zawył przerażająco głośno. Powtórzył to kilka razy i rozejrzał się dookoła. Spojrzał w lusterko. Grające dzieci spoglądały na nich z zaciekawieniem. Piłka potoczyła się gdzieś w dal. Po kilku sekundach w paru oknach ukazały się głowy ciekawskich. Spoglądali przez jakiś czas, a gdy uznali, że rozrywka się skończyła, momentalnie poznikali.

Iwanowicz spojrział na kolegę.

– Trzeba zlecić tutejszym, by dziś przeszli się jeszcze raz po tych wszystkich kamienicach. I każdego z osobna gruntownie przesłuchali. A kto nie zechce gadać, tego na komisariat. Mówiłem ci to już wiele razy. Sąsiedzi to najlepsi obserwatorzy, jakich można sobie wyobrazić. Wiedzą więcej niż niejeden z nas, więc nie można tego lekceważyć. Sam widziałeś, jak zareagowali na niewielki hałas. W tym mieście każdy podejrzany, dziwny dźwięk zostaje w mig wychwycony. A co najważniejsze, każdy intruz. Trzeba tylko namierzyć tego, kto mógł go dostrzec.

Zaparkowali niedaleko komisariatu, wysiedli i przeciągnęli się. Iwanowiczowi aż chrupnęło w kręgosłupie. Poczł przeszywający ból idący przez nogę. Rwa kulszowa dała o sobie znać. Co kilka tygodni odzywały mu się różne nerwobóle, które nasiliły się niedawno, ponieważ w ostatnich tygodniach mniej się gimnastykował.

Wyciągnął telefon, wybrał numer technika i czekał.

– Cześć, możesz być o czternastej w Kowarach?

– A co? – odezwał się głos w słuchawce.

– Mamy spotkanie, trzeba ustalić, co dalej. Chcę to wszystko zebrać do kupy, więc jesteś potrzebny.

Oczami wyobraźni widział, jak kryminalistyk spogląda na zegarek, rozgląda się, gładzi czoło, a potem zamyka oczy i odpowiada:

– Mam nadzieję, że się ze wszystkim wyrobię.

Iwanowicz rozłączył się, po czym zwrócił się do Gawłowskiego:

– Nie wiem jak ty, ale ja jestem cholernie głodny. Nie wiesz, gdzie tutaj można coś zjeść?

– Znam to miejsce nie lepiej niż ty. Nie mam bladego pojęcia.

– Zadzwoń do kogoś z policjantów, muszą przecież gdzieś jadać. Przy okazji powiedz, że o czternastej robimy u nich zebranie. Chcę, żeby wszyscy byli obecni.

Weszli na ulicę 1 Maja. Była to główna ulica miasta, wzdłuż której ciągnęły się rzędy sklepów, banków i barów. Iwanowicz zauważył podobierstwo z ulicą 1 Maja znajdującą się w Jeleniej Górze. Tam też stanowiła ona oś, wzdłuż której ciągnęły się jedne z najlepszych sklepów w mieście.

Weszli do niewielkiej pizzerii „Sycylia”. Wystrój pozostawiał wiele do życzenia, ale nie było najgorzej. Jadał już w gorszych miejscach. Restauracja była nieduża. Kilka stolików i dwa krzesła barowe. Pod sufitem zawieszono telewizor plazmowy, w który wpatrywała się kelnerka.

Po chwili podeszła do nich, gdy zajęli już miejsca, poleciła im pizzę familijną ze szpinakiem i podwójną porcją sera. Zdali się na jej gust. Paręnaście minut potem na stole wyładowała ogromna, gruba pizza z dużą ilością sera. Bez słowa zabrali się do jedzenia. Po wykonaniu swojej pracy znużona dziewczyna zaczęła przelączać bez namysłu kanały w telewizji.

W kącie wentylator rozwiewał gęste powietrze.

Skończyli po piętnastu minutach, a potem wyszli na miasto. Zbliżała się godzina spotkania.

Ludzi na ulicy było niewiele. Sporadycznie widzieli nudzące się dzieci, które biegały bez celu albo stały pod sklepem, licząc zebrane w ciągu całego dnia pieniądze, by kupić sobie coś do picia, aby zdusić lykiem coli nudę, czyli to, co oferowała im rzeczywistość.

Starszych ludzi nie było widać. Pewnie siedzieli w domach, unikając palących promieni słońca.

Iwanowicz spojrzął na swoje odbicie w witrynie sklepowej. Ani on, ani kolega nie wyglądali na policjantów. Gawłowski w koszulce sportowej i z wystającym, choć niedużym brzuchem, szerokimi umięśnionymi przedramionami wyglądał jak emerytowany atleta. On zaś miał na sobie biały T-shirt i jasne spodnie wojskowe. Niemal takie same, jakie nosili żołnierze amerykańscy.

Komisarz wszedł do sklepu spożywczego po wodę, a potem ruszyli do komisariatu. Wewnątrz nic się nie zmieniło od czasu, gdy był tutaj parę lat temu przy okazji jakiegoś śledztwa. Zapamiętał to miejsce dokładnie tak, jak teraz wyglądało. Jako mroczne i obskurne. Wtedy właśnie miał okazję poznać Jastrzębskiego. Ich współpraca nie należała do najprzyjemniejszych. Obaj ograniczali wówczas kontakty między sobą do niezbędnego minimum.

Przy wejściu siedział dyżurny. Kivnął głową i powiedział, że komendant czeka na górze. Minął ich funkcjonariusz, który bacznie im się przyjrzał, a potem zniknął w jakimś pomieszczeniu.

Biuro komendanta nie było duże, ale wystarczyło, by pomieścić kilka osób.

– Siadajcie, brakuje tylko kawy i ciasteczek – rzekł na ich widok i zaśmiał się. – Tylko dokończcie raport i możemy zaczynać. Zaraz powinni zjawić się pozostali.

– Ilu masz ludzi? – zapytał Iwanowicz, rozglądając się po biurze.

– W sumie siedmiu, ale zaczął się sezon urlopowy, jednego nie będzie. Dwóch jest tu, trzech na mieście, ale mają niebawem przyjechać. I jeden w dyżurce.

Dokończył uzupełniać dokumenty, potem kazał przynieść kawę.

– Czekamy jeszcze na naszego technika, niedługo ma przyjechać. Chcę, by był komplet biorących udział w śledztwie.

– Wobec tego usiądziemy w sali obok, jest więcej miejsca.

Parę minut po czternastej wszyscy zebrani siedzieli w ciemnym pomieszczeniu. Wewnątrz znajdowało się niewielkie okno. Wpuszczało tak mało światła, że niektóre osoby wyglądały jak mroczne stworzenia z horroru.

– Zaczniemy od podsumowania wszystkiego, co mamy, trzeba to poukładać, a potem rozdysponujemy robotę na kolejne dni – zaczął Iwanowicz. Począł, aż skupi na sobie spojrzenia wszystkich obecnych. Wiedział, że w tej chwili przynajmniej połowa powinna przytaknąć. Po chwili kontynuował: – Zostaliśmy wyznaczeni przez komendę jeleniogórską, więc o wszystkim decydujemy. Będziemy ze sobą aktywnie współpracować. Nie chcę słyszeć jakichkolwiek odmów czy czegokolwiek, co utrudni nam śledztwo. Czy to jasne? – Jego głos zabrzmiał ostro.

Zebrani przytaknęli.

– W porządku. A więc zaczynamy, bez zbędnego gadania. Dziesiątego sierpnia między dwudziestą drugą a północą został zamordowany mężczyzna. Ryszard Próchnicki, lat pięćdziesiąt cztery. Zamieszkały w Kowarach. Samotny, bezdzietny, bez rodziny. Mieszkał sam. Wskazują na to nie tylko dane, ale i jego dom. Jedno krzesło, jedna szoteczka do zębów, łóżko. To oczywiste znaki. Prawie dwa lata pracował w firmie Koltex. W sztolni dawnej kopalni uranu. Był zwykłym pracownikiem fizycznym. Robił, co mu kazano. Czyli właściwie wszystko. Został sprawdzony w bazie, nic na niego nie mamy. Jest czysty.

Upił łyk kawy i spojrzał na zebranych. Gawłowski patrzył na niego z zaciekawieniem, jakby próbował odczytać jego myśli. Jończyk kręcił długopisem, a Jastrzębski spoglądał z niego, raz w akta, jakby nie potrafił się zdecydować, co ważniejsze.

– Druga ofiara to Wiesław Groński, sześćdziesiąt dwa lata, zamieszkały w Kowarach. Żona zmarła cztery lata temu. Wiemy, że ma córkę. Czy udało wam się z nią skontaktować?

Jastrzębski przytaknął.

– Tak, ustaliliśmy, że od siedmiu lat mieszka na stałe w Warszawie, tam też pracuje. – Założył okulary, po czym zaczął referować ze swoich notatek. – Nazywa się Anita Janiszewska. Zameężna, jedno dziecko. Z ojcem nie utrzymywała kontaktów od czasu, gdy w Jeleniej Górze ukończyła szkołę średnią. Potem wyjechała na studia. Tam poznała faceta, wyszła za mąż. Z tego, co nam powiedziała, wynika, że od tamtej pory nie była ani razu w Kowarach.

– Mówiła coś więcej na temat relacji z ojcem? – zapytał Gawłowski.

Jastrzębski spojrzał zza okularów i wzruszył ramionami.

– Niewiele wiemy, była raczej oszczędna w słowach. Wyjaśniła, że jest w robocie, miała mało czasu. Odpowiadała szybko i zwięźle. Nie chciała, by szef ją nakrył na rozmowie w czasie godzin pracy. Z tego, co wspominała, pracuje w jakiejś korporacji. Sami rozumiecie, że pewnych rzeczy możemy się tylko domyślać.

– Potrzebujemy tylko sprawdzonych informacji. Rzetelnych.

– Powiedziała, że ojca zawsze traktowała jak powietrze, dosłownie tak, jakby nie istniał. Od

kiedy pamięta, zawsze pił. Matka zresztą też nie była święta, robiła to, jak ujęła Janiszewska, bardziej przyzwyczajenie i po ludzku. Piła, owszem, ale okazjonalnie, choć okazji było sporo. Przynajmniej z dwójga rodziców matka wykazywała się szczątkowym instynktem rodzicielskim, bo jako tako zajmowała się córką.

– To naprawdę wstrząsające, ale co dalej? – dopytywał Iwanowicz.

– Potem, gdy Anita wyjechała do stolicy, matka utrzymywała z nią kontakt, czasami do niej dzwoniła, przynajmniej dwa, trzy razy w miesiącu. A więc mimo alkoholizmu, mimo imprezowania, interesowała się losem córki. Chciała, by jej jedyne dziecko jakoś ułożyło sobie życie, bo ciągle powtarzała, że tutaj, w Kowarach, nie ma przyszłości. Trzy lata temu Janiszewskiej urodził się synek. No ale babcia nie doczekała swojego wnuka.

– Jak zareagowała na śmierć ojca? – zapytał Gawłowski.

Iwanowicz przewrócił oczyma. Obawiał się, że za bardzo odchodzą od tematu. Liczyły się teraz ważniejsze rzeczy niżeli omawianie żalu córki do rodziców. Musieli ustalać konkrety, bo gonili ich czas.

– Raczej spokojnie. Takie miałem wrażenie. Nie chęć dodawać za dużo od siebie, ale czułem, że po tej wiadomości jakby... – Urwał, chcąc znaleźć odpowiednie słowo.

– Poczula ulgę? – zapytał Iwanowicz.

Przez moment nie wiedział, co powiedzieć, ale w końcu Jastrzębski skonkretyzował swoje myśli:

– Chyba tak, jakby właśnie poczula ulgę, że ten rodzinny koszmar wreszcie się skończył. Właściwie w ogóle tego nie komentowała, chwilę wdychała, potem zapytała mnie, jak to się stało. I na tym rozmowa się skończyła.

– Co jej powiedziała? – zainteresował się Gawłowski.

– Prawdę, że został zabity w swoim mieszkaniu – odrzekł Jastrzębski. – Nie skomentowała, ale wyczułem, że ta wiadomość nią wstrząsnęła.

– Nie ma co się dziwić... – wtrącił się Gawłowski.

– Daj mu skończyć – dodał komisarz, zerkając na kolegę.

– W słuchawce słychać było tylko takie ciche „O Boże...”. Potem przez dłuższy czas cisza. I znów to samo. Rozumiecie? Powiedziała to szeptem, jakby nie chciała, żeby ktokolwiek ją usłyszał, zwłaszcza ja, choć byłem po drugiej stronie linii. Nie naciskałem, czekałem spokojnie, aż to przetrąwi. Przecież mam wyczuć w takich sprawach, no nie? No i po jakimś czasie znów usłyszałem w słuchawce to samo. Przygaszony i wystraszony głos... „O Boże”. Nie wiem dlaczego, ale wyjątkowo utkwiło mi to w pamięci.

– Co było potem?

– Ogarnęła się i wyjaśniła, że musi kończyć i wracać do pracy. Dodałem, że w najbliższym czasie możemy się jeszcze z nią kontaktować, gdyby zaszła taka potrzeba. Zapytała o pogrzeb, ale gdy powiedziałem, że najpierw musimy zrobić sekcję zwłok, dochodzenie, urwała, mówiąc, że nie chce tego słuchać.

– No tak, to zrozumiałe. Za dużo naraz. Nie co dzień zostaje zamordowany ktoś z rodziny. Był, jaki był, ale jednak to zabójstwo, a to zdecydowanie inaczej brzmi niż śmierć naturalna – głośno myślał podkomisarz.

– Dobra, skupmy się na ofercie – powiedział Iwanowicz. Nie chciał doprowadzić do sytuacji, w której zaczną wdychać i rozczulać się nad losem córki zabitego mężczyzny. – Janiszewska nie utrzymywała kontaktów z ojcem. To już wiemy. Może dlatego, że pił, zamiast zajmować się swoją rodziną. I teraz pytanie do was, panowie. Co o nim wiemy?

Oburzcił wzrokiem policjantów, czekając, że zabiorą głos.

– Niewiele. Sprawdziliśmy go. Nie był karany, poza jakimiś drobnostkami. Dziesięć lat temu

dostał wyrok w zawieszeniu za awantury. Wiemy jedynie, że któreś nocy dostał szalu i zaczął rzucać butelkami i kamieniami w szyby jednego z tutejszych barów. Ten lokal już dziś nie istnieje. Wybił dwie duże witryny i zniszczył drzwi wejściowe. Ale co ciekawe, nie wszedł do środka. Zniszczył wszystkie szyby i sobie poszedł.

– Niczego nie ukradł?

– Nie. Wynika, że tylko zrobił demolkę na zewnątrz. Dostał ataku furii. Oczywiście po pijaku.

– Był sam?

– Tak.

– Coś jeszcze?

– Drugi wyrok, ale skończyło się na karze pieniężnej. Ten sam bar, niespełna dwa lata później. Znowu dostał furii, rzucił krzesłem w telewizor. Był oczywiście pijany, następnego dnia niczego nie pamiętał i na początku wszystkiego się wypierał. Właściciel lokalu znał Wieska. Nie chciał robić wielkiej sprawy. Kazał pokryć koszty naprawy sprzętu. Tamten odmówił, więc założył mu sprawę. To wszystko. Potem z nim rozmawialiśmy. Nie mieli żadnych wspólnych interesów, nic ich nie łączyło.

– Nic więcej na niego nie ma?

– Nic.

– W porządku, a co z pozostałymi informacjami? Czym się zajmował i gdzie pracował?

Jastrzębski nabrał powietrza, a potem wysyczał niczym urzędnik przed niechcianym petentem. Widać, że niewiele było do przekazania. Iwanowicz poznał to po ilości notatek komendanta.

– W latach siedemdziesiątych pracował na kolei przez okrągłe dziesięć lat, a potem następuje czarna dziura. Nic więcej nie wiemy poza tym, że od paru lat był na zasiłku dla bezrobotnych.

– To już coś. Jeden mściciel, kimkolwiek on jest, nie zabił go dla pieniędzy. Przynajmniej tak podejrzewam, a jak jest naprawdę, to się okaże – powiedział Gawłowski.

– Albo i nie, dlatego może wstrzymaj się na razie z wygłaszaniem opinii – ostudził go Iwanowicz i spojrzał chłodno na Jastrzębskiego, a potem na kolegę. Obaj milczeli.

– Trzeba będzie nadrobić zaległości i zlikwidować tę czarną dziurę. Skoro się pojawiła, to na własne życzenie musicie się zająć zebraniem pozostałych informacji. Musimy wiedzieć wszystko o ofiarach, bez tego ani rusz. Poszukajcie jego kolegów z kolei. Może czegoś się dowiecie. Historia. Musimy poznać historię tego człowieka.

Iwanowicz zauważył, że Jastrzębski i jeden z policjantów zanotowali jego słowa i znowu spojrzeli na niego, czekając na dalsze polecenia.

– Na jutro choć mieć te informacje. Zapytajcie Rzońcę, może on będzie coś wiedział na temat kolegi. Czy gdzieś jeszcze pracował, jaki był. I wszystko, co może przydać się w śledztwie. Do tej pory pytaliśmy go tylko o wrogów i potencjalne długi. Teraz musimy mieć historię jego życia. Ostatnie lata. Układy, problemy, ewentualne długi. Mam nadzieję, że to jasne. A skoro tak, to wróćmy do poprzedniej ofiary.

– Ryszard Próchnicki – powiedział sucho Gawłowski.

– Co o nim wiecie?

– Niewiele było czasu, ale coś tam mamy. Od blisko dwóch lat pracował w firmie Koltex w sztolni, w dawnej kopani uranu. Jak już wiecie, firma ta przygotowuje atrakcję turystyczną. Osuszają i oczyszczają zalane i zawałone przez lata tunele, żeby można było udostępnić to miejsce turystom – rzekł Jastrzębski.

Minę miejscowych policjantów wskazywały, że nie było to dla nich żadną nowością. Policjanci z Jeleniej Góry spojrzeli po sobie, bo to, co słyszeli, brzmiało dziwnie i zarazem zagadkowo.

– Wczoraj brygadzysta wspominał, że chodzi o jakieś rzeczy związane z drugą wojną światową. Ale o co dokładnie, nie wiem.

– Prosta sprawa. Od lat na naszym terenie roi się od rozmaitych atrakcji turystycznych, chodzi o to, by ściągnąć potencjalnych klientów. A to park miniatur, a to jakieś kolejki górskie, wyciągi, wiece, co mam na myśli? Kilka lat temu, a wiem to z pierwszej ręki, zrodził się pomysł, by zająć się tymi kopalniami. Za wszelką cenę chcą tutaj ściągnąć turystów. Ktoś rzucił pomysł, by wykorzystać do tego celu historię naszego regionu. Stąd właśnie te sztolnie. Pomysł doskonały, choć brzmi... nietypowo.

– Możesz ciut jaśniej? – zapytał Jończyk.

– W latach pięćdziesiątych i sześćdziesiątych powstawały w Kowarach kopalnie uranu, jedne z największych w Polsce, i w ogóle w regionie. Wcześniej też już zakładano, za Hitlera, ale na mniejszą skalę. Dopiero Rosjanie zobaczyli, że są to spore złoża rudy. Wiadomo: uran, bomby, zbrojenie i te sprawy.

Iwanowicz doskonale wiedział o ogromnych złożach uranu, jakie występowały w Kowarach i okolicy. W połowie wieku kopalnie te uznawano za jedne z większych na świecie, ulokowane były w pobliskich górach. Przez lata powstały dziesiątki kilometrów tuneli. Robiono nowe odwierty, powstawały nowe korytarze, które łączyły się ze sobą. Miały osobne wejścia i dojazdy. Wejścia poukrywano w lasach, w skałach. Z oddali były niemal niewidoczne. Do dziś całe wzniesienia nad Kowarami naszpikowane są tunelami. Wiele z nich jest już jednak zasypanych albo zalanych wodą. To zawsze przyciągało ludzi poszukujących atrakcji i tych zajmujących się eksploracją niebezpiecznych terenów.

– Do rzeczy – uciął Iwanowicz.

– Chodzi o to, że od paru lat tunele te są cały czas odkopywane i ludzie robią z tego atrakcję turystyczną. Do tego dochodzą słynne już na cały Dolny Śląsk historie, że Hitler, a potem Stalin, szczególnie upodobałi sobie to miejsce. Chyba rozumiecie, że to murowana atrakcja. A za tym wszystkim stoją poważni ludzie, inwestorzy. Chcą wpuszczać tam wycieczki, pokazywać, w jakich warunkach kiedyś, choć nie tak dawno temu, bo zaledwie kilkadziesiąt lat, pracowali ludzie. I to wielu ludzi. A przy tych wszystkich regionalnych legendach, że być może gdzieś w tych lasach ukryte są wojenne skarby...

– A wracając do tematu...

– No tak, ogólnie chodzi o to, że firma Koltex przygotowuje jeden z tuneli mieszczący się na terenie miasta w jednej z najwyższych gór do tego, by można było tam wejść. Byliście tam, więc wiece, o czym mówię. Kilkunastu pracowników. Odkopanie, odgruzowanie, wypompowanie wody. Wszystkie tunele sięgają setki metrów w głąb. W zimnie, zalane wodą, w ciemności.

– Współczuję im tej roboty. Parszywa. Trudna pod wieloma względami – oznajmił Jończyk z zamkniętymi oczami. Ubrany był w szarą koszulkę. Wyglądał na zmęczonego, bo palcami masował skronie.

– Panowie, skupcie się. Mniejsza z tym. Wracam do sedna. Co wiemy o Próchnickim? – Znow Iwanowicz musiał sprowadzić rozmowę na właściwy tor.

– Wiemy, że pracował tam na cały etat. Zatrudniony legalnie. Papiery są w porządku. Dział rano skontaktowałem się telefonicznie z szefem Koltexu, nakreśliłem całą sprawę. Powiedział, że ktoś przefaksuje nam umowę o pracę. No i rzeczywiście niedawno dostaliśmy. Pod tym względem mamy jasność.

– Wiemy coś więcej? Czym się zajmował? – Gawłowski zadał pytanie tylko dla porządku, bo odpowiedź na nie była czystą formalnością. Uzyskali już pełny obraz tego, czym zajmował się Próchnicki.

– Pracował fizycznie, jak to na budowie. Przynies, wynies, pozamiataj, jak to mówią. Ale nie tylko tak mówią, bo w jego przypadku tak właśnie było. Takie miał obowiązki.

– Wiemy, że robił żłobienie pod kabel elektryczny – wyjaśnił Iwanowicz. – Faktycznie, nic

specjalnie wymagającego... – Zawiesił głos w teatralny sposób, jakby chciał, by dokończono za niego to zdanie.

– Przydzielano go do różnych prac.

– Czy wiemy, gdzie pracował wcześniej?

Jastrzębski uśmiechnął się lekko i rzekł:

– Chyba nikogo nie zaskoczę, jeśli powiem, że sporo lat pracował właśnie w kopalni uranu.

Zebrani spojrzeli na niego. Tylko Iwanowicz patrzył na swój kubek, z którego parowała kawa.

Być może chciał odczytać intrygujące kształty, jakie tworzyła para. Pięła się w górę, ni to wijąc, ni to wirując, a potem nikała na tle jasnej smugi światła. Komisarz często rozmyślał, wpatrując się w przedmioty codziennego użytku, jakby to one miały go do czegoś zainspirować. Wpatrując się w nie, miał nadzieję, że wpadnie na jakiś pomysł. Przesuwał jednocześnie bez większego sensu długopis, obracał go, a potem w namyśle przygryzał.

– Od kiedy?

– Praktycznie, od kiedy tylko mógł. Zaczął pracę w kopalni jako nastolatek. Początkowo był zatrudniony jako pomocnik, potem został przydzielony do zbierania urobku, a później został górnikiem. Pracował aż do zamknięcia kopalni. Potem miał się dorywczo wielu prac. Wiemy, bo dotarliśmy do emerytowanego brygadzysty, któremu Próchnicki podlegał.

– Nic stałego w tamtym czasie?

– Nie. Gdy jakiś czas temu w naszym mieście pojawiła się firma Koltex, Próchnicki zgłosił się na ochotnika do pracy. O szczegółach wiemy niewiele.

– Można zapytać tego buca.

– Kogo?

– Brygadzystę – wyjaśnił Gawłowski.

– I trzeba też będzie porozmawiać z szefem firmy.

– Gdy dziś z nim rozmawiałem, oświadczył, że jest na spotkaniu w Czechach. Szuka dodatkowego inwestora do tego biznesu, bo to jest jak skarbonka bez dna. Powiedział, że będzie w Polsce jutro, najpóźniej pojutrze, więc wtedy się z nami spotka. Czekamy.

– Trzeba go przycisnąć – ocenił Gawłowski. – A jak zareagował na wieść, że jego pracownik został zabity?

– Trudno było wyczuć przez telefon. Wydawał się podenerwowany, ale nie panikował. Przyjął to do wiadomości. Ale wiecie, gdy nie widać twarzy rozmówcy, to można się minąć z prawdą. Równie dobrze mógł być spięty z powodu sytuacji biznesowej.

– Próchnicki wydawał się idealnym pracownikiem. Znał przecież te tunele jak własną kieszeń, a z tego, co wiem, sporo ich tam jest. Więc taki pracownik był dla nich na wagę złota. A z punktu widzenia szefa czy jest lepsza osoba do pracy, jeśli się adaptuje coś, się kiedyś prętnie działało, a teraz chce się to przywrócić do życia?

– Zgadza się. Powiem więcej, trochę na marginesie. Nie tylko on. Ten segregator... – Jastrzębski wskazał palcem na zieloną teczkę z napisem „Dane osobowe” – ...sprawdziłszy kilku pracowników, choć nie wszystkich, bo nie zdążyliśmy. Większość osób znamy z widzenia, a resztę się kojarzy piąte przez dziesiąte z miasteczka. Właśnie tego Próchnickiego pierwszy raz na oczy widziałem, choć początkowo wydawało mi się, że skądś kojarzę twarz...

– Zalety małego miasta, co? – przerwał Jończyk. Powiedział to z ironicznym uśmiechem, ale wszyscy wiedzieli, że w istocie była to prawda. – Małe miasta, każdy każdego zna, więc można jakoś pilnować tego miejsca. Obcy od razu jest wychwytywany.

– To chyba jedyne zalety. W dodatku wątpliwe – dodał Gawłowski.

– Większość osób kojarzymy z widzenia. Oczywiście nie wszystkich, ale prawdopodobieństwo tego, że spotka się daną osobę na kilku kilometrach kwadratowych w ciągu paru czy parunastu lat,

jest spore.

– Panowie, do rzeczy. Nie marnujemy czasu – rzekł komisarz.

– Chodzi o to, że większość osób, które tam teraz pracują, robiła dawniej w sztolniach, gdy wydobywano rudę uranu. A więc lata temu. Oczywiście to pewnie kwestia przypadku. Ale może jednak nie tylko.

– A czego?

– Mam wrażenie, że... przyzwyczajenia. Większość osób znam, z wieloma rozmawiałem nie raz, nie dwa. Ci ludzie raczej niczego więcej od życia nie mogą żądać. Skoro nadarza się okazja, pracują tam, gdzie pracowali kiedyś. Bo to znają, wiedzą, czego się spodziewać.

– I tak, chcąc nie chcąc, powracają do koszmarów przeszłości – odezwał się technik, chcąc jednym zdaniem podsumować życie wielu osób.

– Dobrze powiedziane – zauważył młody policjant.

– Większość nie miała innego wyjścia, niestety – dodał Iwanowicz. – Ale to nie nasze smartwienie. Mówisz, że na oko znasz ich i większość pracowała dawniej w kopalni?

– Tak, przejrzałem te dane. Nie znalazłem tylko wcześniej tego Próchnickiego i jeszcze jakichś dwóch. Reszta kiedyś tam pracowała.

– Dobra, w sumie to jest już coś. Niedużo, ale zawsze. Bo wiemy, że nie są to jacyś anonimowi ludzie, ale tacy, którzy mają swoją historię i są stąd, poza tym mamy pojęcie, czego się można po nich spodziewać. To znaczy, wy macie, a my polegamy na waszej wiedzy i intuicji – doprecyzował komisarz.

Iwanowicz upił kolejny łyk czarnej kawy. Szybko zebrał myśli. Chwilę zajęło mu podsumowanie tego w sensowną całość.

– Skoro już przy nich jesteśmy, to trzeba będzie sprawdzić resztę pracowników. Teraz to niemal priorytet. Pamiętajcie o tym. No a teraz najważniejsza rzecz. Zabójca. Do tej pory nic o nim nie wiemy. Nic. – Powtórzył to tak głośno, by każdy dobrze usłyszał. Każdy, kto choć przez sekundę błędził myślami gdzie indziej. – A skoro nic nie wiemy o zabójcy, musimy zrobić gruntowne rozeznanie. Zaczniemy węszyć od tego miejsca, które jest najbliżej miejsca zbrodni. A właściwie obu miejsc. W sprawie zabójstwa w kamienicy przesłuchujemy mieszkańców pobliskich domu. Nie objamy się. Wczoraj Jacek odwiedził parę mieszkań, z tego, co wiem, to też mieliście tam się pojawić. Jeśli chodzi o sztolnię, przesłuchujemy każdego, brygadziście też. – Zawahał się przez moment i dodał: – I każdego, kto tam pracował w ostatnim czasie. Bierzymy pod uwagę wszystkich, którzy przewinęli się ostatnio przez firmę Koltex. Ale to już wasza robota. Sprawdzcie listę. A jak znajdziecie podejrzaną mordę, to od razu sprawdzacie. Ktoś będzie miał zbyt łagodną gębę, to też sprawdzacie. – Urwał, by napić się kawy. Gdy kubek był już pusty, odkręcił wodę mineralną.

– Dobra, zanotowane.

Na zegarze było wpół do trzeciej.

– Panowie, może zrobimy sekundę przerwy, przewietrzmy się i wracamy za chwilę. Młodzi przygotowują jeszcze kawę.

Iwanowicz w tym czasie skorzystał z toalety i poszedł zapalić. Dawno już nie palił. Robił to nieregularnie i zwykle wtedy, gdy coś nie dawało mu spokoju.

Zaciągnął się głęboko i wypuścił dym przez okno. Usiadł na klapie od sedesu. Pomieszczenie było czyste. W powietrzu unosił się zapach cytrynowego płynu do czyszczenia łazienek.

Na razie zabójca pozostawił im puzzle, ale nie zostawił obrazu całości. Musieli układać klocek za klokiem. Im więcej elementów zostanie do siebie dopasowanych, tym szybciej znikną puste miejsca, niewiadome, i tym prędyjzej pojawi się większy element całości. Oni nie mieli niczego, poza kilkoma rozrzuconymi z dala od siebie częściami. Żaden z elementów do siebie nie pasował, choć wszystkie miały stworzyć obraz końcowy. Jaki?

Zaciągnął się mocno kilka razy z rzędu. Strzepnął popiół do sedesu i wyrzucił niedopałek.

Po paru minutach wrócił do sali. Drzwi pozostawił otwarte, by się nie zadusili. Odczekał, aż wszyscy się zjawią, a potem zaczął:

– Mamy więc sporo elementów, które trzeba poskładać do kupy.

– W logiczną całość – dodał Gawłowski.

– Ta nie zawsze wydaje się nam logiczna. Choć w pewnym sensie każde zabójstwo ma swoją logikę.

– Często pokręconą, popieprzoną jak ruski żołnierz, ale ma – rzekł Gawłowski.

– Otóż to. Ale wróćmy jeszcze na chwilę do ofiary. Próchnicki mieszkał sam. Wiemy coś więcej na jego temat ponad to, że kiedyś pracował w sztolni, a teraz od niedawna w Koltexie? Głównie chodzi mi o to, czy był karany.

Iwanowicz próbował ponownie nadgryźć ten sam wątek. Próchnicki wydawał się o tyle ważniejszą postacią, że do niedawna wciąż był aktywny zawodowo. Komisarza zastanawiała również, kto i jak mógł się zakraść do tunelu i go zamordować. Bardziej skupiał się na tej postaci, głównie za sprawą dość skomplikowanych okoliczności zgonu.

– Nie był karany, już to sprawdziliśmy. A poza tym niewiele – postukał palcami o blat stołu – a w zasadzie to nic.

– Mówiłeś, że go nie znałeś, choć początkowo wydawał ci się znajomy – powiedział i spojrzał na Jastrzębskiego.

– No, takie odniosłem wrażenie, ale wiesz, jak to jest. Człowiek kojarzy twarz, ale potem okazuje się, gdy sprawdzisz tożsamość tej osoby, że to ktoś zupełnie obcy. Teraz już wiem, gdzie mieszkał i pracował, ale mimo to nie przypominam sobie, czy mogłem go wcześniej spotkać.

– Może po prostu miałeś go wiele razy na ulicy i nie zwróciłeś na niego uwagi – wyjaśnił Jończyk. – To normalne.

– Ty go nie znałeś, a ja z kolei wiem, że w mieście uchodził za odludka i dziwaka. Był raczej pośmiewiskiem niż bohaterem. Chyba nikt nie będzie po nim płakać – zauważył Iwanowicz.

– Że co?

– Spotkałem wczoraj jakichś lebków. Znali go. Kojarzyli imię i nazwisko, i to dość dobrze. Wiedzieli, że pracował w sztolniach i że jeździł na rowerze. Potwierdzili, że z nikim się nie zadawał. Samotnik, który nie wtrącał się w życie innych.

– A mimo to został zamordowany – wtrącił któryś z miejscowych policjantów, Iwanowicz nie pamiętał jego nazwiska.

– Tak. I na to musimy zwrócić uwagę, chociaż to wciąż zbyt mało.

Iwanowicz wiedział, że to, co powiedział tutejszy funkcjonariusz, było banalne, ale jednocześnie bardzo ważne. Samotnik. Cichy, spokojny, wycofany, a jednak ktoś czyhał na jego życie.

– Musimy odgadnąć, dlaczego osoba, która nie wychylała nosa poza własny dom, została brutalnie zamordowana. Zabójca był na tyle mało subtelny, że swojej ofierze, jednej i drugiej, nie oszczędził cierpienia. Konali i umierali w męczarniach. Gdzie tu sens? Widzicie w tym jakąś symbolikę? Przesłanie? Treść? Czy tylko pieprzone barbarzyńskie morderstwo?

Iwanowicz przyciągnął uwagę tymi pytaniami. Nie chciał za bardzo słowami wpływać na niczyje nastroje, ale wiedział, że niekiedy jest to wskazane. W tym wypadku jednak słowa były tylko słowami.

– A skoro przy tym jesteśmy, wiemy coś na temat samego zabójstwa? Jednego i drugiego, czy coś się od wczoraj zmieniło? Jesteśmy bogatsi o jakąś informację lub chociaż hipotezę? – spytał komisarz.

Spojrzał wymownie na Jończyka, bo do tej pory to on najczęściej wyrwał się z komentarzem.

– Cóż, jeden dzień na rozeznanie to niewiele, by powiedzieć coś wiążącego na temat zabójcy

i sposobu, w jaki działa. Sporo rozmawiałem z lekarzami. Zaczniemy więc od Grońskiego. Ciało, jak dobrze pamiętacie, leżało w wannie mniej więcej od północy, w pozycji embrionalnej, niczym płód w łonie matki. Zabójca zadał wiele ran. Z tego, co mówił mi dziś rano Zalewski, było ich minimum piętnaście, może więcej. Właściwie to trudno się doliczyć, skoro skóra w pewnym momencie przypominała poszarpaną miazgę, a flaki dosłownie wyszły na wierzch. Nie muszę chyba dodawać, że nie jest to wyrafinowana metoda zabijania. Zabójca zrobił tam niezłą jatkę.

– Możesz to rozwinąć? – zapytał Jastrzębski.

– Mam na myśli to, że między pchnięciem nożem, postrzałem w głowę, w kolano, zmiżdżeniem czaszki, podaniem trucizny i spreparowaniem wypadku jest spora różnica, nie uważasz? Wybaczcie takie przykłady, ale w tym właśnie widzę istotę tego zabójstwa. Sposób. Napisano o tym setki artykułów i książek. Sposób zabijania wiele mówi o zabójcy.

Nikt nie skomentował tego, co powiedział technik Jastrzębski nerwowo spoglądając na zebranych. Iwanowicz zwrócił uwagę, że komendant z każdą chwilą i usłyszanym słowem robił się coraz bardziej nerwowy, jakby nie był w stanie usiedzieć w miejscu.

– Ale o tym pomówimy później. Na razie wróćmy do chwili samego zabójstwa. Zabójca wszedł do mieszkania Grońskiego. Zakradł się, a może nie? Tego nie wiem. Podszedł do łazienki i namierzył swój cel, gdy ten siedział na muszli klozetowej. Tam padł pierwszy cios.

– Mamy już pewność?

– Tak. Nie ma śladów krwi na ziemi, więc wszystkie ciosy padły, gdy mężczyzna był już w wannie. Ogluszył go czymś ciężkim.

– Wiadomo czym? – zapytał Iwanowicz.

Technik pokręcił głową, przytykając oczy.

– Zalewski wyjaśnił, że to mogło być kilka przedmiotów, choć autopsja wykazała, że to coś większego o odpowiednio dużej masie. Tępe narzędzie o obłym kształcie, na co wskazuje charakter obrażeń. Patolog nie odnalazł w nich piasku, więc nie mógł to być kamień ani coś z zewnątrz. Żadnego szkła ani innych drobinek. Czaszka nie została naruszona, jest jedynie silnie stłuczona. Wynika więc, że zabójca planował ogłuszyć ofiarę.

– Tego nie wiemy. Planowanie czy przypadek, nie osądzajmy, okej? – poprawił go komisarz.

– Dobrze. Zadał cios, a następnie szybko przerzucił mężczyznę do wanny i tam rozprawił się z nim na dobre. Odległość między muszlą klozetową a wanną wynosi dwadzieścia centymetrów, więc przerzucenie ciała nie stanowiło problemu.

– Czy dużo trzeba mieć siły, by zrobić coś takiego? – zapytał sierżant Tomasz Kowalik.

– Moim zdaniem, nie. Niewiele. Gdy masz odpowiednie narzędzia, czyli nóż i coś jeszcze, zakładamy, że jakiś wazon, to bez problemu możesz zabić w taki sposób, to znaczy za pomocą takich narzędzi. On się z nim nie męczył, raczej nie wysilał. Uderzył. Ten doznał szoku. A potem szybko przerzucił go do wanny, a tam zadał już kolejne, śmiertelne ciosy.

– A narzędzie?

– No właśnie, narzędzie... – Technik westchnął. – Nie mamy wątpliwości co do tego, że był to nóż. Zapewne zapytacie jaki, więc powiem od razu: trudno dokładnie określić. Mógł to być zwykły kuchenny nóż, a że rodzajów są dziesiątki, to trochę komplikuje nam sprawę. Oceniając jednak po głębokości ran, która wynosi od dziesięciu do czternastu centymetrów, szerokości niewiele ponad trzy centymetry i grubości – spojrzal w notatki, przerzucił kilka kartek – około dwóch milimetrów, sądzimy, że był to prosty, zwykły nóż, jakich pełno w każdym domu.

– Sprawdzaliście jego kuchnię? Może są tam inne, podobne?

– Jeszcze nie. Wyniki sekcji mam od niedawna. Z Zalewskim widziałem się dopiero przed południem. Po spotkaniu pojedę do mieszkania Grońskiego, więc może uda mi się coś ustalić. Będziemy szukali również w pobliżu domu, w kanalizacji, śmietnikach i tak dalej.

– W porządku. Trzeba dokładnie przetrząsnąć podwórko, ten mały placyk za kamienią. Zabójca mógł wyrzucić nóż przez okno – rzekł Iwanowicz. – Chociaż, jak znam życie, prawdopodobieństwo jest niewielkie. Jednak sprawdźcie to.

– Nóż może być wszędzie, zabójca go wziął z mieszkania któregoś z ofiar albo przyniósł ze sobą – rzekł technik.

– Co z drugą ofiarą? Ten sam sprawca?

– Niemal identyczna szerokość ran oscylująca w granicach trzech centymetrów, głębokość od jedenastu do siedemnastu. To pozwala nam sądzić, że nóż był ten sam. Jest niewielka różnica w głębokości, ale to tylko kwestia użytej siły. Im silniejszy cios, tym rana głębsza.

– A samo zabójstwo? Sposób, technika? – pytał Iwanowicz.

– Tutaj mam trochę więcej wątpliwości. Wszystko wskazuje na to, że gość został zamordowany około dwudziestej drugiej. Faktycznie, na brodzie miał ślady masła, więc pewnie w tym czasie jadł. Obok leżała kanapka oraz mały przenośny telewizor, więc praktycznie jesteśmy zgodni, tak jak wczoraj, Marku, mówiłeś, że miał przerwę w pracy. Zanim padły śmiertelne ciosy, został mocno poturbowany, na co wskazują liczne stłuczenia, również wokół samej rany.

– Konkrety?

– Sądząc po wielkości stłuczeń, uderzenia pięścią, kilka na wysokości klatki piersiowej i kilka przy samej ranie. Śińce są też w okolicy pachwiny. Zdawał sobie sprawę, że został zaatakowany, to pewne. Facet dostał parę razy z pięchy, parę kopów w brzuch. Potem upadł. No i resztę już znacie.

– Ciosy?

– Przy tej miarze? Trudno oszacować. Ze dwadzieścia, może więcej.

– Przyczyna śmierci?

– Wykrwawienie.

– Mamy jakieś ślady butów?

– Tak, zdjęliśmy kilka. Rano obejrzałem efekty naszej pracy. Poza naszymi śladami zabezpieczyłem kilka innych, które znajdowały się blisko zwłok. Musiał więc stać w miejscu, bić Próchnickiego, a potem rzucił ciało i tak już zostało. Dzięki temu udało nam się je zebrać.

– No i?

– Zabójca ma dużą stopę. Rozmiar buta czterdzieści sześć. Podeszwa... Kształt mniej więcej taki, jaki stosuje się w butach roboczych. Próbujemy ustalić producenta. A potem będziemy porównywali z tymi, jakie noszą pracownicy Koltexu.

– Dobra robota, a ślady w mieszkaniu Grońskiego? – spytał komisarz.

– Mam kilka śladów... dokładnie ten sam odcisk. Czterdzieści sześć.

– To już coś...

– A co ze śladami linii papilarnych?

– Nie mamy nic. Zupełnie.

– Okej. Zmieniam temat. Czy w ogóle bierzemy pod uwagę, by sprawców było dwóch? – zapytał Jastrzębski. – No bo jakby logiczne jest to, że mogły to być egzekucje mafii. Tak? Rozumiecie.

– Moim zdaniem to robota jednej i tej samej osoby. To samo miasto, ten sam czas, no i ten sam sposób zabijania – odpowiedział Iwanowicz.

– Oba zabójstwa różni niewiele, a właściwie nic – wtrącił Gawłowski.

– Zgadza się. Do tego dochodzi, jak wspominał Rafał, ta sama wielkość ran, taka sama technika zadania ciosów. Ślady stóp. Zbyt wiele elementów wspólnych. Myślę, że z tym zgodzą się wszyscy – zakończył Iwanowicz.

Komisarz sumował wszystko w myślach, przetwarzał szybko informacje, część już mu znanych, niektóre nowe. Wszystko zapamiętywał i układał w głowie.

– Oczywiście, ponieważ masz rację. Nie można wykluczać tego, że była to robota na zlecenie. Gang, mafia, porachunki. Jak zwal, tak zwal. Nie możemy zamykać się na jeden typ motywu, na jeden schemat zabijania. Niemniej trzeba też pamiętać, że lepiej jest zawęzić krąg podejrzanych, niż go powiększać. Lepiej myśleć o kilku scenariuszach, niż je mnożyć. Bo się zwyczajnie pogubimy – oświadczył Gawłowski.

Iwanowicz kiwnął głową.

– Mówiliśmy, że zabójca nie posługuje się wyrafinowaną techniką zabijania. Sądzę, że to bardzo ważna dla nas informacja. To, jak ktoś zabija, w jaki sposób, na ile wszystko ma zaplanowane, ile jest w tym precyzji, ile dokładności i starania, a ile brutalności, mówi sporo o osobie sprawcy. Właściwie to jedna z bardziej kluczowych informacji, jakie możemy uzyskać o zabójcy. Sposób działania to klucz do tego, by go namierzyć i dopaść. Dopaść tego skurwiela – powiedział komisarz.

– Gość zadaje silne ciosy obezwładniające. Widziałem sińce na ciele Próchnickiego, został naprawdę mocno poturbowany. To nie były słabe kopniaki. A do tego siła uderzeń nożem...

– Mocny, może to i prawda. Spójrz jednak na samą technikę. Ona przecież nam wiele mówi o człowieku. Ten popapraniec użył noża nie tylko do zabicia, ale również, sądząc po liczbie zadanych ciosów, do wyładowania energii. Bo kłóz o zdrowych zmysłach wali w brzuch piętnaście czy dwadzieścia razy? Czemu nie zabił go jednym, może dwoma ciosami, lecz napięprzał jak opętany gdzie popadnie?

– Desperat? – podsunął Jastrzębski.

– Myślę, że to za mało powiedziane. To raczej jakiś niezrównoważony furiat, który dostał prawdziwego ataku szału. Co ciekawe, pierwsza ofiara, zgodnie z tym, co mówił Zalewski, miała więcej obrażeń. Uważam więc, że na pierwszej wyładował się bardziej. Dał upust niemal całej swojej wściekłości. Przynajmniej ja to tak interpretuję.

Iwanowicz zamilkł. Znowu poczuł suchość w gardle, upił kilka łyków kawy, a potem wody mineralnej. Nie czekał, aż ktoś się odezwie i kontynuował:

– Oznacza więc to, że mamy do czynienia z gościem niezwykle agresywnym, który miewa niekontrolowane napady szału. Szukamy bezwzględного furia, który z „precyzją” rzeźnika zabija swoje ofiary poprzez serię niekontrolowanych uderzeń. Musimy wziąć to pod uwagę, myśląc o naszym zabójcy. Szukamy właśnie takiej osoby... to znaczy... – Przerwał na moment, bo coś nie dawało mu spokoju. Poczuł, że zaplątał się w swoich myślach i podejrzeniach. – W pewnym sensie szukamy furia. Bo oto dochodzimy do pewnej komplikacji.

– Jakiej? Przecież chyba wszyscy uważamy, że właśnie taki jest nasz zabójca? Popieprzony i nieobliczalny... – fachowo zaopiniował Gawłowski.

– Tak, w porządku, tak jak mówię, do pewnego stopnia wszystko się zgadza. Ale jest jeszcze jedna rzecz i to ona nie daje mi spokoju. Ostatnia i, moim zdaniem, najważniejsza, która niejako przeczy temu wszystkiemu, co powiedzieliśmy przed chwilą, bo z jednej strony poszlaki wskazują na zbrodnię w afekcie. A z drugiej... Chodzi o napis: DRUGI – rzekł komisarz i głośno westchnął, upił łyk kawy, a potem spojrzął przez okno na kołyszące się w oddali szczyty drzew. – Nie ukrywam, że cały czas chodzi mi to po głowie. Od wczoraj, czyli od momentu, gdy natknęliśmy się na napis, aż do teraz. Nie potrafię przestać o tym myśleć. Ani nie potrafię tego zrozumieć. I im dłużej się nad tym zastanawiam, tym większe mam obawy co do kierunku naszego śledztwa i co do samego zabójcy. Zaczynam dochodzić do wniosku, że walczyliśmy z kimś bezwzględnym, kto ma to wszystko z góry zaplanowane, krok po kroku, kto być może tylko udaje szaleńca, który traci panowanie nad sobą. Może to pozory, a może tylko mnie się tak wydaje. Zobaczcie. Kłóz, kto pisze na ścianie napis: DRUGI, jest w moich oczach obłąkany i jednocześnie, jakkolwiek dziwnie to zabrzmiało, poukładany. Planuje, układa sobie coś w głowie.

Przerwał na chwilę swój wywód. Szukał słów, by w najprostszy sposób zreferować swoje przemyślenia, bez zbędnych komplikacji.

– Na pewno doskonale zdaje sobie sprawę, że będziemy przeszukiwali dom zamordowanego... – odszukał w głowie nazwisko – Próchnickiego. To chyba oczywiste, że wziął to pod uwagę, bo dla kogo innego zrobiłby ten napis, jeśli nie dla nas? To aż nazbyt oczywiste. Gość nie miał rodziny, więc po jego śmierci tylko my, podkreślam, tylko my, mogliśmy się pojawić w tym domu. Nikt inny. A więc on tam był dla nas.

– Co chcesz przez to powiedzieć? Że...

– Że gość się z nami skontaktował. Po prostu zostawił wiadomość. Krótką, ale cholernie treściwą. Drugi. Jest to swoista projekcja jego myśli. Odtwarza w minimalnym stopniu coś, co siedzi mu głęboko w umyśle. A więc jeśli to, co mówię, pokrywa się z rzeczywistością, to znaczy, że jest to gra.

– Co to oznacza? Jaki ma w tym cel? – zapytał Jastrzębski.

– Czy on odlicza swoje ofiary? – zastanowił się Gawłowski.

– Też to brałem pod uwagę, ale dziś już wiemy, że nie. Próchnicki zginął pierwszy. Rafał powiedział przed chwilą, że Próchnicki został zamordowany około dwudziestej drugiej. Groński został zabity około północy, plus minus godzina. Zginął więc drugi. Dlaczego więc w mieszkaniu Próchnickiego mamy napis „Drugi”, a nie „Pierwszy”? Oczywiście pomijam w ogóle sens i cel numerowania ofiar, bo to wyjdzie przy okazji, chodzi mi tylko o samą logikę rzekomej numeracji.

– Macie jakieś pomysły? – zapytał technik. – Po co to zrobił?

– Może nie dokończył. Może przeszkodził nam w robocie? Może jeszcze... jeszcze się z nami skontaktuje?

Po tych pytaniach wszyscy zamilkli. Policjantom z Kowar brakowało pomysłów, choć komisarz na nich liczył. Burza mózgów nie przynosiła efektów. Nieśmiało dłubali łyżeczkami w fuszach kawy.

– Dobra, może jeszcze na coś wpadniemy – rzekł po chwili komisarz. – Ale pomysście o tym, bo to jest cholernie ważne. Za tym napisem może kryć się sens obu morderstw. A może to tylko przypadek, chuligański wybryk, cholera wie. Może dopuszczamy się nadinterpretacji faktów. Ale na razie łączymy napis z samą istotą zabójstwa aż do czasu wyjaśnienia.

– Wieczorem otrzymamy wyniki badań krwi, więc się okaże.

– W porządku. A zatem panowie, zbierzmy myśli. Na razie o samym zabójcy wiemy mało, dlatego nie ustajemy w wysiłkach i łączymy wszystkie niewiadome z tym, co wiemy. Obyśmy otrzymali jakiś konkretny i sensowny rezultat. A zatem... Kończą się nasze pewniki i docieramy do miejsca, w którym są same znaki zapytania. Niestety jest ich bardzo dużo, więc pozwolę sobie przydzielić robotę na kolejne dni. Po pierwsze, Rafał – wyniki badań krwi, mieszkanie Grońskiego, szukasz narzędzia zbrodni. Masz do dyspozycji ludzi, więc nie marnujcie czasu. A potem musisz zająć się śladami na polu za domem Próchnickiego. Skoro Jacek wczoraj kogoś tam widział, to ten ktoś musiał uciec przez pola. Innej możliwości nie ma. Rozejrzyj się po okolicy, może znajdziemy coś interesującego. Panowie – spojrzaj na miejscowych policjantów – wy musicie się zająć przesłuchaniem mieszkańców kamienic przy Słonecznej i w pobliżu. Im więcej uda wam się przesłuchać osób, tym lepiej. Macie na to czas do jutra. Do południa. Około dwunastej choć mieć informacje, jasne? Tymczasem spróbujcie ustalić, co się stało z rowerem Próchnickiego. Chłopaki, z którymi rozmawiałem wczoraj, mówili, że do pracy jeździł rowerem. Trzeba namierzyć, gdzie on jest. Może został w kopalni? Może tam mają miejsce na rzeczy osobiste? Przy okazji trzeba przeszukać jego szafkę, a nuż coś się znajdzie. Następnie podwórkę przy kamienicy. Szukacie z Rafałem narzędzia zbrodni. Trzeba dokładnie przetrząsnąć podwórzka, jak zajdzie potrzeba, to studzienki i kanały. Pozostaje przeszłość Grońskiego. Wiemy trochę, ale postarajcie się jeszcze popytać, pogrzebać w papierach. Coś na pewno znajdziecie. No i pracownicy kopalni...

– Coś jeszcze? – zapytał Gawłowski.

– To by było na tyle, potrzebuję jeszcze tylko numeru do szefa Koltexu, skontaktuję się z nim i umówię na spotkanie. Sam z nim porozmawiam. Chcę też namiary na córkę Grońskiego. I już na sam koniec... Pamiętajcie, że morderca wciąż jest na wolności. Poluje na ludzi. Nie wiemy, dlaczego to robi ani też kogo wziął na celownik. Dlatego wszyscy musimy się przyłożyć do pracy na maksa. Czy to jasne? Nie sto procent, tylko sto pięćdziesiąt, bo w przeciwnym razie nigdy nie dopadniemy tego sukinsyna.

– Robi się... – powiedzieli funkcjonariusze, po czym wstali i skierowali się do wyjścia.

– Jeszcze jedno. Sprawdźcie, czy w ostatnim czasie ktoś nie wypożyczał w bibliotekach książek o tym miejscu. O kopalniach, sztolniach. I o dziwnych, może rytualnych sposobach zabijania. Numery, liczby, symbole. Wszystko, co przyjdzie wam do głowy, a co może mieć choć minimalny związek z tymi zabójstwami. Może ktoś ostatnio w okolicy wykazywał tym tematem większe zainteresowanie? Podzwonicie do pobliskich bibliotek, może nawet księgarń. Musimy znaleźć jakiś punkt zaczepienia. Ślad. Szczegół. Musimy wpaść na jego trop. W przeciwnym razie do naszego następnego spotkania może dojść na kolejnym miejscu zbrodni.

Zebrań zakończono punktualnie o piętnastej. Wypełniono resztę dokumentów i każdy zajął się przydzielonymi zadaniami. Miejscowi policjanci zgodnie z poleceniem Iwanowicza pojechali na Słoneczną, by przesłuchać mieszkańców pobliskich kamienic. Mieli się dowiedzieć, kto i o której wchodził do kamienicy. Czy słyszeli jakieś dźwięki, czy widzieli kogoś podejrzanego w pobliżu? Zgodnie z wytycznymi komisarza mieli wszystko sprawdzić. Wszystko, co nietypowe. Mieli zrobić rozpoznanie, czy w mieście pojawił się ktoś obcy, kto wzbudził podejrzenia. Sprawdzić hostele, pensjonaty, pokoje gościnne. Szukali jednej samotnej osoby. Dziwnych, podejrzanych zachowań. Nietypowych zdarzeń, które wskazywałyby na to, że zabójstwa są powiązane z jakimiś inwestycjami w rejonie. Trudno było sprecyzować, czego szukają, Iwanowiczowi chodziło o zwrócenie uwagi na wszystkie dziwne i niepokojące wydarzenia w Kowarach i okolicy. Niepokojące odgłosy, dziwne krzyki. Może ktoś w ostatnim czasie zgłosił zaginięcie czegoś, kogoś. Trzeba było zachować delikatność i czujność, nie ignorować nawet najdziwniejszych zgłoszeń, uwag, komentarzy, bo to wszystko mogło się ze sobą wiązać.

Potem policjanci z Kowar mieli zająć się przesłuchaniem pracowników kopalni. Każdego, bez wyjątku, i na ile to możliwe, byłych pracowników.

Jeleniogórscy śledczy wyszli z komisariatu. Na zewnątrz było gorąco jak w piekle. Małym, górskim piekłem, które bezlitośnie wypalało z ludzi resztkę sił i chęci do życia. Kolejny z etapów śledztwa został zakończony. Ustalili kalendarz przyszłych prac i najważniejsze fakty, teraz czas na następne.

Wsiadli do służbowego opla i pojechali do mieszkania Wiesława Grońskiego. Musieli mieć pewność, że niczego nie przeoczyli, zwłaszcza narzędzia zbrodni, które mogło leżeć w kuchni i nie przyciągać uwagi. Za nimi jechał Jorńczyk swoją sportową czerwoną alfą romeo. Po paru minutach byli na miejscu.

– Idźcie do mieszkania, ja za moment dołączę – powiedział Iwanowicz do śledczych, a sam wszedł do kamienicy znajdującej się naprzeciwko. Wewnątrz było zimno i mrocznie. Zza drzwi wielu mieszkań wypyływały zapachy smażonych kotletów.

– Pora obiadowa – mruknął pod nosem.

Wszedł na najwyższe, trzecie piętro, a potem podszedł do okna. Rozciągał się stąd widok na całą uliczkę, w tym również na kamienicę, w której zamordowano Grońskiego. Uznał, że każdy z mieszkających tutaj mógł widzieć, kto wchodził albo kto wychodził. Problemem była pora zabójstwa, północ. Trudno kogoś dostrzec o tej porze.

Stał jeszcze przez moment, a potem dołączył do kolegów. Podkomisarz przeczesywał mieszkanie, zaglądał do wszystkich zakamarków i schowków. Jorńczyk zajął się sztucami.

– Masz coś?

– Za wcześniej, żeby pytać. Ale są tu jakieś noże, jednak na żadnym nie ma śladów krwi.

– W porządku, rób, co możesz. Zastanawiam się... Chwila. – Iwanowicz urwał w pół zdania, przygryzł wargę, a potem wyszedł z mieszkania i zastukał w drzwi lokalu naprzeciwko. Czekał ponad minutę, nim się otwarły.

– Dzień dobry, krótkie pytanie, czy Wiesiek miał jakąś piwnicę albo komórkę ze swoimi rzeczami?

Rzońca gwałtownie pokręcił głową.

– Na pewno?

– No takie rzeczy się wie. Mówię przecież, że nie.

Wrócił do mieszkania. Jakie to było oczywiste. Powtórzył jego słowa w pamięci „mówię

przecież, że nie”.

– Cholera, czuję, że robimy tę samą robotę co ostatnio. Co za bezsens – powiedział Gawłowski. Iwanowicz usiadł na krześle i zaczął się zastanawiać, nie zwracając uwagi na słowa kolegi.

DRUGI... to znak. To jakiś przekaz, który był skierowany do nas, do nikogo innego – pomyślał. To właśnie my mieliśmy znaleźć ten napis.

Nikt inny.

W tej sprawie każdy miał jakąś rolę do odegrania. Jak w sztuce. Tyle że to nie teatr.

Ofiary zginęły, a policja miała to wszystko odkryć. W taki sposób i w takiej kolejności. Nie mieliśmy być biernymi obserwatorami. Mało tego, mamy też swoją rolę do odegrania.

Jaką?

Jaką mamy rolę? Czyż się teraz powinniśmy zająć?

– Próchnicki zginął pierwszy, ale na ścianie znaleźliśmy ślad, który niejako temu przeczy. Mógłby więc zginąć drugi? – zapytał, choć po chwili wyczuł, że było to pytanie retoryczne.

Jorczyk i Gawłowski spojrzeli po sobie, ale nie skomentowali słów kolegi.

Iwanowicz nie czekał ani ich nie ponaglał. Wciąż analizował. Doszedł do wniosku, że w tym mieszkaniu też powinien być jakiś ślad. Jakiś napis. Ale gdzie? Gdzie można ukryć napis równie duży jak tamten? Musi być to jakaś spora powierzchnia, z pół metra kwadratowego. Gdzie, skoro wszystkie ściany są odsłonięte. Ale...

Iwanowicz gwałtownie wstał i szybkim krokiem ruszył do obrazka, który wisiał w pokoju.

Nagłym ruchem zdarł go ze ściany.

– Szlag by to...

Pusto. Żadnego napisu.

– Co ty robisz? – zapytał technik. Gawłowski odwrócił się w jego stronę.

– Marek, dobrze się czujesz, czy dać ci jakieś tabletki od bólu głowy?

Iwanowicz spojrział koledze w oczy, ale za tym spojrzeniem nic się nie kryło. Był to wzrok osoby, która coś analizowała, niczego nie dostrzegając.

– Gdzieś musi być napis – rzekł cicho. – Skoro w tamtym domu był, to i tutaj jest. Musi być.

Nie podejrzewam, że on tutaj jest. Ja to wiem. To jest więcej niż pewne.

– A niby dlaczego? – zapytał Gawłowski. Odwrócił się i zaczął przesuwać meble. Jego głos brzmiał niewyraźnie.

– A niby dlatego, że w tamtym domu go znaleźliśmy. Dlaczego zabójca się pofatygował i zadał sobie tyle trudu, by wybazgrać go na ścianie zamkniętego domu na drugim końcu miasta? W tej właśnie chwili, gdy wiedział, że go szukamy? Dlaczego to zrobił, jak sądzisz?

– Czy ja wiem... nie zastanawiałem się nad tym. Po coś to zrobił, ale tego jeszcze nie odkryliśmy.

– Bo morderca zostawił nam wskazówkę. Jeszcze nie wiem po co i co ona znaczy, ale to jest właśnie ślad, za którym mamy podążać. To jak gra w podchody albo w jakąś inną cholerną zgadywanke. Kojarzysz taką zabawę? Dzieciaki dzielą się na dwie grupy, jedna ucieka i zostawia za sobą wskazówki, a druga grupa za nimi podąża i musi ich dogonić. I my właśnie jesteśmy tą drugą grupą.

– I podążamy za znakami?

– Otóż to, tylko że nie wiemy, kogo ani dlaczego gonimy. Co gorsza, my wciąż jesteśmy na starcie.

I czuję się tak, jakbyśmy jeszcze nawet nie ruszyli, dodał w myślach.

Kolejną godzinę spędzili na poszukiwaniu jakichkolwiek śladów. Przetrzęsnęli całe mieszkanie, ale niczego nie znaleźli. Iwanowicz z Gawłowskim przeszukali również korytarz i niewielką piwnicę, w której znajdowały się stare i porzucone graty dawnych, jak sądzili, mieszkańców. Stare zabawki, rowery, cegły pochodzące najprawdopodobniej z dawnej rozbiórki, wiadra oraz kilka worków skamieniałego już cementu. Nie dało się tu niczego schować.

Potem wyszli na zewnątrz i przeczesywali metr po metrze podwórze przylegające do budynku. Leżała tam piła oraz sterty desek i rozmaitych śmieci. Wszystkie odpady nosiły ślady czasu, słońca i deszczu. Nic nie znajdowało się tam od wczoraj czy przedwczoraj. Bardzo łatwo było rozpoznać, że coś leży miesiąc, a coś kilka dni. Mieli tym zając się policjanci z Kowar, ale później śledczy z Jeleniej uznali, że nie zaszkodzi sprawdzić samemu.

Zrezygnowani z powodu bezowocnych poszukiwań wrócili do Jeleniej Góry. Wstąpili jeszcze na chwilę do komendy. Iwanowicz po osiemnastej był już w domu, a po dwudziestej twardo spał. Rzadko się zdarzało, by usypiał tak wcześniej.

Obudził się dopiero o drugiej w nocy, gdy usłyszał grzmot pioruna. Podskoczył na łóżku, przetarł spocone czoło i spojrział odruchowo na komórkę. Brak wiadomości, brak nieodebranych połączeń. To dobry znak, chociaż niczego jeszcze nie przesądzał.

Wstał, otworzył na oścież okno i wziął kilka głębokich wdechów. Za oknem panowała ciemność. Ziewnął kilka razy i podrapał się po plecach tak nerwowo, że aż poczuł pieczenie skóry. A potem poczuł się jeszcze gorzej, bo przypomniał mu się koszmar. Śniło mu się, że widział leżące zwłoki chłopca. Była to tylko ułudą, przywidzenie. Jego ciało, młode, niewinne, zwiślało mu bezwładnie na rękach. Sen. Pojawił się, zniknął, ale odcisnął swoje piętno.

Nagle usłyszał przeraźliwy grzmot, a kilka sekund później ulicę rozświetlił jasny błysk, niczym wielki flesz aparatu ukazując to, co kryła noc.

Dojechał do Krzeszowa. Skreślił na parking i wysiadł z auta. Włączył centralny zamek, rozejrzał się na boki i szybko przebiegł przez jezdnię w niedozwolonym miejscu, a potem wszedł w okazałą barokową bramę, która prowadziła na teren wielkiego kompleksu kościelnego. Składały się na niego różne zabudowania, a w centralnym miejscu stała perła architektury barokowej, która stanowiła cel jego przyjazdu. Szedł długą aleją, której od lat strzegły wysokie drzewa stojące w takiej samej odległości od siebie, niczym milczący wartownicy. Zakłęci niemi strażnicy czasów i historii. Dróżka prowadziła idealnie w linii prostej aż do samej ogromnej Bazyliki Wniebowzięcia Najświętszej Maryi Panny. Od czoła budynku po obu stronach wznosiły się wysokie i strzeliste wieże okraszone dziesiątkami zdobieni i rzeźb. Poniżej, w centralną część przedniej ściany wkomponowano ogromne drzwi, a nad nimi majestatyczne wysokie okno. Po bokach stały liczne kolumny. Wyglądało to tak, jakby przez te wszystkie długie wieki zapuściły one swoje korzenie wewnątrz budynku, pierwotnie się ze sobą ścierając, potem łącząc, przekształcając, by wreszcie spocząć w owym finalnym kształcie. Bazylika otoczona była innymi budynkami zakonu cystersów, którzy sprawowali opiekę nad całym obiektem. Obok znajdował się mniejszy kościół, kaplica oraz stare, zabytkowe grobowce. Doszedł do końca alejki, a potem przekroczył próg i wszedł do środka. Wewnątrz panował półmrok. Ciche szuranie butów odbijało się echem wśród wysokich ścian bazyliki.

Stał przy jednej z ławek w połowie rzędu, przeżegnał się, a potem usiadł. Poczł się onieśmiałony. Ściany wznosiły się nieubłaganie wysoko, tworząc pomost łączący człowieka z niebem. Wewnątrz panował chłód mimo skwaru na zewnątrz. Był dopiero ranek, ale intensywne promienie słońca przedzierały się przez kolorowe szyby barwnych witraży.

Ściany pokrywała biała farba. Symbol czystości. Całe wnętrze świątyni wspierało się na masywnych kolumnach. Między nimi, w głębi, znajdowały się kapliczki oraz ogromne obrazy otoczone mnóstwem rzeźb. Wszystko to nakładało się na siebie, stykało ze sobą, jakby wielkie elementy sztuki walczyły o miejsce, chcąc być bliżej człowieka, a może bliżej Boga. Chciały być wyraźniejsze, silniejsze, a swoim kształtem pragnęły mówić o historii, o Bogu, o tych wszystkich niezliczonych słowach, jakie w tym miejscu zostały przez setki lat wypowiedziane. Sprawiało to wrażenie wielkiej walki żywiołów, które do życia powołał człowiek, by w jego imieniu mówiły o nim samym, o jego czasach, o tym, jak wyobrażał sobie Boga. I by dawały, poprzez ilość i poprzez owo bogactwo doskonale, eksplodujące formy, świadectwo swojej ogromnej wiary.

Iwanowicz przyjeżdżał do tego miejsca od lat. Za każdym razem poznawał tylko jakąś jego cząstkę, fragment, niewielki wycinek. Rozpoznawał tylko poszczególne postaci z malowideł, identyfikował świętych z kilku rzeźb. I to wszystko. Nie był koneserem sztuki sakralnej i nie wnikał w owe liczne szczegóły, niezliczone elementy, jakie kryła bazylika. Nie przyjeżdżał tutaj dla sztuki.

Tutaj odnajdował spokój, który tak bardzo był mu potrzebny w chwilach słabości. Potrzebował tego, bo żadne inne miejsce nie było w stanie wyprowadzić go ze złego stanu i podłego samopoczucia. Tutaj znajdowała się magiczna moc historii, religii i nieokreślony zapas energii, który dodawał mu sił.

Od lat zdawał sobie sprawę, że za każdym razem w chwilach kryzysu musi szybko dokonać wyciszenia, inaczej mógłby się załamać.

Przyjechał tu po raz pierwszy przeszło pięć lat temu, nie przypadkiem, i od razu poczuł jego magiczną siłę. Tutaj człowiek mógł się zatrzymać i zastanowić nad sobą i swoim życiem. I w istocie tak się tutaj czuł – jakby całe zło gdzieś zniknęło, niczym spływający brud w czasie kąpieli. Działo się to stopniowo, ale jednak zauważalnie.

W oddali usłyszał szelest.

– Nie wiem dlaczego, ale czułem, że się niebawem pojawisz. Zawsze się zjawiasz... zawsze gdy w gazecie piszą o zabójstwach. – Usłyszał za plecami głos, niski i tubalny, z doskonałą dykcją jak u lektora filmowego.

Iwanowicz odwrócił głowę i dostrzegł swojego przyjaciela, brata Tomasza, który od piętnastu lat był cystersem. Miał na sobie charakterystyczny biało-czarny habit. Był wysokim mężczyzną w średnim wieku, łysym i z krótką brodą.

Komisarz bacznie mu się przyglądał. Uśmiechnął się i wstał, by się przywitać. Byli niemal tego samego wzrostu. Uścisnęli sobie dłonie, a potem bezszelestnie usiedli w ławce.

– Rzeczywiście, jest w tym pewna reguła, że gdy robi się w okolicy piekło, to... Niebo przywołuje mnie do siebie. – Wskazał ręką na sufit. – A może to ja go szukam, sam nie wiem.

– Cieszy mnie, bracie, że w ogóle tutaj przyjeżdżasz, bez względu na okoliczności. Miło cię znowu widzieć, naprawdę. Ostatnim razem widzieliśmy się...

– Dwa lata temu.

– Tak, zaraz po tych zabójstwach...

– Nie przypominaj mi. Chcę o nich zapomnieć – powiedział ze smutkiem w głosie. Głośno westchnął, a potem odkasznął, jakby chciał wyrzucić z siebie złe wspomnienia sprzed dwóch lat. Poczul ucisk w gardle, jakby coś blokowało mu przelyk, a potem rzekł z trudem: – Mówisz, że w gazetach pojawiły się jakieś informacje o Kowarach? Prasa zawsze mnie zdumiewała. Działają szybciej niż wszyscy dookoła.

– Słyszałem też w radiu to i owo. Wspominali coś, ale niewiele się dowiedziałem. To tylko jakaś wzmianka, jakby sami bali się zajmować tym tematem. Enigmatycznie, skromnie. Domyśliłem się, że na pewno przy tym pracujesz. No a potem połączyłem fakty i już wiedziałem, że niebawem się spotkamy.

– To trwa dopiero od dwóch dni, a już mam dość.

– Krótko.

– Większość śledztw ciągnie się tygodniami, miesiącami, a nawet i latami. Ale są sprawy innego kalibru, takie jak ta, które skalą okrucieństwa przewyższają wszystkie inne. Tak silnie pochłaniają nasze myśli, że nie możemy się od nich oderwać. Wpadamy w nie i nie jesteśmy w stanie przedostać się do normalności, do naszego świata, tego prywatnego, który zostawiliśmy w domu. Są jak...

– Bagno? Kiedyś tak to nazwałeś.

– Trochę tak. Te sprawy nas porywają i nawet nie wiadomo kiedy mija ci dzień, potem kolejny i następny. Jesteś jak zamroczony. Nie potrafisz żyć niczym innym jak właśnie tą sprawą. Zapominasz o całym świecie, bliskich, znajomych. I o całej reszcie obowiązków. Dopiero po tym wszystkim zdajesz sobie sprawę, jak bardzo zaniedbałeś samego siebie, całe otoczenie... dosłownie wszystko. – Zamilkł na chwilę. – Później nagle uświadamiasz sobie, że trzeba też coś jeść, odpocząć, że trzeba żyć własnym życiem, o ile to możliwe. Że też masz życie prywatne.

Brat Tomasz kiwnął głową na potwierdzenie jego słów, ale się nie odzywał.

– O ironio, o ile się je ma. Znasz mnie nie od dziś; wiesz, że jest ono u mnie trochę ubogie, ale mimo to jest. Mam swoje pasje. Dbam o to, by mieć dla siebie czas. I choć ta praca często jest bardzo absorbująca, to staram się o sobie pamiętać. Nawet nie wiesz, kiedy przestajesz żyć dla siebie, bo zaczynasz – wbrew sobie – żyć dla innych. Dla pokrzywdzonych, dla ofiar, które są ci kompletnie obce i obojętne. Ale to twoja cholerna...

– Nie używaj tutaj takich słów – wtrącił rozmówca.

– Wybacz... Wybacz, czasami się zapominam, przepraszam. No więc to jest mój obowiązek. To jest moja praca, bez względu na wszystko muszę się jej poświęcić. A poświęcić się pracy w wydziale kryminalnym, znaczy poświęcić się bez reszty, całkowicie.

– Doskonale cię rozumiem, też wybrałem takie życie, że się całkowicie poświęciłem.

– W pewnym momencie przestajesz być sobą – kontynuował Iwanowicz, spoglądając przed siebie. – Po całym ciężkim dniu zdajesz sobie sprawę, że pijesz już szóstą kawę, masz podkrążone i sine oczy, sypiasz na komendzie, chociaż twoje mieszkanie znajduje się zaledwie kilka kilometrów od pracy. Koledzy z pracy stają się twoją rodziną. Tylko z nimi rozmawiasz i tylko na nich możesz liczyć. Bo ich masz. I choć brzmi to głupio, może wręcz pomyślisz, że banalnie, ale tak właśnie jest. To jest prosty rachunek. Tyle, ile dasz z siebie, tyle możesz dostać.

– Wcale tak nie pomyślę, Marku, wiem, jaki jesteś, wiem...

– Policjant, samotny policjant. Popatrz w ogóle na nas wszystkich. Czasami... – Przerwał na kilka sekund, by zebrać rozproszone myśli, a potem ciągnął: – Czasami sam się zastanawiam, czy to, co robię, ma sens. Czy miejsce, w którym jestem, jest właśnie tym miejscem. Rozumiesz „tym” miejscem. Spójrz na całą resztę, na tych wszystkich policjantów, co drugi rozwiedziony, co któryś to alkoholik, mało kto z nas, a wierz mi, bo wiem, co mówię, radzi sobie z tą codziennością. Oczywiście są też twarde typy, które mają wszystko w nosie. Ale ich jest garstka. Tych prawdziwych twardzieli jest naprawdę mało. Reszta udaje. To taka poza: patrzcie, jacy jesteśmy twardzi. Tylko udajemy, że widok zabitego dziecka nie robi na nas wrażenia, że widok wisielca to dla nas pestka i codzienność. Owszem, może i to jest codzienność, ale każdy z nas to przeżywa, każdy z nas to potem w sobie nosi. Boimy się. Boimy i przeżywamy, jakby to dotyczyło nas samych. Jakby ta tragedia i cierpienie dotykało nas bezpośrednio. Ten nasz świat, ta nasza codzienność... ona nas przytłacza. Nie wiem, czy dam radę do emerytury oglądać zwłoki, bez względu na to, czy z wypadku samochodowego, czy oskalpowane przez jakiegoś szaleńca, czy po strzelaninie. To jest śmierć. Za każdym razem, bez względu na kształt, to jest śmierć, i tak naprawdę jedna od drugiej wcale się nie różni. Są oczywiście okoliczności łagodniejsze, są takie, że lepiej to znosisz. Ale są też i te z całą masą okrucieństwa, które przekracza jakiegokolwiek granicę. Wbiją ci się w umysł jak nastrożony gwóźdź. I to właśnie tego się boję najbardziej. Tego nieprzewidywalnego ludzkiego zła, jakie wciąż gdzieś w nas się pałęta. Jak jakiś...

– Demon.

– Może, może właśnie jak jakiś demon, który raz na jakiś czas, co tydzień albo co miesiąc, atakuje co popadnie, zabija, panoszy się...

– Tak jak w Kowarach.

– Nie tylko to mam na myśli, bo przykładów jest cała masa. Ale rzeczywiście, po tym, co ostatnio tam zobaczyłem, zastanawiam się, gdzie przebiega granica. Gdzie ona się znajduje? Ile jeszcze człowiek może zrobić złego? Ile jeszcze może z siebie zła wyrzucić? Naprawdę...

Komisarz zamilkł. Poczł się nieco lepiej, że po latach znów mógł się wygadać komuś bliskiemu, komu ufa i kogo znał od zawsze.

– Wierz mi, że czasami czuję się gorzej niż podłe. Jest mi źle, że muszę to wszystko oglądać. I niby prawda jest to, co mówią inni, że z czasem człowiek przyzwyczai się do wszystkiego.

– Nawet najgorszego – wyszeptał brat Tomasz, wpatrując się w ołtarz znajdujący się na wprost. Ich słowa odbijały się echem i sprawały wrażenie, jakby ktoś z nimi stał i wciąż powtarzał słowa.

– Tak, człowiek jest w stanie się przyzwyczaić do wszystkiego, co najgorsze, ale nie w tym sęk. Ja po prostu nie chcę się do tego przyzwyczajać. Nie chcę pozybywać się tej resztki człowieczeństwa, która wciąż we mnie tkwi. Mogę sporo znieść, bo tak zostałem wychowany, twardą i bezwzględna ręką, ale zawsze sądziłem, że w tym wszystkim, a raczej między tym wszystkim, jest jakaś granica, której nie będę przekraczał. Że życie, mój zawód i moja praca nie zmuszą mnie do tego. Dzisiaj obudziłem się o świcie. Nie mogłem spać, bo miałem przed oczami same trupy. Zasyphiałem, a potem budziłem się co chwila. Miałem koszmary. I tak sobie dzisiaj pomyślałem, że chyba to jest

ten czas, by znów się tutaj pojawić. Przekroczyłem po raz kolejny granicę, której nie chciałem przekroczyć. W ciągu ostatnich dwóch dni znów zobaczyłem tyle obrazów śmierci, że o mały włos nie zwymiotowałem. Bo ta śmierć jest ciągle wokół mnie. Możesz zamknąć jakiegoś mordercę i przez moment po tym wszystkim masz nadzieję, że ten koszar wreszcie się skończył. Że to całe zło, okrucieństwo przeminęło. Zbrodnia rzeczywiście przemija, ale wciąż trudno jest się od niej uwolnić. Ona w nas pozostaje. Siedzi i przez długi czas nas dręczy. A gdy już o niej trochę zapomnimy, to przychodzi następna zbrodnia. I wtedy znów przekraczasz tę granicę, za którą nie ma już porządku, prawa ani normalności.

– Na szczęście nie przekraczasz jej jednak aż tak często.

– To chyba nie ma znaczenia jak często. Właśnie to, że przekroczyłem ją raz, jest już wystarczającym powodem, bym zaczął się bać. Nie chcę więcej tego wszystkiego znosić... Ja już po prostu nie mogę, nie potrafię. I jeszcze teraz, jakby tego wszystkiego było mało, zdarzyło się coś... Zniknął chłopiec bez śladu. Nie wiadomo, gdzie jest. Po prostu się rozplątał.

Brat Tomasz położył dłoń na ramieniu przyjaciela.

– Śniło mi się, że ktoś go zamordował. Wyobrażasz to sobie? Tak jestem już tym przesiąknięty, że nie umiem o tym nie myśleć. Nie potrafię się wyłączyć.

– Doskonale cię rozumiem...

– I wiesz, co mnie najbardziej boli? Że do ku... – ugryzł się w język, bo chciał zakląć – że nie umiem sobie pomóc. Jest mi ciężko. Wracam do domu i co? Nie umiem się skoncentrować tak, jakbym chciał. Nie umiem pogodzić jednego i drugiego. Powiedz mi, jak mam rano wstać i cieszyć się tym, że idę do pracy, skoro nigdy, absolutnie nigdy nie wiem, co mnie czeka? Jak? A teraz muszę jeszcze robić swoje, czyli wciąż zajmować się sprawą z Kowar... – Przerwał w połowie zdania, wstał i podszedł do jednego z ołtarzy znajdującego się w nawie bocznej.

Brat Tomasz siedział w ławce, nie wiedząc, czy ma iść za nim, czy zostawić go samego.

Po paru minutach komisarz znów usiadł w ławce.

– Obaj jednak wybraliśmy sobie takie życie. Bóg pewnie... – zaczął brat Tomasz.

– Nie wiem, gdzie w tym wszystkim jest Bóg – przerwał mu Iwanowicz. – Twój Bóg, Chrystus, czy bóg jakiś inny. Nikt z nas nie wie, jaki on jest, jak wygląda. To wy, katolicy, przypisujecie mu różne cechy: wielki, kochający i sprawiedliwy. Kochający, tak? Jestem policjantem od wielu lat. W tym czasie widziałem wiele zła, wiele zbrodni, nawet takich, jakie nie przyśniły mi się w najgorszym i najpodlejszym koszarze. Tyle cierpienia, bólu, krzyku i niewyraźnego wrzasku. Tyle podłości. Niemal codziennie, od lat. Dzień w dzień krew, tragedia, cierpienie. I tak w kółko. I w całym tym czasie, wierz mi, nigdzie na swojej drodze nie spotkałem Boga. Jego ze mną nie było. Nie było go również w chwili, gdy ci wszyscy ludzie byli katowani i mordowani. Powiedz mi więc, gdzie był? Dlaczego nie uratował ani jednego istnienia, którego my, zwykli policjanci, nie mogliśmy już uratować? Dlaczego tak splótł nasze losy, że obaj nieustająco cierpimy? Gdzie się podział Bóg, ten wielki sprawiedliwy, gdy zniknęła twoja siostra? Gdzie się podział Bóg, gdzie był, gdy zaginęła najbliższa nam obojgu kobieta?

Iwanowicz wyszedł z bazyliki, zostawiając milczącego brata Tomasza. Na pytania o to, gdzie był Bóg, gdy działy się różne złe rzeczy, nie uzyskał odpowiedzi.

Wrócił do samochodu. Na siedzeniu kierowcy leżała komórka. Chwycił ją. Trzy nieodebrane połączenia, dwa od Gawłowskiego i jedno od Jończyka. Zadzwonił najpierw do technika.

– Oddzwaniam. Nie mogłem rozmawiać – zaczął. – Coś ważnego?

– Dzwoniłem, bo pewnie cię to zainteresuje. Byłem wczoraj po południu za domem Próchnickiego. Znalazłem sporo śladów na polu kukurydzy. Faktycznie, tak jak podejrzewaliśmy, ktoś przeskoczył przez płot za domem. Podążałem za nimi. Wygląda na to, że gość przeszedł kilkanaście metrów i stanął, bo odkryłem tam więcej śladów. Potem znów ślady zataczały wielkie koło, aż do samej szosy, którą dojechaliśmy do jego domu. Kojarzysz? Oznacza to, że gość faktycznie musiał wracać tą samą drogą, a potem poszedł do miasta.

– I co z tymi śladami?

– But, rozmiar czterdzieści sześć. Muszę coś więcej dodawać?

Iwanowiczowi przeszedł dreszcz po plecach. To był ślad zabójcy. Czekał i obserwował każdy ich ruch, a potem ulotnił się, znikając w gąszczu kukurydzy.

– Dzięki za informację.

– Nie ma za co.

– Tak się zastanawiam... skoro mówisz, że gość zatoczył koło i wrócił na ulicę, to znaczy, że facet najprawdopodobniej nie zna dobrze okolicy.

– Skąd to wiesz?

– Nikt normalny nie wracałby drogą, którą mogły jechać radiowozy. Dlaczego nie poszedł gdzieś indziej, do jakiegoś lasu, z dala od nas, z dala od tego cholernego zamieszania, by się schować, przeczekać, tylko zaryzykował i ruszył w kierunku, gdzie prawdopodobieństwo spotkania jakiegoś patrolu było tak duże?

– Szczerze?

Komisarz usłyszał piknięcie w telefonie. Ktoś próbował się z nim połączyć.

– Nie odpowiadaj, to było pytanie retoryczne. Doskonale wiem, co chciałeś powiedzieć.

Zakończyli rozmowę. Do tego, co udało im się do tej pory ustalić, i samego obrazu zabójcy dodał kolejną rzecz – prawdopodobnie morderca nie znał za dobrze okolicy. Bał się oddalać od miejsca, które było jego celem. Nie schował się, nie poszedł gdzieś daleko. Wrócił tam, gdzie czuł się bezpiecznie.

Komisarz wybrał numer Gawłowskiego i czekał.

– Dzwoniłeś.

– No wreszcie. Już miałem znowu wybierać do ciebie numer.

– Coś pilnego? – zapytał sucho.

– Miałaś rację, że coś znajdziemy.

– Co?

– Mamy kolejny znak od zabójcy.

– Gdzie?

– Dzwonił do mnie przed momentem Zalewski. Nie wiedział, jak to się stało, ale podczas sekcji tego nie dostrzegł. Dopiero teraz...

– Czego? Czego nie dostrzegł? – ponaglił go ostro.

– Wczoraj po sekcji zwłok Gronskiego zajął się Próchnickim. Ale potem zwłoki obejrzał raz jeszcze Krawczyk. I on to znalazł.

– Nie przeciągaj, powiedz wreszcie.

– Na ciele Grońskiego za gęstą kępką włosów, tuż za uszami dostrzegli wrytą ranę. Niewielką, miała może niecały centymetr.

– Co to było?

– Marek, to była cyfra. Trójka.

Iwanowicz rozejrzał się, spoglądał odruchowo w lusterko, a potem znów na boki, jakby czegoś się wystraszył lub kogoś obawiał. Dochodziła godzina dziesiąta. Promienie słońca nieśmiało przedzierały się zza drzew. Na wprost niego znajdował się ciąg nowych domów – mieszkania, a na parterze lokale gospodarcze. Apteka, fryzjer, restauracja. Za plecami miał bazylikę, do której przyjechał, by odnaleźć chwilę spokoju i wyciszenia. Nie udało się. Nie potrafił.

– Jesteś tego pewien?

– Zalewski nie dzwoniłby, nie mając pewności. Znasz go i wiesz, że towarzyski ani rozmowny to on nie jest. Skoro dzwoni, to znaczy, że ma powód.

– Kurwa. To by znaczyło, że on wszystkie swoje ofiary... – przełknął ślinę, bo poczuł silny ucisk w gardle – ...numeruje.

– Na to wygląda, ale wciąż nie wiemy, dlaczego właśnie w ten sposób. Groński został zabity drugi.

– Sam nie wiem, to wszystko nie trzyma się kupy. Jak słowo daję, to jest pochranione. Bez względu na wszystko i nawet jeśli nie wiemy dlaczego, teraz mam już pewność, że facet robi to z pełną świadomością. Każdy znak czemuś służy. Po coś to jest, tylko za cholere nie wiem po co. Nic mi nie przychodzi do głowy. Od kiedy na to wpadliśmy, sądziłem, że on numeruje swoje ofiary według kolejności zabijania. Ale okazuje się, że byliśmy w błędzie.

– Gdzie teraz jesteś?

– Zaraz wracam do Jeleniej Góry. Zastanawiam się...

– Nad...?

– Dobra, pogadamy później. Spotkajmy się w komendzie.

Rozłączył się i wyjechał z parkingu. Poczul się zawiedziony tym, że po raz pierwszy, będąc tutaj, nie udało mu się zrealizować swoich planów. Zwykle przyjeżdżając tu, czuł się lepiej, ale dziś było inaczej. Jego burzliwa rozmowa z bratem Tomaszem rozdrapała tylko największą ranę. Powrócił myślami do przeszłości, tej najboleśniejszej.

Dziś jednak tu przyjechał, bo nie miał innego pomysłu, co może ze sobą w tej chwili zrobić. Nie wierzył w Boga, więc nie chodziło mu o swoiste oczyszczenie duchowe. To miejsce działało na niego inaczej i nigdy nie potrafił tego uzasadnić. Iwanowicz wychował się bez Boga, bo taka była decyzja jego rodziców, którzy przeżywszy wojnę, nie mogli pojąć tego, że coś takiego mogło się wydarzyć ludzkości, nad którą czuwał Bóg. Los ich ocalił, ale ich przyjaciół i najbliższych już nie. Nie mogli zrozumieć, dlaczego spotkało ich to w świecie rządzonym przez Boga.

Mimo to Iwanowicz przyjeżdżał w to miejsce po spokój, po tę kojącą ciszę, której mu zawsze brakowało.

Ponownie zabrzączał telefon. Znów ujrzał na wyświetlaczu nazwisko Jończyka. Iwanowicz przyspieszył i minął mur otaczający teren krzeszowskiego ośrodka. Przez moment miał ochotę nie odbierać, ale wiedział, że i tak będzie musiał się z tym zmierzyć. Nie ucieknie przed napływającymi wiadomościami. Dotknął zielonej ikony na ekranie.

– Marek, mamy wyniki badań krwi. Tej, którą zrobiono napis, pamiętasz?

– Trudno zapomnieć o czymś takim.

– No więc nie mamy wątpliwości, to ludzka krew.

Gawłowski wraz z Jończykiem przyjechali do Kowar w umówione miejsce. Droga prowadziła do Ogorzelca i okolicznych miejscowości, pięła się do góry i wiła między gęstymi lasami. Gdziekolwiek z trasy widać było stare zabudowania kopalniane.

Zjechali w boczną uliczkę i zostawili auto na parkingu znajdującym się przy samym lesie. Tam czekał na nich wóz policji. Obok stał młody funkcjonariusz. Na ich widok machnął ręką, wypuścił dym i zgniół butem papierosa.

Przywitali się i ruszyli w głąb lasu. Było duszno. Po chwili znaleźli się na ścieżce, a potem ruszyli torami w kierunku starego tunelu kolejowego wydrążonego dziesiątki lat temu w wielkim nasypie górskim, jednym z wyższych w okolicy. Pociągi już od lat tędy nie jeździły. Na starej trasie kolejowej rosły krzaki i małe drzewa. PKP zapomniało o tym miejscu. Przed laty funkcjonowała tu linia łącząca Kowary z Ogorzelcem, miejscowością znajdującą się po drugiej stronie wzniesienia. Teraz jednak nikt z niej nie korzystał. Od lat to miejsce służyło za ścieżkę, łatwiej i szybciej przemierzało się gęsty las.

Jończyk na moment przystanął. Po prawej stronie dostrzegł ciemny zarys dużego budynku przypominającego magazyn. Z każdym krokiem w ich oczach rosła bryła budowli. Wielkiego, czarnego kolosa, który stał w środku dusznego i ponurego lasu.

Nim Iwanowicz dotarł do Jeleniej Góry, zadzwonił do niego szef Koltexu i powiedział, że ma czas na spotkanie, ale później znowu wyjeżdża. Iwanowicz zawrócił i pojechał na umówione miejsce przy parkingu, nieopodal komisariatu. Siedział w aucie, ciesząc się chłodem z klimatyzacji. Słuchał krajowych wiadomości.

Po chwili zobaczył w lusterku czarne audi kombi z przyciemnianymi szybami. Z auta wyskoczył krępy blondyn. Mógł mieć około czterdziestu lat. Wyglądał jak zawodowy zapaśnik. Miał na sobie kilka numerów za duży niebieski T-shirt i sportowe krótkie spodenki. Nic do siebie nie pasowało, ale mężczyzna nie sprawiał wrażenia, jakby wygląd miał dla niego znaczenie. Komisarz zapamiętał twarz i sylwetkę, a potem wysiadł, żeby się przywitać.

– Dzień dobry, Janusz Poradzki. Jestem szefem całego tego zamieszania – zazartował blondyn, odsłaniając żółte zęby.

– Nie będziemy na razie wchodzić do środka – odpowiedział Iwanowicz, pokazując budynek komisariatu. Założył ręce na piersi. Schowali się w cieniu, jakie rzucały pobliskie drzewa.

– Nie ukrywam, że to, co tu się stało, mocno mnie przerażyło. Pracownicy są wystraszeni, dzwonił wczoraj do mnie Korecki, mój brygadziśta, że ta sprawa zasiała panikę w kopalni. Paru ludzi nie chciało przyjść do pracy, więc musiałem im dać niewielką premię. Zamontowaliśmy dodatkowe oświetlenie, by ludzie się nie bali. Zamykamy też bramę wejściową, nawet w ciągu dnia.

Komisarz kiwnął głową.

– Proszę mi powiedzieć, kto zatrudnia ludzi w kopalni? Pan, Korecki?

– W zasadzie on, ja raczej do tego się nie mieszam. Nawet nie jestem stąd, mieszkam w Wałbrzychu. Nie znam ludzi, więc polegam na jego znajomościach i wiedzy. Ja tylko podpisuję wszystkie dokumenty. W Kowarach osobiście nie zatrudniłem ani jednej osoby. Ani też nie zwolniłem. Wszystkich pracowników dobiera Korecki. To wchodzi w zakres jego obowiązków.

– Znał pan osobiście Ryszarda Próchnickiego?

– Nie. W ogóle go nie kojarzyłem, aż do czasu, gdy powiedział mi o tym wszystkim Korecki przez telefon. Wy tłumaczył mi co i jak, nakreślił sprawę, a potem opisał, jak wyglądał, więc skojarzyłem. Później wziąłem do ręki umowy o pracę i dane osobowe pracowników, bo mam dokumenty w bagażniku, w laptopie albo w wałbrzyjskim biurze. Odszukałem skan dowodu osobistego. Kojarzę twarz, ale nic więcej.

– Czyli nigdy pan osobiście z nim nie rozmawiał?

– Nie mówię, że nie, bo mógłbym skłamać. Czasami przyjeżdżam do Kowar i sprawdzam, jak idą prace. Zachodzę, witam się z pracownikami, chociaż w ogóle ich nie znam, pytam, co słychać i jakie są postępy, a później idę na rozmowę z Koreckim, który zdaje mi relację z tego, co się dzieje na budowie. I możliwe, że kiedyś spotkałem pana Próchnickiego i zamieniłem z nim dwa słowa. Wie pan, w korytarzach jest ciemno. Nie widać dobrze twarzy. A poza tym mamy kilkunastu pracowników, a proszę jeszcze pamiętać, że od kiedy rozpoczęliśmy budowę, to przewinęło się o wiele więcej osób. Statystycznie raz na dwa, może trzy miesiące ktoś się zwalnia i na jego miejsce zatrudniamy nową osobę. Tak to już jest w firmach budowlanych. Poza tym mam jeszcze dwie firmy w Wałbrzychu, więc roboty i obowiązków mi nie brakuje.

– Tak, ale Próchnicki już długo pracował u pana.

– Możliwe, ale nie zmienia to faktu, że naprawdę nie kojarzę wszystkich twarzy. Nie bywam tutaj aż tak często. Wystarczy, że co jakiś czas dzwonię do Koreckiego. Prawie wszystko ustalamy przez telefon. Większość swoich interesów załatwiam telefonicznie, więc nie muszę bywać tutaj często. Owszem, przyjeżdżam, ale nie ma w tym żadnej systematyczności. Bywa, że jestem raz w tygodniu. Sprawdzam, kontroluję, ustaliam plan większych prac. A kiedyś zdarzyło się, że nie było

mnie tutaj ponad miesiąc, bo doglądałem innych firm. Tak to już jest w tej branży.

– Rozumiem. Interesuje mnie jeszcze jedno. Czy od kiedy prowadzi pan inwestycje w tej kopalni, zdarzały się między pracownikami jakieś poważniejsze kłótnie?

– To znaczy?

– Może wie pan, czy między pracownikami były jakieś konflikty, zatargi? Może kłócili się o... nie wiem, nadgodziny, przydział pracy? Mam na myśli takie sprawy, które mogą się pojawić w każdej pracy i ludzi poróżnić. Bo o pieniądze nietrudno się pokłócić.

Mężczyzna zdecydowanie kiwnął głową, spojrział na zegarek i zrobił kwaśną minę. Nie chciał okazywać zniecierpliwienia, ale i tak nie dało się go ukryć.

– Nic takiego do mnie nigdy nie dotarło. Jeśli komuś coś nie pasuje, to się zwalnia. Grafik pracy jest ustalany odgórnie i nie zmieniamy go na czyjeś życzenie. A jeśli komuś nie pasuje stawka za godzinę, to odchodzi na własne życzenie. Nikogo tam nie trzymamy na siłę. Zwykle nie brakuje nam chętnych do pracy. Wie pan, może pojawiały się jakieś konflikty. Ale nad wszystkim panuje Korecki i łagodzi wszystkie zatargi. On raczej zdaje sobie sprawę, że nie ma sensu zaprzętać mi głowy takimi rzeczami. Ja inwestuję, zajmuje się finansami i całokształtem pracy. Nie wnikam w drobniejsze sprawy, bo nie mam na to czasu. To jest biznes, więc Korecki jest od budowy i ludzi, ja od całej reszty. Dzielimy się obowiązkami. W każdym razie nie słyszałem, żeby były jakieś awantury w kopalni. Ludzie robią swoje i wracają do domów. Praca nie jest lekka, komu by chciało się jeszcze awanturować, wyklócać po całym dniu harówki?

Iwanowicz kiwnął głową. Zaczął się zastanawiać, czy Ryszard Próchnicki został zamordowany w wyniku jakichś konfliktów między pracownikami. Między ludźmi nie dochodziło do żadnych większych sprzeczek, co potwierdziła już druga osoba. Przynajmniej wszystko wskazywało na to, że nie było takich, które popchnęłyby kogoś do zabójstwa. W tym wszystkim zapewne chodziło o coś innego. Faktem jednak było też to, że dwie osoby twierdzące to samo to szefowie, przełożeni zwykłych pracowników. Może mają coś na sumieniu i razem zatajają prawdę? Może wydarzyło się w tym miejscu coś, co za wszelką cenę próbują ukryć?

– Czy na miejscu budowy w kopalni zdarzyły się jakieś wypadki? Coś poważnego? Interwencja pogotowia, policji?

Mężczyzna zaprzeczył stanowczym ruchem głowy.

– Nic takiego, drobne skaleczenia, rany. Ale żadnych nieprawidłowości nigdy nie było.

– Kradzieże?

– Nic takiego, naprawdę nie mam pomysłu, co mogło być powodem tego, że ktoś zabił mojego pracownika. To straszne, co się stało, ale przyczyn chyba nie należy szukać w kopalni.

Iwanowicz zakończył spotkanie. Im bardziej Poradzki przekonywał, że wszystko w firmie jest w porządku, tym większą miał ochotę przyjrzeć się temu miejscu. Coś tam musiało się wydarzyć. Ale co?

Sięgnął po telefon. Znowu nieodebrane połączenia od Gawłowskiego, który dzwonił kilka razy. Wybrał numer i czekał. Kolega odebrał po pierwszym sygnale, jakby cały czas trzymał w ręku telefon.

– Co jest? – zapytał komisarz.

– Najprawdopodobniej znaleźliśmy narzędzie zbrodni.

– Gdzie?

– Droga na Ogorzelec. Musisz okrążyć miasto. Potem będzie zjazd. Spotkamy się przy samochodach.

Iwanowicz dotarł na miejsce w niecałe pięć minut. W oddali dostrzegł cywilny samochód jeleniogórskiej policji i radiowóz z Kowar. Podkomisarz czekał na niego między autami, chowając się w skrawku cienia. Wskazał mu, gdzie może zaparkować. Ucisnęli sobie dłonie.

– Idziemy – powiedział od razu i ruszyli w głąb mieniającego się zielenią lasu. Wszędzie rosły drzewa i gęste krzaki, których gałązki smagały ich po twarzy. W lesie było parno i z każdą chwilą robiło się coraz gorzej. Po dwóch minutach przedzierania się przez chaszczę komisarz poczuł, że jest już cały mokry. Szli torami, które zarosły krzakami. Spomiędzy starych podkładów kolejowych pięły się w górę małe drzewka. Za parę lat ślad starej trasy kolejowej stanie się już ledwie zauważalny.

W oddali Iwanowicz dostrzegł sylwetkę Jończyka i dwóch policjantów. Stali w miejscu dawnej bocznicy kolejowej, tuż przy krawędzi głębokiego rowu.

– Co mamy? – spytał, gdy już dotarli na miejsce.

– To ja przyjąłem zgłoszenie – wyjaśnił mundurowy. – Znalazł to jeden z mieszkańców.

– Kiedy i kto?

– Według jego relacji szedł tędy, bo szukał złomu, i nagle coś błysnęło mu w trawie. Zajrzał z ciekawości. Zobaczył nóż. Już chciał podnieść, ale dostrzegł na nim krew. Niczego nie dotykał. Szybko przyjechał do miasta i nas zawiadomił.

– O której to było?

– Mniej więcej półtorej godziny temu.

– Dobra robota. I dzięki za szybką reakcję. Rafał, co masz?

– Nóż ma dwadzieścia osiem centymetrów długości. Sam uchwyt osiem, a ostrze dwadzieścia. Szerokość trzy centymetry. Na ostrzu ślady zakrzepłej krwi, na razie nie umiem więcej powiedzieć.

– To jest to, czego szukamy?

Chwilę trwało, nim padła odpowiedź. Komisarz był już mokry od potu. Czuł się zmęczony oddychaniem gęstym powietrzem. Zbyt gęstym jak dla niego.

– Moim zdaniem tak. Ale nie chcę zapeszać.

– Ile ci to jeszcze zajmie?

– Parę minut, skończę tylko robić zdjęcia.

Komisarz obrócił głowę i zaczął wodzić wzrokiem po gęstym lesie. Poczul się słabo. Doznał klaustrofobicznego ataku. Otaczające go drzewa sprawiały wrażenie, jakby szły w jego kierunku. Podchodziły coraz bliżej. Robiło się coraz bardziej duszno. Gęsto rosnące krzewy, które wypełniały każde możliwe miejsce, nie pozwalały zapomnieć, że to natura rządzi tym miejscem, a oni jedynie mogą się podporządkować. Przestrzeń się kurczyła, jakby coś chciało ich wchłonąć.

Zamknął oczy i wziął kilka głębokich wdechów, a potem odszedł kilkanaście kroków.

Z oddali usłyszał głos kolegi:

– Dobra, panowie, rozejrzymy się w tym czasie po tych zaroślach. Może na coś jeszcze się natknijemy. Nie marnujmy czasu.

Policjanci ruszyli. Przeczesywali miejsca, do których dało się dotrzeć. Niektóre zakątki były tak zarośnięte, że nie było do nich dostępu, ponieważ blokowała je ściana gęstych jeżyn. Szli w kilkumetrowych odstępach. Szukali właściwie wszystkiego, co mogłoby wiązać się z zabójstwami. Lub czegoś, co naprowadzi ich na jakiś kolejny ślad.

Iwanowicz przysiadł na kawałku odsłoniętej szyny. Był osłabiony, ale atak już przeminął i komisarzowi wracały siły. Gawłowski pokierował pracami policjantów, a potem podszedł do kolegi.

– Co jest? Wszystko okej?

– Chwila słabości.

– Marek? Nie pieprz, widzę, że coś jest nie tak. Mów.

- Poczułem się słabo. Dostałem jakiegoś cholernego klaustrofobicznego ataku.
- Ale już lepiej? – Miał zatroskaną minę. Klepnął go w ramię, by dodać mu otuchy.
- Chyba.

– Może pojedziesz do domu?

– Najchętniej pojechałbym na basen. Może poczułbym się lepiej.

Gawłowski spojrzął na krzątających się po lesie policjantów. Jończyk pakował już sprzęt.

– Dobra, powiem im, by jeszcze rozejrzeli się w tym miejscu. Może coś znajdą. Trzeba dokładnie przeszukać wszystkie rowy.

Weszli do chłodnego komisariatu w Kowarach.

– Chryste, jaka ulga. Prawie tak, jakby mieli klimatyzację – powiedział Gawłowski.

Iwanowicz poszedł do gabinetu Jastrzębskiego. Komendant siedział za swoim biurkiem i przesłuchiwał mężczyznę, który znalazł w lesie nóż.

– Gdzie masz zeznania pracowników Koltexu?

Podał mu teczkę z dokumentami.

– Brakuje tylko dwóch, ale jeszcze dziś się tym zajmimy. Jesteśmy z tymi ludźmi umówieni po południu.

– Skoro o tym mowa, zorientuj się, czy przypadkiem nie zginął im jeden kombinezon z dużym napisem Koltex na plecach. Wtedy ci młodzi ludzie, co stali na mieście, powiedzieli mi, że widzieli jakiegoś faceta. Miał właśnie taki kombinezon. Tę sprawę pozostawiam tobie.

Wychodząc, komisarz usłyszał słowa mężczyzny, który mówił coś o tym, że się boi. Tylko tyle. Zatrzasnął drzwi i wyszedł.

Nie przejął się tym i schował się w jednym z pomieszczeń, które było akurat puste. Rzucił akta na biurko, poszedł po kawę, a potem usiadł w niewygodnym fotelu i zaczął czytać zeznania świadków.

Firma Koltex założona na potrzeby inwestycji w sztolniach, wyłączając zabitego Ryszarda Próchnickiego, liczyła piętnastu pracowników. Miał przed sobą trzynaście zeznań. Wszystkie przekartkował pobieżnie. Były krótkie, jakby każdy z pracowników miał dokładnie tyle samo do powiedzenia. Pracownicy nie należeli do zbyt wylewnych.

Musiał dowiedzieć się jak najwięcej o Próchnickim. Kim był, jakie go łączyły stosunki z innymi? Co mieli do powiedzenia o nim pracownicy kopalni?

Łyknął kawy, a potem popił ją wodą. Już kilka pierwszych zeznań potwierdzało, że Próchnicki należał do osób zamkniętych w sobie. Niewiele się odzywał, prawie z nikim nie rozmawiał. Informacje były niezwykle spójne, a przy tym suche. Poza tymi krótkimi opisami praktycznie mało kto był w stanie zeznać coś więcej. Większość pracowników właśnie tak go zapamiętała. W jednym z zeznań pojawiła się wzmianka, że był sumiennym robotnikiem. Wyjątkowo punktualnym. Można było na nim polegać. Zawsze robił to, co do niego należało. Nie wybrzydzał w robocie. Od razu po przydzieleniu zadań brał się do pracy. Wspominał o tym jeden z robotników, który został przydzielony z Próchnickim do wspólnego zadania. Mieli odpompować wodę z wydrążonej części korytarza. Pracowali razem przez tydzień. Zeznał, że Próchnicki zawsze miał na ręku elektroniczny zegarek, w którym ustawił kilka alarmów. Sygnalizował początek pracy, koniec oraz wszystkie przerwy. Coś w rodzaju przedziałów czasowych, według których pracował i żył. Cykliczność, rytm. Na koniec zeznał, że Próchnicki był człowiekiem ugodowym i nie wchodził z nikim w konflikty. Robił swoje i uciekał do domu. Uniikał rozmów. Nie był zbyt wylewny, nie dzielił się swoją prywatnością.

Wszystkie kolejne zeznania do złudzenia przypominały poprzednie. Człowiek zamknięty w sobie. Z nikim nie rozmawiał, uciekał w kąt, dzieląc swoje życie na przerwy, które rygorystycznie odmierzał zegarek. Iwanowiczowi przyszło na myśl, że przecież jego zwłoki znaleziono po jakimś

czasie, co tylko świadczyło o tym, że śmierć również wpisała się w owe ramy. Nie chciał nikomu swoją śmiercią przeszkadzać, jakby bał się komukolwiek narzucać. Zmarł tragiczną śmiercią. Bity i torturowany. Ale zmarł w ciszy, z boku, niezauważony.

Komisarz dopił kawę i zamknął teczkę. Na zegarze dochodziła czternasta. Otworzył okno, oparł się o parapet i zapalił kolejnego papierosa.

Przed oczami miał obrazy śledztwa, które wyglądały jak scenki odgrywane przez wymaginowanych aktorów. Każdego dnia rysował sobie w głowie siatkę całego dochodzenia. Ofiary, ślady, miejsce, czas, zdarzenia. Wciąż miał ją przed oczami i nanosił na nią nowe elementy. Dziś dołączył narzędzie zbrodni. Wyobraził sobie człowieka idącego po torach, który wyrzuca nóż do rowu. Chciał, żeby nikt go tam nie znalazł, jednakże czujne oko poszukiwacza złomu wychyciło coś, co nadawało się na sprzedaż. Schowane głęboko w trawie, przykryte liśćmi.

Po czternastej Iwanowicz pojechał do domu. Miał już dość patrzenia wciąż na to samo miejsce. Chwilami miał dość okolicy, tych dróg i ciągłego oglądania tych samych rzeczy. Męczyło go przesiadywanie w Kowarach. Wolał każdą minutę spędzić z dala od tego miejsca.

Dystans – tego teraz najbardziej potrzebował.

Wziął prysznic, a potem uciął sobie drzemkę. Pomyślał, że musi się zregenerować, żeby działać dalej. I być może za kilka godzin ta chwilowa niechęć do wszystkiego minie. Inaczej zdecydowaną większość swojej apatii zrzucił na pogodę. Zbyt gęste powietrze, za wysokie ciśnienie, za wysoka temperatura. Człowiek stawał się kawałkiem plasteliny, która rozpyliła się na podłodze. Coraz częściej czuł się osłabiony i przytrafiały mu się ataki duszności. Gwałtownie opadał z sił, świat wirował, głosy się rozmywały w oddali, a on czuł się tak, jakby mdlał. Uderzenie gorąca i trudność z utrzymaniem równowagi.

Prysznic mu pomógł. Później zadzwonił do Zalewskiego i poprosił, by mu wysłał mailem zdjęcia rany Wiesława Grońskiego. Wyciętej trójki. Nie chciał jechać do prosektorium, bo wiedział, że znów kosztowałoby go to zbyt wiele wysiłku. Musiał się oszczędzać. Przynajmniej teraz, gdy pogoda wykańczała każdego.

Spał przez godzinę.

Wstał równie zmęczony jak wcześniej. Przeciągnął się, aż strześliło mu w szyi. W ostatnich tygodniach doskwierało mu nasilające się zmęczenie. Zaniechanie, stres, zmęczenie, nawracające wspomnienia. Nie potrafił znaleźć silnego bodźca, który by go z tego stanu wyciągnął.

Poszedł do swojego gabinetu; panował w nim przyjemny chłód. Okna znajdowały się od strony północnej, a dodatkowo przez całą dobę zasłaniały je ciemne i grube kotary, więc ściany się nie nagrzewały. Na głównej ścianie znajdował się wielki regał. Miał ponad dwa metry wysokości i cztery metry długości. Po brzegi wypełniony był rozmaitymi książkami, głównie z literatury pięknej, z kryminalistyki, historii regionu, psychologii i psychiatrii. Tymi dwiema ostatnimi dziedzinami prawie wcale się nie interesował, jednakże czasami z konieczności przeglądał te książki, głównie wtedy, gdy musiał się dowiedzieć czegoś więcej o ludzkim zachowaniu. Często miał do czynienia z różnymi przejawami zaburzeń osobowości, paranojami oraz innymi, które wymykały się przejrzystej klasyfikacji. Zdawał sobie więc sprawę, że bez dobrego zaplecza naukowego trudno mu będzie się poruszać po tych grząskich tematach. Choć z drugiej strony uznawał, że jest tylko policjantem, a nie profilerem czy wnikliwym i wykwalifikowanym specjalistą, więc do książek sięgał tylko wtedy, gdy już tracił grunt pod nogami.

Wrócił do salonu i wyszedł na balkon. Po przeciwnej stronie drogi rosły wysokie drzewa. Zaraz za nimi i za chodnikiem znajdował się nieduży rynek ze stoiskami handlowymi. Prawie codziennie robił tam zakupy.

Na zewnątrz wciąż było duszno. Kolor nieba wskazywał, że nadciąga burza. Cecha naszego klimatu – kilka dni słońca, upałów, a potem niemalże tyle samo dni burz i intensywnych opadów. Zdążył się już przyzwyczaić, że zawsze po paru dniach upałów następowała gwałtowna zmiana pogody. Niestety, miało to swoje negatywne skutki. To właśnie te pozornie niewinne deszcze, z których rodziły się gwałtowne ulewy, zrobiły gigantyczne spustoszenie na okolicznych terenach. Niemał co roku okres letni przynosił kolejne podtopienia. Zwykle nie trwały one dłużej niż dwa, trzy dni, ale i tyle wystarczyło, by zniszczyć wielu osobom dorobek życia.

Dzisiejsza pogoda zapowiadała nadchodzące ulewy. Może nie lunie dziś, ale wkrótce. Czuł, że wydarzy się coś złego.

Wrócił do salonu. Usiadł przy swojej ogromnej kolekcji płyt CD. Pod ścianą znajdowały się cztery wąskie półki z płytami. Miały niemal dwa metry wysokości. Między nimi stał sprzęt audio,

w który zainwestował ponad dziesięć tysięcy złotych. Na górze stał gramofon, z którego rzadko korzystał, oraz jasnosrebrny odtwarzacz DVD, korektor i amplituner. Dwie duże szare kolumny stały po obu stronach pomieszczenia. Dwie pozostałe miał w gabinecie, resztę mniejszych w innych pomieszczeniach. Wyciągnął płytę z półki i położył na talerz odtwarzacza. Wsunął palcem, a potem wcisnął play. Zamknął oczy. Płyta koncertowa Rolling Stonesów. Uderzenie basu, a potem wrzaskliwy wokal Micka Jaggera.

Poszedł do swojego gabinetu. Ściany pomalowane były na jasnioletowy kolor. Ten kolor go uspokajał i nie wywoływał w nim żadnych złych skojarzeń.

Dwa miesiące temu kupił do gabinetu duże dębowe biurko. Stał na nim nowoczesny laptop z panoramicznym ekranem. Obok leżały książki – biografia Jaggera, mitologia słowiańska, którą zaczął czytać kilka tygodni temu, ale raptem przebrnął przez dwa rozdziały. Potem długa i męcząca codzienność w pracy spowodowała, że o niej zapomniał. Na stole stały butelki po wodzie mineralnej, leżała zapalniczka i papierosy. Sięgał po nie tylko czasami, bo nie był nałogowym palaczem.

Uruchomił komputer i poszedł po kawę. Gdy wrócił, otworzył skrzynkę pocztową. Miał dziewięć nowych wiadomości. Zaczął przeglądać od najstarszych. Kilka z nich przyszło od komendanta jeleniogórskiej policji, Romana Bieleckiego. Cała masa informacji, które go kompletnie nie interesowały. Zwykle odczytywał te wiadomości z opóźnieniem. Jedną wiadomość od brata Tomasza. Żałował przerwanej rozmowy, którą – jak miał nadzieję – niebawem będą kontynuować. Nie chciał o tym myśleć, choć wszystko to, co wydarzyło się w przeszłości, wiele lat temu, i teraz – ich spotkanie – było dla niego ważne, ale i zbyt trudne, by się teraz w to zagłębiać. Musiał odpocząć od tego, co wydarzyło się kiedyś. Nie mógł sobie teraz pozwolić na słabość. Nie w tej chwili.

Kliknął inne wiadomości, odhaczając je jako przeczytane, w ogóle do nich nie zaglądając. Jedna była od Jończyka. W załączniku przesyłał zdjęcia zwłok obu ofiar. Najnowsza wiadomość była od Zalewskiego. Na tej najbardziej mu teraz zależało. Ściszył muzykę. W kilku lapidarnych słowach patolog wyjaśnił, że nacięcie zostało zrobione cienkim i bardzo ostrym narzędziem. Zabójca musiał użyć do tego niewielkiego noża. Wykluczył skalpel. Głębokość nacięcia liczyła od trzech do czterech milimetrów. Wysokość cyfry wynosiła dziewięć milimetrów, szerokość pięć. Była na tyle mała, że jej nie zauważył podczas pierwszych oględzin.

W załączniku znajdowały się trzy zdjęcia wysokiej rozdzielczości. Wszystkie przedstawiały cyfrę „3” wyciętą na ciele denata. Niamal niewidoczną. Na końcu napisał, że za jakiś czas ustali, co to było za narzędzie.

Iwanowicz sięgnął po okulary do czytania i przysunął głowę do monitora. Zrobił maksymalne zbliżenie i zasepił się. Cyfra znajdowała się około czterech centymetrów za uchem, z tyłu głowy pod kępką ciemnych włosów. Komisarz spozjrzał na inne zdjęcie, które przedstawiało ten sam obraz, ale z większej odległości, tak że było widać całą głowę oraz kawałek zszytej po sekcji torsu. W tle ujrzał narzędzia do sekcji. Na zdjęciu ukazana była ręka Zalewskiego odsłaniająca włosy denata.

Komisarz upił kawy i poprawił okulary. W duchu przyznał rację lekarzowi, że za pierwszym razem można było nie dostrzec tak małego nacięcia. Patolog zwykle koncentrował się na samych obrażeniach, tych widocznych gołym okiem. Rana była ukryta. Niespełna centymetr wysokości i pół szerokości.

Upił kolejny łyk kawy z ciemnozielonego kubka, który przywiózł kiedyś z Egiptu.

Zabójca zakamufłował swój znak. Nie chciał tej informacji przekazywać wprost, wyrzynając cyfrę na brzuchu, plecach czy w innym widocznym miejscu. On ją ukrył celowo. W takim miejscu, by nie dostrzegli jej za pierwszym razem. Dlaczego? – wciąż się zastanawiał. Dlaczego ten człowiek wciąż zadawał sobie tyle trudu, by coś przekazać. I to w taki zawoalowany sposób.

Wiedział, że to musiało być coś ważnego. Dwa napisy. Jeden zrobił na ścianie, używając do tego krwi. W widocznym miejscu. Drugi był na ciele ofiary. Wycięty. Skryty niczym... niczym pierwsza ofiara. Skryty i niewidoczny niczym sam Próchnicki. Pierwszy był duży i od razu zauważalny, wyraźny. A więc przeciwieństwa. Możliwe, że to była jakaś analogia. Znaki miały oddawać charakter i zachowanie samych ofiar? Czy to w ogóle miało jakiś sens? Czy to kwestia przypadku?

Poszedł do salonu po telefon i zadzwonił do Gawłowskiego.

– Co jest?

– Pierwszy napis był duży, napisany z rozmachem. Widoczny i wyraźny. I brutalny.

– O czym ty mówisz?

– O znakach, jakie zostawił nam zabójca.

– No i?

– Drugi zaś został ukryty za uchem kolejnej ofiary. I na dodatek przykryty włosami. Był mały, mniejszy niż odcisk małego palca u ręki. Cały czas oglądałem zdjęcia, jakie mi przesłał Zalewski.

– Znalazłeś na nich coś ciekawego?

– Sam nie wiem – odparł Iwanowicz niepewnie. Jego głos brzmiał cicho, doskonale odzwierciedlając nastrój. – Dwoję się i tróję, by coś z tego wszystkiego wyczytać i zrozumieć.

– Nie jest łatwo, co?

– Nie, ale ta trójka to jakiś przełom. Jestem tego pewien na sto procent.

– Obyś się nie mylił. Ja teraz próbuję się zrelaksować i o tym nie myśleć. Dlatego trzymam w rękach zimny browar.

– Pomyślałem przed chwilą, choć może to głupie, że wielkość tych cyfr odzwierciedla charakter obu ofiar.

– Brzmi dziwnie, fakt. Ale sądzisz, że to ma jakiś sens? To brzmi tak...

– Nierealnie? – wtrącił szybko. – Owszem, ale nie mam innych pomysłów. To wszystko musi mieć swoją logikę, tylko że nie wiemy jaką. Zgaduję, zwyczajnie zgaduję, bo nie daje mi to spokoju.

– Dobra, mów śmiało, co ci przyszło do głowy. Wszystko. Może nas to do czegoś doprowadzi.

Upił łyk kawy. Postawił ostrożnie kubek na dębowym biurku.

– No więc pierwszy napis był duży. Pół metra to sporo jak na jedno słowo. Napisany był na ścianie w domu ofiary. Rzucił się w oczy, chyba sam przyznasz. Duży, wyrazisty, wręcz brutalny.

– No fakt. I co dalej? Sądzisz, że to ma znaczenie?

– Drugi napis był mały i schowany w cieniu, tak by nikt go nie dostrzegł. Przynajmniej nie od razu. Dzisiaj pomyślałem, że oba napisy mogą w jakiś sposób odzwierciedlać osobowości obu ofiar, tego, jak się zachowywały, czy też ich, najogólniej mówiąc, charaktery.

– Był schowany za włosami.

– Właśnie. Schowany. Był w cieniu. Ukryty.

– Taki był właśnie Próchnicki – trzymający się w cieniu.

– Otóż to. Czytałem zeznania pracowników kopalni. Dokładnie tak go określali. Cichy, spokojny, nierzucający się w oczy. No i przy tym nieśmiały, małomówny.

– Może i to ma sens... A co z drugą ofiarą? Wiemy tylko tyle, co mówił Jastrzębski.

– Tak, to niewiele.

Iwanowicz kliknął wiadomość od Jończyka. Wszystkie e-maile wysyłałi zaszyfrowane, bo były to wiadomości poufne. Wczytał załącznik oznaczony inicjałami ofiary, WG. Powiększył obraz. Zdjęcie było bardzo wyraźne. W łazience, w której leżał denat, panowały ciemności. Technik użył lampy błyskowej. Była tak mocna, że jasne punkty stały się białe jak kreda. Iwanowicz znów przysunął się do ekranu. Ujrzał dużą i zniszczoną alkoholem twarz, porośniętą kilkudniową siwą brodą. Choć nie lubił oceniać ludzi po ich twarzy, to uznał, że ta nie należała do łagodnych ani przyjemnych.

– Ale Jastrzębski wspominał, że Groński dwa razy rozwalil po pijaku bar, pamiętasz? Możemy więc wysnuć wniosek, że nie należał do ludzi o łagodnym usposobieniu. Ponadto wiem, że raz coś ukradł, razem z Rzońcą. Zwinęli jakiemś turyście aparat, o czym powiedział mi sąsiad. Nie był bandytą, ale coś tam miał na sumieniu. Na dodatek dużo pił.

– I co? To nie jest rzetelna wiedza.

– Może, ale chyba zgodzisz się, że to nie jest obraz osoby spokojnej i grzecznej. Nie musiał być kryminalistą, ale do świętych nie należał. Balansował na granicy prawa. Charakterologicznie nie pasuje nam do szeroko rozumianego pojęcia normalnej i spokojnej osoby.

– Może miał po prostu szczęście, że nie było o nim wiele w kartotekach.

Komisarz zaczął się nerwowo drapać po brodzie. Sam do końca nie wierzył w teorię, o której mówił, ale coś mu w głębi duszy podpowiadało, że może być trafna. Na razie to była jedna rzecz, która w niewielkim stopniu się zgadzała.

– Słuchaj. Wygląda na to, że wszystko, co powiedziałem, do pewnego stopnia ma sens. Jednakże podążając tym tokiem myślenia, napotykały pewne nieścisłości, o których już mówiliśmy na wczorajszym zebraniu.

– Jakie nieścisłości?

– Ujmę to jak najprościej. Na razie stworzyłem dobrą, choć dziwnie brzmiącą teorię. To wszystko jest ze sobą jakoś powiązane. Próchnicki zginął pierwszy, ale zabójca napisał na jego ścianie „Drugi”. A druga ofiara ma wyrytą na ciele cyfrę „3”. Dziwne. To by oznaczało, że...

Iwanowicz spojrzął za okno, w dal. Zobaczył liście, które ruszały się pod wpływem popołudniowych powiewów zwiastujących wieczorne burze i wichury.

– To by oznaczało, że brakuje ofiary numer jeden – dokończył za niego Gawłowski.

Cicho zawibrowała komórka znajdująca się w kieszeni leżących przy łóżku spodni komisarza. Iwanowicz rzucał się w łóżku, głośno przy tym chrapiąc. Kolejne bezlitosne brzęczenie telefonu. Sypialnię wypełniała delikatna poświata lampki nocnej, która stała w kącie obok dużej szafy. Na środku pokoju znajdowało się duże łóżko. Po obu stronach łóżek wisiał system głośników, z których nocą wydobywały się dźwięki muzyki. Tej do snu.

Głośno sapnął. Rozległo się kolejne brzęczenie komórki, tym razem przywołało go do rzeczywistości. Tej, której tak bardzo w ostatnich dniach nie znośił.

Komisarz powiedział coś głośno przez sen. Nagle zbudził się. Otworzył oczy i wpatrywał się w sufit.

Gdzie ja jestem? – pomyślał. Usłyszał przytłumione brzęczenie komórki, jakby ktoś piętro niżej wiercił w ścianie otwór. Nerwowo sięgnął do spodni i wyciągnął telefon. Przesunął palcem po ekranie, by odblokować ekran.

– Halo – wyszeptał.

– To ja, śpisz? – zapytał podkomisarz.

– Która jest godzina i co się stało? – zapytał.

– Nie wiem, coś może koło drugiej. Zidentyfikowali odciski palców na nożu.

– Jakim nożem?

– Tym, który dzisiaj znaleźliśmy.

– Poczekaj. – Podniósł się i usiadł po turecku. Oparł głowę na rękę. – Mów dalej.

– Mieliliśmy szczęście, gość znajduje się w naszej bazie danych.

– Kto to jest?

– Nazywa się Henryk Rostowski. Mieszka w Kowarach, pięćdziesiąt siedem lat.

– Za co siedział?

– Recydywa. Dwa wyroki za pobicie i jeden za kradzież. W latach osiemdziesiątych siedział za pobicie dwóch policjantów. Jakimś cudem szybko został wypuszczony.

– Cudem? Co ty pleciesz? Cuda się nie zdarzają.

– W tamtych czasach się zdarzały.

– Coś jeszcze?

– To wszystko.

– Dobra, zbieramy ludzi. Widzimy się za godzinę pod komendą. Chcę już dzisiaj zakończyć to śledztwo. Nie będę czekał ani chwili dłużej.

– Marek?

– Co?

– Dopadliśmy tego skurwysyna.

Rozłączył się i spojrzał przez okno. Na niebie kłębiły się ogromne chmury, z których, jak sądził, niedługo lunie.

O trzeciej nad ranem z Jeleniej Góry wyruszyło pięć samochodów policyjnych. Iwanowicz był zmuszony zbudzić komendanta policji, by zorganizować akcję i zdobyć więcej ludzi. Musieli jak najszybciej zatrzymać tego psychopata, którego komisarz zdążył wystarczająco znienawidzić.

O trzeciej dwadzieścia wjechali do Kowar. Miejscowi funkcjonariusze czekali już na nich w umówionym miejscu, nieopodal głównego skrzyżowania zaraz za wjazdem do miasta.

Po chwili dostrzegli w oddali zbliżające się kolejne dwa radiowozy. Tak jak prosił komisarz, jechały w dużych odstępach, żeby nie wzbudzać niczych podejrzeń. Zwłaszcza mieszkańców. Nie chciał, by to zatrzymanie należało do spektakularnych. Chciał możliwie szybko aresztować tego człowieka i usunąć go w cień. Jak najdalej, by w miarę możliwości przywrócić temu miastu utraconą spokojną codzienność.

– Jedziemy? – zapytał Jastrzębski przez otwarte okno, gdy podjechali i stanęli tuż obok. Siedzieli w terenowym nissanie.

– Znasz tego człowieka? – odpowiedział pytaniem na pytanie Iwanowicz.

– Tak, kiedyś to był kawał skurwysyna. W ostatnich latach się uspokoił i pilnował, żeby znów nie wylądować w kicju. Z tego, co się dowiedziałem na szybko, gość od kilku lat trochę choruje, więc okłapi nieco i siedzi na dupie... Że też, kurwa, nie wpadłem na to, że to on za tym wszystkim stoi...

– Mieszka z kims?

– Nie. Kilka lat temu odeszła od niego żona, wzięli rozwód. Nie wytrzymała. Za bardzo pił. A gdy mocniej pochlał, to ją bił. Regularnie. Kiedyś często u niego interweniowaliśmy. Z tego, co wiem, kobieta zmarła jakiś czas temu.

– A więc mamy skurwiela, wreszcie. Trzymajcie broń w pogotowiu, ale nikt nie strzela bez rozkazu, jasne? Zaczynamy – rzekł do policjanta kierującego wozem, a potem powtórzył to przez krótkofalówkę. Za nimi ruszyły wszystkie pozostałe auta, pozostawiając po sobie tumany kurzu.

Jechali wzdłuż zabudowań przemysłowych. Na ich terenie latarnie świeciły na pomarańczowo. Światła odbijały się od samochodów, a potem rozplywały się w ciemnościach.

Iwanowicz siedział zamysłony i spoglądał na maskę samochodu, w jeden stały punkt, z którego czytał przyszłość albo w którym ukrywał swoje troski. Bezpieczny i schowany w azylu, w którym dobrze się czuł – zamysleniu. Przez jakiś czas nie interesował się drogą, okolicą, towarzyszami w aucie. Wyłączył się zupełnie i rozmyślał o nadchodzących minutach. Cieszył się, że to krótkie śledztwo w sprawie zbrodni niezwykle krwawych i brutalnych wreszcie się zakończy, ponieważ pochłaniało mnóstwo energii. Chciał odpocząć od tego miejsca, od tych ludzi i kolejnych ofiar. Miał dość tego pędzącego w ślepą uliczkę zła, które nie chciało się zatrzymać. I którego nie rozumiał. Dwa brutalne zabójstwa jednego dnia. To za dużo. Dysponowali ograniczonymi środkami, siłami i wiedzą. W głębi duszy cieszył się, że dopadli bydlaka. Że jadą zakończyć to cholerne śledztwo. Nie miał pewności, czy takie pośpieszne przygotowanie zatrzymania nie było trochę przedwcześnie. Nie zrobili żadnego rozoznania, więc nie wiedział, czego się spodziewać.

Nagle kierowa przyhamował, a potem wjechał na niewielkie pobocze ciągnące się wzdłuż głównej drogi. Dał znak, że to tutaj.

Iwanowicz chwycił krótkofalówkę.

– W porządku. Jesteśmy na miejscu. Przygotować się. Postarajcie się, panowie.

Był to przedostatni dom w Kowarach stojący w południowej części miasta. Znajdował się kilkanaście metrów od głównej drogi. Z tej odległości komisarz dostrzegł, że w jednym z pokoi na piętrze świeciło się światło. W drugim oknie rozświetlało się i przysagało niebieskawe światło telewizora. Resztę domu zasłaniały stojące na podwórzu drzewa, toteż niczego więcej nie widział.

– Trzecia trzydzieści i jeszcze nie śpi – rzekł Gawłowski, który siedział na tylnym siedzeniu.

– Podejrzewam, że jest sam, więc nie powinien stawiać oporu. Mamy małą przewagę. W porządku, panowie – powiedział do wszystkich przez walkie-talkie – wchodzimy. Grupa idzie pierwsza, my jesteśmy za nimi z tyłu. Wchodzimy od przodu. Chłopaki z Kowar zabezpieczają tył. Może nam zwać. Cały dom ma zostać otoczony. Każdy każdego widzi i ma broń w pogotowiu.

Antyterroryści szybko uformowali się i podeszli pod bramę. Czekali chwilę, a potem powoli weszli na teren podwórka. Policjanci po chwili stali już przed bramą. Iwanowicz jeszcze przez moment siedział w aucie. Nie myślał o niczym. Spoglądał na sprawnych policjantów, którzy w parę sekund otoczyli dom. Ich sylwetki błyskawicznie wtopiły się w tło i stali się niewidzialni.

Przeżegnał się odruchowo, wyciągnął broń, a potem podszedł do plotu. Dał znak, by ruszali. Czuł się przy nich bezpiecznie. Byli wyszkoloną grupą, gotową na wszystko, niemal każdy rodzaj zagrożenia i formy ataku. Szybcy, uzbrojeni i doskonale wytężezeni.

Marzył teraz, by czym prędzej stanąć oko w oko z tym kimś, kto z zimną krwią zabił dwie osoby.

Podwórze było nieduże. Brama znajdowała się w odległości około piętnastu metrów od drzwi wejściowych. W tym momencie, gdy minął drzewa, spostrzegł, że dom był nieduży. Miał tylko jedno piętro i wysoki strzelisty dach.

Nim zdążył dojść do drzwi, policjanci stali już pod domem, zastukali i zadzwonili. Wokół panowała cisza. Usłyszeli cichy dzwonek rozbrzmiewający wewnątrz budynku. Odczekali kilkanaście sekund. Nic. Ponowili dzwonienie, potem zaczęli krzyżeć:

– Otwierać, policja!

Wywiczony wrzask policjantów był tak przeraźliwy, że komisarza aż przeszedł dreszcz.

Mijały kolejne sekundy. Nikt im nie otwierał.

Poruszyli klamką, a po chwili samymi drzwiami.

– Wchodzimy na „trzy”.

Wtargnęli do środka, wywalając drzwi ręcznym taranem, i rozbiegli się błyskawicznie po parterze. Każdy z funkcjonariuszy doskonale wiedział, co miał robić. W ciągu kilkunastu sekund parter został przeszukany. W tym samym czasie trzech zamaskowanych policjantów w kamizelkach kuloodpornych i hełmach z karabinkami szturmowymi w rękach wbiegło na piętro. Szli powoli, zabezpieczając się nawzajem. Każdy doglądał innego kierunku, bo z każdego mógł paść strzał z rąk szaleńca.

Iwanowicz szybko rozejrzał się po pomieszczeniach. Na parterze były dwa pokoje, mała łazienka oraz kuchnia. A raczej coś, co ją przypominało. Wszystkie pokoje były zaniedbane i brudne. Takie mieszkanie mówi o człowieku wszystko, pomyślał. Gorzej niż w chlewie. W życiu nie chciałby spędzić w tym miejscu ani chwili.

Pobieglł schodami na górę. Sześciu policjantów szybko ustawiło się w zwartej pozycji przy drzwiach. Były przyknięte. Stali w pobliżu pokoju, gdzie coś świeciło. Jeden z policjantów błyskawicznie kopnął w drzwi, a po chwili ostrożnie, choć zdecydowanie weszli do środka. To była sypialnia. Na środku stało dwuosobowe stare łóżko, obok znajdowała się szafka i kilka małych półek. Wokół łóżka leżały rozrzucone brudne ubrania.

Policjanci otworzyli dużą szafę.

– Czysto. Pod łóżkiem też go nie ma.

– Sprawdźcie okno! – krzyknął Iwanowicz.

– Nie ma – odpowiedział po chwili zamaskowany policjant.

– Drugi pokój. Biegiem, już, już!

Wybiegli na korytarz. Jeden z policjantów odliczył na palcach, a potem znów silnym kopnięciem wyłamał drzwi. Poddały się bez problemu, bo były z cienkiej płyty.

Błyskawiczna akcja. Nim Iwanowicz zdążył się zorientować, wszyscy policjanci byli w środku.

Zajęli pozycje przy drzwiach i rozejrzeli się po pokoju.

Iwanowicz stanął w drzwiach, spoglądając na sylwetki policjantów, którzy zaczęli się wycofywać z pokoju. W korytarzu został jeden, reszta zeszła na dół.

Perspektywa tego, co widział, zaczęła się zakrzywiać.

Duszno. Obraz powoli obracał się w lewą stronę, jakby on tracił równowagę. O Boże, znów. Znów to samo, pomyślał. Nie ma czym oddychać.

Zamknął oczy. Przez parę sekund niczego nie słyszał. Zmysły gasły jak po postrzale albo silnym uderzeniu. Przytrzymał się drzwi, by nie upaść, a potem poczuł gorąco w całym ciele. Serce pompowało krew z niewyobrażalną szybkością. Brakowało mu powietrza. W domu robiło się coraz ciszej.

Czy nikogo nie ma w pobliżu? Duszno, cicho, a ciśnienie krwi w uszach niemal rozrywa bębni. Usłyszał po chwili głos kolegi, który go podniósł. Złapał go mocno za rękę, a potem pomógł mu ustać w miejscu.

– Co jest, kurwa? Marek!

Iwanowicz spojrział na niego błędnym wzrokiem. Zebrał wszystkie siły, by nie odpląnąć w takiej chwili. Wracał powoli dźwięk. Kątem oka dojrzał, że dwaj policjanci spoglądali na niego wyciekająco. Machnął ręką na znak, że wszystko dobrze.

– Wszystko okej? Znów masz jazdę jak wtedy w lesie?

– Nie przejmuj się mną. Gdzie Rostowski?

Gawłowski spojrzął po pokoju. Nikogo w środku nie znaleźli. Okna były zamknięte. Na wprost nich pośrodku pokoju stał włączony telewizor. Nocna powtórka teleturnieju. W sypialni panował zaduch. Na tle niebieskiego światła telewizora widać było unoszące się i wirujące w powietrzu paprochy i kurz.

Było tu tak cicho, jakby znajdowali się w studiu nagraniowym.

Odbiornik nie wydawał żadnego dźwięku, a kamera wodziła po obliczach uradowanej publiczności.

Cisza.

Cisza jak w niemym filmie, w którym zatrzymał się kadr, pomyślał Iwanowicz. Policjanci spojrzeli po sobie i poczuli się tak, jakby coś im kazało się na moment zatrzymać. A może to wciąż ta zakrzywiona perspektywa? Może rzeczywistość go oszukiwała?

Skrzywił się. Machnął ręką, powstrzymując wszystkich przed jakimkolwiek ruchem i mówieniem.

Coś tu nie pasowało. Albo on tracił kontakt z rzeczywistością, albo coś tu do siebie nie pasowało.

To ta cisza. W telewizji już leciał stary czarno-biały film. Przed telewizorem stał czerwony fotel z wysokim oparciem, dokładnie na wprost odbiornika, tyłem do nich.

Zajmował niemal centralne miejsce w pokoju.

Iwanowicz zrobił krok do przodu. Wciąż czuł się osłabiony.

Zatrzeszczała stara podłoga.

Kolejny krok. I kolejne skrzywienie ocierających się o siebie desek podłogi.

Stał dwa metry przed fotelem. Jeszcze trzy kroki i spojrzął na siedzisko fotela.

Nagle poczuł się, jakby ktoś go zdzielił obuchem. To, co zobaczył, sprawiło, że zrobiło mu się słabo i zdołał tylko wyszeptać:

– O Chryste.

Usłyszał kroki policjantów. Szybko się obrócił.

– Stójcie. Ani kroku! – krzyknął.

Błyskawicznie stanęli w drzwiach. W milczeniu rozglądali się po całym pokoju.

– Ślady. Nie wchodźcie.

– Marek, o co tutaj, kurwa, chodzi? – zapytał Gawłowski. – Co tam jest?
Iwanowicz stał nieruchomo i błędził wzrokiem, nie wiedząc, co powiedzieć.

Weszli do środka, a potem udali się na górę. Dudnienie kroków po starej drewnianej podłodze zbudziłoby zmarłego. W pokoju czekał na nich siedzący ze skrzyżowanymi nogami na podłodze Iwanowicz. Wyglądał tak, jakby właśnie skończył medytować. Otworzył oczy i spojrzał na nich zmęczonym wzrokiem. Po ataku paniki nie miał sił, żeby sprawnie kierować działaniami. W drzwiach stał Gawłowski. On również wyglądał na zmęczonego.

Komisarz spojrzał na nich obojętnie i od razu rzekł:

– Niczego nie ruszałem. Tylko ja byłem przy fotelu. Antyterrorysty tu nie podchodzili. Macie moje ślady, więc wszystko, co znajdziecie, będzie należało do tego skurwysyna, który znowu wprowadził nas w pole.

– Żeby było jasne, reszty pomieszczenia nie ruszaliśmy – dodał Gawłowski.

– Ten pokój to jedyne miejsce, które nie zostało zadeptane przez policjantów.

– Zaraz się tym zajmujemy – odpowiedział Jończyk.

– Chcacie nam powiedzieć, że ten gość... – zaczął Żabicki, drugi technik.

– Tak, wiem, co chcesz powiedzieć – rzekł, machając ręką na odczepne. – To nie był nasz zabójca. To, co jest na fotelu, to tylko reszka...

– Może być czyjokolwiek. Może jednak i zabójcy – skomentował stojący w drzwiach policjant.

– Sam sobie uciął rękę?! – krzyknął Iwanowicz.

– Marek, daj spokój, to niczyja wina, nie wyzywaj się na młodym – rzekł podkomisarz.

Mundurowy spojrzał zmieszany i odwrócił wzrok. Nie wiedział, że w takich chwilach nie powinien się odzywać.

Iwanowicz zamknął oczy. Popełnili błąd. On popełnił.

Zabójca bawił się z nimi. Był nieobliczalny, ale sprytny. Komisarz wiedział to od samego początku, gdy zjawili się w tym mieście po raz pierwszy. A tego, że skurwiel mógł sobie odciąć dłoń, nie mogli kategorycznie wykluczyć, więc w gruncie rzeczy przyznał w myślach rację policjantowi. Ale w takim razie zabójca musiałby mieć współnika. Kogoś, kto amputowałby mu dłoń. Wykonalne. Ale wątpił, żeby to była prawda.

Iwanowicz wstał i spojrzał na Gawłowskiego i Jastrzębskiego.

– Dobra, panowie, nie ma co się nad tym rozwodzić. Mamy tutaj kawałek ciała, najprawdopodobniej trzeciej ofiary. A to znaczy, że gdzieś leży reszta. Nasi ludzie przeczesują od pół godziny okolice. Mają zbadać każdy kąt w promieniu kilkuset metrów. Jest ciemno, ale choćby mieli, kurwa, przyświecać sobie oczami, mają znaleźć resztę tego człowieka!

– Musimy znaleźć go jak najszybciej – stwierdził Gawłowski.

– To po pierwsze. Po drugie, zabójca jest wciąż przed nami. Wyprzedza nas, choć wciąż mam nadzieję, że każdy dzień będzie tym ostatnim. Zresztą nie ma co gadać i gdybać, bo to teraz bez sensu. Chłopaki, wy bierzecie się do swojej roboty, a my z całą resztą do swojej.

Technicy przebrali się w kombinezony, a następnie zajęli się swoją pracą. Kazali wszystkim wyjść z pokoju.

Podeszli do fotela. Na samym jego środku leżała duża dłoń. Cztery palce były odcięte, a opuszcza kciuka częściowo naruszona.

– To się zabawił – rzucił Żabicki. – Zaraz sprawdzimy odcisk jedyne go palca i porównamy z tymi, które znaleźliśmy na nożu.

– To właśnie on nas tutaj doprowadził – dodał Jończyk.

– Zróbcie, co w waszej mocy, by było to gotowe jak najszybciej. Zresztą przecież możemy w tym czasie... Chwila.

Komisarz nie dokończył zdania, zszedł na dół i stanął nieopodal drewnianych schodów.

Przeczesał wzrokiem pomieszczenie. Przed drzwiami ujrzał dwie pary butów. Wziął je do ręki, odwrócił i spojrzął na podeszwę. Na jednych dostrzegł rozmiar. Czterdzieści trzy i pół. Wziął drugą parę do ręki. Taki sam rozmiar.

Wrócił błyskawicznie na górę.

– Ten, kto tu mieszkał, nosił numer czterdzieści trzy i pół. To na sto procent nie nasz zabójca.

Technicy obrócili głowę w kierunku komisarza.

– Mówisz, że odciski skierowały nas do zabójcy, tak? Bo znaleźliście ślady na narzędziu zbrodni? – Iwanowicz chciał się upewnić, ale doskonale to wiedział.

– Tak...

– Z tego wynika jedno. Te odciski... – zawiesił na chwilę głos, aby zebrać myśli – ...one były wabikiem. On nas tutaj celowo sprowadził. My... mieliśmy tutaj trafić! A to – kiwnął głową w kierunku fotela – to zwyczajna przynęta, na którą mieliśmy się złapać. Mamy przed sobą właśnie trzecią ofiarę tej cholernej jatki. A właściwie... tylko jej kawałek.

Nie czekając na słowa potwierdzenia ani komentarz kolegów, wyszedł przed dom. Na podwórzu stało kilku antyterrorystów w kominiarkach. Od czasu do czasu zmieniali pozycję i pilnowali okolicy. Inni wąskimi smugami światła latarek przecinali ciemność, ale na niewiele się to zdało. Wciąż prawie nic nie było widać. Iwanowicz pomyślał, że to bez sensu. Zabójcy nie było w pobliżu. Nie mógłby siedzieć beczynnym i spoglądać na ten marny i nieudany spektakl z udziałem policji. Jego tutaj nie było. Nie przyglądałby się tej porażce. Bo i po co? Zabójca przebywał gdzie indziej.

Iwanowicz to czuł.

Myśliwy być może właśnie zabijał kolejną ofiarę.

Tej nocy najprawdopodobniej nic mu się nie śniło, bo nie pamiętał, by cokolwiek zakłóciło mu wypoczynek.

Otworzył oczy i zaczął gapić się w sufit. To dziwne. Zwykle człowiek wpadał w nocny wir, gdy towarzyszyły mu pozytywne lub stonowane emocje w ciągu dnia. Dawały one o sobie znać nocą, na zasadzie kulminacji, zamieniały się w marzenia sennie. Ta noc nie należała do łatwych. Znaleźli odciętą dłoń kolejnej ofiary. Niczego więcej. Reszta domu była pusta. Policjanci dokładnie wszystko przeszukali, łącznie ze strychem i podpiwniczeniem.

Nigdzie nie natknęli się na ślady krwi ani jakiegokolwiek szarpaniny. Zastanowiło go to, bo przecież zabójca musiał jakoś tę dłoń odciąć. Skoro nie zrobił tego w domu ofiary, to musiał ją uprzednio porwać. Ale jak i kiedy? Jak to zrobił, by nikt tego nie widział? Iwanowicz rozważał kilka scenariuszy i każdy wydawał się szalony, brutalny i trudny do zrealizowania. Bez względu na to, jak zabójca tego dokonał, wykazał się ogromnym sprytem i umiejętnością chowania się w cieniu. Musiał potem, już na samym końcu, wrócić do domu ofiary, by pozostawić im tę dłoń. Nikomu innemu, lecz właśnie im.

Ale po co?

Wstał, gdy tylko poczuł, że poranny upał wdarł się do mieszkania przez otwarte okno, zakłócając przyjemny wypoczynek. Spał tylko cztery godziny, bo późno wrócili do miasta. Ochlapał twarz wodą, a potem zaczął się zastanawiać, co będzie robił w ciągu dnia. Gorącego i bezlitośnie skwarne.

Poranna kawa pomogła mu się rozbudzić. Przejrzał e-maile. Jak zawsze czekały na niego wiadomości od Jończyka. Fotografie wysokiej rozdzielczości z miejsca zbrodni. To była ich stara umowa: technik przysyłał mu zdjęcia drogą elektroniczną, gdy razem nad czymś pracowali. Czasami były to tylko same zdjęcia bez opisów ani daty, a czasami materiał wzbogacony o pomiary lub inne informacje. Kliknął wiadomość. Zrobił to automatycznie, od niechcienia i popił kawy. Zrobił duże powiększenie. Zdjęcie się rozrosło do olbrzymich rozmiarów, uwydatniając każdy szczegół. Było bezlitosne, przerażająco prawdziwe. Suchy obraz wczorajszej rzeczywistości. Kowary, godzina 4.20. Prawa męska dłoń. Bez palców. Pozostał tylko jeden – kciuk.

Przeglądał się obrazowi przez parę minut, a potem wybrał numer do Zalewskiego. Lekarz odebrał dopiero po ośmiu sygnałach.

– Już myślałem, że dasz za wygraną, rozłączysz się i nie będziemy musieli ze sobą rozmawiać. Zlekkałem, zlekkałem, ale się nie udało. Jesteś upartym gliną – rzekł na powitanie.

– Tylko tacy są w stanie coś osiągnąć. Ale cieszę się, że od rana tryskasz humorem.

– Staram się. Miejsce, w którym pracuję, wyostrza moje poczucie humoru, przecież wiesz.

Komisarz przełknął kawę i wstał od biurka.

– W ogóle lubisz ostre rzeczy.

Podszedł do sprzętu i włączył muzykę. Po chwili pokój rozbrzmiał cichymi dźwiękami składanki amerykańskiego rocka.

– Wyjdz wreszcie na powierzchnię, zobaczysz, że świat jest kurewsko podły. W nim nie ma miejsca na żarty. Ja na pewno nie mam na to ochoty, wybacz.

– Może nie uwierzysz, ale czasami wychodzę.

– Dostałeś już przesyłkę od nas? – zmienił temat Iwanowicz. Chociaż był poranek, zaczynał się niecierpliwic i znów rozmyślać o śledztwie. Tyle rzeczy mieli za sobą. Tylu przesłuchanych świadków. Coraz więcej sygnałów i śladów wskazujących im, gdzie szukać zabójcy.

– Tak. Zajmowałem się nią od świtu. Mam też już raport. Fundujesz mi coraz lepsze obiekty do badań. Rozkręcasz się.

– Co jesteś w stanie powiedzieć?

– Dwie ciekawe rzeczy, Marku.

Zapadło milczenie. Iwanowicz odsunął telefon od ucha i spojrzał na wyświetlacz. Pojawił się na nim komunikat, że ktoś próbował się do niego dodzwonić.

– Mam drugą osobę na linii. Konkrety. Nie mam czasu.

– No więc jeśli chodzi o narzędzie zbrodni, to bez wątpienia palce zostały ucięte nożem. Lub innym ostrym narzędziem.

– Na przykład?

– Na przykład tasakiem. Ale obstawiałbym nóż, bo jest powszechniejszym narzędziem. Pewnie jakiś duży i ciężki. Świadczy o tym gładkość ścianek ran. Chociaż tasakiem, z uwagi na jego ciężar, jest o wiele łatwiej. Ale same cięcia niewiele się od siebie różnią.

Iwanowicz jakby nagle otrzeźwiał.

– Zaraz, zaraz. Zwykłym nożem można odciąć kości palców?

– No jasne, jak się chce, to można. To tylko kwestia odpowiedniego nacisku. Wystarczy większy nóż, silny rozmach i po palcach. Trzeba to jednak zrobić na płaskim podłożu, najlepiej na czymś równym. Bo jak zrobisz na czymś nierównym albo wklęsłym, to nie utniesz do końca, a palce zavisną na skórze. A z moich analiz wynika, że uciął wszystkie za jednym zamachem.

– Jak został zadany cios?

– Wszystkie palce zostały ucięte niemal na styku paliczków bliższych i środkowych. Czyli przy zgięciu. I jeśli mam zgadywać, to powtórzę raz jeszcze, wszystkie zostały ucięte za jednym zamachem.

– Skąd ta pewność?

– To wbrew pozorom bardzo proste. Wskazuje na to równa linia. Zrobił to jednym, bardzo silnym ciosem. A sama linia cięcia wskazuje, że to był jeden ruch. Albo zna się na rzeczy, albo jest zwykłym farciarzem. Tutaj można strzelać, pół na pół.

– Dobra. Dla mnie to i tak chyba nie ma znaczenia. To, jak uciął palce, nie pomoże mi w śledztwie. A druga rzecz, którą odkryłeś?

– Ano właśnie. To pewnie najbardziej cię zainteresuje. Ręka została odcięta, gdy ofiara już nie żyła.

Iwanowicz znów usłyszał piknięcie w telefonie. Drugie połączenie. Ktoś koniecznie chciał z nim rozmawiać. Cholera, ani chwili spokoju, pomyślał.

– Trochę mnie to pociesza – powiedział bez przekonania.

– A to niby czemu?

– Bo gość pokazał, że przy całej swojej brutalności nie odciął ofierze ręki na żywa.

– Dłoni...

– Dłoń, ręka, co za różnica?

– Jest różnica.

– Jesteś w stanie powiedzieć, kiedy to się stało?

– Oczywiście. Szacuję na niespełną dobę. Coś około dwudziestu godzin.

– Dobra, dzięki za informację – rzekł szorstko komisarz. – Wracaj do swoich pacjentów, bo pewnie się niecierpliwia.

Zakończył rozmowę i sprawdził połączenia. Dwa telefony od Gawłowskiego. Oddzwonił.

– Co jest?

– Dzwonił do mnie przed chwilą Jastrzębski.

– Czego chciał?

– Chodzi o resztę przesłuchań. Pamiętasz, że nie zdążyli przesłuchać do tej pory wszystkich pracowników Koltexu?

– No...

– No i właśnie przesłuchali dwóch pozostałych. Dzisiaj rano zgłosili się na komisariat.

– Do rzeczy.

– Obaj potwierdzili informacje na temat Próchnickiego: zamknięty w sobie, małomówny i jakiś dziwny.

– Czytałem wszystkie zeznania, pamiętam. Mam wrażenie, jakbyś powtarzał moje słowa.

– No więc właśnie. Jest jednak coś więcej. Coś, co może nas zainteresować.

Komisarz ściszył muzykę i skoncentrował się na słowach kolegi.

– Jeden z nich, wyleciało mi teraz z głowy nazwisko, powiedział, że kiedyś namówił Próchnickiego na flaszkę. Wiesz, takie tam niewinne picie po robocie. Obaj byli po skorózonej zmianie. Gość zeznał, że bardzo długo go namawiał. Tamten oczywiście nie chciał. Odmawiał, tłumacząc się, że musi wracać do domu, że nie ma czasu. Takie typowe wykręty. A poza tym pamiętasz, jaki był pokręcony na punkcie czasu. Te jego alarmy, dzwonki i inne korby w głowie. Tamten drugi był jednak nieustępliwy i udało mu się go jakoś przekonać. Poszli gdzieś do lasu. Na drugą stronę miasta. Wzięli flaszkę ze sobą i niby to wybrali się na grzyby. Taki był pretekst. Tam dopadł ich deszcz, więc zaczęli szukać schronienia. Usiedli gdzieś przy samym wejściu do tunelu kolejowego. I tam, mając już dach nad głową, zaczęli pić.

– Długa jest ta historia? – zapytał z przekąsem komisarz. – Bo nie wiem, czy się rozciąść w fotelu, czy nie?

– Nie jest długa, słuchaj dalej. No więc wypili razem flaszkę, byli trochę podpić. I ten facet zaczął wypytywać Próchnickiego o jego życie prywatne, dzieci, żonę i te sprawy. Jak to kumple z pracy. Dobrze coś tam wiedzieć o sobie, co nie? No wiesz, jak człowiek się upije, to go dopada szczerosc i chce wylać z siebie całą złość, a przy okazji zadaje pytania swoim rozmówcom. No i tamten zaczął rozpytywać Próchnickiego, skąd pochodzi, czy miał żonę, czemu nie ma dzieci, od jak dawna mieszka w Kowarach i takie tam.

– Czego się dowiedział?

– No właśnie w tym sęk. Praktycznie niczego się nie dowiedział.

– Ach, to rzeczywiście ciekawe, co mówisz.

– Facet cały czas milczał. Potem sposepniał, wypił ostatni kieliszek i oświadczył, że żadna kobieta nie mogłaby być w związku z tak złym człowiekiem. I poszedł sobie. Nawet więcej, pobiegł do domu.

– I to koniec twojej historyjki? – zapytał znudzony Iwanowicz.

– Prawie. Następnego dnia Próchnicki przyszedł do tego gościa, z którym wcześniej obrócił flaszkę, i powiedział, by zapominał o ich wczorajszej rozmowie i całym tym spotkaniu oraz żeby nikomu nie powtarzał, o czym rozmawiali. A potem dodał, że właściwie to był pijany i gadał bzdury.

– Ale przecież ten Próchnicki nic nie powiedział.

– Właśnie o to chodzi.

– Hm... mówisz, że kiedy to było? – Komisarz nerwowo zaczął gładzić się po brodzie.

– Ponoć jakiś rok temu.

– I od tamtej pory milczał?

– Tak.

– A tamten pracownik? Nic nikomu nie mówił?

– Wygląda na to, że nie mówił. Milczał, bo tak chciał Próchnicki. Może nawet nie tyle chciał, ile wręcz zająkał – odparł podkomisarz. – Poza tym, co miał komuś mówić, skoro tak naprawdę był pijany. Zwykła rozmowa po flaszcze.

– Sam nie wiem. Faktycznie trochę to dziwne. Co o tym sądzisz?

– Na razie nic. Tylko ci przekazuję, czego się dowiedziałem.

– Sam o sobie powiedział, że jest złym człowiekiem. A jednocześnie gość nie był karany.
– No właśnie. Jedno drugiemu niejako przeczy, co?
– Może. Ale jednocześnie coś musiał mieć na sumieniu. Komuś nadepnął na odcisk, nie wiemy tylko kiedy, komu ani co zrobił?
– A może zrobili?
Zrobili, powtórzył w myślach komisarz. Może miał rację. Zginęły trzy osoby. Co prawda dotychczas znaleźli dwa ciała i jedną dłoń. Pewne więc było, że znajdują kolejne, trzecie ciało. Wiedział, że to tylko kwestia czasu. Trzy osoby. A więc jest pewna zbiorowość. Wszyscy mieli coś na sumieniu.

– Chyba masz rację. Oni wszyscy dopuścili się czegoś złego. Ale... Problem w tym, że Próchnicki nie miał rodziny. Był samotnikiem. Teraz, jak się okazuje, samotnikiem z wyboru. Żadna kobieta by z nim nie wytrzymała. Jak sam powiedział, że złym człowiekiem.

– Brzmi to dziwnie.
– O samym Próchnickim niewiele już się dowiemy. Ale to nie znaczy, że mamy na tym poprzestać. Wręcz przeciwnie. Pozostaje nam jeszcze druga ofiara. Na jej temat możemy zdobyć jakieś informacje.

– Wieśka Grońskiego? Żona nie żyje, a najlepszy przyjaciel... Sam wiesz... – Nie musiał kończyć. Wiadomo, co miał na myśli. To, że gość nie był najlepszym źródłem informacji, bo wiele cennych informacji filtrowała wódka.

– Myślę o jego córce. Załatw mi do niej numer i przyslij. A jeśli się jeszcze czegoś dowiesz, to dzwoń. Choćby w środku nocy.

Wyszedł na pobliski rynek po zakupy. Powitała go zaprzyjaźniona sprzedawczyni, która bez słowa zapakowała mu do reklamówki cztery kajzerki, świeże pomidory oraz wodę mineralną. Niemal codziennie przychodził tutaj na małe zakupy i zawsze wyglądały one tak samo. Po inne produkty jeździł do marketu, ale pieczywo i warzywa zawsze kupował tutaj. Cieszyła go ta lokalność, zawiązane relacje. Coś tak drobnego i prozaicznego, ale był z tego zadowolony. Przychodził tu niemal od zawsze. Czasami, gdy miał podły nastrój, nie musiał nic mówić. Sprzedawczyni dobrze go znała. Niekiedy wystarczyło spojrzenie. Sama podawała pieczywo, pakowała warzywa, tak jak dzisiaj. Innego zaś dnia panie z bazaru, widząc komisarza w lepszym humorze, pozwalały sobie na więcej i dyskutowały o tym, co się działo w mieście. Pytały komisarza nieumiejętnie o „sprawy na mieście”. Chciały wiedzieć, co się działo, ile osób zginęło, do jakiego sklepu się włamano. Ot, zwykła ludzka ciekawość. Iwanowicz na ile mógł, na tyle uchylał rąbka tajemnicy, by choć trochę wkupić się w łaski pań z targowiska. Czasami też żartował i kłamał jak z nut, puszczając fałszywe plotki, wyolbrzymiał fakty. Wiedział, że musi niekiedy żyć na luzie. Bez tej kamiennej miny. Bez tego zimnego spojrzenia i grobowego głosu. Inaczej zwarej.

Po powrocie przygotował sobie bułki z serem i odczytał wiadomość w telefonie. Gawłowski przesłał mu numer telefonu do córki Grońskiego. Dołączył do wiadomości pełny adres oraz miejsce pracy. Usiadł przy biurku, sprawdził adres na mapie w internecie, a potem wybrał numer. Za pierwszym razem odezwała się sekretarka. Odczekał dziesięć minut i zadzwonił ponownie. Tym razem był już sygnał.

– Słucham? – Usłyszał młody kobiecy głos. Brzmiał szybko i zdecydowanie.
– Dzień dobry, jestem komisarz Marek Iwanowicz z jeleniogórskiej policji. Czy rozmawiam z panią Anitą Janiszewską?
– Tak, a co się stało? Rozmawiałam przecież ze dwa dni temu z jakimś policjantem. Nie pamiętam nazwiska, ale o wszystko mnie wypytał. Nie przekazał panu? Bo rozumiem, że dzwoni

pan w sprawie mojego ojca? – Szybki i impulsywny sposób mówienia. Plus dla niego. Nerwowa i konkretna osoba. Albo tak poukładana wewnętrznie, że nie pozwalała sobie na zbędne i nie znaczące słowa.

– Wszystko się zgadza. I co miał mi przekazać, to przekazał.

– No więc po co pan dzwoni? – zapytała bardziej stanowczym tonem. Komisarz nienawidził takich gierk telefonicznych, w których musiał marnować czas na zbędne tłumaczenie. W gruncie rzeczy każdy miał przecież prawo być niemiły i stanowczy wobec policjanta i dopytywać się o wszystko. Tak by pokazać, że jest górą. Chciał chociaż od czasu od czasu trafić na bezproblemowego rozmówcę, który odda się rozmowie i nie będzie zadawał zbędnych pytań.

Złudne pragnienie, podsumował.

– Prowadzimy śledztwo w Kowarach. A ponieważ to ja je prowadzę, więc musiałem z panią porozmawiać osobiście. A nie przez osoby trzecie. W tej akurat sytuacji, bardzo poważnej, wydaje się, że nie jest to wystarczające. Szkoda jednak, że przez telefon, ale nie pozostaje nam nic innego.

– Czego pan ode mnie oczekuje?

– Odpowiedzi na kilka pytań.

– Przepraszam pana, ale nie mam teraz czasu. Może kiedy indziej.

– To potrwa parę minut.

– Przekro mi, ale jestem w pracy i nie mam czasu na rozmowę. Naprawdę.

– Teraz – uciał krótko komisarz. – Musimy porozmawiać teraz. Nie mam czasu na odkładanie tego na później. Chyba że woli się pani pofatygować na komendę tam, gdzie pani mieszka, i złożyć oficjalne zeznania. Z tego, co widzę, mieszka pani w Ursusie, wobec tego skieruję sprawę do najbliższego komisariatu. Jeszcze dziś wysłę pismo. Gwarantuję pani, że zajmie to kilka godzin, a samo przesłuchanie odbędzie się zgodnie z przewidzianą procedurą. Jednak nie gwarantuję, że będzie to przyjemne przesłuchanie. To jak? Co pani wybiera?

Chwila wahania. Usłyszał głośnie westchnięcie.

– W porządku, ale tylko pięć minut. Proszę mi dać chwilę, szepnę szefowi, że mam bardzo pilny telefon. Proszę się nie rozłączać.

Usłyszał w słuchawce, że wstała i gdzieś wyszła. Zaraz potem trzaśnięcie drzwiami, a po kilkunastu sekundach powiedziała, że już jest do jego dyspozycji.

– Dobrze, pięć minut mi wystarczy.

– Co pan chce wiedzieć?

Szybko zaktualizował w pamięci listę pytań, jakie chciał zadać. Nie chciał zaczynać od czegoś, co może ją zniechęcić do dalszej rozmowy.

– Dlaczego wyjechała pani z Kowar?

– Czy to ma coś wspólnego ze śledztwem?

– Proszę odpowiedzieć na pytanie.

Nie czekał długo na odpowiedź.

– To bardzo proste. Bo nie miałam tam żadnych perspektyw. W Warszawie zaczęłam studia i tu też poznałam mojego przyszłego męża. Wzięliśmy ślub. Potem na świecie pojawiło się dziecko. Później odległość zrobiła już swoje. Zadomowiłam się tu, znalazłam dość dobrą pracę. I tak już zostało. A potem nie miałam ochoty ani też specjalnych okazji, by tam wracać. Zresztą pewnie gdybym stamtąd wtedy nie wyjechała, to do dziś nie miałabym męża, a tym bardziej pracy.

– Tylko dlatego?

– Tak.

– A to, że pani rodzice pili, to nie był powód do wyjazdu?

– Nie bardzo rozumiem, jaki ma to związek z...

– Proszę wybaczyć szczerość i bezpośredniość, ale taki już jestem. Mam tutaj bardzo

poważne, nazwijmy to... problemy. W ciągu kilku dni rozpętało się istne piekło, więc nie mam czasu na to, by zadawać miłe i przyjemne pytania. Nie dzielę pytań na takie, które można i których nie można zadać. Żądam pełnej szczerości. A pytam o to, ponieważ z relacji świadków wynika, że właśnie tak pani rodzice zostali zapamiętani.

Cisza. Sięgnął po butelkę i napił się wody. Potem zaczął kartkować książkę.

– W porządku – rzekła po dłuższym zastanowieniu. – Jeśli mamy rozmawiać szczerze, to nie będą owijała w bawełnę. Skoro chce pan wiedzieć, to tak. Moi rodzice pili. Pili, od kiedy pamiętam. I gdyby ktoś mnie o to zapytał, to powiem, że pewnie zawsze tak już ich zapamiętam. Jako pijących... Czy taka odpowiedź panu odpowiada?

Iwanowicz wyszedł na balkon i spojrzał do góry. Na niebie żarzyło się złociste słońce. Powietrze było duszne. Czuł, jakby blokowało mu oddech. Po chwili wrócił do mieszkania. Chłodniejszego i przyjemniejszego. Usiadł przed komputerem i spojrzał na zdjęcie odciętej dłoni.

– Nie odpowiedziała pani na moje pytanie.

– Ach tak, chodzi panu o wyjazd. Wyjechałam stamtąd, bo nie miałam żadnych perspektyw... – Zawiesiła na chwilę głos.

Przysunął bliżej głowę do monitora.

– Oboje pili, no więc co miałam robić? Musiałam stamtąd zwięzać. Pan by nie uciekł? Tak to już jest, podejmujemy w życiu jakąś decyzję, a potem się nie zastanawiamy, dlaczego akurat taką. Cieszymy się, że jest lepiej, i tyle. Robimy tak i już. Tak chce los, przeznaczenie. Ten wyjazd... Musiałam wybrać: albo tam zgnieć, albo mieszkać i rozwijać się tutaj. Wybór był bardzo prosty. Taka okazja mogłaby mi się więcej nie trafić. A że zawsze miałam ambicje, by realizować swoje marzenia i rozwijać się, to zdecydowałam, że chcę stamtąd wyjechać.

– I nigdy nie żałowała pani swojej decyzji?

– Nie, nigdy. Ani też nigdy potem już się nad tym nie zastanawiałam. Dzisiaj wiem, że dokonałam właściwego wyboru, i gdybym miała jeszcze raz wybierać, to za żadne skarby nie chciałabym innego życia niż to, które mam teraz. Mam szczęśliwą rodzinę i to jest dla mnie najważniejsze.

Iwanowicz odczekał jeszcze parę sekund, by się upewnić, że kobieta nic więcej nie doda.

– Jaki był pani ojciec?

Znów usłyszał głośnie westchnięcie. Brzmiało to tak, jakby próbowała podkreślić swoją bezsilność. Zaraz potem usłyszał gdzieś w oddali rozmowy.

– Nie był dobrym człowiekiem, jeśli to chce pan usłyszeć. Nie był dobrym ojcem, nie starał się. Wręcz przeciwnie. Należał do tych złych. Tych, którzy każdy pieniądź są w stanie wydać na alkohol. Pieniądź, Boże święty, co ja plotę. Nie mieliśmy prawie żadnych pieniędzy. Dla niego nie liczyłam się ja ani moja matka. Liczyła się tylko wódka. Nasze życie rodzinne sprowadzało się do tego, że pozwalał nam mieszkać w tej klitce. Sam pan rozumie, że to nie była normalna rodzina. To nie było miejsce, w którym chciało się być. Rodzina to co innego. To, co mnie tam spotkało, to było tylko trwanie, jałowa egzystencja. Praktycznie nic się nie działo. Nic dobrego, samo cierpienie. Bezsens. I pustka. Ciągle to samo, dzień po dniu tylko alkohol. Miałam nadzieję, że ten człowiek wreszcie się zmieni. Że może coś do niego w końcu dotrze i jakoś się opamięta. Obie liczyliśmy, że może się uda. Żyliśmy... – Znów westchnęła i chwilę milczała. Jej głos robił się coraz cichszy. Iwanowicz wyczuwał, że wazyła teraz każde słowo. Zrozumiał, że wkroczyli na bardzo drażliwy i osobisty temat, którego wspomnianie sprawiało jej ogromną trudność. Bo trudno było mówić o takich rzeczach swobodnie, bez chwili gorzkiej refleksji, nawet jeśli też przeszłość pozostawiło się dawno za sobą. Czuł to w jej głosie. I najpierw był dynamiczny i zdecydowany, a teraz cichy i słaby. – Żyliśmy strasznie biednie, bo ojciec wszystko przepijał. A jak trzeba było, to wynosił z domu coś na sprzedaż. A gdy kiedyś zarobił jakieś pieniądze, to pił do nieprzytomności przez kilka dni.

– I co wtedy?

– Nic. A co my przy tym wszystkim mogliśmy? Ani razu nie pomyślał, że byliśmy głodne, że ja miałam swoje potrzeby. Jako dziecko, potem jako nastolatka. Nic go to nie interesowało. Kompletnie nie.

– Rozumiem, że było pani bardzo ciężko.

– Ciężko? To mało powiedziane! Pan wie, co to znaczy? Nie miałam pieniędzy, żeby kupić sobie nowe ubrania. Ani na to, by wyjść gdzieś z koleżankami. Nie dostawałam ani gorsza. Wie pan, co robiłam? Musiałam przed swoimi koleżankami udawać, że nie mam ochoty na wyjście na przykład na dyskotekę. I tak prawie cały czas. Udawałam. Udawałam dosłownie każdego przekłętego dnia.

– Przyko mi to słyszeć.

– Ale ludzie nie byli ślepi. I nikt nie chciał mi pomóc, nikt nie chciał rozmawiać. Byłam na skraju załamania. Sama jedna. Bez pomocy. Potem wracałam do domu, bo przecież nigdzie nie wychodziłam. I co mnie czekało w domu?

– Zawód. Rozczarowanie.

– Nazwałabym to dosadniej. Ojciec ciągle pijany, awanturujący się, krzyczący, a gdy przychodzili jego koledzy... O Boże, to był jakiś koszmar. Oni byli dla ojca najważniejsi. Najchętniej bym wtedy umarła.

Mówiła jeszcze ciszej, tak by nikt poza nią jej nie usłyszał. Akcentowała pojedyncze słowa. Komisarz odniósł wrażenie, że nikomu nie zwierzała się ze swojej przeszłości. Żyła z tym przez lata i być może tę swoją przeszłość skrywała w najgłębszych zakamarkach pamięci. Bo i po co było do tego wracać? Kto by chciał odgrzebywać bolesną przeszłość? Przed kim i po co miała otwierać tę starą ranę? Doskonale wiedział, co czuła.

– Nie miała pani wsparcia w matce?

– Raczej nie, chociaż... Wiem, że matka mnie kochała i na ile mogła, to starała się, bym miała co jeść i w co się ubrać. Oczywiście jej starania i moje potrzeby mocno się różniły. Ale żeby przypodobać się ojcu, był mniej agresywny, cały czas żyła tak, jak on tego chciał. To on mówił, co miała robić. On nią sterował. Chyba nie muszę panu mówić, jak zazwyczaj żyją kobiety alkoholików? Pewnie się pan tego domyśla, prawda? Żyła przez cały czas ze spuszczoną głową. Z beczności i ze wstydu.

– Bił ją?

Nastąpiła chwila ciszy. Iwanowicz wyczuł, że to trudne pytanie. A może to odpowiedź była trudniejsza.

– Zdarzało się. Ale nie chęć do tego wracać.

– To oczywiście. Chciałbym zapytać panią jeszcze...

– Mam bardzo mało czasu. Szef już raz przeszedł przez biuro i spojrzał na mnie wymownie, sam pan rozumie, nie chęć...

– Ostatnie pytania. Zna pani Romana Rzońcę?

– Tak, sąsiad. Pamiętam go od zawsze jako przyjaciela ojca.

Te ostatnie słowa powiedziała z nutą ironii. Przyjacieli w ich pijackim rozumieniu. Pewnie tak właśnie siebie nazywali, pomyślał.

– Czy Rzońca był kiedykolwiek agresywny wobec pani? Albo w ogóle kogoś innego?

– Nie. Był, to znaczy jest, spokojny. Z tego, co pamiętam, to pił cały czas, ale nie jest przestępcą. Pił, choć nie szkodził nikomu.

– Kolejna osoba, Ryszard Próchnicki?

– Nie znam. Jakiś kolega ojca?

– Henryk Rostowski?

– Tak, coś kojarzę. Jak przez mgłę, ale pamiętam go. To nie jest jakieś duże miasto, więc

pewne nazwiska się zapamiętuje. Kawał drania, ale nie bywał u nas. Pamiętam, że trochę się o nim mówiło, że to typ spod ciemnej gwiazdy. Taki lokalny zawiadziak, co to swoją męskość i siłę rozładowywał na żonie.

– Czy pani ojciec mógł mieć z nim jakieś interesy?

– Nic nie wiem na ten temat. Ojciec znał tych wszystkich pijaków i awanturników z miasta, ale u nas bywał głównie Rzońca. Owszem, pojawiali się sporadycznie inni, ale nie przypominam sobie ich nazwisk.

– W porządku, to by chyba było na tyle. Czeka panią teraz dużo spraw związanych z pogrzebem, mieszkaniem...

– Tak, wiem. Ale na razie nie myślę o tym, bo nie mam czasu. Za parę dni będę musiała się jakoś ogarnąć i przyjechać... Tam. Choć proszę mi wierzyć, nie mam na to najmniejszej ochoty.

– Ostatnie pytanie: gdzie pani ojciec pracował?

– Kilka lat na kolei. Zwalniał się, to go znów przyjmowali, ale nie miał stałej pracy. Pił, więc go wyrzucano albo sam odchodził. Imał się różnych robót, ale głównie na czarno.

– A w kopalni?

– Chyba nigdy tam nie pracował, ale nie mam pewności. Nie pamiętam za dobrze dzieciństwa.

– Dziękuję. Gdyby przypomniała sobie pani coś jeszcze lub chciała porozmawiać, to proszę oddzwonić pod ten numer.

– Będę pamiętała, do widzenia.

Komisarz zakończył rozmowę i zaczął analizować słowa Janiszewskiej. Zastanawiał się, ile już zdolał ułożyć elementów, a ile wciąż pozostawało nieodkrytych.

Wypił kilka łyków kawy, wybrał numer podkomisarza, a potem zaczął chodzić po mieszkaniu. Krążył między kuchnią, pokojami a łazienką. Chodzenie sprawiało mu ulgę. W czym? Sam się wielokrotnie zastanawiał w czym i dlaczego właśnie chodzenie. Być może magiczna siła tej czynności polegała na rozładowaniu jakiegoś pokładu stresu, który ciągle w nim siedział. Który mu doskwierał.

Zamknął oczy i zaczął obracać telefon po blacie biurka. Młoda dziewczyna przed laty ucieka z domu, w którym ojciec nie szanuje ani jej, ani swojej żony. Ucieka z piekła. Czy to ona mści się po latach na ojcu? Uznał, że to miałyby sens. Ale co z pozostałymi ofiarami? Kim były, że zasłużyły na taki los? Czy byłaby zdolna zabić trzy osoby? Młoda matka, pracująca w biurze w Warszawie w jakiejś korporacji. Mąż. Rozmowy biznesowe z klientami. I nagle coś takiego?

Czy taka osoba jest zdolna zabić z zimną krwią trzy osoby?

Wybrał numer do Gawłowskiego.

– Rozmawiałem przed sekundą z tą córką zabitego. Z Janiszewską.

– I czego ciekawego się dowiedziałeś?

– Niechętnie mówiła o swojej przeszłości. Trudno było ciągnąć ją za język, ale nie miałem wyboru. Powiedziała, że ojciec raczej nie miał wrogów. Pił, ale nie był bandytą ani też nikomu nie nadepnął na odciś.

– Cholera...

– Ciągle rozmyślam nad sensem tych zabójstw. O co w nich chodzi?

– Masz na myśli motyw?

– Między innymi. Czuję, że skądś zaczyna śmierdzieć, ale nie wiem skąd. Przydałby się jakiś punkt zaczepienia. Czuję się tak, jakby ktoś wyprał mi mózg. Nie mam pomysłu.

– Cholera, Marek, musimy niedługo coś mieć, bo będzie nagonka z góry...

– Spójrz. Pierwszy zabity w tej kopalni... – rzekł, nie komentując słów kolegi. – Próchnicki. Spokojny, cichy, nikomu nie wadzi. I tak go właśnie wszyscy postrzegają. Jako odludka mieszkającego samotnie na uboczu. My też go tak postrzegamy jakiś czas, siłą rzeczy, bo tak go

nam opisują. Aż tu nagle okazuje się, że gość sam o sobie powiedział, że jest zły. Pytanie więc, w jakim sensie zły. Zły, bo kiedyś coś ukradł, czy zły, bo kogoś skrzywdził? Pobił, może zabił, a potem ktoś zatuszował sprawę?

– Jedna wielka niewiadoma. Ale skoro papiery ma czyste, to musiał być w porządku.

– Myślę, że trzeba będzie osobiście pogadać z tym pracownikiem, który z nim pił i to od niego usłyszał. Może coś jeszcze sobie przypomni.

– W porządku, możemy go trochę przycisnąć. Właściwie to nie mamy nic do stracenia.

– Gość kończy z wyprutymi flakami w miejscu pracy. Albo łączy się to z tym miejscem, albo z tym, co powiedział – że jest zły. Jedno z dwóch.

– Ta kopalnia. Zabójca się nie cackał, przyszedł i go zaciukał, więc też musiał znać to miejsce. Tylko... trochę mało profesjonalnie to zrobił, co? Dlaczego nie pozbył się ciała? Dlaczego załatwił Próchnickiego w miejscu, gdzie pracuje? Widzisz, tu pojawiają się dwa scenariusze – zabójca jest tak głupi, że zabija inną osobę w kopalni, w której pracuje. I nie bierze konsekwencji pod uwagę. Albo wręcz przeciwnie – zabija go tam, bo wie, że nie będziemy podejrzewali reszty pracowników, więc czuje się bezpiecznie. Brzmi to co najmniej ryzykownie, ale jest możliwe.

– Pamiętaj jednak, że to wszystko to mogą być pozory. Nie należy tego wykluczyć. Zabójca swobodnie zdobywa informacje o tym, gdzie, kiedy i w jakich godzinach pracują jego ofiary. Wie o nich sporo i wcale nie musi tam pracować.

– Ale ten Groński to już trochę przeciwieństwo ofiary z kopalni.

– Poniękąd tak. Ale znów tylko pozornie. Niby gość pił, owszem, wrzeszczał i szalał, gdy się uchlał, może czasami podniósł rękę na żonę, ale tak naprawdę to chyba chodzi o coś innego.

– To znaczy o co?

– O coś poważniejszego. Nie wierzę, by ktoś go zabił z tak prozaicznego powodu, jak to, że gość był alkohikiem i czasami poszalał. Albo że w jakimś zapytaliem barze dwa razy wybił szyby. To nie to. Tutaj chodzi o coś innego.

– Córnka coś jeszcze mówiła na jego temat?

– Mówiła, mówiła, ale nie wspominała, by ojciec miał jakieś długi czy inne problemy. Choć z drugiej strony nie mieszkała tu od dawna, więc nie o wszystkim pewnie wie. Zył może mało przykładnie, ale jednocześnie nie podpadł nikomu aż tak, żeby skończyć z wyprutymi flakami. Tak dłużnicy w dzisiejszych czasach nie kończą.

– No więc?

– No więc wynika z tego, że jest coś, czego nie wiemy. Siedzi to gdzieś pod powierzchnią i nie możemy tego zauważyć. Albo coś pominięliśmy.

– Do jasnej cholery, ale coś musi ich łączyć. Inaczej...

– Inaczej by nie zginęli, co? To chciałeś powiedzieć?

Komisarz usłyszał mruknięcie w słuchawce, które oznaczało potwierdzenie.

– Możliwość jest wiele. Wiesz, tak teraz myślę, że równie dobrze mogli paść ofiarą jakiegoś psychola, który zabija kogo popadnie, bez jakiegos głębszego celu. A przypadkiem byli to akurat ludzie samotni, żyjący gdzieś na odludziu... Z dość swobodnym podejściem do prawa, żyjący jakby obok niego. Ogólnie...

– Marek, poczekaj. Wierzysz w to, co mówisz?

Komisarz zastanowił się nad swoimi słowami. Brzmiały sensownie, ale w głębi duszy nie wierzył w to wszystko. Chciał tylko chwilowo zasłonić się przypadkiem, jakimś niewytłumaczalnym szalenstwem niepoczytalnego człowieka, który zabijał na chybił trafił. Ale po chwili znów przywołał rozsądek. A przede wszystkim same fakty. Człowiek nie mógł zabijać bez celu. Cel musiał istnieć, nawet banalny i irracjonalny.

– Szczerze? Ani trochę. Tutaj musi o coś chodzić. O coś, czego jeszcze nie rozumiemy. Bo od

tych dwóch odmiennych, choć jednak nieco podobnych ofiar przechodzimy do kolejnej. Trzeciej. Tej, która miała być naszym myśliwym, a jak się okazało, sama padła ofiarą. I zauważ jedno. Linia podobieństwa między nimi nie idzie jednolicie, ale trochę się krzyżuje. Między tymi zabójstwami jest wiele różnic, a jednak sporo je łączy. Chociażby podobny wiek zabitych i to, że żyli na uboczu. Nie byli osobami uporządkowanymi, wykształconymi. Żyli gdzieś na marginesie.

– Kurwa... – powiedział Gawłowski do słuchawki. Iwanowicz nie wiedział, czy przekleństwo odnosiło się do całej sytuacji, czy może kolega wylał sobie kawę na spodnie. Brzmiało tak bezbarwnie, że mogło oznaczać wszystko.

– Na razie o samym zabójcy też nie wiemy dużo, poza paroma rzeczami. Po pierwsze – wszystko dobrze planuje. Posłużył się dłońmi swojej ofiary, by zrobić odciski palców na nożu. Pewnie tym samym, którym zabił poprzednie ofiary. A to oznaczałoby, że precyzyjnie wszystko zaplanował. Chciał nas zaprowadzić z punktu A do punktu B. Od jednej ofiary do drugiej. Tak, by w tym czasie nabrać większego dystansu. Do czego? Nie wiem, ale coś chciał osiągnąć. Wiedział i zakładał, że damy się nabrać. Wodził nas za nos bez trudu. Przewidział nasze kroki i tok naszego myślenia. Co więcej, w tym wszystkim mogło też chodzić o obserwowanie, jak pracujemy. Być może chciał zweryfikować swoją wiedzę na nasz temat, więc poddał nas sprawdzianowi. A my ślepo uwierzyliśmy, że odciski palców na broni należą do sprawcy.

– Wykluczamy tym samym opcję, o której przed chwilą mówiłeś.

– Już dawno ją wyeliminowałem. Tutaj nie może być mowy o przypadku. Mamy do czynienia z wyrachowanym zabójcą. Planującym i przewidującym każdy krok. Zarówno swój, jak i nasz.

– No dobra, Marek, ale coś mi tu nie pasuje. Konkretnie chodzi mi o sposób zabijania. Ciosy są bezsensowne i brutalne. Facet wali bez opamiętania jak jakiś niewyżyty popapraniec. Robi z ludźmi paszlet, więc gdzie tutaj mowa o planowaniu? Sądziś, że właśnie tak działa wyrachowany zabójca?

– To nie ma nic do rzeczy. Sposób zabijania to jedno, a sobą i na pierwsze rzut oka, współpracę.

– Albo robi to celowo. Może udawać pewne zachowania, byśmy wyciągali błędne wnioski.

– To prawda. Zgodzę się z tym, co powiedziałaś wcześniej. Może on nie przejmuje się za bardzo tym, jak zabija. Liczy się efekt końcowy. Chodzi o przerażenie. Najprawdopodobniej chce wywołać szok. Oczywiście u osób, które znajdują zwłoki, i osób, które będą się tym ciałem zajmowały. Czyli u nas.

– Wobec tego udało mu się.

– Ale wracając do tematu. Wiem, co masz na myśli. Że to człowiek, który nad sobą nie panuje. To mogą być pozory, element pewnego planu. A w związku z tym na jedno musimy zwrócić szczególną uwagę. On uparcie dąży do celu.

– No nie wiem, ja wciąż odnoszę wrażenie, że to jakiś furia, który nad sobą nie panuje. Bo kto inny zadaje tyle ciosów ofierze? Zdrowy to on nie jest.

– Przepuszczalnie masz rację. W chwili zabójstwa niemal cała samokontrola znika i bierze górę pragnienie zabijania. Bo oto po długim wyczekiwaniu wpada mu wreszcie w ręce ofiara i pragnie zemścić się jak najszybciej i najbrutalniej. Zadaje ciosy jak popadnie, ile starczy mu sił. Więc tak, w pewnym sensie zgodzę się z tym, co mówisz. Ale wiesz, wciąż nie można wykluczać, że gość wszystko dokładnie planuje. Każde zabójstwo. Krok po kroku. Przypomnij sobie pierwsze. Popełnia je w miejscu dość nietypowym, ale jednocześnie ukrytym. Tunelu. Facet musiał się schować w kącie i czekać na swoją ofiarę. Te korytarze są kompletnie mroczne, a swobodne poruszanie się w nich wymaga dużego zaangażowania i wysiłku. No i trzeba zaplanować, gdzie się ukryć, jak tam wejść, a potem wyjść, by pozostać niezauważonym. I druga rzecz. Skąd wiedział, gdzie szukać tego Próchnickiego? O której godzinie? W którym odcinku korytarza? Przecież jest ich bardzo dużo, więc...

– Sądzisz, że ktoś mu pomógł namierzyć go w tych tunelach?

– Nie wiem. Możliwe, że sam tam kiedyś pracował. Lub wracamy do punktu wyjścia i zakładamy, że zabójcą jest jeden z pracowników Koltexu. Bez względu na to, jak wygląda prawda, facet świetnie sobie z tym poradził. Ukrywa się, czeka na swoją ofiarę, zabija, a potem znika niezauważony.

– Tak. Spójrz, co dzieje się później, bo przecież to nie koniec jego roboty. Biegnie więc albo jedzie do mieszkania Wieśka Grońskiego. Tam robi dokładnie taką samą jatkę, najprawdopodobniej przy użyciu tego samego narzędzia. Sama technika zabijania również wydaje się niemal identyczna.

– I nie patrzy, że to jest w centrum niedużego miasta. Wchodzi swobodnie do kamienicy, zakrada się do mieszkania, a następnie zabija kolejną osobę. I znów ulatnia się przez nikogo niezauważony.

– Sprytny, prawda? I co, uważasz, że jakiś kompletny szaleniec zdobyłby się na tak profesjonalne działanie? – zapytał Iwanowicz.

Partner milczał. Doskonale wiedział, że to było pytanie retoryczne.

– A propos, właśnie, to cholernie dziwne, że nikt z domu naprzeciwko go nie widział.

– Tak, a co gorsza, to nie koniec jego pracy. Dokładnie wtedy, gdy my pojawiajemy się na miejscu zbrodni, on pojawia się w domu zabitego. Żeby pozostawić po sobie ślad. By coś nam przekazać. Żeby bezczelnie nam się przyjrzeć. Niemal z nas zakpić. On chciał nam pokazać, że może podejść tak blisko, jak tylko chce.

– Rzeczywiście... Był tam, ale go nie zapamiętałem.

– Nieważne, to była sekunda, więc nie zaprzątaj sobie tym głowy. A wracając do naszej sprawy, po jakimś czasie znajdujemy nóż, a na nim odciski palców, które kierują nas do trzeciej ofiary. I na tym koniec jego działań. Wynika więc z tego, że robił dokładnie to, co chciał.

– Co jeszcze o nim wiemy?

– Przemieszcza się błyskawicznie, a co ciekawsze i moim zdaniem ważniejsze, manipuluje śladami według własnych potrzeb.

– Marek, poczekaj sekundę, mam drugi telefon, ale nie rozłączaj się – powiedział Gawłowski.

Po tych słowach komisarz zaczął analizować wszystko, co przed chwilą usłyszał. Zabójca celowo wprowadził ich w błąd, by pokazać, że w tym niemal opuszczonym i wymarłym mieście ma nad wszystkim kontrolę.

Czekając, aż Gawłowski skończy drugą rozmowę, odczytał resztę prywatnych wiadomości, następnie zaczął przeglądać portale informacyjne. Chciał być na bieżąco z wydarzeniami w kraju i na świecie. Przeleciał wzrokiem nagłówki kilku artykułów o polityce i gospodarce. Po chwili uznał, że nie ma jednak ochoty tego czytać. Wiadomości ciągle się powtarzały. Żadnych rewolucji i przełomów. Media żyły w swoim kole, które systematycznie co parę lat robiło pełny obrót. Codziennie kreowana przez media, świat polityki i biznesu zasadzała się na tych samych zasadach i chwytach. Poruszane tematy i kwestie były wciąż od lat tym samym. Przybierały tylko inne barwy. Każdy polityk mówił o tych samych rzeczach co jego poprzednicy, tyle że ubierał to w inne słowa. Nudziło go to. Nie chciał marnować czasu na obserwowanie wciąż obracającego się koła, które w istocie niczego nie napędzało. Niczego nie wyjaśniało.

Po paru minutach odezwał się Gawłowski.

– Dzwonił Jastrzębski. Mam dwie informacje. Pytałeś o ten kombinezon Koltexu. Każdy z pracowników dostawał w przydziale dwa takie same. Sprawdzili wszystkich pracowników, ale nikomu żaden nie zginał. Sprawdzili dokładnie wszystkich, w tym również stany magazynowe, wszystko się zgadza. Jest za to ciekawostka. Próchnicki miał na sobie jeden w czasie śmierci. Drugi z kolei... Drugiego właśnie nie ma. Przeszukali jego dom, ale nie znaleźli. Możliwe więc, że zabójca

go ukradł.

Komisarz odnotował to w pamięci, a potem zapytał:

– A druga informacja?

– Zrobili rozeznanie w sprawie ostatniego zabitego.

– Rostowskiego?

– Tak. Za dużo się nie dowiedzieli, ale jedno jest pewne. Był z niego kawał skurwiela. Menda jakich mało. Od paru lat gość poważnie chorował i prawie w ogóle nie wychodził z domu. No i tym samym trochę przysiadł na dupie. Ma grubszą kartotekę u lekarza niż w policji.

– Wiemy, czym się zajmował?

– Przez paręnaście lat pracował w fabryce dywanów, potem gdy fabryka padła, zresztą jak większość zakładów w okolicy, zaczął pobierać zasiłek, a później przyznano mu rentę.

– Na co chorował?

– Jastrzębski wspominał tylko, że nawalał mu kręgosłup i miał problemy z chodzeniem.

– Dobrze tak skurwielowi. Albo dobrze naściemniał przed komisją. Nigdy nie będę współczuł ludziom, którzy zasługują na taki los.

– Los potrafi być czasem sprawiedliwy, co? Szkoda tylko, że tak rzadko i w tak splotonej formie.

– Miał rodzinę, dzieci?

– Miał żonę, ale zmarła. Dzieci nie mieli.

– Proszę, kolejny, co to wykończył i pogrzebał swoją kobietę. Trochę mi to wszystko zaczyna śmierdzieć.

– Sądzisz, że to ma coś wspólnego z naszą sprawą?

– Nie wiem, po prostu głośno pomyślałem. Ale nawet jeśli to przypadek, to zobacz, jakie wszystko jest parszywe – zauważył Iwanowicz.

Gawłowski nie skomentował jego słów. Nie wiedział, co powiedzieć, i w zasadzie nie miał nic do dodania. Zastanawiała go sprawa kombinezonów firmowych. Ktoś maczał w tym palce.

– Sąsiedzi? Ktoś coś o nim wiedział, jaki był?

– Nie, nic. Poza tym przecież widziałeś, gdzie on mieszkał. Kompletnie pustkowie, nie widziałem tam w pobliżu nigdzie domów. A ty?

– Mimo to trzeba wysłać policjantów z Kowar, by zrobili rozeznanie. Miasto to miasto. Ktoś na pewno coś widział albo wie na jego temat. Dla nas teraz odtworzenie jego życia to sprawa priorytetowa.

– W porządku, przekażę Jastrzębskiemu, żeby się tym zajął.

– To wszystko, czy coś jeszcze powiedział?

– Tak, powiedział. I to może być dla nas cenna informacja. Rostowski ma siostrę, która mieszka w Kowarach. Możemy z nią porozmawiać. – Komisarz poczuł nagle cień nadziei na samą myśl, że wreszcie będą mieli bezpośrednią styczność z rodziną zamordowanego. W końcu. Zastanowił się nad tą dziwną zależnością. Traf chciał, że ofiary zwykle żyły samotnie, jakby na marginesie społeczeństwa, gdzieś z boku. Trochę jak cienie, które nie chciały się z nikim wiązać ani dawać innym poczucia bezpieczeństwa. Usuwali się w cień swoich żalonych i prymitywnych potrzeb.

Ofiary. Łączyło je jedno. Każdy z zamordowanych był egoistą. Nie dawali nikomu nic z siebie.

Dlaczego?

Dlatego że nikt nic od nich nie chciał czy dlatego, że nie chcieli się niczym dzielić? Zbieżność czy przypadek?

– Dobra, załatw szybko jej adres i jedziemy.

– W porządku, zaraz go złobędę.

– Powiedział chociaż, jak się nazywa?

– Tak, poczekaj, zapisałem sobie... Nazywa się Pilecka.

Miasto wydawało się czarno-białe, mimo że rozgrzane do czerwoności słońce prażyło i topiło wszystko, co nie zdążyło w porę skryć się w cieniu. Rozpuszczało się, znikało. Kolorowe reklamy próbowały zasłonić szorstką fasadę miasta. Iwanowicz przywoływał w pamięci obrazy, gdy jeszcze w latach osiemdziesiątych i dziewięćdziesiątych to miasto, podobnie jak wiele innych w regionie, tętniło życiem. Ludzie pędzili do pracy. Na kolei tworzyły się kolejki do kas biletowych. Pociągi podjeżdżały pod same fabryki, ludzie rozpoczynali pracę z uśmiechem na twarzy lub przynajmniej poczuciem sensu oraz celu. Tak było i tutaj, w tym jednym z wielu miasteczek robotniczych. Głośnym i szybkim. Produkowano tu dywany. Prężnie funkcjonowały zakłady, urzędy, sklepy. Ponad pół wieku temu działała duża kopalnia uranu. Wszystko to żyło, rosło, potężniało z dnia na dzień. Kolos, który napędzał całą okolicę.

Od lat miasto gasło. I to na oczach swoich mieszkańców. Nie mogli się temu przeciwstawić ani nie mogli zaradzić. Powoli wszystko stawało, kończyło się, nieruchomiało. Stawało się martwym pomnikiem dawnych czasów.

Była jedenasta, gdy wjechali w Słoneczną. Wodzili wzrokiem, zapamiętując każdy szczegół. Miasto jeszcze się nie obudziło po nocy. Nikt do niczego się nie spieszył. Koty wylegiwały się na parapetach. Noc nie przyniosła zmian. Człowiek czeka na kolejny dzień, bo ma nadzieję, że coś się zmieni, pojawi się coś nowego. Ale nie tu. To miasto wymarło. Nic się nie zmieniło, wątpliwe nawet, by ludzie na coś czekali. Może już dawno stracili nadzieję, pomyślał.

Zatrzymali auto.

– Dobra, robimy tak – zaczął Iwanowicz. – Ja idę przesłuchać Pilecką, a ty jedź do Koltexu i zajmij się tym pracownikiem, który wczoraj zeznawał na temat Próchnickiego. Dowiedz się wszystkiego. Jak będzie trzeba, to trochę go postrasż, bo a nuż czegoś nam jeszcze nie powiedział. Na przykład z obawy o swoje życie. To może być cholernie ważne. Urwę jaja temu, kto przecoczy coś istotnego w tym śledztwie. Jasne?

Gawłowski w milczeniu tylko skinął głową.

– A jakbyś miał z czymś problem, od razu dzwoń. Nie będziemy się z nikim cackać. Załatwimy wtedy sprawę po mojemu.

– W porządku, będziemy w kontakcie.

Komisarz wysiadł, jeszcze raz przyjrzał się okolicy, a potem wszedł na piętro. Stał przed drzwiami i zastukał.

Cisza.

Ponowił, tym razem głośniejszym głosem. Odczekał paręnaście sekund, ale nikt nie otwierał. Zastukał jeszcze kilka razy, ale bez rezultatu.

Rozejrzał się po korytarzu. Brud, w kątach pajęczyny, zalegający na podłodze kurz. W kamienicy było tak cicho, że aż słyszał swój oddech.

Janina Pilecka. Za dużo zbiegów okoliczności, pomyślał. Wszystko zaczynało się zązębiać i wreszcie znaleźli nić łączącą niektóre elementy śledztwa. Miał złe przeczucie, że i jej mogło coś się stać.

Co robić? Myśl – powiedział sam do siebie. Przecież ta kobieta mogła zostać zamordowana tak jak inni. Ktoś mógł ją porwać. Równie dobrze za drzwiami mógł znajdować się trup.

Komisarz chwycił za klamkę i tak mocno nią szarpnął, że aż rozległo się echo na korytarzu. Drzwi były zamknięte. Co robić? Przygryzł wargę i zaczął rozważać wszystkie scenariusze, jakie przychodziły mu do głowy.

Stał jeszcze chwilę. Mijały sekundy. Czekał. Już miał zadzwonić do Gawłowskiego, gdy za

drzwiami usłyszał bardzo cichy szelest. Ktoś powoli zbliżał się do drzwi. Stawiał kroki tak, by nie zostać usłyszanym. Zdradziło go skrzypięcie drewnianej podłogi.

Kroki z każdą sekundą robiły się coraz wyraźniejsze, choć wciąż były ciche. Po chwili usłyszał cichutkie skrzypięcie odchylanej klapki osłaniającej judasza. Iwanowicz odsunął się od drzwi i stanął lekko z boku.

Ktoś, kto znajdował się za drzwiami, nie chciał, by go słyszano. Chciał pozostać niezauważony, ale mu się nie udało.

Komisarz położył rękę na pistolecie. Znów pomyślał o tym, co tu się mogło stać. Szybko analizował. W takiej sytuacji za drzwiami mógłby być zabójca.

Odczekał jeszcze chwilę i krzyknął:

– Policja, natychmiast otwierać!

Usłyszał jakieś poruszenie.

Nic. Nikt nie uciekał. Dobiegło go gmeranie przy zamku, a po chwili drzwi się uchyliły i ujrzał właścicielkę mieszkania. Wyglądała tak, jakby zobaczyła ducha. Była przerażona.

– Dzień dobry, komisarz Marek Iwanowicz. Jestem z policji. Pamięta mnie pani?

Kobieta nie odpowiedziała. Za pewną obawą kiwnęła głową. Jego słowa nie zadziałały magicznie, choć tego się spodziewał.

– Spokojnie, niech się pani nie boi.

– Nie wiem, czy mam się pana nie bać. Pana zachowanie... – Nie dokończyła. – Co się na Boga stało, że o mały włos nie rozszarpał pan drzwi?

– Wiem, przepraszam. Wystraszyłem się, że mogło się pani coś stać. To chyba jasne i tłumaczy jakoś moje zachowanie? Ostatnio tyle się tutaj dzieje, że wolałem zachować ostrożność. Proszę postarać się mnie zrozumieć.

Nic nie zdziałał swoimi słowami. Stała nieruchomo, spoglądając na niego nieufnie.

– A pan niech mnie zrozumie. Najpierw to głośne łomotanie do drzwi, potem szarpanie za klamkę, a potem jeszcze jakieś dzikie okrzyki.

– Przepraszam, jeśli panią wystraszyłem.

– Wystraszyłem? Boję się byle krzyku za oknem i podskakuję jak rażona prądem.

Komisarz kiwnął głową.

– Czy mogę wejść? Chciałbym z panią porozmawiać.

– O czym?

– Raczej o kim. O pani bracie.

Kobieta spojrzała jeszcze bardziej nieufnie, a potem nagle zamknęła oczy. Trwało to przynajmniej parę sekund. W tym czasie komisarz zdążył ponownie przemyśleć swoje nagłe zachowanie i postawić się na jej miejscu. Spojrzał na to z innej strony. Faktycznie, jego działania mogły wzbudzić niepokój.

– Nie mam nic do powiedzenia na jego temat. Nie utrzymywałam z nim kontaktów od wielu lat.

– Zadam pani tylko kilka pytań, to wszystko. Gdy uzna pani, że wyczerpaliśmy temat, proszę mi to powiedzieć i od razu skończymy. Nie będę przeciągał.

– Gdybyśmy mieli rozmawiać do wyczerpania tematu, to już byśmy skończyli. Nie mam nic do powiedzenia na jego temat, więc rozmowę uważam za niepotrzebną.

– Jako siostra brutalnie zamordowanego Henryka Rostowskiego będzie musiała pani oficjalnie złożyć zeznania na komisariacie. Tutaj w Kowarach. Tutejsi policjanci nie należą do najmiłszych. Przy przesłuchaniu będzie również prokurator z Jeleniej Góry. Nie będzie to dla pani zbyt przyjemne spotkanie. A na pewno stresujące. Będą pani zadawać masę pytań. Nieprzyjemnych i bardzo szczegółowych. Wiem, jak to wygląda. Wiem, ile to może panią kosztować zdrowia

i nerwów. Wolę pani tego zaoszczędzić. Proszę mi uwierzyć, nie chcę pani narażać na taki stres. Tak czy siak, ktoś musi panią przesłuchać. Pytanie tylko kto. Teraz ma pani wybór, za parę dni pewnie już nie.

Kobieta się zastanawiała. Zamknęła oczy i kiwnęła głową. Sprawiała wrażenie, jakby dotarły do niej te słowa, podziękowała mu w milczeniu, że dał jej wybór. Przelknęła ślinę, zdjęła łańcuch i wpuściła go do środka.

Usiedli w kuchni. Komisarz odniósł wrażenie, jakby to miejsce było jeszcze bardziej zadbane niż wtedy, gdy był tutaj poprzednim razem. W powietrzu unosił się zapach olejku waniliowego oraz świeżo parzonej herbaty miętowej.

– Napije się pan czegoś?

– Nie będę robił kłopotu.

– To trochę się pan już spóźnił. No więc?

– Dziękuję. Poproszę kawę, jakąkolwiek byle z cukrem.

Właścicielka zaczęła szykować kawę, a on przeczesał wzrokiem mieszkanie. Starał się robić to dyskretnie, by niczego nie zauważyła.

Po minucie podała mu filiżankę.

– Nie chciałabym, by pomyślał pan, że skoro na stole mamy gorącą kawę, to będziemy rozmawiać w nieskończoność. Proszę zapytać o to, o co pan musi.

– Kiedy dowiedziała się pani o śmierci brata?

– Jakiś czas temu byli tutaj funkcjonariusze. Powiedzieli, że znaleźli... Fragment ciała mojego brata.

– Dzisiaj w nocy byliśmy w jego mieszkaniu i znaleźliśmy odciętą dłoń. Nie mamy wątpliwości, że zrobił to ten sam człowiek, który zabił wcześniej dwie inne osoby. Stąd nasza obecność tutaj. Nasza troska i...

– Skąd więc pewność, że nie żyje?

– Potwierdził to lekarz sądowy. Dłoń została odcięta już po śmierci. Takie rzeczy jesteśmy w stanie od razu ustalić.

– Rozumiem. Co dalej? Jak się domyślam, spróbujecie znaleźć jego zwłoki?

– Tak, to nasz priorytet. Miejscowa policja wciąż ich szuka. Niestety, Kowary otoczone są lasami, wzniesieniami, więc zadanie nie jest łatwe. Mamy dziesiątki hektarów do sprawdzenia. I to w dość trudnym terenie. Sądzę jednak, że to tylko kwestia czasu.

Kobieta zachowała niewzruszoną minę. Wiadomość o śmierci brata jej nie zszokowała lub zdążyła wszystko przetrwać wcześniej. W jej oczach nie dostrzegł ani cienia żalu czy też smutku. Sprawiała wrażenie, jakby nosiła maskę, na której nie rysowały się żadne emocje. Mówiła bez zająknięcia ani zawahania głosu. Logika i precyzja. Czuł się dziwnie w jej obecności. Nie był w stanie odgadnąć, co czuła ani o czym myślała. I to spojrzenie, które lekko go paraliżowało. Miała tak przenikliwe i bystre oczy, jakby czytała w jego myślach.

– Wracając do przesłuchania, o co chciał mnie pan zapytać?

– Po tym, co się zdarzyło, to właściwie o wszystko. Obawiam się, że pytanie panią o jego wrogów może być bez sensu. Wobec tego pozostaje kwestia przede wszystkim tego, dlaczego pani brat nie miał rodziny? To znaczy wiemy, że miał żonę. Ale już o dzieciach nie wiemy nic.

– Nic nie wiecie, bo dzieci nie mieli. Nie wiem, dlaczego się nie zdecydowali. Trudno powiedzieć. Powodów może być kilka. Z lenistwa, ze strachu? Nigdy z nimi na ten temat nie rozmawiałam, więc nie daję panu odpowiedzi w pełni zgodnej z prawdą. To są wyłącznie moje domysły. – Leciutko wzruszyła ramionami.

– Utrzymywała pani kontakt z bratem i jego żoną?

– Od czasu do czasu. Kilka razy dostałam od nich zaproszenie na wielkanocnego zajęczka, ale

zwykle odmawiałam.

– Dlaczego?

– Bo święta spędza się z bliskimi. A oni nie byli mi bliscy.

– Nie rozumiem, jak rodzony brat nie był pani bliski?

Komisarz wiedział, że Rostowski był draniem, i domyślił się, jak wyglądały ich relacje, ale wolał to usłyszeć od niej.

– Bo nie był dobrym człowiekiem. Po prostu. Spędzanie świąt z takimi ludźmi nie ma nic wspólnego ze świętowaniem, proszę mi wierzyć. To kompletnie miało się z celem. Może i nie jestem jakaś wielce religijna, ale kilka kazań w życiu słyszałam. Pismo Święte też czytałam, w całości. Z różnych więc źródeł wiem, jak owe święta powinno się spędzać. W gronie najbliższych, a nie z kimś, kto całe życie pił i się awanturował.

Pokiwał głową.

– A jego żona? Jaka była?

– Prosta kobiecina. Pocziwa, uczynna. Przy okazji mówiąc, bo pewnie i o to by chciał pan zapytać, nie przyjaźniłam się z nią. Bardziej jej... – przez moment szukała właściwego słowa – współczułam, że związała się z kimś takim. I dlatego zasługiwała na odrobinę szacunku w moich oczach. Szacunku zmieszanego ze współczuciem. Trochę to może dziwnie zabrzmiało, ale nie umiem inaczej nazwać tego, co mnie z nią łączyło. Nawet raz jej to powiedziałam, tak zwyczajnie po prostu wyznałam, co o tym wszystkim myślę.

– Co jej pani powiedziała?

– Że powinna go rzucić w diabły.

– I jak zareagowała?

– Odparła tylko, że co by ludzie o tym pomyśleli. Poza tym zasłoniła się Bogiem, religią, ślubem. A tak na marginesie, miała bardzo płytką wiedzę na ten temat i rzekła, że co Bóg złączył, ślubem człowiek rozdzielać nie powinien. Więc ja skomentowałam, że jeśli nie przeszkadza jej, że co niedziela chodzi z siniakami pod oczami, co często było wynikiem sobotniej libacji, to rzeczywiście, może niech tego nie rozdziela, bo po co, skoro to jej pasuje. Ani jeśli się nie wstydzi tego wszystkiego.

– I co było potem?

– Nic. Nasze relacje ograniczyły się do minimum. Czyli mówiąc po mojemu, w ogóle się nie widywałam już po tej rozmowie. Wcale mi ich jakoś specjalnie nie brakowało. A panu by takich ludzi brakowało?

Komisarz nie spodziewał się takiego pytania.

– Zdecydowanie nie. Rodzina to ci, którzy są blisko nas, i ci, którzy nas wspierają. Bez względu na stopień pokrewieństwa.

– Otóż to. Zerwałam więc parę lat temu nasze stosunki i wcale tego nie żałuję.

– Rozumiem. A pani brat? Jaki był?

Mięśnie twarz drgnęła jej nieznacznie. Wciąż jednak nie umiał odczytać jej myśli. Kamienna twarz, z którą z powodzeniem mogła długimi godzinami bez zmrużenia oka pozować jakiemuś malarzowi, pomyślał. A jednocześnie czuł bijącą od niej szczerą, która była na tyle wyrazista, że nie wierzył, by mogła skłamać.

– Można by o nim powiedzieć krótko: nie był dobrym człowiekiem. Podobno nie powinno się źle mówić o zmarłych, ale ja jednak nie mam żadnych hamulców, by tak o nim powiedzieć. Niewątpliwie był złym człowiekiem.

Mimo upału komisarz nagle poczuł dreszcz przebiegający po plecach. Określenie „zły człowiek” wywołało w nim wspomnienie tego, co powiedział o sobie Próchnicki; jego słowa brzmiały niemal identycznie. Słowo klucz.

Dlaczego i ona użyła tego określenia? Celowo, a może przypadkiem dobrała tak słowa? Wiedział, że nie może tego pominąć.

– W jakim sensie złym?

– W najnormalniejszym, panie komisarzu. Dobry człowiek to ten, który nie robi nikomu krzywdy i żyje według pewnego prawa moralnego, zasad etyki. A jeśli mam się wyrazić inaczej, tak by brzmiało to precyzyjniej, to według prawa boskiego. Chodzi o to, by żyć tak, żeby nikogo nie krzywdzić. Zły człowiek to taki, co ma je za nic. I taki, który ludziom wadził.

– A komu przeszkadzał? Komu zrobił krzywdę pani brat?

Westchnęła, ale tym razem jej twarz się nie poruszyła.

– Swojej żonie. To chyba wystarczający powód? Czy mam wymieniać cały wachlarz jego przewinień? Bił ją, zastraszał, nie szanował jej. Często wdawał się w bijatyki z kim popadnie. Nierzadko obrywał niewinne, zupełnie przypadkowe osoby. To, że gdy pracował w fabryce dywanów, to kradł ile wlezie. Robił to głównie w nocy, by nikt nie widział, a potem to, co wyniósł, sprzedawał. Miał nielegalne źródła zarobków. Jak to się mówi? Kombinował na boku?

Iwanowicz kiwnął głową.

– I myśli pan, że dokładał się do domowego budżetu? Do życia? Nie. Nie dokładał. Dokładał tylko swojej żonie zmartwień. I dokładał w twarz, gdy powiedziała o słowo za dużo. Dlatego nie sądzę, żebym powinna mieć jakieś wyrzuty sumienia z tego powodu, że zerwałam wszelkie kontakty.

– Miał na sumieniu jakieś inne przewinienia?

– Musiałby pan spojrzeć w akta policji, ja nie śledziłam jego życia. Piąte przez dziesiąte dowiadywałam się od ludzi, którzy mnie spotkali gdzieś na ulicy. Wie pan, tacy życzliwi ludzie, co to koniecznie chcą podzielić się dobrą nowiną i opowiedzieć mi kolejną sensację o moim bracie. Nawet nie wiem, jak nazwać takie zachowanie? Złośliwość to chyba za słabe słowo. Nie oddaje tego w pełni. Słuchałam, bo co miałam robić? Uśmiechałam się smutno, komentowałam, że jest dorosły i sam za siebie odpowiada. Nie było mi jakoś z tymi wiadomościami lepiej, często mnie to wszystko zasmucało.

– Dlaczego? Przecież ma pani swoje życie.

– Mam, ale nawet jeśli własny brat okazuje się szumowiną, to i tak do końca życia pozostanie bratem. Można się odciąć od tego wszystkiego na zawsze, od kontaktów, od rozmów, ale nigdy nie można się pozbyć myślenia o tym wszystkim. To w człowieku pozostaje. Jak jakaś kara. Potrafiłam miesiącami o nim nie myśleć. I co? Przychodził taki jeden z drugim, krzyknął pod oknami coś po pijaku i człowiek stawał na baczność. Znow wracały wspomnienia, skojarzenia. Wszystko to, co człowiek starał się schować za zasłoną codzienności. To już w nas zostaje. Małe miasto, rozumie pan? Tutaj nie da się ukryć. Tutaj nie można schować się przed innymi, wcześniej czy później wszystko wychodzi na jaw. Nie da się schować swojej przeszłości, swojego pokrewieństwa. Podłe, prawda? Ale co można zrobić innego, niż po prostu z tym żyć?

– Współczuję. Pewnie czuła się pani jak w niewoli. Taka niemoc... wyzwolenia się z tego wszystkiego.

– Dobrze pan to ujął. To była niewola. Ale nie fizyczna, raczej psychiczna. Trudno, trzeba z tym żyć.

Zastanawiał się, jakie teraz zadać pytanie, by jej nie przestraszyć, ale jednocześnie nie zrazić do siebie poprzez zbyt dużą bezpośredniość. Zdecydował, że nie ma nic do stracenia. Musi działać.

– Czy wie pani, komu mogło zależeć na śmierci pani brata?

Znow smutny, niemal niewidoczny grymas w kącikach ust oznaczający bezradność. Komisarzowi przypomniawszy się ich ostatnią rozmowę, gdy przyszedł zapytać o zamordowanego sąsiada. Odpowiadała na pytania równie oszczędnie, robiąc podobne miny. O ile te drgnięcie mięśnia twarzy

można nazwać miną, osądził.

– Nie będę kłamała, nie wiem. – Rozłożyła ręce. – Nie utrzymywałam z nim kontaktów, więc trudno cokolwiek mi orzec. Może i komuś zależało, nie wykluczam. Robił jakieś szemrane interesy, handlował na prawo i lewo tym, co wynosił z fabryki. Ale to było kiedyś. Może doszło tam do jakichś transakcji, za które potem ktoś go ścigał. Trudno powiedzieć, ale to było wieki temu. Właśnie w tym sęk. Od lat z nim nie rozmawiałam i nie wiem, czym się zajmował w ostatnim czasie.

– Nic pani nie przychodzi do głowy?

Odczekała chwilę.

– Nie.

– Bywał tutaj? To znaczy, czy przychodząc do swojego kolegi Grońskiego, który mieszkał obok, zachodził do pani?

– Raczej nie bywał u Grońskiego, a nawet jeśli, to nic o tym nie wiem. Zapewne wie pan, jak daleko stąd mieszkał, prawda? To drugi koniec miasta. Nie wiem, czy na ogół pijanej osobie chciałoby się fatygować taki kawał. I po co? Oni się chyba raczej nie kolegowali.

– Mogli mieć wspólne interesy?

– Pyta pan w kółko o to samo.

– Znała pani – przerwał, by wygrzebać nazwisko z pamięci – Ryszarda Próchnickiego?

Kobieta odwróciła głowę, zmrugała oczy, a potem zaczęła szukać wzrokiem w przestrzeni, gdzieś za oknem. Nagle obróciła głowę, spojrzała na niego tak przenikliwie, że odniósł wrażenie, jakby sam odpowiadał na pytania śledczego.

– Podobno został zamordowany parę dni temu.

– Skąd się pani o tym dowiedziała?

– Głównie siedzę w domu, ale czasami muszę robić zakupy. Nikt ich za mnie nie robi. A każdy sklep, na wsi czy w miasteczku, pod warunkiem że niezbyt wielkim, jest wylęgarnią plotek i wieści wszelkiej maści. To właśnie tam się o wszystkim dowiaduję. Ludzi mówią, że zrobiła to ta sama osoba.

Zapadła cisza. Już planował wstać, lecz w ostatniej chwili się powstrzymał.

– Jak pani zareagowała na wieść o śmierci brata?

– Czy to pytanie naprawdę ma znaczenie dla samego śledztwa, panie komisarzu? Czy to jest pytanie godne policjanta, takiego jak pan? Pyta pan z ciekawości czy tu naprawdę chodzi o jakiś niezmany mi aspekt śledztwa? Czy zadanie mi go, pana zdaniem, pomoże schwycić zabójcę mojego brata? – Odczekała jakiś czas, ale Iwanowicz się nie odzywał. Westchnęła, dając za wygraną. – No więc, jeśli naprawdę chce pan wiedzieć, to nic nie poczułam. Tacy ludzie zwykle właśnie kończą w ten sposób. Żyją na granicy ryzyka. Brat żył tak, jakby świat do niego należał, a jednocześnie niczego nie miał. Nie szanował ludzi, nie szanował siebie. To go zgubiło. Tak więc nic nie poczułam, po prostu nic.

– Sądzi pani, że taki sam był Wiesław Groński? Też nie szanował ludzi?

– Możliwe, ale mimo że mieszkał drzwi obok, to nie wiem, jaki był. Nie wiem, co działo się za tamtymi drzwiami. Bo skąd?

Komisarz spojrzawszy ukradkiem na termometr, który wisiał za oknem. Wskazywał trzydzieści pięć stopni. Świadomość, że jest tak gorąco, podziałała na niego magicznie i zaczął się pocić jeszcze bardziej.

– Panie komisarzu, chciałabym, by mnie pan zrozumiał. Jestem już zmęczona. Muszę odpocząć, więc wolałabym już zakończyć tę rozmowę.

Uznał, że nie będzie jej już męczyć. Nie miała żadnych informacji przydatnych dla śledztwa. Zastanowiło go tylko jej stwierdzenie, że Rostowski był złym człowiekiem. Dwa razy w ciągu jednego dnia takie samo określenie. To jedno warte było całego tego spotkania. Co prawda nie

wносиło niczego więcej do śledztwa, ale rzucało światło na to, jakimi osobami były ofiary.

– Ostatnie pytanie: czy pani brat pracował kiedyś w kopalniach?

– Panie komisarzu, musi pan zrozumieć jedno. To jest małe miasteczko. Dawniej w kopalniach pracował niemal każdy. Lub przynajmniej otarł się o to parszywe miejsce.

– Gdzie jesteś? – zapytał Gawłowskiego. Telefon przyłożył do ramienia, by poszukać w kieszeniach spodni paczki papierosów.

– Właśnie wracam z kopalni. Niedawno skończyłem gadać z tym pracownikiem. Mogę być za parę minut.

– Czekam przy kamienicy.

Nie chciał marnować czasu. Wszedł do budynku znajdującego się obok i zapukał do mieszkania na parterze. Otworzyła mu otyła kobieta, która, zapytana czy w ostatnich dniach nie widziała obcej lub podejrzanej osoby kręcącej się wieczorem w budynku obok, odstąpiła braki w użębieniu i powiedziała, że nie było jej kilka dni w mieście. Popytał jeszcze w pozostałych sześciu mieszkaniach. Żadne informacje nie okazały się przydatne. Każdy odpowiadał to samo. Niczego nie widział ani nie słyszał żadnych krzyków. Nikogo obcego.

Przeszedł do kolejnej kamienicy i znów przepytwał właścicieli kilku mieszkań. Wszyscy zgodnie odpowiadali, że niczego nie słyszeli ani nikogo nie widzieli. Dwóch mieszkańców dodało, że dwa dni temu byli przesłuchiwani przez tutejszych funkcjonariuszy. Od tamtej pory nic się nie działo.

Czuł się jak w zamkniętym sześcianie, z którego nie może się wydostać. Dookoła tylko przytłaczające ściany, których nie dało się przesunąć. Chwilowy bezsens. Śledztwo prawie wcale się nie posuwało. Ze strzępów informacji nic nie wynikało.

Wyszedł na środek uliczki. Gawłowskiego jeszcze nie było, więc ruszył w kierunku centrum miasta, skąd, jak przypuszczał, powinien nadjechać.

Po kilkudziesięciu metrach zobaczył znajomy wóz, który zbliżał się z dużą prędkością. Podjechał bliżej i zatrzymał się z piskiem opon. Kilka osób spojrzało na nich i zrobiło kwaśne miny.

– Czego się dowiedziałeś? – zapytał podkomisarz.

– Niczego konkretnego. Nie utrzymywali ze sobą kontaktów. Czuję, że błądzimy, chociaż miejsce, fakty i zdarzenia zaczynają się zagęszczać. Wszystko jak w soczewce skupia się na tym miasteczku. I kopalni. Tutaj też kryje się rozwiązanie całej sprawy. Wszystko skupia się na niewielkiej grupce osób, które coś łączy. Ale za cholerę nie wiem co... Pociesz mnie, że chociaż ty dowiedziałeś się czegoś więcej.

– Chyba mi się nie uda. Powtórzył dokładnie słowo w słowo, co było w zeznaniu. Wyjaśnił, że ten Próchnicki to był naprawdę odludek. Nie dało się z nim normalnie pogadać. Unikał kontaktów z ludźmi. Kilka razy próbował z nim pogadać, ale denat unikał go jak ognia. Prawie uciekał na jego widok.

– No ale skoro udało mu się namówić go na wódkę, jakież przebłyски normalności miewał.

– Niby tak, ale po tym wszystkim nie odzywał się już do niego więcej. Jakby było to wydarzenie ponad jego siły, po którym nie chciał więcej z nikim rozmawiać. Może sam Próchnicki wyczuł, że powiedział za dużo?

– Sądzisz, że wtedy za bardzo się rozgadał?

Gawłowski rozczochrał nerwowym ruchem ręki krótkie włosy. Nastroszył je, a potem przyglądał. Później przejechał ręką po mokrej twarzy i wytarł dłoni w spodnie.

– Przez to jedno stwierdzenie, że jest złym człowiekiem? Przecież to tak naprawdę żadna informacja.

– Może dla nas to żadna, ale dla niektórych ludzi parę słów to dużo. I to takich. Dobra, zwijamy się stąd, ale zatrzymaj się przy jakimś sklepie, muszę kupić wodę.

– A właśnie, Marek. Dzwonił do mnie przed chwilą Jastrzębski. Od dwóch godzin przeszukują całą miejscowość. Podwoili patrol. Dodatkowo ściągnęli policjantów z Karpacza, Mysłakowic i Janowic. Zebrał kilkunastu ludzi. Trwają poszukiwania zwłok Rostowskiego. Mam też informację,

że mają też się włączyć ludzie z Kamiennej Góry. Pełna mobilizacja. Zaczęli przeczesywać lasy, łąki i opuszczone budynki.

Iwanowicz nie skomentował tego, ale w duchu się ucieszył, że komendant policji zadbał o wszystko. Musiał działać szybko i sprawnie z wielu powodów, nie tylko dlatego, że mogły zginąć kolejne osoby. Chodziło też o prestiż. Ale na pewno i o rozgłos.

Ruszyli z miejsca, a potem zatrzymali się przy małym sklepie. Iwanowicz poszedł po wodę, po chwili wrócił i stanął przy aucie. Wziął kilka lyków mineralnej. Zamknął oczy i spojrzął na słońce.

– Znak trójki, choć ofiara została zabita jako druga. Próchnicki zginął pierwszy w kolejności, ale zabójca napisał na ścianie „drugi”. Te numery... One coś oznaczają – zastanawiał się na głos. Stał z zamkniętymi oczami. Promienie słońca grzały mu skórę. Czuł, jak zaczyna go piec czoło.

Trzecia ofiara nie miała znaku, przypomniał sobie.

– Widziałeś wczoraj w tym mieszkaniu jakiś znak, symbol, który przeoczyliśmy?

– O czym ty mówisz?

– U Rostowskiego. Został zabity trzeci. Musi więc być jakiś znak, który identyfikuje ofiarę.

Wzruszył ramionami.

– Bo ja wiem, możemy tam jeszcze raz pojechać, jeśli chcesz.

– Nie chodzi o to, czy chcę. Przeoczyliśmy coś. Wszyscy. Nie tylko ja. Pytanie tylko co – niemal wyszeptał.

Podkomisarz znowu wzruszył ramionami.

– Więc co robimy?

Nie odpowiedział. Czekał, aż wokół zrobi się cicho. Zaczął wsłuchiwać się w dźwięki miasta. Dochodziły go odgłosy przejeżdżających w oddali samochodów. Gdzieś trzaśnięcie drzwiami. W mieszkaniu obok przygotowywano obiad. Ktoś energicznie zbijał kotlety. Dokładnie to samo słyszał tu ostatnim razem. Obok nich przejechał jeden z miejscowych radiowozów.

Błądził myślami, przywołując różne obrazy sprzed kilku dni. Tunele, wilgoć, odgłos kąpiącej wody. Brudne i zapuszczone mieszkania ofiar. Wyprute wnętrzości. Nóż.

Ciszę przerwało cichutkie brzęczenie telefonu. Komisarz sięgnął do kieszeni i odebrał.

– Mów.

– Odcisk palca się zgadza. Ten sam znaleźliśmy na nożu. I ten sam na dłoni zabitego. Co prawda mamy tylko jeden palec, ale wszystko...

Iwanowicz zadrażlił. Rozłączył się, bez słowa wyjaśnienia przerywając rozmowę z technikiem. Spojrzął na Gawłowskiego.

Jeden. To jedno słowo, wyraz. U dłoni został jeden palec. To był ten numer, który pozostawił zabójca.

– Cholera, dlaczego tak późno na to wpadłem!

– Co? Jezus, ty i te twoje olśnienia. Mów jaśniej.

– Zabójca odciął cztery palce. Pozostawił jeden. Rozumiesz? W ten sposób zostawił nam znak. Jedynek...

– No ale przecież Rostowski został zabity trzeci w kolejności – zauważył Gawłowski.

On ma rację, przyznał Iwanowicz w myślach. Coś tu nie pasowało.

– To chyba od początku nie miało znaczenia. On swoje ofiary numeruje. Nie wiem po co i według jakiego klucza, ale to robi. Do wczoraj myślałem, że to kwestia jakiegoś przypadku. Ale okazuje się, że nie. On to robi z premedytacją.

– Ale to bez sensu, Marek. Czuję, że błądzimy jak w ciemnym lesie bez mapy. To jest chore. Zbyt pokręcone, by w to uwierzyć. W małych miastach takie rzeczy się nie dzieją. Że co, jakiś popapran seryjny morderca? Naoglądał się zbyt dużo filmów, neczytał książek, a teraz chodzi i morduje ludzi? Wierzysz w to? Upał, plus trzydzieści, kurwa, stopni, dzieci kąpią się w basenikach

przed domami, środek lata, ludzie obok smażą kotlety schabowe, a tutaj jakiś popapraniec jak z amerykańskiego serialu bawi się w religijną symbolikę?

– Błądzimy, masz rację. Bo nie wiemy, dokąd mamy dojść. Nie wiemy, gdzie jest cel. Ale to ma jakiś sens. Pokręcony, ale ma.

– A wiesz jaki, bo ja jakoś nie?

– Tak – odpowiedział po chwili. Przygryzał nerwowo wargę. – Chyba wiem, jaki to ma sens.

– Więc mnie oświeć, bo ja jakoś wciąż nie rozumiem, o co chodzi.

– Po pierwsze tutaj nie chodzi o kolejność zabijania, co już jest oczywiste. To znaczy my tego nie wiedzieliśmy do tej pory. Numery znalezione przy zwłokach albo na nich samych nie odpowiadają kolejności, z jaką zabijał swoje ofiary.

– No więc?

– To ma inne podłoże. On je numeruje według jakiegoś klucza. Ofiara numer jeden była oznaczona jako numer dwa. Ofiara numer dwa miała numer trzy. Ofiara numer trzy ma numer jeden.

– Zdrowo pokręcone... Słyszysz sam siebie? Czy on naśladuje jakiegoś czuba z thrillera? Nie, po prostu nie wierzę.

Iwanowicz znow nie skomentował tego, co wygadywał Gawłowski. Miał prawo tak myśleć, bo to wszystko brzmiało irracjonalnie. Iwanowicz zaczynał dostrzegać w tym logikę. Ukrytą, nie do końca nieodgadnioną, ale widział jej przeblysł jak niewielkie światło oddalone o kilkaset metrów. Szczelina.

– Nie twierdzę, że nie jest porąbane. Ale zobacz, że wszystko nam się precyzyjnie zamknęło.

– Możesz jaśniej?

– Zostało zamknięte w liczbie trzy. Nie ma żadnej czwórki, nie ma żadnej piątki. Nie było i nie będzie. Jeden, dwa i trzy. W różnych konfiguracjach. Cyfry były poprzeplatane. Ale tylko jeden, dwa, trzy. Nic więcej. – Spojrzał w słońce, nie zamykając oczu. Czuł, jakby nasyczał się energią, która wzmacniała jego racjonalne myślenie. – A to oznacza, że nie będzie już więcej ofiar.

– Odważne twierdzenie.

– Może. Ale zaufaj mi. Nie będzie. Zabił wszystkie trzy osoby, które miały zginąć. Każda z nich została oznaczona swoim odpowiednim numerem.

– No, ale wciąż nie powiedziales, co one oznaczają?

– Nie mówię, że wiem, co one oznaczają. Wiem jednak, że tutaj chodzi o jakąś... odwróconą kolejność.

Położył się spać o jedenastej. Wszystko go przytłaczało. Ciężko znosił sprawy, które się na siebie nakładały. Kowary. Trzy brutalne zabójstwa. Zaginięcie chłopca. Trwało ono już zbyt długo. Do tej pory, choć minęło sporo czasu, chłopiec nie dał znaku życia. Miał jedenaście lat, był środek lata, a to nie wróżyło nic dobrego. Doświadczenie i intuicja podpowiadały mu, że stało się coś złego. Sprawa, w którą nie był co prawda formalnie zaangażowany, wywoływała w nim niepokój. Tak jak poprzednie, którymi do tej pory się zajmowali, nim rozpełtało się to piekło. Brutalne pobicie w dyskotekę oraz włamanie do kantoru, o którym niemal zdążył zapomnieć. Nie było to nic poważnego, chociaż co jakiś czas przypominał sobie o tym. Niczego nie ukradziono, ale czynności śledcze trzeba było wykonać. I na to wszystko brakowało czasu. Może pięć lat temu dałby radę ze wszystkim naraz, ale teraz musiał bardziej się koncentrować, co wymagało więcej poświęcenia i więcej czasu. Nie miał w sobie tej zdolności łączenia wielu śledztw jednocześnie. Każdy kolejny przepracowany rok wysysał z niego dawny wigor, którym się wykazywał w wielu śledztwach.

Może i mógłby podźwignąć więcej, ale potem szybko by podupał na zdrowiu. Już teraz dawały o sobie znać skutki zmęczenia, chwilami czuł się słabo. Ostatnio w domu Rostowskiego omal nie zemdlął. Już osuwał się na podłogę. Przez kilkanaście sekund nie wiedział, gdzie jest i co robi. Jakby ktoś wcisnął go wielkim palcem w podłogę niczym niedopałek.

Na razie priorytetem były zabójstwa w Kowarach. Nie mógł odpuścić ani skupić się na niczym innym, bo z doświadczenia wiedział, że to mogłoby się źle skończyć. Nie podolałby. Nie chciał przekroczyć tej cienkiej linii, chociaż czuł, że był blisko.

Sprawę potrójnego zabójstwa traktowano pierwszoplanowo. Nic i nigdy nie było ważniejsze.

Położył się na łóżku i zamknął oczy. Nawet nie wiedział, kiedy usnął.

Obudził go ryk przejeżdżającego motoru. Otworzył oczy i rozejrzył się. Wszystko stało na swoim miejscu. Nic się nie poruszyło. Spojrzył na telefon. Nie było żadnych wiadomości.

Potem przez piętnaście minut próbował usnąć, ale bez rezultatu.

Wstał, wyjął z lodówki piwo i nalał je do wielkiego kufła, który przywiózł kiedyś z wycieczki do Stuttgartu.

Powędrował przed telewizor i włączył kanał przyrodniczy. Nie interesowała go przyroda, ale z całej masy beznadziejnych kanałów wybrał ten, ponieważ tutaj nie leciały żadne reality show ani seriale, których nienawidził. Nie karmiono go tutaj trywialnością ani nie wmuszano żadnych marnych wiadomości. Wolął oglądać przyrodę. Świat, ten prawdziwy świat, choć nieco odległy, który opisywał obiektyw kamery. W milczeniu przyglądał się zwierzętom. Ich codzienności, temu, w jaki sposób funkcjonowały, jak się porozumiewały i jak zdobywały pokarm. Życie zwierząt było analogią do życia ludzi. I ludzie, i zwierzęta żyli, by zaspokajać swoje podstawowe potrzeby. Takie proste, banalne. Tyle że to człowiek wszystko sobie komplikuje. Zwierzęta żyją bardzo logicznie, niemal nie zakłócając rytmu sprzed milionów lat.

Wolał spoglądać na ten świat nieprzekłamyany. Nieskomplikowany. To pozwalało mu czasami odnaleźć równowagę. Dodawało mu to otuchy, że to świat jest ze swojej natury zły. To człowiek, wprowadzając zło i kłamstwo, czyni to miejsce złym. W imię czego?

W oddali usłyszał brzęczenie komórki. Słyszał ją zawsze bardzo dobrze, mimo wyłączonego dźwięku, bo zostawiał telefon na stole. To wystarczyło, by wyczuć wibrację nawet z drugiego pokoju. Włączył w telewizorze podgląd zegara. Było dwadzieścia po północy. Niechętnie podniósł się z kanapy i powędrował do sypialni. Domyślił się od razu, że to na pewno Gawłowski. Tylko on nie miał oporów, by dzwonić o tej porze. Drugą osobą, która mogłaby zadzwonić tak późno, był komendant jeleniogórskiej policji. Ale on dzwonił bardzo rzadko. Nikt więcej nie potrzebował jego

obecności. Nikt więcej o nim nie pamiętał. A może to on nie chciał, by pamiętali o nim inni. Nie dawał nigdy nikomu powodów, by to zmienić. Nie umiał, bał się wyjść ze swojego toksycznego, choć szkodliwego schematu.

Chwyił telefon i odebrał.

– Jastrzębski ze swoją ekipą znalazł ciało Rostowskiego. Jedziesz czy zostajesz?

Komisarz usiadł na łóżku i tak mocno przetarł oczy, aż go zaboląły, aż zobaczył jasne mieniające się punkty.

– Wypiłem pół piwa, zjedź po mnie.

Z daleka dostrzegli błyskające światła latarek, które przecinały ciemność jasnymi smugami.

Szli wzdłuż starej kolejowej trasy, przy której niedawno znaleźli porzucone narzędzie zbrodni. Były tak ciemno, że co jakiś czas obaj potykali się o podkłady, które wystawały z suchego podłoża.

W oddali słychać było ostre niczym brzytwa odgłosy świerszczy. Komisarz schował ręce do kieszeni. Dnie były upalne, ale noce dawały wkość i wychładzały rozgrzaną ziemię.

Weszli do tunelu i przemaszerowali kilkadziesiąt metrów. Wewnątrz odbijało się głośnie echo. Był to stary tunel kolejowy, jeden z najdłuższych w Polsce. Miał ponad kilometr długości. Od lat był nieczynny i służył jedynie jako skrót osobom, które chciały szybko przedostać się na drugą stronę wysokiego wzniesienia.

W tunelu stało pięciu policjantów.

– Co mamy? – odezwał się komisarz, dotarłszy na miejsce. Bezskutecznie próbował przeniknąć wzrokiem mrok.

– Czekaliśmy na was. Na razie niczego nie ruszaliśmy, ale wygląda niewesoło. Dorwał swoją ofiarę. Technicy lada chwila mają się pojawić. Trudno ściągać ludzi o tej porze. Dajmy im chwilę.

– Nikt nie jest robotem – dodał Gawłowski.

– Daj mi latarkę – rzekł Iwanowicz do stojącego obok policjanta, który trząśł się z zimna. – O której go znaleźliście?

– Niedawno. Od razu zadzwoniłem do Jacka. Ile minęło? Z pół godziny?

– No, może – odparł podkomisarz.

Iwanowicz uklęknął i przyjrzał się miejscu zbrodni. Zwłoki leżały na nierównym podłożu z kamieni. Nie widać było twarzy.

Rozejrzał się wokół. Nikt od dawna niczego tu nie ruszał. Tunel kolejowy wyłożony był małymi kamykami jak niemal każde stare torowisko. Opuszczone miejsce. Kolejne.

Przyświecił znów na ciało i podszedł bliżej.

– Ożeż kurwa... – powiedział i skrzywił się.

Dopiero teraz dostrzegł, że ciało było mocno nadpalone. Denat leżał w skulonej pozycji. Twarz niemal dotykała ściany tunelu. Obrócony był bokiem i miał podwinęte nogi. Wyglądało to tak, jakby przed śmiercią próbował się skulić przed trawiącym go ogniem. I bólem.

– Obejdź z drugiej strony, to lepiej zobaczysz twarz. Pod tułowiem wystaje prawa ręka. Brakuje dłoni. To dzięki temu w ogóle go zidentyfikowaliśmy.

– Na pewno niczego nie ruszaliśmy?

– Możesz być spokojny. Podszedłem tylko tak jak ty teraz. Zobaczyłem, że facet nie ma dłoni, i od razu po was zadzwoniłem – wytłumaczył Jastrzębski. – Później już nie podchodziłem. Cały czas stoimy w miejscu.

– Słusznie. Dobra, panowie, trzeba się tutaj rozejrzeć. Musimy przeczesać cały tunel.

– Już to zrobiłem – przerwał mu Jastrzębski. – Jakies piętnaście minut temu wysłałem paru ludzi na koniec tunelu. Jeszcze nie wrócili.

Iwanowicz spojrział na twarz denata. W kilku miejscach skóra została oszczędzona przez płomień i widać było jej jasny odcień. Tak jak go sobie wyobrażał, twarz miał zniszczoną i częściowo zarośniętą. W pozostałych miejscach płomień strawiły wszystko. Skórę, zarost i wszelkie znaki szczególne. Miał nadpalone powieki. Ogień spalił też część skóry na głowie.

Iwanowicz uklęknął, pochylił się i przywarł twarzą niemal do samej ziemi. Przyjrzał się nieboszczykowi z bliska. Niechety nie mógł ruszać jego głowy, ale spod czaszki wystawały w kilku miejscach dłuższe włosy. A więc ta część, która stykała się z ziemią, została oszczędzona.

– Sądzę, że podpalił go, gdy już nie żył – rzekł do zebranych.

– Skąd wiesz?

– Zachowały się włosy na głowie. Na tej części, na której leży. To by oznaczało, że został spalony właśnie w takiej pozycji. Tak przypuszczam. A może nie miał już sił się poruszyć.

W oddali usłyszał głosy. Po chwili dostrzegł techników, którzy zmierzali w ich kierunku. Światła ich latarek raziły w oczy. Dysponowali porządnym sprzętem.

Po chwili byli już na miejscu.

Jończyk zagwizdał z wrażenia, gdy tylko ujrzał, co ich tutaj ściągnęło. Echo momentalnie rozniosło się w tunelu.

Od razu zabrali się do roboty, a im kazali się przenieść w inne miejsce.

Iwanowicz z Gawłowskim wyszli z tunelu. Świecili latarkami po zboczach i wzniesieniach, jakie otaczały tę stronę wyjazdu, a potem przystanęli.

Wylot tunelu znajdował się ponad kilometr stąd. Iwanowicz słyszał o tym miejscu, ale nigdy nie zdecydował się przejść całej jego długości pieszo. Było to zbyt mroczne miejsce i nawet w dzień sprawiało wrażenie wejścia do samego wnętrza ziemi. Do jej najgorszej części.

– Nasz człowiek zmienił sposób zabijania. Zaskoczył nas – rzekł Gawłowski.

– Owszem. Dziwne, ale skoro za swój cel obiera zabicie człowieka, to bez względu na to, jakimi metodami się posługuje, wciąż wykonuje swoją robotę perfekcyjnie.

– I właśnie to mnie zastanawia. Mam pewne obawy co do tego, co jeszcze może się wydarzyć. Czy coś się stało, że zmienił sposób zabijania?

Usłyszeli, jak technicy kazali przesunąć się policjantom w tunelu. Wciąż stali za blisko miejsca zbrodni. To był głos Jończyka, człowieka bezpośredniego, który nie miał żadnych oporów przed roztawianiem ludzi po kątach. Oczywiście tylko wtedy, gdy zachodziła taka konieczność.

Z niewielkiego nasypu, na którym stali, rozciągał się widok na fragment uspiętego miasteczka. W oddali migwały reflektory przesuwających się gdzieś daleko samochodów. Miasto milczało, nie wydawało z siebie żadnych dźwięków. Nic nie mówiło, pograżyło się we śnie lub milczeniu. A może żalobie, pomyślał komisarz.

– Dlaczego spalił te zwłoki? Dla zmyłki? By zademonstrować, że zna się na różnych metodach zacierania śladów? A może tylko po to, by pokazać, że wciąż dominuje nad swoimi ofiarami i jest w stanie zrobić wszystko, by to nam unaocznić. Nam, może sobie, a może komuś innemu?

– Albo pokazać, że tak bardzo gardził swoją ofiarą? Może to... Może Rostowski był najgorszy z całej tej trójki, więc...

– Więc zrobił z niego pochodnię? – dokończył za niego podkomisarz.

– Może. A więc użył do tego celu benzyny.

– I bez niej da się spalić człowieka, wystarczy, że podpalił ubranie, a potem już poszło. Na szczęście da się sprawdzić, czy użyto jej do spalenia zwłok.

Iwanowicz zastanowił się na tym, o czym właśnie rozmawiali. Istniało duże prawdopodobieństwo, że tak mogło się stać.

– Wiesz, co to oznacza?

Gawłowski kiwnął głową.

– Benzyna. Musimy popytać na stacjach paliw. Może ktoś w ostatnim czasie kupował niewielką ilość. W pobliżu nie ma aż tak dużo stacji, więc to może być dobry trop.

– Łatwo nie będzie. Kupić małą ilość paliwa? I niby jak chcesz to sprawdzić?

Nagle usłyszeli czyjeś kroki. Jastrzębski wyszedł z tunelu i krzyknął:

– Chodźcie, chyba mamy coś, co was zainteresuje.

Podbiegli szybko do tunelu i podeszli do zebranych.

– O co chodzi?

Jeden z policjantów nieznacznie uniósł rękę, w której trzymał niewielki kanister.

– O to – wyjaśnił. – Nie mamy co prawda pewności, ale tym mógł się posłużyć zabójca. Zwłoki spalone, więc prawdopodobnie polał je tym. Poza tym czuć jeszcze zapach, jakby niedawno go używano. Gdyby leżał tutaj zbyt długo, woń benzyny całkowicie by się ulotniła.

– Gdzie to znaleźliście? – zapytał Iwanowicz. Zobaczył, że policjant trzymał kanister w lateksowych rękawiczkach. To dobrze. To znaczyło, że może uda im się znaleźć jakieś odciski.

– Zaraz przy samym wyjeździe z tunelu, po drugiej stronie. Trochę nam zeszło, by tam dojść. W jedną stronę zajęło to kilkanaście minut. Szliśmy wolno, bo jest cholernie ślisko.

– W porządku, dobra robota. Postaw to gdzieś z boku, potem chłopaki się tym zajmą. Sprawdź, czy są na nim ślady linii papilarnych. Kiedyś musi mu się powinąć noga – powiedział Iwanowicz tak cicho, że nie miał pewności, czy ktoś go słyszał. – Dobra, panowie, chciałbym, żebyście przeszli się po tych zabudowaniach niedaleko tunelu, od tej strony, którą wszyscy tutaj dojechaliśmy.

– Stare zakłady przemysłowe R1, tak, wiem gdzie to jest – odparł Jastrzębski.

– Koniecznie sprawdźcie to miejsce. Wiem, że przeszukiwaliście je wczoraj, ale dziś pojawiły się nowe okoliczności.

Policjanci wykonali rozkaz Iwanowicza i ruszyli w kierunku dużego kompleksu zabudowań, które znajdowały się w lesie.

Jeleniogórscy policjanci zostali na miejscu i przeszukali teren w pobliżu wjazdu do tunelu. Po paru minutach podszli do Jończyka.

– I jak to wygląda?

– Więc tak, facet oblał go, a potem po prostu podpalili. Parę metrów stąd znaleźliśmy kilka zapalek. Zabezpieczyliśmy materiał.

– Rozumiem, że facet nie żył, gdy to wszystko się stało?

– Na pocieszenie powiem, że tak.

Podkomisarz przycisnął sobie pięść do ust. Chciał zdusić złość, która w nim narastała. Nie potrafił ogarnąć tego wszystkiego, co tutaj się działo.

– Jak sądzicie, gdzie on mu uciął tę dłoń? Tutaj czy gdzie indziej?

– Akurat tutaj nie ma śladów krwi, więc nic nie wskazuje, aby to odbyło się tu. Poza tym z tego, co pamiętam, on tę dłoń uciął, gdy ofiara nie żyła. Tak wynikało z raportu Zalewskiego.

– Więc co, odciął mu dłoń w innym miejscu, na przykład u niego w domu, a potem przytachał tutaj zwłoki? – zapytał zebranych. – Trochę to bez sensu.

– Ale niestety na to wygląda. Właśnie tak mógł zrobić.

– Musimy jeszcze raz przeszukać jego dom.

– Nie będzie łatwo – zauważył Jończyk. – Krew przecież można zmyć. To znaczy nigdy nie jest tak, że się jej całkowicie pozbędziesz, choćbyś szorował najlepszymi środkami czystości.

– Środkami może i nie da się zmyć, ale kwasem już prędzej – zauważył Żabicki.

– Sądzisz, że zabójca użył kwasu, by rozpuścić krew? – spytał podkomisarz.

– Nie wiem. Mówię tylko, że zawsze można pozbyć się krwi. Wtedy jednak pozostaje ślad po kwasie. Ale to tylko hipoteza i luźne pomysły.

– W porządku. Nam tylko na razie chodzi o ustalenie tego, gdzie zabójca odciął dłoń. Dlatego jeszcze raz musimy zbadać cały dom. Centymetr po centymetrze. Dobrze, żebyście też się w to włączyli ze swoim sprzętem.

– Trudna sprawa... Odciąć można wszędzie. Poza tym można się do tego odpowiednio przygotować. Rozkładasz folię na podłodze, na nią kładziesz kawałek deski albo jakiejś płyty, na nią rękę i ucinasz. Cała krew rozlewa się po folii, a potem tę folię palisz albo zakopujesz w ziemi gdzieś w lesie. Moim zdaniem to chybiony trop i nie ma co marnować czasu i sił. Zostawmy miejsce ucięcia ręki do momentu, aż stanie się to faktycznie istotne. Poza tym musimy wziąć jeszcze jedną rzecz

pod uwagę. Krew. Jeśli zrobił to jakiś czas po śmierci, to ona wcale już nie wypływała ze zwłok. Jeśli zrobił to od razu po zabiciu, to denat trochę się jeszcze wykrwawiał, ale też niewiele.

Iwanowicz spojrział na kolegów, lecz oni wpatrywali się w leżące zwłoki. Byli jak zahipnotyzowani. Leżała przed nimi czarna, spalona masa. To w niej kryła się prawda. Gdyby zwłoki mogły przemówić, pomyślał komisarz, schwytałiby zabójcę. Ale jedyne, co mogli robić, to szukać miejsc, po których stąpał ten zwyrodnialec. Byli jak psy tropiące zwierzynę, która daleko przed nimi uciekała krętymi ścieżkami.

– W takim razie co robimy? – zapytał zebranych, bo nie chciał teraz podejmować decyzji samodzielnie. Bywało, że czasami wołał przerzucić odpowiedzialność na innych, by choć trochę sobie ulżyć.

– Jest cień szansy, bo zabezpieczyłem sporo śladów butów. W tym oczywiście sporo naszych, ale któreś muszą należeć do zabójcy. Znalazłem też dwa ślady, równie duże jak w innych miejscach. Wydaje mi się, że to ten sam wzór podeszwy.

– Więc masz pewność, że to ta sama osoba?

– Bez wątplenia ta sama osoba była w mieszkaniu Grońskiego, w tunelach i na polu.

Iwanowicz czuł, jak osadza się na nim odór wydobywający się ze spalonych zwłok. Czuł go na sobie i w sobie. Kiwnął głową na Gawłowskiego i weszli na wzniesienie przy tunelu.

Otaczała ich mroczna, czarna przestrzeń. Gwieździste niebo, a w oddali błyski w oknach, przypominające z tej odległości niewielkie diody. Świerszczy dawały głośny koncert.

– Coś mi w tym wszystkim nie pasuje.

– Co konkretnie?

– Spalił zwłoki.

– Cóż, od początku pokazywał, że do łagodnych to nie należy.

– Jak sądzisz, po co to zrobił?

Gawłowski wzruszył ramionami, co komisarz w ciemnościach ledwie zauważył.

– Nie mam bladego pojęcia.

– Też nie mam, ale czuję, że w tym wszystkim chodzi o coś jeszcze. Nie o samo zabijanie. Tu jakby chciał przekroczyć samego siebie, dokonał jakiegoś symbolicznego spalenia, oczyszczenia.

– Z tego, co mówisz, wynika, że przydałoby się zasięgnąć opinii jakiegoś psychiatry. Specjalistów od takich zwyrodniałych popaprańców, co?

Komisarz zamknął oczy. Zaczął trząść się z zimna. Stali pośrodku lasu, tuż przy wjeździe do starego tunelu kolejowego. Setki metrów stąd znajdowały się ruiny zabudowań pofabrycznych, w których trudno odnaleźć coś poza ciszą i pustką. Nie rozumiał tego, co tu się działo.

– Dobra, mamy trzecią ofiarę. A więc czas dokonać analizy podejrzanych. Długo nad tym myślałem. Pilecka napomknęła, że niemal każdy wcześniej czy później otarł się kiedyś o te przekłete kopalnie. Nie wiem dlaczego, ale czuję w tym jakiś znak. Jakby powiedziała to nieświadomie, a może właśnie celowo. Od dłuższego czasu dręczy mnie to miejsce. I wiem, że coś jest na rzeczy. Skupiamy się więc na tym miejscu, Jacek. Zrób kopię wszystkich zeznań pracowników kopalni, potem kopię listy byłych pracowników. Musimy jeszcze raz sprawdzić wszystkich, którzy przewinęli się przez to miejsce. Karany czy nie, trzeba będzie gruntownie sprawdzić każdego. Co robił w czasie, gdy zginęli Groński, Próchnicki i Rostowski. Może akurat któryś z nich miał w tym czasie wolne, był na chorobowym? Trzeba będzie zrobić dokładny plan i oszacować prawdopodobieństwo, który z nich mógł być ewentualnie w tych miejscach. Czasy zgonów mamy w raportach, więc nie powinno być z tym problemów. Zajmiesz się tym?

– Jasne – odparł Gawłowski.

Iwanowicz zapalił papierosa, przykucnął i zaczął przygryzać nerwowo paznokcie. A więc wszystko skupiało się na kopalni. Przypomniał sobie rozmowę z Januszem Poradzkim, szefem

Koltexu. Obaj, on i brygadzysta, stanowczo zaprzeczali, by w kopalni dochodziło do jakichś konfliktów między pracownikami. Bronił tego miejsca, to oczywiste, ale czy w tym wszystkim nie chodziło o coś więcej? Czy coś ukrywali?

– Wszystko wydaje się absurdalne i zarazem nierealne. Pozostawił nam niemal zwęglone zwłoki. Coś jednak to musi znaczyć. Nie zrobił tego bez powodu, rozumiesz? Coś w tym jest... Podejrzewam, że to musi coś znaczyć.

– Marek?

Iwanowicz otworzył oczy i spojrzał na niego.

– Co?

– Co się dzieje?

– To znaczy? Nie wiem, o co pytasz.

– Wiem, że coś cię gryzie. Coś się dzieje, ale nie wiem co. I to nie od dziś.

Spojrzał znów przed siebie, a potem w dal. Na wysokim, niemal niewidocznym sklepieniu nieba dostrzegł migające światełko samolotu pasażerskiego, który leciał na zachód. Tam, tysiące metrów nad nimi, pasażerowie czuli się bezpiecznie, mimo że byli tak niepojmowalnie oderwani od stabilnej ziemi. Pędzili z dużą prędkością przez ciemną przestrzeń, której niewidoczną trasę z otchłani czerni wyluskiwały precyzyjne urządzenia, a więc coś, co było ponad normalnym pojmowaniem pojęcia drogi. Jakieś niewidzialne torowisko.

Ciemna, czarna wręcz otchłań była o wiele bezpieczniejszym miejscem niż to, w którym się znajdowali.

Komisarz pomyślał o słowach kolegi. To coś, co nie dawało mu spokoju, nie nadawało się do powiedzenia.

Pobudki tego ranka nie mógł zaliczyć do najprzyjemniejszych. Obudziła go dudniąca na całe osiedle śmieciarka, która opróżniała okoliczne kubły, robiąc przy tym hałas, jakby ktoś burzył ścianę. Nie znośli, gdy wszystkie służby porządkowe działały na styku nocy i poranka, mając w nosie tych, którzy akurat odsypiali po ciężkiej, przepracowanej nocy. Miał zawsze za złe tym, którzy nie dbali o to ani nie pamiętali, że inni skończyli pracę i chcieliby choć chwilę odpocząć. Mało kto pamiętał, że są zawody, które wymagają nocnej pracy. Odespanie nie wchodziło w grę, gdy słyszało się już o świcie świrujące dźwięki szczotek maszyn szorujących asfalt, zaraz potem wkraczały do akcji śmieciarki, a później cała reszta sprzętu, który miał za cel doprowadzić miasto do porządku.

Nie pospał długo. Kolejna doba i kolejne cztery godziny snu po nocnej akcji. Z kawą w rękę siedział przed laptopem i płacił zaległe rachunki, które w ostatnich tygodniach nawarstwiły mu się na biurku. Żmudnymi kliknięciami wklepywał numery kont bankowych, wpisywał kwotę, a potem akceptował transakcję. Pieniądze z konta znikają w jakiejś odległej przestrzeni, niewidzialnymi falami. Zdumiewało go to, choć szybko przyzwyczaił się do wygody płacenia przez internet. Jeszcze parę lat temu stało się w długich kolejkach na poczcie, a teraz wystarczyło kilka kliknięć.

Sprawy bankowe zajęły mu ponad dwadzieścia minut. Potem wziął się do sprzątnięcia mieszkania. Nie sprawiło mu to przyjemności, ale dzięki temu mógł na moment zapomnieć o wszystkim, co go dręczyło. Chciał się wyłączyć. Trudno było myśleć o śledztwie, szorując podłogę i ścierając kurze z półek. Najbanalniejsze czynności związane z codziennością przyniosły mu fantastyczny relaks. Od razu, mimo fizycznego zmęczenia, poczuł się lepiej.

Po niespełna godzinie musiał wrócić do pracy.

Spotkał się z Gawłowskim, który od rana siedział w ich biurze na komendzie i zajmował się dokumentami. Planowali znów jechać do Kowar. Musieli przekazać informacje Janinie Pileckiej, że odnaleźli ciało jej brata.

Usiadł przy swoim biurku, rzucił okiem na akta, które w pocie czoła produkował Gawłowski. Wcale go nie zainteresowały. Pokręcił się po biurze, nalał zimnej wody z dystrybutora, stanął przy oknie i zaczął poganiać kolegę, by się pospieszył. Czekali ich sporo pracy. Co prawda nie dostali dziś żadnych wiadomości z komisariatu w Kowarach, toteż nie musieli gnać, ale wiedział, że ich obecność w tamtym miejscu ma duże znaczenie. Wciąż mieli co robić. Sporo rzeczy wymagało sprawdzenia, zweryfikowania i potwierdzenia. Iwanowicz przechowywał w pamięci nienapisaną listę zadań, które mieli jeszcze do zrobienia.

Po niespełna dwudziestu minutach dojechali do Kowar. Zanurzyli się w gąszcz małych i rozpadających się kamienic, które stanowiły większość zabudowy miasteczka. Gdzieś tam przebiegały się niskie bloki, lecz było ich zdecydowanie mniej. Skręcili w Słoneczną i zaparkowali przed wejściem.

Wspięli się na pierwsze piętro i zastukali do drzwi.

– Jak sądzisz, Janiszewska przyjedzie na pogrzeb swojego ojca? – zapytał zaczepnie Gawłowski.

– A ty byś przyjechał? Chciałbyś tutaj wrócić, do tego miejsca? Spójrz na tę norę, kto by chciał mieszkać w takim domu?

Podkomisarz wzruszył ramionami i zrobił obojętną minę.

– Bądź co bądź to był jej ojciec. No i sprawy spadkowe. Wcześniej czy później będzie musiała się tym zająć.

Czekali, ale nikt nie otwierał. Rozeszli się po korytarzu. Wyglądali jak inspektorzy budowlani, którzy mieli zbadać to miejsce.

Przez kolejne dwie minuty nadal nikt im nie otwierał, chociaż pukali co paręnaście sekund.

Narobili sporo hałasu na korytarzu. Nagle otworzyły się drzwi obok i na korytarz wyszedł Ryszard Rzońca.

– Widziałem, jak gdzieś wychodziła, nie marnujcie czasu.

– My nigdy nie marnujemy czasu.

Mężczyzna wzruszył ramionami.

– O której godzinie wyszła?

– A która jest?

– Coś około południa – odpowiedział Gawłowski.

– No to była mniej więcej dziewiąta, gdy widziałem, że gdzieś poszła.

– Nie wiesz pan, dokąd mogła pójść?

– A niby skąd? Minąłem ją na schodach, bo akurat wracałem z miasta. Mieszkam tutaj prawie piętnaście lat i nigdy jej nie pytałem, dokąd idzie.

– Dobra. Dzięki za informację, gdybyś ją pan znów widział, to powiedz jej, że byliśmy tutaj.

Mamy dla niej ważne informacje.

Rzońca odprowadził ich wzrokiem, a potem zatrzasnął za sobą drzwi.

Policjanci wyszli z budynku.

Pogoda robiła się coraz bardziej nieznosna. Słońce przypiekało w każdy kawałek odkrytego ciała. Na niebie wisiały szare chmury, które zwiastowały wieczorną burzę i deszcz.

– Czekamy? – zapytał podkomisarz. Słońce go raziło i tak się wykrzywił, że wyglądał, jakby płakał.

– Dobrze by było, ale z drugiej strony nie chcę tutaj stać jak kolek, bo to nie ma sensu.

– To co robimy?

Komisarz nie odpowiedział. Zmienił temat. Myślał wciąż był przy tunelu, w którym znaleźli ciało Rostowskiego. Przypominał sobie widok tego miejsca z góry. Którędy mógł tamtędy dojść lub dojechać? Czy drogi, nawet te polne, pozwalały na dojazd autem?

– Zastanawiam się, jak on przeniósł to ciało? Taki facet waży z osiemdziesiąt kilogramów.

– Jak nie więcej. No wiesz, mógł to zrobić na kilka sposobów. Kwestia tylko wykluczenia tych najmniej prawdopodobnych.

– Pomyśl tylko, odległość od domu Rostowskiego do tego cholernego tunelu nie jest wcale taka mała. A też nie wydaje mi się, żeby on tam wjechał samochodem. Przecież ten tunel jest w lesie.

– Widziałem tam kiedyś drogę polną. Odchodzi bokiem, jakby równoległe do tunelu, ale idzie trochę na ukos. Musiałby mieć jakąś terenówkę i jechać przez cudze pola.

– Może i ma terenówkę, tego akurat nie ustalimy, skoro nawet nie mamy bladego pojęcia, kim on jest.

– Duży facet ze stopą numer czterdzieści sześć. Zawsze coś.

Iwanowicz spojrział na niego i uśmiechnął się pod nosem. To był pierwszy jego uśmiech od tygodnia. Sam nie wiedział, co go rozbawiło, najprawdopodobniej letnie przesilenie i natłok myśli. A może ta beznadziejna sytuacja, uznał.

– Poczesa mnie jedynie fakt, że on już więcej nikogo nie zabije – powiedział komisarz, a potem wsiedli do samochodu i ruszyli w południowym kierunku miasta. – Podtrzymuję swoją teorię. Cyfra trzy oznacza liczbę ofiar. Stało się to, co miało się stać.

Gawłowski oderwał wzrok od jezdni i spojrzął koledze głęboko w oczy.

– Obyś miał rację.

– Amen.

Zakończyli rozmowę, a on wciąż rozmyślał o śledztwach. Jedno z nich toczyło się równoległe w jego myślach. Kłębiły się, wirowały jak tańczące nad ogniem obłoki.

Magiczna trójka oznaczała koniec tej makabry. Zabójca podsyłał im znaki. Wszystko koncentrowało się na cyfrze „3”. Nie miał pojęcia, o co chodziło ani co owa trójka miałaby oznaczać, ale wiedział, że logika numerowania wskazywała na koniec i na jakiegoś rodzaju zamknięcie. Zamknięcie czego? Jakiejś listy? Tak, wszystko wskazywało, że trójka miała jednak jakieś symboliczne znaczenie dla mordercy. Trzy osoby zabite. Każda z nich była w podobnym wieku, odizolowana, żyjąca w cieniu. Nikt za nimi nie będzie tęsknił, pomyślał. Wręcz przeciwnie. Komu, poza samym zabójcą, będzie źle po śmierci tych ludzi?

Komu i dlaczego? To pytanie było teraz najważniejsze.

Po dziesięciu minutach dojechali pod dom Henryka Rostowskiego. Iwanowicz myślał o tym, gdzie i kiedy zabójca uciął dłoń swojej ostatniej ofierze. To było ważne. Musieli jeszcze raz przeszukać cały teren.

Budynek sprawiał inne wrażenie niż nocą. Nie był taki ponury, jak go zapamiętał. Inne wrażenie nie oznaczało jednak lepszego.

Przez ułamek sekundy poczuł się nieswojo, wchodząc na teren posesji. Mieli do tego pełne prawo, ale i tak odnosił wrażenie, że jest intruzem ingerującym w czyjąś prywatność. Nie zawsze tak się działo, ale dziś poczuł to wyraźniej niż kiedykolwiek w ostatnim czasie.

Zaczęli od samego domu. Przeszukali dokładnie parter i piwnicę. Było to małe, liczące kilka metrów kwadratowych pomieszczenie z regałami, na których stały puste słoiki. Wewnątrz było wilgotno i chłodno. Betonowa posadzka. Idealna na taką masakrę, jednakże nie dostrzegli nigdzie śladów krwi.

Po jakimś czasie opuścili pomieszczenie. Potem przeszukali wszystkie pokoje na piętrze. Nad górną kondygnacją znajdowało się jeszcze niewielkie, niemal niewidoczne z zewnątrz poddasze. Na całej jego długości wisiały suszące się ubrania. Poza tym było puste. Między ubraniami pojawiły się cienkie pajęczyny. Żadnych pudeł, rozwalonych telewizorów czy nagromadzonych niepotrzebnych rzeczy. Rzekomo Rostowski zajmował się kiedyś jakimiś szmerzanymi interesami, jak wspominała jego siostra. Musiał coś przechowywać, coś gromadzić, a potem sprzedawać lub wymieniać. Janina Pilecka była tego pewna. Ale czy nadal się tym zajmował? Na strychu nic nie znaleźli, więc nawet jeśli ukrywał jakieś fanty, to nie w tym miejscu.

Wrócili na piętro i przeszukali raz jeszcze pokoje. Szukali wszystkiego, choć priorytetem było miejsce odrabiania ręki. Sami nie mieli pewności, czy byłaby to dla nich jakaś cenna informacja. Jednak musieli to sprawdzić. Musieli znaleźć punkt zaczepienia, by ruszyć naprzód.

Iwanowicz, spojrzawszy na umeblowanie i wyposażenie, wykluczył, by motywem zabójstwa był rabunek. Wnętrza były zbyt skromne. Popatrzył na znajdujący się w kącie na stoliku telefon stacjonarny. Podniósł słuchawkę. Był sygnał. Spojrzał porozumiewawczo na partnera.

– Trzeba będzie sprawdzić billingi. Być może przed zabójstwem ktoś do niego dzwonił. Musimy sprawdzić wszystkie ostatnie połączenia. I wszystkie powtarzające się. Może dzięki cykliczności połączeń znajdziemy osobę, z którą regularnie się kontaktował. Sprawdzamy wszystkie. Nawet te kilkusekundowe. Może jakieś głuche telefony? Pamiętaj o tym. Może to mieć duże znaczenie.

– Zlecę to naszym.

– I przy okazji trzeba sprawdzić telefon Grońskiego i Próchnickiego. Musimy zająć się też ich korespondencją. Możliwe, że otrzymywali listy z pogrózkami.

Gawłowski odnotował to w pamięci, a potem wrócili do poszukiwań.

Iwanowicz zaczął przeszukiwać wszystkie szuflady, a potem zajął się koszem na śmieci, który stał w kuchni pod umywalką. Znalazł tam same słoiki do gotowych daniach, dwie zgniecione puszki po piwie i trochę odpadków. Żadnej korespondencji. Wyszedł przed dom i sprawdził skrzynkę na listy. Wygrzebał z niej tylko kilka ulotek. Rozejrzał się wokół siebie, bo chciał znaleźć kontener

albo większy kosz na śmieci. Stał przy samej bramie wjazdowej, kilka metrów od głównej ulicy. Wcześniej go nie zauważył albo nie zwrócił na niego uwagi.

Wziął głęboki wdech i zajrzał do środka. Szybko się rozczarował, bo kosz był pusty. Pomyślał, że niedawno musiała jechać śmieciarka. Dzisiaj, może wczoraj. Wrócił do środka i stanął na środku kuchni.

Gawłowski kiwnął głową i rzekł:

– Niczego nie znalazłem.

– Wiem. Niczego już tu nie znajdziemy – powiedział. Jakby ktoś wysprzątał to mieszkanie, usunął z niego wszystko, co mogłoby trafić w ich ręce. Podejrzanie czysto. Żadnych dokumentów, rachunków. – Wracamy do miasta. – Iwanowicz spojrzął na zegarek. Byli tutaj ponad godzinę. Po drodze zajechali do domu Próchnickiego. Nie mieli ze sobą kluczy, ale Iwanowicz chciał tylko sprawdzić śmieci oraz ewentualną korespondencję, która mogła zalegać na posesji.

Kosz stał przed bramą. Komisarz włożył rękawiczki i zaczął grzebać w śmietniku. Puszki, folie, stare odpadki. Żadnych wyrzuconych listów czy notatek. Przez parę minut wyciągał wszystkie śmieci z kosza, rozłożył je na ziemi, przejrzał jeszcze raz wszystko, a potem ze zrezygnowaną i skwaszoną miną wrzucił z powrotem do środka.

Wrócili do miasta. Zajechali pod kamienicę, w której mieszkała Pilecka. Weszli do środka i zapukali do drzwi. Znowu cisza.

Komisarz chwycił za klamkę, ale mieszkanie było zamknięte. Odczekali jeszcze chwilę, by się upewnić, ale nic godnego uwagi się nie wydarzyło.

– Dobra, odpuszczamy na dziś. Zadzwoń później do Jastrzębskiego. Niech się skontaktują z nią jeszcze dzisiaj i przekażą informacje o zwłokach brata.

Pół godziny później Iwanowicz był już w domu. Zamówił sobie pizzę do domu. Po dwudziestu minutach kurier z „Cazowni”, słynnej restauracji w mieście, dostarczył mu ogromną pizzę familijną. Jej rozmiar był przytłaczający. W tej samej chwili, gdy sięgał po trzeci już kawałek, zadzwonił telefon. Na wyświetlaczu pojawiło się nazwisko Jończyka. Przesunął palcem po ekranie, choć nie miał na to najmniejszej ochoty. Chciał odpocząć, odsunąć od siebie te obowiązki. Ale musiał. Odchrząknął po ostrym sosie czosnkowym.

– Co jest? – rzucił.

– Złe wiadomości.

Iwanowicz przysiadł w wrażeniu. Głowę podparł ręką i zamknął oczy. Znaleźli czwartą ofiarę, Pilecką. Był tego bardziej niż pewien. Wiedział, że to musiało się stać.

– Kurwa, Marek, trudno mi o tym mówić, ale pamiętasz sprawę tego zaginionego chłopca? Kilka dni temu... Wiem, że byłeś z Jackiem, szukaliście go...

– Mów.

– Dział po południu wyłowiono jego ciało z rzeki. Dryfowało przy brzegu. Byliśmy tam dzisiaj. Sto metrów dalej pływały inne dzieci... Bawiły się, krzyczały z radości, nie wiedząc o niczym. Na szczęście nie widziały tego, co robiliśmy. Bez troski cieszyły się słońcem, wakacjami.

– A jego rodzice?

– Nie było ich na miejscu. Nie było w tamtej chwili nikogo z rodziny. Szczęście w nieszczęściu, że nie musieliśmy patrzeć na zrozpaczonych członków rodziny ani słuchać ich bólu, krzyku. Tych wrzasków, złamanego głosu. Kurwa, podle się czuję. Mam przechłapaną całą dzień.

– Jezu, nawet nie wiem, co powiedzieć.

– Marek, to był jakiś koszmarny. Na miejsce przyjechaliśmy już wtedy, gdy byli tam strażacy, lekarz, prokurator. Cała śmietanka, kurwa. Dobrze, że lokalne hieny dziennikarskie się nie zleciały. Zrobiliśmy szybko, co trzeba, a potem zniknęliśmy.

Iwanowicz oczami wyobraźni zobaczył zwłoki chłopca, które pływały rzecze. W słuchawce, którą odsunął od ucha, słyszał monotony głos technika. Mówił mu o tym, co udało im się ustalić na miejscu. A on trzymał to małe ciało, mając nadzieję, że usnęło tylko na moment. Że za chwilę obudzi się z twardego snu. Obraz tego dzieciaka nie dawał mu spokoju. Wszystko mieszało mu się i wirowało, kotłując się i zlewając ze sobą.

Iwanowicz ocknął się z męczącego go koszmaru. Spojrzał na słuchawkę. Głos Jończyka wciąż nadawał tym samym tonem. Mówił coś, ale dla Iwanowicza nie miało to teraz sensu. Rozłączył się, podszedł do lodówki i wyciągnął schłodzoną whisky, nalał sobie pół szklanki i wypił wszystko duszkiem. Włączył płytę Rolling Stonesów i zaczął chodzić nerwowo po mieszkaniu. Potem dołał sobie jeszcze i wypił tak łapczywie, że po chwili w głowie mu się zakręciło. Nawet nie wiedział, kiedy usnął w fotelu.

Śniła mu się woda, rzeka, rwący nurt, który niszczył domy, łamał drzewa, gniótł wszystko, co napotkał na swojej drodze. Również ludzkie istnienia.

Obudził się po niespełna godzinie. Wstał jeszcze bardziej zmęczony, niż się kładł.

– Zastrana pogoda, żyć się nie da – mruknął pod nosem. Wytarł twarz ręcznikiem. Wciąż czuł zawroty głowy.

Zmarnowany czas. Ani nie odpoczął, ani nie poświęcił go na coś sensowniejszego. Przyniósł do sypialni laptop, nalał całą szklankę wody mineralnej, bo piekielnie chciało mu się pić po sosie czosnkowym i alkoholu. Położył na brzuchu komputer i zaczął przeglądać po kolei zdjęcia zamordowanych z Kowar. Nerwowymi kliknięciami przeskakiwał między zdjęciami, aż w końcu zaczęły się powtarzać. W tym czasie jego myśli zaczęły krążyć wokół sprawy zaginionego chłopca.

Ekran wypełniał obraz spalonych zwłok. Komisarz próbował wyobrazić sobie zabójcę. To, gdzie stał, jak stał, jak trzymał swoją ofiarę, jakie zadawał ciosy. Jak dojechał do tunelu, jak przetransportował zwłoki w odległe miejsce. Czy ktoś mógł go widzieć? Odnosił w pamięci, że trzeba będzie ustalić listę gospodarstw znajdujących się możliwie najbliżej tunelu i przesłuchać właścicieli.

Usłyszał telefon. Dostał esemes od Żabickiego, który napisał, że później będzie z Jończykiem przy sekcji zwłok chłopca. Wspólnymi siłami spróbują ustalić, co się stało.

Dlaczego ten niewinny chłopiec musiał zginąć? Co tam się wydarzyło?

Po paru godzinach pojechał do komendy, żeby zapoznać się z dokumentacją śledztwa. Musiał przeczytać zeznania rodziców chłopca. Zrobił sobie kawę, a potem usiadł przed komputerem, by upewnić się, czy były to wszystkie zeznania w tej sprawie, jakie mieli w biurze, i czy wydrukowano całość. Przeczytał wszystko dwukrotnie od deski do deski. Folder z danymi śledztwa zawierał te same pliki, które przed chwilą czytał w wersji wydrukowanej. Nie było nic więcej. Wciąż jeszcze musiał czekać na raport z sekcji zwłok.

W biurze spotkał tylko paru znajomych funkcjonariuszy, którzy biegali z pokoju do pokoju i zajmowali się swoimi sprawami. Bo spraw była cała masa. Tu nie tylko pracowano nad sprawami mordsterw z Kowar, zaginionym, a potem wyłowionym z rzeki chłopcem, ale też setkami innych spraw, które najbardziej przypominały rzucone na stos różne przedmioty, wymagające posegregowania, poukładania, następnie ustawienia w rzędki lub szeregu, a na koniec dokonania odpowiedniej selekcji. Dziesiątki, setki godzin, by z różnych słów, śladów, rozmów wyluskać to, co ważne.

Wszystkim w tym miejscu doskwierały duchota i upał, ale też natłok niewyjaśnionych zaginięć, kradzieży, pobić. Całe zło tego miasta skupiało się jak w soczewce tutaj na komendzie. W miejscu, gdzie zło było czymś naturalnym, a potem wyłowiono zaradzić krzywdom i ludzkiemu cierpieniu.

Nawet nie chciał myśleć, ile było spraw w innych wydziałach. Całe dziesiątki. Małe i stare pokoje biurowe, choć częściowo odnowione, pękały od dokumentów. Obcy ludzie zajmowali się sprawami innych obcych ludzi. Zeznania przechodziły przez ręce kilkunastu osób, potem wszystko się potwierdzało, a następnie zostawiano je na stosie dokumentów do rozwiązania, bo pojawiała się coś pilniejszego. Papiery ze śledztw zakończonych od razu archiwizowano. A potem zapomniano o tym w miarę rzetelnie udokumentowanym wycinku przeszłości – złym, bezprawnym, podłym, brutalnym – by zacząć się kolejnym.

Iwanowicz sądził, że najgorsze było powracanie po paru tygodniach lub miesiącach do starej, odłożonej na później sprawy. Na nowo trzeba było odgrzebywać stopy dokumentów, by odnaleźć te właściwe, które przykryły akta nowych spraw, wciąż nierozwiązanych, napływających. Trzeba było przypomnieć sobie nazwiska, znów gdzieś zadzwonić, coś potwierdzić, wezwać kogoś na komendę, coś wykluczyć. Niekończący się łańcuch słów, śladów, świadków, między którymi należało znaleźć coś, co wszystko ze sobą łączyło. Zawsze uważał, że śledztwo to poszukiwanie, zbieranie, a potem selekcyjonowanie hipotez, śladów i dowodów.

Wodził wzrokiem po swoim biurze. Wszystko się nawarstwiało. W głowie i na biurku. Przypomniał sobie, jak kiedyś przez przypadek postawił kubek kawy na stosie dokumentów, które piętrzyły się na wysokość blatu i które o mały włos nie runęły na podłogę.

Spojrzał na zegarek. Przeciągnął się na krześle. Było już późno, ale w pomieszczeniu wciąż panował skwar, jakby coś celowo przypominało, że stąd jest bliżej do piekła.

Podszedł do okna i zapalił papierosa. Usiadł na parapecie. Tuż obok stały wypełnione po brzegi popielniczki oraz cztery kubki po kawie, które czekały na umycie. Zaduch stąd nigdy nie zniknął. Cisza tylko chwilami przypominała, że w tych dokumentach mówi się o śmierci.

Samo pomieszczenie było bez wyrazu, jakby nic tutaj nie żyło. Przebijające się światło wkradało się nieśmiało. Typowe miejsce do pracy i odhaczania zadań, niedające nadziei. Było wręcz jej pozbawione. Było ono biernym świadkiem zbyt wielu utonięć, egzekucji, wyroków. W tym miejscu, powtarzał nieraz Iwanowicz kolegom, mógł panować tylko mrok.

Dopalił papierosa i wyrzucił za okno. Odwrócił głowę i spojrzał w dal, na mieniące się pod dotykem wiatru liście, a potem usiadł przy biurku.

Rodzice chłopca zeznali, że ich syn wyszedł z domu, by pobawić się na podwórku z kolegami.

Prawie codziennie grał w piłkę nieopodal domu. Albo na osiedlowym boisku, albo na niewielkich dzikich łączkach, tak by mieli więcej miejsca i nikomu nie przeszkadzali. Chłopiec miał jedenaście lat i był już na tyle samodzielny, że rodzice mu na pewne rzeczy pozwalali. Pod warunkiem że nie oddalał się od domu dalej, niż to kiedyś ustalili. W zeznaniach znajdował się dokładny spis ulic, po których mógł się poruszać. Iwanowicz doskonale znał te ulice. Momentalnie narysował sobie w głowie siatkę tych miejsc. Tworzyły one krąg w odległości około dwustu metrów od domu. Dzieciak o tym doskonale wiedział i nigdy nie przekroczył tej granicy. Zbyt poważnie traktował te zasady. Sami rodzice też nigdy nie zawiedli się na chłopcu. Mieli do niego pełne zaufanie. Do tego, jak go opisali, małego ukochanego łobuziaka, który ponad wszystko kochał piłkę nożną. Wyczytał z zeznań, że ich ukochany synek był świetnym uczniem, zdał z wyróżnieniem do piątej klasy. Kolejną część zeznań była już znacznie mniej przyjemna.

Zaginął w tajemniczych okolicznościach. Wszędzie dalej znajdowały się same znaki zapytania. Co się stało, że oddalił się od domu? Dlaczego przekroczył granicę, której nigdy wcześniej nie przekraczał?

Spojrzał na zdjęcie chłopca, który uśmiechał się do niego. Delikatna, pogodna twarz.

Komisarz zamknął oczy i odchylił się na oparcie. Poczul w przełyku gorzki smak alkoholu, który wcześniej wypił.

Dlaczego zламаłeś umowę, przekroczyłeś granicę, którą ustaliłeś z rodzicami? – pytał w myślach. Kto cię do tego namówił? Co takiego zobaczyłeś? Dlaczego zламаłeś zasady i dotarłeś aż nad rzekę? Ktoś cię do tego zmusił? Ktoś cię porwał? Dlaczego nie krzyczałeś, nie wzywałeś pomocy?

I dlaczego nikt cię nie widział? Co takiego się stało? – powtarzał jak mantrę Iwanowicz, pogrążając się w ciemności i mroku ostatnich dni.

Brak świadków.

Policjanci rozmawiali z jego dwoma najlepszymi kolegami. Powiedzieli, że grali z Karolem w piłkę, a około południa mieli rozejść się do domów na obiad. Jak zawsze, umówili się, że pograją jeszcze wieczorem. Z nikim innym nie był umówiony, nie wspominał też, by miał iść gdzie indziej. Nie planował iść ani do sklepu, ani do żadnego innego kolegi.

Ruszył w kierunku domu, ale już nigdy do niego nie dotarł.

Zajeżdżał pod kamienicę i zaparkował samochód przy ulicy Złotniczej, która znajdowała się nieopodal stadionu miejskiego. Tutaj mieszkali rodzice chłopca. Gdzieś tam, za tymi ciemnymi, a może czarnymi murami, siedzieli pogrążeni w rozpaczy i czekali, aż ktoś im powie, że to wszystko jest snem, że nie wydarzyło się naprawdę. Snem, który za chwilę, wraz z nieprzyjemnym, ale zbawiennym dzwonkiem zegarka, wreszcie się skończy. I że zniknie cały ten niewyobrażalny, cholerny kosmar, w którym ktoś zdecydował, że musiało zginąć ich dziecko. Brutalnie, w męczarniach. Pobite, sponiewierane, a potem wrzucone do wody. Pochłonięte przez prąd, wciągnięte w wir zimnej górskiej rzeki, której obojętne było, co porywała – materac, worek ze śmieciami czy ludzkie ciało.

Iwanowicz bał się tego spotkania. Za chwilę zapuka do drzwi i powie, że chce zacząć wszystko od nowa. Że zajmie się w miarę swoich możliwości wszystkim od początku. Zaangażuje więcej ludzi, ponownie przesłucha wszystkich. Niestety, ich też.

Wiedział, że nie mógł tak tego zostawić. Tej sprawy nie można było przemilczeć czy o niej zapomnieć. Nie może się stać tylko wspomnieniem zapisanym na papierze, na którym kiedyś w przyszłości ktoś postawiłby przez nieuwagę swój kubek albo teczkę z kolejnymi aktami. Śmierć tego chłopca na to nie zasługuje.

Wiedział, że teraz dla tych ludzi każdy obraz, szept, każdy okrzyk innego dziecka gdzieś w oddali za oknem już na zawsze będzie przywołaniem wspomnień, tych cudownych chwil, które zawsze będą zabijały ich teraźniejszość. Nigdy nie wyjdą z cienia wspomnień po swoim dziecku. Nigdy nie porzucą przeszłości, będą w niej ciągle żyli, mając złudną nadzieję, że może da się to wszystko cofnąć. Życie ich będzie przypominało nie tyle zanurzenie, ile topienie się w bagnie, z którego nigdy nie zdołają wyjść. Będą próbowali z każdym dniem uratować cząstkę tego, co w nich pozostało i ma nadzieję, że jest po co żyć.

Iwanowicz podszedł powoli do budynku i wyciągnął z kieszeni kartkę z ich adresem. Stał przed domofonem i już miał wcisnąć numer, gdy nagle poczuł wibracje telefonu. Spojrzał na te nieme ściany kamienic, które ciągnęły się wzdłuż ulicy. Ciemne, zabrudzone, domagające się zbiorowego oczyszczenia. Sięgnął po komórkę. Gawłowski.

– Cholera, tylko tego mi teraz potrzeba – powiedział na głos, nim odebrał telefon. – Co jest? – zapytał nieprzyjemnym tonem.

– Nieprzem. Ta kobieta, Janina Pilecka... – usłyszał zaniepokojony i drżący głos kolegi. Znał ten ton, był oznaką czegoś, czego nie chciał usłyszeć. Przez moment poczuł dreszcz, choć na dworze panował skwar.

– Co z nią?

– Obyśmy się mylili, ale wszystko wskazuje na to, że zniknęła.

Iwanowicz obrócił się, spojrzał na budynek i wrócił do auta. Wytarł mokrą twarz i wziął kilka głębokich wdechów.

– Mów.

– Przed chwilą dzwonili do mnie z Kowar. Mieli do niej później zajrzeć, tak jak im kazałem. Niestety, wciąż jej nie ma.

– To wszystko?

– Niby tak, ale pytali tego sąsiada. Mówił, że nie ma jej cały dzień.

– Tak, a od kiedy on się nią tak interesuje, co? Wcześniej nosa nie wychylał z mieszkania, a teraz nagle ją obserwuje i wie, kiedy wchodzi i wychodzi? Nie uważasz, że to trochę dziwne? Nie za dużo nam się już porobiło tych pieprzonych zbiegów okoliczności?

– Nie mam pojęcia, Marek, przekazuję ci tylko, co wiem. Po prostu obawiam się, że to się

znowu stało.

Iwanowicz zamknął oczy. Po tym, co usłyszał, zaczął mieć zle przeczucie. Rzeczywiście to wszystko wydawało się zbyt niepokojące. Za dużo w tym wszystkim było przypadku. Trzy brutalnie zamordowane osoby w niewielkich odstępach czasu. I teraz jeszcze ona.

Pilecka była siostrą zamordowanego. Czy o to chodziło? I tylko dlatego miałyby zniknąć? Co ona ma z tym wspólnego? Nie przestawał analizować. Byli spokrewnieni. Łączyło ich niewątpliwie dużo – tylko, a może aż więzy krwi. Ale przecież nie miała z nim żadnych kontaktów. Absolutnie żadnych, od wielu lat, o czym zabójca na pewno wiedział. Ucięła kontakty raz i porządnie, by nie wprowadzać do swojego życia zła i obrazu wyniszczenia. Miała swoje życie, inne zajęcia, potrzeby.

– Cholera, dlaczego... Dlaczego ona zniknęła? – wyszeptał do telefonu Iwanowicz. Ledwie było go słychać, ale to właśnie w tym przyciszonym głosie kryła się siła tego, co chciał powiedzieć. – Nie wiem, o co tutaj chodzi... A ty wiesz?

– Nie.

– To myśl. Skup się. Jacek, praktycznie wszystko zależy od nas.

– Nie mam pojęcia, serio. Ale jak dla mnie jest tu za dużo niewiadomych. Może była świadkiem jakiegoś przestępstwa? Może w coś ją wplątali? Co i tak nie zmienia faktu, że zniknęła. Cholera...

– Mamy więc najprawdopodobniej czwartą ofiarę.

– Sądzisz, że ją też zamordował?

Iwanowicz obrócił się wokół własnej osi, wodząc wzrokiem po oknach ciemnych kamienic, które wyglądały tak, jakby po ich ścianach spływała rozgrzana czarna smoła. Przez moment czuł się, jakby go obserwowano. Nie umiał tego wytłumaczyć, po prostu tak czuł.

– Zginęły trzy osoby. Do tej pory wyglądało, że miało tyle zginąć. Bo wszystko to sugerowało. I tak też odpowiadała mi logika, rozumiesz? Trójka. W moim odczuciu tylko ta cholerna trójka miała zniknąć, bo numeracja szła według pewnej kolejności: jeden, dwa, trzy. Nie było nigdzie żadnego numeru cztery... Sądziłem, że... Kurwa!

– Marek, spokojnie, skąd miałeś wiedzieć. Nie panikujemy, bierzmy się do roboty.

– Więc co robimy?

– Musimy sprawdzić całą rodzinę. Nie wiem jeszcze co dokładnie, ale na pewno musimy zacząć grzebać w dokumentach, archiwach, bazach danych i dowiedzieć się, kim byli, czym się zajmowali, sprawdzić dokładnie wszystkich. Każdego z osobna. Będzie więc... – przerwał, gdy usłyszał przejeżdżający głośny motor – ...że zginie ktoś jeszcze.

– Od czego zaczynamy?

– Od sąsiadów. Musimy się wszystkiego od nich dowiedzieć. Wracamy do Kowar, popytamy Rzońcę, może on coś będzie wiedział.

– Nie sądzę.

– Musimy, Jacek. Wracamy do punktu wyjścia. Moja teoria była błędna, więc zaczynamy od nowa. Czy to ci się podoba, czy nie.

Komisarz poczuł się tak podle, że nie zależało mu na niczym. Najchętniej zniknąłby z tego miejsca, nie mówiąc nikomu, dokąd jedzie. I niech się dzieje co chce. Miał już dość wszystkiego i wszystkich. Niech się powybijają wszystkie parszywe gnidy z okolicy, pomyślał. Będzie wszystkim lżej. Zamarzył, by po prostu wyjechać jak najdalej stąd. Zapomnieć i na nowo zastanowić się nad tym, co dalej. Nad tym, czy to wszystko zawsze ma tak wyglądać.

Gonił resztkami sił. Owszem, chciał pomagać ludziom. Ale nie chciał patrzeć na taką skalę brutalności. To go przerażało. Nigdy nie sądził, że praca w policji okaże się jednym z najtrudniejszych testów w jego życiu.

Swoją najtrudniejszy test w życiu przegrał wiele lat temu. Podnosił się po nim przez wiele lat

i nigdy już nie wrócił do pełni sił. Nie potrzebował kolejnego.

– Wyślij techników do mieszkania Pileckiej. Niech wejdą i sprawdzą, czy nie było żadnych śladów walki albo jakiejś szarpaniny.

– Z tego, co wiem, to teraz nie mogą, bo są...

– Nie interesuje mnie to, gdzie są – przerwał mu gwałtownie. Potem pomyślał, że być może są z Zalewskim przy sekcji zwłok chłopca, bo teraz obie sprawy miały najwyższy priorytet w rejonie. Nikt nie podważy tego, że trzeba zająć się tym jak najlepiej. Muszą się wykazać wszystkie jeleniogórskie służby. Policja postawi na nogi wszystkich, by rozwiązać tę przykrą sprawę. I cokolwiek wykaże sekcja oraz zeznania świadków, Iwanowicz wiedział, że trzeba działać bardzo ostrożnie, ale jednocześnie nie można bagatelizować innych śledztw. Złoty środek. Trzeba możliwie precyzyjnie podzielić siły. Żadna ze spraw się nie łączyła, jednakże mieli ograniczone możliwości. I tych samych specjalistów. – Mają tam być za pół godziny. Rozumiemy się? Ściągnij ich z miejsca, w którym są, i wyślij natychmiast do Kowar. Mają na to pół godziny. Informuj mnie na bieżąco o wszystkim.

Nie czekając na odpowiedź, rozłączył się i pojechał do domu. Obiecał sobie, że gdy przyjedzie już z powrotem z Kowar, to wróci tutaj i zajmie się tą sprawą tak jak należy. Choćby miało to być późnym wieczorem i choćby padał z sił. Dla każdej sprawy chwila, dzień albo tydzień miały ogromne znaczenie. Czasami o powodzeniu śledztwa decydowały minuty, a czasami miesiące długiej i wytężonej pracy. Nigdy nie wiadomo, co dana chwila mogła przynieść, dlatego nie mógł niczego bagatelizować ani pominąć, więc będzie musiał gruntownie się tym zająć. Ale to później.

W Kowarach doszło najprawdopodobniej do kolejnego porwania, co mogło oznaczać, że za jakiś czas dowiedzą się o znalezionych zwłokach Pileckiej. Musieli działać jak najszybciej. Pełna mobilizacja sił. Zwłaszcza że byłoby to już czwarte morderstwo.

W mieszkaniu przywitała go grobowa cisza oraz przyjemny chłód. Przed wyjazdem zasłonił wszystkie okna grubymi i ciemnymi zasłonami. Spora różnica temperatur spowodowała, że nagle rozboleła go głowa. Od razu poszedł do łazienki, z apteczki wyciągnął dwie tabletki przeciwbólowe i łyknął za jednym razem, popijając wodą z kranu. Pomieszczenie było przestronne. W kącie zamontowano nowoczesny prysznic z różnymi opcjami masażu. Wyszedł i stanął w korytarzu.

Przez moment nie wiedział, co ma robić, jakby popadł w jałowy stan, po którym miał nastąpić ten właściwy, zawsze dodający mu energii. Popychał go do działania, szybkiego reagowania, rozkazywania i wydawania wszelkich poleceń.

Spojrzał na zegarek, minęło pół godziny. Technicy powinni już być na miejscu. Zamierzał tylko jeszcze coś szybko przekąsić, a potem dołączyć do reszty. Nie chciał w tym czasie być tutaj, wolał koordynować wszystkie prace stamtąd, tak było zdecydowanie lepiej.

Usiadł w fotelu i wyciągnął nogi, a potem, nie wiedząc nawet kiedy, usnął, czemu towarzyszyło głośne chrapanie.

Chłopiec. Jego słowa, uśmiechy. Szedł po niewielkiej łące tuż przy brzegu rzeki. Prażyło słońce. Zmierzał w kierunku domu, ale nagle się zatrzymał. Zbliżyło się do niego coś ciemnego, jakiś nieokreślony kształt, wysoki, niemal czarny, który przysłonił mu słońce. Zatrzymał się i spojrzał na niego. A potem rozległ się tylko krzyk, który już nigdy nie ucichł.

Zbudził go wibrujący na stole telefon. Komisarz wstał błyskawicznie niczym robot, ominął rozrzucone na podłodze książki i podszedł do stołu. Nim odebrał, spojrzał na zegarek. Spał niespełna dziesięć minut. Koszmar, który mu się przyśnił, sprawił, że waliło mu serce. Musiał chwilę ochłoniąć.

Gawłowski. Nikt inny nie mógł zadzwonić.

– No, co jest?

– Chyba coś mamy. Musisz koniecznie przyjechać. Jak najszybciej.

Po dwudziestu minutach dojechał do Kowar, a zaraz potem był już na ulicy Słonecznej. Pod zrujnowaną kamienicą stał jeden radiowóz, auto techników i Gawłowskiego. Wyłączył silnik, który mocno się zagrzał. Przez cały czas jechał możliwie szybko. Głos Gawłowskiego w słuchawce brzmiał tak, jakby nie przyjmował jakiegokolwiek sprzeciwu. Sprawa była najwyższej wagi. Już to dało mu sporo do myślenia, toteż nie chciał zwlekać.

Wbiegł po schodach po dwa stopnie. Śpieszył się, jakby ktoś go gonił. Pchnął drzwi wejściowe tak mocno, że o mały włos nie rozwalili stojącego za drzwiami stojaka na ubrania. W mieszkaniu roilo się od policjantów. Z małego korytarzyka przeszedł od razu do kuchni. Była sterylnie czysta, jakby przed momentem ktoś wyszorował wszystkie meble.

– Co tu mamy? – odezwał się, nie witając z nikim.

I wtedy znów to poczuł. Pojawiło się znikąd, nagle, bez ostrzeżenia. Zawrót głowy. Osłabienie. Chyba za szybko wbiegłem, pomyślał. To na pewno to. Oparł się o kuchenny blat, wziął kilka wdechów. Po kilkunastu sekundach poczuł się lepiej.

– Dobrze, że już jesteś. Tak jak mówiłem przez telefon, nie ma jej, zniknęła. Ustaliliśmy, że nie ma jej od rana – powiedział do niego podkomisarz.

Wewnątrz było gorąco i duszno, a po twarzach zebranych spływały krople potu. Okna były otwarte, ale w żaden sposób nie pomagały one pozbyć się tego zaduchu. Pogoda robiła z ludzi na wpół żywe stworzenia. Iwanowicz spojrzał na zegarek, a potem wymownie na kolegę. Ten zaczął wyjaśniać:

– Nie ma jej prawie cały dzień. To dziwne, bo przecież sama mówiła, że rzadko wychodzi z domu.

– Dobra, mów, co macie.

– Kazaleś nam się dowiedzieć czegoś na temat jej rodziny.

– I co? – zapytał błyskawicznie.

Nie otrzymał odpowiedzi od razu. Milczy, ale to milczenie coś oznacza, pomyślał Iwanowicz. Coś ważnego. Coś, czego być może nie umiał ubrać w słowa. Bo zarówno przez telefon, jak i teraz mówił spokojnie, co już wtedy dało do myślenia. Od razu wyczuł ten podejrzany sygnał. Nie umiał sprecyzować, co było nie tak w jego głosie, ale znał na tyle dobrze swojego partnera, że wyczuł to. Był inny i to wystarczyło. Dlatego kazał mu zjawić się tak szybko. Dlatego chciał to pokazać. Nie opowiedzieć, ale właśnie pokazać.

– Wejdz, sam zobaczysz.

Komisarz stanął przed drzwiami i zawałał się przez moment, bo wciąż nie wiedział, o co chodzi. Gawłowski milczał.

Wszedł do pokoju. Czuł na sobie spojrzenia policjantów, jakby czekali na jego reakcję. Odprowadzali go wzrokiem.

To pomieszczenie również było w nieskazitelny stan. Wszystko w tym miejscu było do przesady czyste, jak gdyby całe to mieszkanie urządzono na pokaz lub do katalogu.

Pokój był duży, a odpowiednie ustawienie mebli powodowało, że wyglądał na o wiele większy i przestronniejszy. Na środku stało łóżko. Po bokach szafka i lampka nocna. Na parapecie i na półkach stały poukładane w równych rzędach książki, z których wystawały kartki oraz wycinki z gazet. Być może, pomyślał komisarz, pełniły one funkcję zakładek.

Iwanowicz poczuł się obco w tym miejscu. Nie było tutaj nawet skrawka czegoś, co kazałoby mu przypuszczać, że coś jest nie tak. Co tutaj mogło się wydarzyć? A jednak czuł, że coś złego, tylko tyle. Mieszkanie policjantów było wymowne. Oni już wiedzieli. Wiedzieli coś, na co on musiał jeszcze moment poczekać. Ale to milczenie i owa niepewność kazały mu postępować ostrożnie. Może to

wszystko tak miało wyglądać. Jak w scenie filmu, gdy cichnie dźwięk, a obraz zwalnia.

Nie było to miejsce zbrodni ani nie doszło tu do bójki czy porwania. To pewne. Znajdowało się w nienagannym stanie. Nie chciał przedłużać tej chwili, bo niepotrzebnie wzrastał w nim niepokój.

– Dobra, Jacek, karty na stół. Co znaleźliście? Mów.

Gawłowski spojrzał porozumiewawczo na partnera i zamknął za nim drzwi sypialni.

– Przeszukaliśmy cały mieszkanie, centymetr po centymetrze. Jak sam widzisz, mieszkanie idealne. Czyste, sterylne, jakby ktoś całymi dniami sprzątał i je szorował. Tutaj między książkami – wskazał na półkę nieopodal okna – znaleźliśmy to.

Gawłowski sięgnął i podał mu sporych rozmiarów album ze zdjęciami. Był dużego formatu, a na okładce miał wyhaftowane kwiatki. Czerwone, żółte z zielonymi łodygami. Kolejny element całego mieszkania pasujący do tej ciepłej i estetycznej całości.

– Co ty mi dajesz? Jakiś cholerny album? – Spojrzał na niego podejrzliwie. Ściągnął brwi i pomyślał, że to jakiś żart. Przyjechał tutaj, gnając na złamanie karku i łamiąc przepisy dla jakiegoś albumu, zakpił w myślach. O mały włos nie potracił człowieka na pasach, a gdy wbiegał tu, znów zasiał. Tylko po to, by spojrzeć na album.

Gawłowski miał kamienną twarz. Nie poruszył się na niej ani jeden mięsień. Po twarzy spływały mu krople potu. Wpatrywali się w siebie niczym przeciwnicy przed walką. Po kilkunastu sekundach morderczego spojrzenia Gawłowski kiwnął głową, spojrzał na trzymany w rękach przedmiot i rzekł:

– Całe to nasze śledztwo, domysły i wątpliwości. Cały trud. Dziesiątki pytań. Wszystkie liczby i znaki na ciałach ofiar. Wszystko się wyjaśniło. Wszystko jest tutaj. Zobacz.

Komisarz wziął głęboki wdech i otworzył na pierwszej stronie.

Musiał usiąść. Poczuł falę gorąca zalewającą całe ciało. W pokoju atmosfera zgęstniała, nie było czym oddychać, jakby ktoś wysał cały tlen.

Otworzył album.

Na pierwszej stronie, tam gdzie powinny znajdować się fotografie standardowych rozmiarów, dziewięć na czternaście centymetrów, znajdował się zgięty na pół wycinek z prasy. Wyciągnął go i odwinął. Spojrzał porozumiewawczo na kolegę.

Gawłowski kiwnął głową. Dokument był stary i zniszczony. Zgięcie pośrodku wskazywało na to, że fragment gazety był wiele razy wyciągany i ponownie składany. Pochodził on z 1985 roku. Nie widać było, z jakiej gazety został wycięty. Notatka była bardzo krótka, miała dosłownie kilkanaście zdań napisanych zwięzłym, dziennikarskim językiem.

Tekst informował o gwałcie, do jakiego doszło w okolicach Kowar. Ofiara miała dwadzieścia pięć lat. Napad był brutalny, sprawców nie złapano.

Sięgnął po kolejny wycinek, znajdujący się na następnej stronie. Dotyczył tego samego wydarzenia. Był nieco obszerniejszy. Iwanowicz pochylił głowę. Wycinek również pochodził z 1985 roku. W okolicy Kowar doszło do potrójnego gwałtu na ponaddwudziestoletniej kobiecie. Nie podano imienia ani nazwiska ofiary. Sprawców nigdy nie ukarano, ponieważ kobieta nie wniosła oskarżenia.

Poczuł, jak krew uderzyła mu do głowy z taką mocą, że przez moment zrobiło mu się jasno przed oczami. Wziął kilka głębokich oddechów, ale nic to nie pomogło. Wstał i poszedł do kuchni.

Nerwowo otwierał szafki. Wziął z jednej z nich szklankę i nalał sobie z kranu zimnej wody. Wypił duszkiem całą zawartość, wypił jeszcze jedną szklankę, a potem wrócił do pokoju, nie zamykając za sobą drzwi. Przeciąg spowodował, że trzasnęły z hukiem. Nawet nie spojrzał na koleżę. Chwytał album i zaczął przeglądać kolejne strony. Jak już się zorientował, każdemu artykułowi poświęcona była osobna strona.

Album nie zawierał ani jednego zdjęcia. Żadnych uwiecznionych na zdjęciach radosnych chwil zwykłej rodziny, na których ktoś się śmieje.

To był album wspomnień po okrutnej, czarnej przeszłości. Najokrutniejszej z możliwych.

Wziął następną artykuł do ręki. Brutalnie zgwałcona kobieta. Odczytał cały tekst. Prawie niczym się nie różnił od poprzedniego.

Spojrzał na kolejny. Gwałt. Pokrzywdzona i sponiewierana kobieta nie wnosi oskarżenia. Napisyany był oszczędnie, a całość stanowiła dosłownie kilkuwersowy wycinek. Kolejna strona. Pobita i upokorzona kobieta nie wnosi oskarżenia. Zamyka się przed całym światem. Przez cały czas milczy jak grób. Nie nawiązywała z nikim kontaktów.

Zamknął oczy. Próbował odtworzyć sobie w myślach ten okrutny czas i to, co się wówczas z nią działo. Jak wyglądało jej życie przed gwałtem i po nim? Widział to, mając niemal wszystko tuż na wyciągnięcie ręki. Janina Pilecka. Zapewne zaraz po tym wydarzeniu kobieta nie mogła sobie poradzić z traumą, jaką przeżyła, pomyślał. Być może nie wytrzymała presji i tego ciężkiego napięcia, no i samych wspomnień. Pewnie nie potrafiła, więc odcięła się od całego otoczenia. Uciekła od społeczeństwa, wymknęła się. Wbrew pozorom czas nie goi ran, jak to zwykle się mówi, pomyślał komisarz i od razu przypomniał sobie jej twarz.

Siedział tu wczoraj i rozmawiał z nią przy stole w kuchni. Czytała mu w myślach, uważała, że jest naiwny, on zaś za tą kamienną maską nie dostrzegł jej wieloletniego cierpienia. Nie dostrzegł tego wszystkiego, co ją przed laty spotkało. Ukryła to w sobie, schowała w najciemniejszy i najbardziej oddalony kąt swojej pamięci. A później odgrodziła się od tego. Zapomniała. A może tylko pragnęła zapomnieć, lecz widmo odezwało się po latach.

Spojrzał na ostatnie wycinki. Ich lektura była szokująca. Wszystkie wiadomości spływały na niego jak kolejne wiadra wrzącej wody. Raniły i pozostawiały jątrzący się ból. Z każdą chwilą czuł się coraz gorzej.

Wszystko zaczęło układać się w całość. Ta przeklęta zagadka coraz bardziej się wyjaśniała, a elementy śledztwa zaczynały do siebie pasować. Każda część pasowała do drugiej, kolejna do jeszcze innej, aż wreszcie pojawił się obraz całości.

Trzej mężczyźni, którzy niedawno zostali brutalnie zamordowani, to trzech gwałcicieli. Zginęli, ponieważ brutalnie pobili i upokorzyli Janinę Pilecką. Zgwałcili ją. Odebrali jej to, co miała najcenniejszego. Dokładnie dwadzieścia pięć lat temu.

Wziął głęboki wdech.

Analizował.

Dlaczego teraz dopiero wymierzyła sprawiedliwość?

Przywołał wzrokiem Gawłowskiego, który stał obrócony do niego plecami, jakby nie chciał na to wszystko spoglądać po raz drugi. Wpatrywał się w prześwitujące jasne zasłony, które wpuszczały światło do pokoju.

– Nie chce mi się wierzyć w to wszystko – niemal wyszeptał.

– Nie tylko ty w to nie wierzysz.

– Czuję się tak, jakbym dostał czymś w łeb. Nie dociera to do mnie. Wydaje mi się to wszystko nierealne.

– Przeczytałeś już wszystkie wycinki?

Iwanowicz kiwnął głową, ale Gawłowski nie mógł tego widzieć.

– Ze mnie już trochę to wszystko spłynęło, ale czułem się tak samo jak ty – powiedział spokojnie.

– Musimy się upewnić, czy nie ma gdzieś jeszcze jakichś informacji o tym gwałcie.

– A co, mało ci? Jeszcze czegoś chcesz się o tym dowiedzieć?

Iwanowicz nie wiedział, co odpowiedzieć. Rozmawiali ze sobą, był tutaj, ale wciąż jego myśli odbijały się od różnych zakątków, niczym rozpedzona pileczka wrzucona do małego pudła.

– Trzeba odgrzebać tę sprawę. Musimy się wszystkiego dowiedzieć.

– Przecież nie wniosła oskarżenia. Nie wiem, czy coś znajdziemy. Przecież nie ma żadnych dokumentów, bo i jakich? Po czym?

– Ktoś na pewno zrobił obdukcję, na pewno ktoś jej udzielił pomocy medycznej. Może była w szpitalu...

– Marek, to było dwadzieścia pięć lat temu.

– No i co z tego? Od tego są archiwa. Zajmij się tym. Weź tylu ludzi, ile potrzebujesz. Jeśli będzie mało, załatwię wszystko z komendantem. Musimy jak najszybciej wszystkiego się dowiedzieć. Trzeba mieć pewność, że niczego nie przeoczyliśmy. Możliwe, że w tych dokumentach jest jakiś ślad, jakieś przemilczenie. – Zamyślił się na moment, a potem spojrzał na kolegę i rzekł: – No i najważniejsze. Musimy ją jak najszybciej znaleźć.

Gawłowski kiwnął głową. Wciąż spoglądał w dal, trzymając ręce w kieszeni.

– Marek, zastanawiam się nad tym wszystkim, od kiedy tu jestem. I wciąż myślę o jednym. Sądzisz, że to ona wymierzyła sprawiedliwość?

Iwanowicz zrobił dziwny grymas, który wyrażał wahanie. Skrzywił się, a potem zaczął nerwowo pocierać brodę.

– Nie wiem, naprawdę nie wiem, ale wszystko wskazuje, że tak. Choć z drugiej strony, nie wydaje mi się, by miała w sobie tyle siły i potrzebę tak brutalnego rozliczenia się ze swoimi oprawcami. A nawet jeśli... To czy miała tyle siły? Determinacji?

– Złość, nienawiść i potrzeba zemsty mogła u niej narastać latami... – Zawiesił głos w teatralny

sposób.

– Aż w końcu wybuchła jak jakiś niewypał – dokończył podkomisarz. – Wiem. Też o tym myślę, ale jeszcze nie potrafię racjonalnie odpowiedzieć na to pytanie. Wszystko jest możliwe.

– Zdesperowany człowiek może dużo zrobić, może pokonać przeciwnika o wiele od siebie silniejszego. Oczywiście taki wysiłek jest krótkotrwały, ale możliwy.

– Faktycznie, ona fizycznie dałaby radę. Jest jednak jedno „ale”, nad którym musimy się zastanowić.

– Mów.

– Dlaczego nie zrobiła tego wcześniej? Dlaczego dopiero teraz, po tylu latach? Tak się zastanawiam... Ale może właśnie tutaj widzimy całą pułapkę psychiki człowieka. Kamienna twarz, mechaniczne ruchy jak u robota. Praktycznie zero mimiki, jak u kogoś, kto żył w odosobnieniu i nie zdążył sobie tego nigdy przyswoić. Albo jak u kogoś, kto pozbył się swojego człowieczeństwa i żył w surowym, wewnętrznym świecie.

– No właśnie to mnie zastanawia. Nie wzbudziło to u ciebie podejrzeń, to znaczy teraz? Że właśnie taka była? Nie wydaje ci się, że to wszystko staje się coraz bardziej logiczne?

– Jacek, byłem tu, widziałem ją. Owszem, surowa, zamknięta i wycofana. Ale takich osób jest cała masa. Co dziesiąta osoba jest poważna. I co, to dowód na to, że jest mordercą? Nie jestem jasnowidzem, skąd mogłem wiedzieć?

– Poukładana kobieta, do pewnego stopnia perfekcjonistka, spójrz chociażby na to mieszkanie – podkomisarz zatoczył ręką koło – to wszystko wydaje się do siebie pasować.

– Teraz może i tak.

– Kobieta, jak sam mówiłeś, która się nie uśmiecha, nie ma w sobie jakichś emocji, brakuje jej ciepła, żyje w całkowitym odosobnieniu, kamienna twarz niezdradzająca uczuć... Bo ich nie ma!

Na moment zawiesił głos, bo widział, że Iwanowicz zaczął go słuchać z nieskrywaną ciekawością.

– Te lata cierpienia i rozmyślania o tym, co się wtedy, tej feralnej nocy, stało, rozpały w niej żądze zemsty... To naprawdę zaczyna mieć sens.

– I co, z zimną krwią zamordowała trzech silnych facetów? Wyobrazasz to sobie? – Iwanowicz w głębi duszy czuł, że kolega może mieć rację, choć nie chciał w to wierzyć.

– Pamiętasz, co mówili medycy i nasi technicy? Jeden to był pijak, który ledwie stał na nogach. Widzisz jakiś problem, by go zabić? Przecież on mieszkał tuż obok, pięć metrów stąd. Znała jego życie, obyczaje, to, kiedy kładł się spać, a może i gdzie trzymał klucz od mieszkania. Druga ofiara, jej własny brat... Wiedziała o nim wszystko. Znała wszystkie słabości, to, jaki był, jak się zachowywał. Poza tym chorował. Miał chory kręgosłup. Sądzisz, że naprawdę trudno było zamordować slaniającego się na nogach starszego faceta?

– No a ten Próchnicki?

– A co za problem? Zabiła go, gdy ten był w ciemnym tunelu. Chyba nie jest aż tak trudno zakraść się po cichu i zadać kilka ciosów nożem, co? – przekonywał Gawłowski.

Przez chwilę się zastanawiał, a potem zaczął wyobrażać sobie każdą scenę.

– Masz rację, to jest wykonalne. Pamiętaj jednak, że mamy trochę informacji z miejsc zbrodni. Mamy zebrane ślady butów. Pamiętaj też o mężczyźnie, którego widywano snującego się nocą po ulicach Kowar. I też o tym, co widziałeś pod domem ofiary... Sam więc rozumiesz, że nie chce mi się w to wszystko wierzyć. Brzmi to zbyt nierealnie. Starsza kobieta mordująca z zimną krwią trzech mężczyzn... Jak w jakimś filmie.

– Że faktycznie tak to brzmi, ale przyznasz, że wszystko nam do siebie pasuje. No ale Marek, przede wszystkim pasuje nam to, czego szukaliśmy od samego początku.

– Czyli co?

- To, że miała bardzo dobry motyw.

– Liczne ślady wskazują, że zanim utonął, został mocno pobity. Naliczyłem osiem poważnych obrażeń na ciele. Kilka z nich jest zdecydowanie większych niż pozostałe. Potem kolejne już otarcia wskazują, że ciało szorowało po dnie, brzegu, mogło zahaczać o gałęzie przybrzeżne, których jak wiesz, w Bobrze jest pełno. Są ślady wody w płucach. Niestety, utonął niemal natychmiast po wrzuceniu do rzeki. Na moje oko to po takim pobiciu był zbyt słaby, by się uratować.

– Czyli został brutalnie pobity...

– Tak. Liczba śladów na ciele nie zawsze musi odpowiadać dokładnie liczbie uderzeń. To tak nie działa. Przecież można uderzyć człowieka kilka razy w to samo miejsce. Wtedy śladów jest mniej. Tyle że są o wiele wyraźniejsze. Nie trzeba dużo, by usmiercić takiego chłopca.

– Jak sądzisz, czym oberwał?

– Nie wiem. Na pewno nie dostał na gołą skórę, pewnie oberwał sporo razy przez ubranie. One tylko pozornie łagodzą uderzenie. To znaczy, może i słabiej odczuwa się sam cios, ale tak naprawdę za bardzo nie łagodzą obrażeń.

– Wolę jeszcze się upewnić: nie były śmiertelne?

– Nie, na pewno nie. Przyczyna zgonu jest dla mnie oczywista. Utonięcie, co do tego nie mam żadnych wątpliwości, jak przed chwilą wspomiałem. Niemniej chłopiec na pewno przed śmiercią wiele wycierpiał. Był tak mocno pobity i osłabiony, że nie miał sił wypłynąć na powierzchnię.

Komisarz zamknął oczy, milczał, choć wcale nie przynosiło mu to żadnego ukojenia. Ale nie umiał swoich myśli zachować dla siebie.

– Z jakiego powodu? Dlaczego?

– To już nie moja działka, chociaż pewnie gdybym dorwał skurwiela, to rozszarpałbym go na kawałki, wierz mi.

Z całej siły zdusił w sobie gniew, który w nim narastał z każdą chwilą. Czuł, że za chwilę rozsądzi go od środka. Uderzył z całej siły pięścią w ścianę. Poczł mrowienie, a potem ulgę. Dziwną ulgę.

Nie mógł się z tym wszystkim pogodzić.

Nie potrafił zrozumieć, dlaczego ten jedenastoletni chłopiec musiał zginąć. Jak do tego doszło?

Co się stało?

– Posłuchaj... Gdy dowiem się, kto to zrobił, obiecuję ci, że zadzwonię i ci o tym powiem. Pojadę tam, zakradnę się i własnymi rękoma rozwalę skurwiela. Zrobię wszystko, by cierpiał. By czuł niewyobrażalny ból. A potem niech się dzieje, co chce. Niech mnie osądzą, wsadzą. Mam to w dupie. Sprawiedliwość. Wymierzę ją, słyszysz? Wymierzę temu draniowi sprawiedliwość, sam osobiście. Rozkwazę mu mordę, a potem...

Zalewski nie odezwał się ani słowem, ale komisarz usłyszał to głośne i bezradne westchnięcie, które mówiło więcej aniżeli wszystkie słowa.

Niebo z brunatnego stawało się czarne, jakby za chwilę miała nadejść noc, choć tak naprawdę skwar wiszący w powietrzu wciąż nie chciał pożegnać dnia. Komisarz już prawie usypiał w fotelu, choć była dopiero dwudziesta. Oczy same mu się zamykały. Wiercił się nerwowo. Rozmyślał o śledztwie. W życiu by nie pomyślał, że sprawcą tych trzech morderstw była kobieta, która – jak sama mówiła – nie miała sił ani ochoty wychodzić z domu.

Przed oczami wciąż widział jej twarz. Wyniosłą, niemal arystokratyczną, która wyglądała tak, jakby została wyciosana z jednej bryły szlachetnego marmuru. Siedziała przy stole, trzymając równo ręce, niczym zdyscyplinowana, wzorowa uczennica.

Co skrywał jej umysł wtedy, gdy byłam u niej dwukrotnie? – pomyślał. Za pierwszym razem

wypytywał ją o sąsiada, którego dzień wcześniej pozbawiła w brutalny sposób życia. Kilkakrotnie wbiła nóż w jego ciało. Co wtedy czuła, patrząc na niego, odpowiadając na pytania i opowiadając o tym, że z sąsiadem nie miała kontaktu?

Kolejne spotkanie odbyło się wtedy, gdy dowiedzieli się o zamordowaniu jej brata. Siedział w jej mieszkaniu, myśląc, że rozmowa w czymś mu pomoże. Że dowie się od niej czegoś o życiu jej brata. Niestety, mylił się. W dużym uproszczeniu naszkicowała, jak wyglądało jego życie. Przedstawiła go tak, jak chciała, by go postrzegano.

Okazało się, że miała morderczynię na wyciągnięcie ręki. Tę, która z zimną krwią zabiła trzy osoby. Omamiała go słowami o swojej bezsilności, o tym, że na nic nie ma ochoty, że jest na rencie.

Zastanawiała go również, jak ona sama ich nazywała? Gwałcicielami? Bestiami, które pozbawiły ją godności? Które sprawiły, że na zawsze przestała być kobietą, również dla samej siebie; szlachetną, taką, jaką chciała pozostać na zawsze – pozbawioną skazy, poukładaną? I dlatego ich zabiła z zimną krwią? Brutalnie. Tak by aż zahuczało w całej okolicy. Tak by każdy się dowiedział. I by wszyscy się przestraszyli i na zawsze zapamiętali to wydarzenie? W imię wolności, wyzwolenia się oraz pokazania, że każdy gwałt będzie sprawiedliwie pomszczony?

Iwanowicz przeszedł do kuchni po piwo, ale w tej samej chwili usłyszał dźwięk telefonu. Leżał na stole i przesuwiał się wokół własnej osi pod wpływem wibracji.

Podejrzewał, że to Gawłowski. Odebrał i czekał, aż sam się pierwszy odezwie.

– Marek, wciąż jedna rzecz nie daje mi spokoju – rzekł od razu.

– Co?

– Chyba za szybko w to wszystko uwierzyłem.

– Jaśniej, jest późno i nie chcę bawić się w łamigłówki i odgadywanie twoich myśli – powiedział.

Jego głos był równie suchy jak powietrze, którym od kilku dni oddychał.

– W tym wszystkim wciąż jest pewna nieścisłość. Dlatego dzwonię.

– Wyobraź sobie, że doceniam to bardzo, ale wyrzuc to z siebie.

– Pamiętasz tę noc, kiedy po raz pierwszy byliśmy u tego Próchnickiego?

Komisarz wydał z siebie niezrozumiały dźwięk na potwierdzenie, bo nie chciało mu się odzywać.

– Widziałem wtedy jakiegoś faceta przed domem. Cały czas pozostał on w naszych myślach jako zabójca. Takiej też osoby od samego początku szukaliśmy. I co, teraz nagle się okazuje, że wszystko to nam się przywidziało? Że to wszystko to jakaś cholerna fatamorgana? Że nam się przysnił?

Komisarz zamknął oczy i wziął kilka łyków lodowatego piwa. Przepłynęło przełykiem, przynosząc chłód. Po raz pierwszy od wielu dni zrobiło mu się przyjemnie.

– Nie wiem. Jutro też jest dzień, spotkamy się z samego rano w komendzie i omówimy wszystko na nowo. Trzeba jeszcze raz wszystko zbadać. Zbierzemy do kupy to, co mamy, i zobaczymy, co z tego wyjdzie.

– Trochę mi już głowa od tego pęka. Ale nie daje mi to spokoju. – W jego głosie pobrzmiwała rezygnacja i brak pewności siebie.

– Mnie też, aczkolwiek sam widzisz, że fakty mówią za siebie. Wszystko, co do tej pory zebraliśmy, musimy teraz zweryfikować. Na razie nie możemy wykluczyć obu tych wersji. Fakty pozostają faktami, w mieszkaniu Pileckiej znaleźliśmy dowód na to, że w przeszłości została zgwałcona. Miała motyw? Miała. Pozostajemy przy tym, że to ona ich zabiła. To jest pewne na dziewięćdziesiąt dziewięć procent. Przeanalizowałem wszystko kilka razy. Wszystko jest aż nadto logiczne. Chyba już bardziej się nie da.

– Dobra, trochę mnie uspokoiłeś.

– Masz jakieś informacje z Kowar?

– Dzwonił do mnie niedawno Jastrzębski. Wciąż jej szukają. Postawili miasto na nogi.

Rozpytują, gdzie się da. Sąsiedzi z kamienicy naprzeciwko nic nie wiedzą. Ostatnio widzieli ją wczoraj, gdy szła z zakupami. Sam mówiłeś, że rzadko wychodziła z domu. Od tamtej pory przepadła jak kamień w wodzie. Rzońca widział ją z samego rana i od tamtej pory nie ma po niej śladu. Przekazali też informację kierowcom PKS-u, jeleniogórskiej kolei, szpitalom. Wszędzie, gdzie się dało. Nasze patrole na bieżąco informują taksówkarzy. Co jeszcze mamy zrobić?

– Co z jej rodziną, wiadomo już coś?

– Ustalają, czekamy. Może później dostaniemy jakieś informacje. Chyba sam zaraz tam pojedę, może w czymś pomogę, bo dłużej tu spokojnie nie usiedzę. Roznosi mnie, Marek. Zobaczymy, gdy tylko czegoś się dowiem, zadzwonię. Może chociaż ty odpocznij, ja zajmę się resztą.

Zakończyli rozmowę. Iwanowicz poszedł po kolejne piwo i rozłożył się w fotelu. Wciąż przed oczami miał wycinki z gazet. I ten album zdobiony kwiatami, w którym znajdowały się wszystkie odpowiedzi.

A później zaczął myśleć o kolejnym śledztwie. O utonięciu chłopca. Szykował się do rozmowy z rodzicami dziecka. Wszystko to wirowało mu w głowie, nie pozwalając się skoncentrować i zrelaksować. Po parunastu minutach poszedł do pobliskiego sklepu i kupił kilka piw.

Wracając do domu, zdążył już jedno wypić. Po wejściu do mieszkania otworzył następane.

Wpatrywał się bezmyślnie w jakiś film. Po pewnym czasie oczy zamknęły mu się same i zasnął. Śniło mu się, że wyjechał daleko, do krainy pełnej wody i zieleni. Było w niej dokładnie tak, jak dawni poeci opisywali sielankę na wsi. W takim miejscu znikają problemy i zmartwienia. Miejsce idealne, w którym żyło się tym, co teraz, i tym, co dobre.

Chodził między drzewami, jakimiś niewielkimi krzakami, szukając czegoś, co ciągle nie dało się uchwycić. Wiedział, że czegoś musiał szukać. Biegał, wciąż czegoś wypatrując, ale nie wiedział po co i w jakim celu.

Obudził się po niespełna godzinie. W oddali pojawiły się błyski burzy, zaraz potem usłyszał grzmoty, jakby ktoś z ogromnej wysokości rzucał głazy na pakę auta ciężarowego. Wytarł mokre od potu czoło. Sen jak zwykle irracjonalny, pomyślał.

W mieszkaniu wciąż było gorąco. Sięgnął po telefon. Miał nadzieję, że nadchodząca burza przegoni resztki upalnego powietrza i zastąpi je bardziej rześkim, by wreszcie można było swobodniej oddychać.

Wybrał numer i czekał. Po kilku sygnałach usłyszał cichy i zmęczony kobiecy głos.

– Tak, słucham.

– Dobry wieczór, komisarz Marek Iwanowicz z Jeleniej Góry. Przepraszam, że dzwonię tak późno.

– Ach, to pan. Nic nie szkodzi, co prawda zaraz się wybieramy do kina, ale jeszcze mam parę minut. W czym mogę panu pomóc?

– Właściwie pani nazwisko było ostatnio na liście pośród osób, które mogłyby mi pomóc. Udało nam się ustalić, kto jest zabójcą pani ojca, Henryka Rostowskiego oraz Ryszarda Próchnickiego.

Nastąpiła cisza. Dokładnie tego się spodziewał. Nie wiedział dlaczego, ale to właśnie była ta chwila, gdy człowiek dowiadywał się prawdy i musiał odczekać, by to do niego dotarło. Albo żeby upewnić się, czy dobrze usłyszał.

– O Boże... – powiedziała cicho. Jej głos był niemal na granicy słyszalności. Brzmiał tak, jakby nie chciała, by ktoś ją usłyszał albo jakby wstydziła się własnego głosu, pomyślał.

Czekał, aż się odezwie. Trwało to kilkanaście sekund i gdyby nie to, że przez przypadek chrząknął, być może nigdy by się nie odezwała.

– Kto? Kto to zrobił? – Między pytaniami zrobiła kilkusekundową przerwę.

– Nie jest mi to łatwo powiedzieć, ale ze wszystkich dotychczasowych ustaleń śledczych,

zebranych materiałów dowodowych, poszlak oraz samego motywu wynika, że Janina Pilecka. Sasiadka pani ojca.

Nie odezwała się. Spojrzał na wyświetlacz telefonu, bo niczego nie słyszał, ale nie rozłączyła się. Połączenie wciąż trwało.

Milczenie. Nie widać rozmówcy, nie widać gestów ani okazywanych emocji. Musiał czekać, aż się odezwie, a nie chciał jej pospieszać, bo mógł stracić swoją rozmówczynię. W każdej sekundzie mogła się rozłączyć.

– Skąd? Jak się tego dowiedzieliście?

– Janina Pilecka zniknęła. Dosłownie rozplynęła się w powietrzu i nigdzie nie możemy jej znaleźć. Chciałem z nią porozmawiać o jej bracie, ale kiedy do niej pojechaliśmy, okazało się, że zniknęła. Wiemy, że od lat właściwie nie wychylała nosa poza swoje mieszkanie. Czekaliśmy, aż wróci do siebie, ale trwało to zbyt długo. A ponieważ jest spokrewniona z jedną z ofiar, uznaliśmy, że i jej mogło się coś stać. Nie mogliśmy czekać, więc weszliśmy do jej mieszkania.

– I tam dowiedzieliście się całej prawdy o niej.

Znów powiedziała tak, by nie było słychać jej głosu. Może ktoś obok niej stał i nie mogła mówić głośniej. Komisarz jednak mógłby przysiąc, że dobrze usłyszał jej słowa.

– Słucham?

– Wszystko już wiecie... Poznaliście tę całą koszmarną przeszłość.

– Jaką koszmarną przeszłość? O czym pani mówi?

– Tego miejsca. Tego wszystkiego.

– Nie rozumiem.

Znowu musiał długo czekać na odpowiedź.

– Panie komisarzu, domyślam się, że znaleźliście w jej mieszkaniu coś, coś istotnego, że zmieniłaście nagle o niej zdanie, czy mam rację? – Nie był pewien, do czego zmierzała ta rozmowa, ale wszystko wskazywało, że Janiszewska o wielu rzeczach wiedziała.

Wszystko, co znaleźli w jej mieszkaniu, było poufną informacją i dla dobra śledztwa nie powinien o tym mówić, ale podjął decyzję, że zaryzykuje. Szczerść i zaufanie w zamian za to samo. Nie miał nic do stracenia.

– Tak, znaleźliśmy album z wycinkami z gazet. Wszystkie pochodziły z lat osiemdziesiątych. I wszystkie dotyczyły gwałtu na kobiecie. Potrójnego gwałtu. Każdy wycinek dotyczył tej sprawy. Nikt, absolutnie nikt ze śledczych nie ma wątpliwości, że Janina Pilecka zamordowała tych ludzi z zemsty. W tym, niestety, pani ojca.

– Co się teraz z nią stanie, co ją czeka? – zmieniła temat.

– Tego nie wiem, nie wchodzę w kompetencje prokuratury ani sądu. Na razie musimy ją znaleźć. To jest dla nas najważniejsze. – Chciał jeszcze coś powiedzieć, ale zawahał się. Cekał, aż teraz ona coś powie. Wodził wzrokiem po ścianie znajdującej się na wprost, na równo powieszzone zdjęcia w antyramach i niewielkie obrazki, które przywoził z zagranicznych wycieczek. Wszystkie wisiały w równych odstępach, kilkanaście centymetrów nad płaskim telewizorem, który też umieścił na ścianie. Białe-czarne zdjęcia pustyni, zatok, lasów przywoływały wspomnienia i lepsze chwile w jego życiu. Może i najlepsze, pomyślał.

– Wciąż nie mogę w to uwierzyć. Nie mogę dać wiary w to wszystko, co się stało. Że miała tyle siły, determinacji, no i przede wszystkim tak ogromne pragnienie zemsty. Takiej, tak brutalnej. To wszystko... – Zawiesiła głos, jakby w tym czasie musiała przelknąć gorzką prawdę. – To wszystko przypomina sen. Taki nierealny. Oddalony, niemal wymazany z pamięci.

W tym samym czasie przed oczami pojawił mu się obraz miasteczka. Tak znieawidzonego. Czarne, ciemnego, szorstkiego, które kryło brutalne tajemnice. Głęboko schowane.

Nie odzywał się. Cekał, aż będzie mówiła dalej. To nie był żaden z jego chwytów ani też

sposób na wyciąganie z niej informacji. Myślał i analizował wszystko to, czym dysponowali, starając się patrzeć na to chłodnym okiem. Na miasto, na ludzi, na te zbrodnie.

Wstał i zaczął niespokojnie chodzić po pokoju. Otworzył okno, ale po kilku sekundach zamknął, bo momentalnie zaczęły wlatywać muszki i komary.

Wciąż nie dawało mu to spokoju, dlaczego po tylu latach zdecydowała się użyć ostatecznego ciosu, po którym nic już nie będzie takie samo. Dlaczego? I jak?

– Też nie możemy w to uwierzyć, ale niestety, stało się. Nierealne stało się faktem. Na razie jesteśmy na etapie ustalania...

Przerwał, gdy usłyszał jej głos. Weszła mu w zdanie.

– Dowiedziałam się o tym dopiero, gdy dorosłam.

– Słucham? – Miał wrażenie, że się przesłyszał.

– Dowiedziałam się o tym zupełnie przypadkiem podczas rozmowy moich kolegów. Byłam już w liceum, właściwie to pod koniec. Siedzieliśmy któregoś razu na mieście i piliśmy piwo. Może nawet za dużo wypiliśmy. Jak to młodzi ludzie w piątkowy wieczór. Rozmawialiśmy o wielu rzeczach, o imprezach, filmach, o tym, jak spędzimy sobotę, czego aktualnie słuchamy w walkmanach. Zwyczajne gadki.

Iwanowicz krzątał się z kąta w kąt nerwowo, bo nie mógł znieść gorąca. Wszedł do swojego gabinetu, w którym panowały ciemności, zamknął za sobą drzwi, by nie wpuścić ani odrobiny światła, a potem wyszedł na balkon.

– I to stało się właśnie wtedy, gdy oświadczyłam, że muszę wracać do domu. Jeden ze znieawidzonych przez mnie tak zwanych kolegów, a był mocno pijany, powiedział, żebym uważała na swojego starego. Ale zrobił to na osobności, nie chciał, by inni słyszeli. Dokładnie użył takich słów. Nie wiedziałam, o co chodziło, czułam się trochę zdezoriantowana. Myślałam, że powiedział to ot tak, że głupio sobie żartował. Stałam w miejscu i czekałam na ciąg dalszy. Pamiętam to jak dziś. A potem ni stąd, ni zowąd dodał coś, czego nigdy nie chciałam usłyszeć. Nigdy...

– Co takiego?

– Powiedział mi o tym wszystkim.

– Skąd on to wiedział? Jak się dowiedział?

– Proszę nie zadawać głupich pytań – rzuciła pretensjonalnym tonem. – Myśli pan, że Kowary i okolica to jakiś cholerny Nowy Jork? Tam gwałty są na porządku dziennym, pewnie setki dziennie. Ale nie w tym miasteczku! Zbrodni w przewinie nie da się ukryć, one wiszą w powietrzu latami, w opowiadaniach, w plotkach czy przestrojach. Trwają i nie gasną. Choć ci, którzy mają o tym nie wiedzieć, pewnie długo byli przed tym chronieni...

Przestała mówić. Urwała, jakby coś się stało.

Przez moment miał wrażenie, że zaplakała. Oczami wyobraźni widział płynące po policzku łzy. Usłyszał ciche skomlenie. Mógłby przysiąc, że w tym momencie usiadła i skuliła się w sobie. Odczekał kilkanaście sekund, a może więcej. Głośnik w telefonie przekazywał mu tylko ciche odgłosy, oddawał wiernie tę ciszę, za którą kryła się dawna rodzinna tragedia. Milczał. Nie chciał jej poganiać, nie wypadało. Czekał, aż zbierze się w sobie i będzie mówiła dalej. Po jakimś czasie odezwała się.

– Moja matka robiła wszystko, bym się o tym nigdy nie dowiedziała. – Matka, powtórzył w myślach. Wiedziała o wszystkim, ale chroniła własne dziecko przed brutalną prawdą.

– I pewnie by tak było, gdyby nie pani znajomi. Ten przeklęty kolega – dodał. Nie wiedział, czy chciał ją pocieszyć, czy stwierdzić brutalny i gorzki fakt.

– Może i ma pan rację. – Mówiła głosem skrzywdzonej kobiety. Jeszcze parę minut temu miała radosny i spokojny ton, a teraz brzmiał jak głos osoby cierpiącej, która mówiła resztkami sił. – Wiem też, że matka wypierała to z pamięci. Ojciec był gwałcicielem, owszem, ale nie potrafiła od

niego odejść. To wszystko stało się, gdy był młody, głupi, pijany... przynajmniej tak sobie to tłumaczyła.

– Pani matka chroniła panią przed złem, ale niestety też przed prawdą. Co się stało później, co pani zrobiła, co czuła?

– Co czułam? To było jak uderzenie obuchem w głowę. Do niczego innego nie da się tego porównać, bo dokładnie tak się czułam. I tak to zapamiętałam. Ból istnienia. Jedno wielkie cierpienie. Te dwa słowa najtrafniej oddają to, co czułam. Nie chciało mi się żyć, nie potrafiłam sobie z tym poradzić, ale wiedziałam, że jakoś muszę, nie mogę się poddawać i za wszelką cenę trzeba uciec z tego miejsca. Jak najdalej. Zamknęłam się, odizolowałam od otoczenia i pomyślałam, że mogę zacząć nowe życie. U boku kogoś normalnego, ze zwykłą przeszłością i stosunkowo normalnymi celami na przyszłość. A nie w jednym domu z gwałcicielem. Pod jednym dachem z bestią.

– Dlaczego wcześniej mi pani tego nie powiedziała?

– Bałam się – odparła po krótkim wahaniu.

– Czego? A może kogo?

– Nie wiem, po prostu się bałam, i tyle, nie wiem, czy umiem to uzasadnić. To był mój odruch. Jeśli czegoś się boję, to tego unikam. Udaję, że tego nie ma... A wtedy gdy kilka dni temu zadzwonili do mnie policjanci z Kowar, by powiedzieć, co się stało, od razu poczułam strach. Nie musieli właściwie nic mówić. Na nowo, niemal w sekundę przypomniła mi się przeszłość. Poczulałam, że mogło to mieć coś wspólnego z tym, co kiedyś zrobił mój ojciec. Wszystko to, co zostawiłam, co porzuciłam, powróciło w jednej sekundzie. Boże... Wie pan, kiedyś... Kiedyś myślałam, że jeśli wyjadę do Warszawy, to będzie odpowiednia odległość, by o tym wszystkim zapomnieć. Że wyrzucę to z pamięci, odejdzie. Zapomnę i już nigdy w życiu do tego nie wrócę. Dopiero teraz, po latach okazało się, że się myliłam. Odległość nie jest w stanie zasklepić tych ran. Tylko pozornie pozwala zapomnieć o przeszłości.

Iwanowicz zastanawiał się, dlaczego żadna z nich ani nikt z bliskiego otoczenia nie miał odwagi o tym powiedzieć, ujawnić wszystkim dokoła, co się wtedy stało. Kim naprawdę był Groński. Obie kobiety mogły wspólnymi siłami zrobić coś, by ten człowiek nie zaznał więcej wolności. Chwilę się zastanawiał, a potem uznał, że powód, dla którego tego nie zrobiły, zapewne był prozaiczny: bały się, że jeśli im się nie uda, to się dla nich źle skończy. Że zamieni ich życie w jeszcze gorsze piekło.

– Proszę wybaczyć, panie komisarzu, ale muszę już kończyć. Mąż stoi nade mną i pokazuje na zegarek. Przepraszam, że musiał pan tego słuchać, nie chciałam, naprawdę przepraszam... Przepraszam za wszystko.

Usłyszał przerywany sygnał w słuchawce. Rozłączyła się.

Nie chciał dzwonić ponownie, bo pewnie zignorowałyby jego połączenie. Poza tym nie miał na razie pomysłu, o co mógłby zapytać. Wszystko stało się jasne. Rozumiał ją. Każdy postąpiłby na jej miejscu tak samo. Sam też uciekłby z tak koszmarnego miejsca, które już na zawsze pozostanie najgorszym wspomnieniem. Miała okazję wyjechać na zawsze, więc skorzystała. Wcale by go nie zdziwiło, gdyby Anita Janiszewska już nigdy nie pojawiła się w Kowarach. Podejrzewał, że może nawet nie pojawi się na pogrzebie ojca. Bo dlaczego miałyby rozdrapywać stare rany? Po co miała do tego wracać?

Przez następną godzinę leżał w łóżku i słuchał muzyki. Relaks wychodził mu marnie, ponieważ myśli krążyły wokół najdrobniejszych szczegółów obu śledstw. Trudno było się od tego wszystkiego oderwać, a jeszcze trudniej udawać przed samym sobą, że można swój wolny czas spędzać normalnie, tak jak inni. Cokolwiek by ta normalność oznaczała, nie mógł uciec od dręczących go myśli. Wirowało mu to wszystko w głowie z zawrotną prędkością. Przed oczami widział popelnione

z zimną krwią zabójstwa w Kowarach, które wizualizowały mu się w postaci scenek. Wyludnione ciemne miejsca. Suche i gorzkie fakty. Urywane słowa. Oczami wyobraźni dostrzegał pogubionych i wystraszonych ludzi.

Ale nie opuszczało go też drugie śledztwo – śmierć młodego chłopca, Karola. Tak bardzo ciążyło mu i nie dawało spokoju, że miał ochotę zaraz pojechać i porozmawiać z jego rodzicami. Ale co by to dało? Czy rozmową cokolwiek zmieni? Jedną, nawet kilkoma? Musiał zabrać się do tego solidnie. Przygotować się, jeszcze raz zapoznać z dokumentacją, a potem wytypować miejsca, od których należało zacząć poszukiwania śladów. Namierzyć świadków, sprawdzić jego szkołę. Od początku i solidnie.

Wstał i poszedł po kolejne piwo. Miał ochotę się upić, by choć na moment zapomnieć. Nigdy nie upijał się, prowadząc śledztwo. Zawsze sobie ze wszystkim radził i rzadko uciekał w alkohol. Dziś jednak czuł zbyt duży ciężar. Wszystko mu stało w gardle, jakby od kilku dni nie mógł czegoś przełknąć. Pomyślał, że być może kilka piw pozwoli mu zapomnieć i przywołać z powrotem normalność, ten porzucony w ostatnich dniach stan, za którym tęsknił. Ten czas, który spędzał po pracy. Samotnie, w zaciszu swojego mieszkania. Schowany i od wszystkiego odcięty. Gdzieś na styku wolnego czasu i samotności. Gdzieś pomiędzy, w szczelinie.

Marzył o tym, by odzyskać życie prywatne, które miał, a może tylko próbował mieć. Może cały czas tylko udawał przed samym sobą, że je prowadził, że ten swój pielęgnowany prywatny czas po godzinach pracy jest tym wymarzonym.

W istocie wiedział, że to nieprawda. Wiedział, że się oszukuje.

Z każdą myślą, zwłaszcza przy tak brutalnym śledztwie, wzrastało jego zdenerwowanie i złość. Każda myśl była tylko kolejnym ciosem wymierzonym w jego spokój i życie osobiste, powodując, że stawało się ono pustką. Przeszło dziesięć lat w chwilach słabości i cierpienia właśnie tak to nazywał. Pustką. Może tylko udawaną próbą skrycia tego, co wydarzyło się w przeszłości.

I co na zawsze odebrało mu osobowość. Bo właśnie od lat tak się czuł – jak człowiek bez pełnej tożsamości.

Zbudził go szum ulewnego deszczu, który szalenie głośno dudnił we wszystkie blaszane elementy budynku. Zrobiło się tak hałaśliwie, jakby w pobliżu przejeżdżał pociąg, wydając z siebie jednolity odgłos.

Obudził się z potwornym bólem głowy. Skronie pulsowały mu tak mocno, że musiał je przycisnąć, by go załagodzić.

To na pewno zmiana ciśnienia, pomyślał. Czuł się, jakby przespał kilka dni. Przez kolejne minuty nie wiedział, co się działo ani gdzie był. Próbował wstać, ale tułów nie chciał postawić się w pionie. Po kilku próbach wygramolił się z łóżka. Kręciło mu się w głowie tak mocno, że musiał przytrzymać się ściany. Wziął kilka głębokich wdechów, otworzył okno.

Poszedł do kuchni. Pomieszczenie było duże i przestronne. Główną ścianę w kuchni zdobiły jasne kafle. Nowoczesne wyposażenie lśniło czystością. Obok kosza na śmieci stało sześć puszek po piwie i butelka po winie.

Na zegarze było po czternastej.

– Kurwa mać – zaklął. Zorientował się, co się wczoraj działo. Upił się do nieprzytomności i przespał prawie cały dzień. Przeklinał w myślach, ganiąc siebie za to, co zrobił. Zebrał się w sobie, a potem wziął zimny prysznic. Później otworzył wszystkie okna, by wychłodzić mieszkanie. Krzątał się, chodząc bez celu. Chciał koniecznie uśmierzyć ból, ale nie wiedział jak.

Nieustannie kręciło mu się w głowie, jakby wciąż nie wytrzeźwiał. Łyknął dwie tabletki przeciwbólowe, a potem poszedł do stołu, na którym zostawił telefon. Z oddali dostrzegł, że komórka leżała na podłodze. Telefon musiał tak długo dzwonić, że pod wpływem silnych wibracji spadł ze stołu. Na szczęście był cały. Iwanowicz usiadł, bo nie był w stanie stać o własnych siłach.

Spojrzał na wyświetlacz. Jedenaście nieodebranych połączeń. Cztery z komendy i siedem z komórki Gawłowskiego.

– Niech to szlag... – powiedział do siebie, wybierając ostatni numer.

Mińnię parę sekund i usłyszał głos Gawłowskiego.

– Jezu, wreszcie! Marek, co się tam dzieje? Gdzie jesteś? Umarłeś czy co? – pytał z pretensją podkomisarz.

– Prawie. Byłem blisko. Strasznie popilem. Właściwie to nic nie pamiętam. Kompletnie nic. Nawet nie wiem, kiedy poszedłem spać. Chyba mi się film urwał.

– Bałem się, że coś ci się stało. Zwłaszcza że ostatnio miałeś te ataki... Byłem u ciebie nad ranem, waliłem chyba z dziesięć minut. Ale nic. Pod domem stało auto, więc wiedziałem, że nigdzie nie wyjechałeś. Pewnie gdybyś nie zadzwonił dzisiaj, to wezwałbym ekipę, żeby wylamali drzwi. Sam bym nie dał rady, przecież twoje mieszkanie jest jak forteca. Kurczę, aleś mi strachu napędził.

– Dzięki za troskę, ale chyba nie chciałeś się ze mną spotkać, bo tak bardzo się stęskniłeś, co? Co się dzieje?

– Sąsiedzi naprzeciwko.

– Co? Jacy sąsiedzi?

– No ci z Kowar.

– Mów jaśniej. I powoli. Ja właśnie przed chwilą znartwychwstałem. Zaraz idę spać dalej.

Ledwo żyję.

– Sąsiedzi, mieszkający w kamienicy obok.

– Co z nimi?

– Udało nam się ustalić, że Janina Pilecka regularnie wyjeżdża. Tak, nie musisz nic mówić. Mimo że nosa nie wychyla z własnego domu, regularnie raz na kilkanaście dni wyjeżdża na cały dzień.

– I co w tym dziwnego?

– To jest właśnie najciekawsze.

– Oszczędź mi zgadywanek – rzekł i ściszył głośność w słuchawce, bo słowa kolegi brzmiały zbyt piskliwie.

– Siedzisz?

– Tak, ale nawet to mi z trudem wychodzi.

Głos w słuchawce się urwał. Iwanowicz nie wiedział, czy zerwało połączenie, czy coś się stało. Usłyszał kolejny grzmot burzy, aż ściany zdrząły. Przez chwilę nie było nic słychać w telefonie.

– Halo, jesteś?

– Tak, coś nam przerywa. Słuchaj, lepiej się przygotuj, bo mam szokujące wiadomości.

Iwanowicz drugą ręką zaczął sobie masować skroni. Ucisk dawał trochę ulgi.

– Mów.

– Janina Pilecka ma syna. Nikt z sąsiadów nigdy go nie widział ani nie wie, gdzie jest.

– Możesz to powtórzyć?

Poczuł się tak słabo, jakby miał zaraz zemdleć. Wypił wczoraj zdecydowanie za dużo jak na swoje możliwości. Do tego doszło zmęczenie i gwałtowna zmiana pogody. Tyle wystarczyło, by czuł się jak dętka.

– Pilecka ma syna, ale nikt nie wie, gdzie jest ani co robi. Nikt, to znaczy nikt w Kowarach.

Coś tam szeptano, coś mówiono, ale ogólnie to temat tabu. Jakaś zmowa milczenia. Czaisz? Gdy się o tym wszystkim dowiedzieliśmy, zacząłem działać. Kowarscy policjanci miło mnie zaskoczyli, bo odwalili kawał dobrej roboty.

– Dobra, szczegóły mnie nie obchodzą. Co ustaliliście?

– Że jej syn był wychowywany przez znajomą Pileckiej, która mieszka kilka kilometrów od Kowar. Wieś nazywa się Bukowiec. Tam też chodził do szkoły podstawowej.

– Wiem, kojarzę miejscowość. Taka dziura, kilka kilometrów od Jeleniej.

– Właśnie. Tam pomieszkiwał paręnaście lat, ale nie dało się go... Uspołecznic.

– Poczekaj, poczekaj, mówisz za szybko. Co masz na myśli? W jakim sensie uspołecznic? Wolniej.

– Z tego, co nam wiadomo, co chwila popadał w jakieś konflikty, nie mógł, a właściwie nie potrafił żyć wśród ludzi.

– To znaczy?

– Już jako dziecko wykazywał skłonność do przemocy. Bił wszystkich, szarpał się z innymi. Buntował się przeciwko wszystkiemu. Został gruntownie przebadany. Okazało się, że chłopak jest mocno zaburzony jak na swój wiek. Lekarze rozpoznali w nim pewne skłonności do sadyzmu.

– Chcesz mi powiedzieć, że był... Chory psychicznie?

– Nie był, ale jest. To znaczy, cholera, nie znam się na tej całej terminologii, nie skończyłem studiów psychologicznych, ale wiesz, co mam na myśli. Chłopak był totalnie postrzelony jak na swój wiek. Od zawsze był agresywny i miał skłonność do przemocy.

Komisarz poczuł na karku zimny powiew przeciągu, który błyskawicznie wdarł się do mieszkania. Ulżyło mu, wreszcie odpocznie od tych przeklętych upałów, które najchętniej wysłałby do wszystkich diabłów, czyli tam skąd się wzięły.

– Co potem się z nim stało?

– Niewiele wiadomo, bo czekamy na dokumentację medyczną. Z tego, co jednak wiem, wciąż przebywał w szpitalu psychiatrycznym i na różnych terapiach. Co jakiś czas, gdy tylko widać było poprawę, wracał na przepustkę do swojej matki. Tak naprawdę ona nie była jego matką, ale tak się o niej mówiło.

– Kim był ojciec?

– To jest właśnie najciekawsze. Do tej pory tego nie ustalono. W dokumentach figuruje, że ojciec nieznanymi.

– Ile ten chłopak ma lat?

Usłyszał, że Gawłowski zaczął grzebać w dokumentach, bo słychać było szelest kartek.

– Dwadzieścia pięć.

– Urodził się więc...

Iwanowicz wstał i podszedł do okna. Spojrzał na swój samochód zaparkowany pod drzewem, który opierał się atakowi deszczu. Na czarnym dachu leżały połamane małe gałęzie i liście.

– Myślisz o tym samym co ja?

Gawłowski milczał. Niczemu nie zaprzeczył ani też niczego nie potwierdził.

– Nieco wcześniej zgwałcono Pilecką – dodał komisarz. Odsłoniły się przed nimi nowe i nieznane fakty. Kolejny element układanki. – Gdzie teraz jesteś?

– Na komendzie. Niedawno wróciliśmy z Bukowca. Przesłuchaliśmy tę kobietę. Nazywa się Regina Górska. Powiedziała, że Krystian, ten jej przyszywany syn, wyszedł parę dni temu na przepustkę, bo sama go odbierała ze szpitala.

– Gdzie on teraz jest?

– W tym sęk. Zniknął zaraz po przyjeździe do domu. Kobieta nie ma pojęcia, gdzie on jest. Powiedział, że idzie pospacerować, a potem rozplynął się w powietrzu. Od trzech dni nie było go w domu. Zniknął, ale mimo to bała się iść na policję, by zgłosić jego zaginięcie. Podejrzała, że wrócił do szpitala, jednak bała się tam dzwonić. Obawiała się, że może tylko narobić zamieszania i niepotrzebnych komplikacji swoim telefonem. Czekala więc. Aż zjawiliśmy się my. Niespodziewanie.

– Podejrzewasz, że to on zrobił?

– Marek, ja nie podejrzewam. Ja mam pewność. Ona też. Każdy.

– Jak to?

– Wszystko nam wyjaśniła. Trochę musieliśmy ją przycisnąć i sama się wygadała. Wypytyaliśmy o wszystko, dosłownie. Byłem już tak wściekły, że zapytałem, czy Krystian wiedział, kto jest jego ojcem. Zagrałem trochę. Odparła, że nie, ale wyczułem, że nie mówi prawdy. Potem po jakimś czasie pękła. Zaczęła płakać i powiedziała nam w końcu o wszystkim.

– To znaczy o czym?

– Nie ukrywała już niczego, bo wiedziała, że będziemy go podejrzewali i że wszystkiego się dowiemy. A wiesz przecież, że formułka ze składaniem fałszywych zeznań niemal zawsze działa na wystraszonych ludzi.

– Mów wreszcie, czego się od niej dowiedzieliście!

– Gdy chłopak był już dorosły, czyli kiedy skończył osiemnaście lat, ni stąd, ni zowąd zaczął nagle dopytywać o swojego ojca. Zaskoczył ją tym pytaniem, bo od zawsze, od dziecka, mówiła mu, że jego ojciec nie żyje. Ale coś nie dawało mu spokoju. Czuł, że to nieprawda. Zapytał ją, dlaczego nigdy nie chodziła na jego grób. Dlaczego nigdy nie pokazała mu grobu jego własnego ojca. No i brakowało odpowiedzi. A to był impuls, by pomyśleć, że kręci i coś przed nim ukrywa. Naciskał ją bez przerwy. Aż wreszcie nie wytrzymała. Wydusił z niej prawdę. Rozumiesz? Coś sobie zakodował, ubzdurał w tej głowie. No i dopiął swego. Przyznała się, tu na komendzie, że zmusił ją do tego siłą. Nie chciała mu tego nigdy mówić. Chciała na zawsze ukryć to przed nim. Ukryć to wszystko... Ale się nie dało. Przyznała się, że nie jest jego prawdziwą matką. Że jest on dzieckiem innej kobiety, jej kuzynki, która sama przed wieloma laty próbowała pozbiierać się po tym zdarzeniu. Zmieniła nazwisko, a potem oddała go jej na wychowanie. Chłopak, gdy to usłyszał, wpadł w jakąś dziką furję. Strasznie go przeżył, podobno zaczął demolować cały dom, dostał szału i zażądał, by jego prawdziwa matka jak najszybciej przyjechała do domu, do Bukowca. Chciał poznać Pilecką. Zresztą

zmusił ją do tego.

– Siłą?

– Poniekąd... Kazał jej, by natychmiast zadzwoniła, inaczej zrobi coś złego. No a potem wszystko potoczyło się po jego myśli i doszło do spotkania. A właściwie do konfrontacji. Oczekiwał tylko prawdy. Obie kobiety opowiedziały mu o wszystkim. Dzieciak poznał całą tę przekłętą historię. Historię potrójnego gwałtu, domnianego ojcostwa... – Zawiesił na chwilę głos. Iwanowicz wsłuchiwał się w słowa kolegi i jak zahipnotyzowany nie odrywał wzroku od mieniającej się od deszczu jezdni. – Tak sobie myślę, że im groził, dlatego mu powiedziały. Dwie wystraszone i bezbronne kobiety. Nie umiały tego ukryć. Sądziły, że jeśli powiedzą mu całą prawdę, już bez kłamstw, bez udawania i wymyślania historyjek, to oczyszczą atmosferę. Może naiwnie sądziły, że potem wszyscy rzucą się sobie w ramiona i sprawa dobrze się skończy. Jak w jakimś, cholera, filmie.

Iwanowicz wciąż nie wiedział, co powiedzieć. Liczył, że nie będzie musiał tego komentować.

– No ale stało się inaczej. Wiemy to też od Reginy Górskiej, że po tym wszystkim, gdy chłopak usłyszał całą tę prawdę, kompletnie się załamał. Całkowicie podupał na zdrowiu psychicznym. Dodała też, że Krystian od dziecka czasami dziwnie się zachowywał. Już w szkole sprawiał problemy. Początkowo nauczyciele wszystko zrzucali na karb dojrzewania, bo nie dość, że się bardzo źle uczył, to jeszcze ciągle były z nim problemy. A to ucieczki z lekcji, a to sporadyczne kradzieże, a to zdarzało mu się kogoś pobić. Lata mijały, lecz chłopak wcale nie łagodniał. Wręcz przeciwnie, coraz częściej popadał w konflikty z prawem. Choć bardziej ocierał się o nie. Co chwila matka odbierała nieletniego z pobliskiego komisariatu, bo przejawiał agresję. Biegał po wsi i z wraskiem podpalał łąki, stare magazyny. Znalaziono w pobliżu jego domu kilka martwych kotów, choć nikt mu nigdy niczego nie udowodnił, ale Krystian nigdy nie zaprzeczył, że to jego sprawa. Wszystko, co działo się dziwnego w okolicy, spadało na młodego. Ale zawsze było to domniemanie, ponieważ do niczego nie przyznawał. Później matka starała się ubezwłasnowolnić syna, choć wcale nie było to łatwe. Ale wreszcie udało jej się. Młodego zamknięto w szpitalu, choć wychodził na przepustki. Potem, gdy chłopak osiągnął pełnoletność, podczas wizyty w domu zaczął szantażować matkę. No i pewnego dnia zaczął się domagać, by wyjawiała prawdę o ojcu... Dalszy ciąg znasz, historia się zapętlą. Prawda go przytłoczyła, wręcz załamała. Chłopak znów trafił do szpitala. Tym razem bez możliwości samodzielnego opuszczania jego murów. Bali się, po prostu bali się go wypuszczać, bo był w bardzo złej formie psychicznej. Przez lata był poddawany różnym terapiom. Potem, stopniowo po paru latach jego stan się polepszał. Nie był agresywny, bo wciąż faszerowali go lekami, chodził na różne zajęcia. Uspokoił się, odpowiadał rzeczowo na wszystkie pytania, stan jego świadomości wskazywał, że jest coraz lepiej. Krótko mówiąc, wracał do zdrowia. No i pewnego dnia uznali, że może wyjść na przepustkę. Ubiegał się o nią już od dawna...

W pokoju trzasnęły drzwi. Iwanowicz gwałtownie się odwrócił. To był przeciąg.

– A więc teraz ta przepustka, to, że wyszedł po latach... To wszystko, co się stało w Kowarach... To zemsta?

– W dodatku serwowana na zimno, po tylu latach.

Głos Gawłowskiego był nienaturalnie spokojny, opanowany. Komisarz wyczuł, że ta sprawa kosztowała zdrowie nie tylko jego, ale również kolegę, który złagodniał lub był zmęczony. Może nie tylko on w pewnym momencie miał dość.

– Macie jego zdjęcie? I wszystkie dane?

– Tak.

– W porządku, najważniejsze, że znamy jego tożsamość i wiemy, jak wygląda. Trzeba go jak najszybciej znaleźć. Nie zapominajcie o samej Pileckiej. Jedźcie do Kowar, ja do was niedługo dołączę – zakończył rozmowę. Rzucił telefon na stół, a potem usiadł cicho w kącie pokoju.

Miał coś bardzo ważnego do załatwienia. Nie mógł dłużej czekać.

Po dwóch godzinach wyjechał z domu w kierunku jeleniogórskiego cmentarza, który znajdował się w pobliżu ulicy Sudeckiej, niedaleko trasy wyjazdowej z miasta, tuż przy budynku grupy GOPR. Nie był tam już kilka tygodni, bo wszystko, jak sam to sobie tłumaczył, było ważniejsze i nie mogło czekać. Zawsze ważniejsze było śledztwo i gonienie za śladami. Zawsze ważniejsze było schwytywanie sprawców, bez względu na to, czy pracował w mieście, czy gdzieś poza nim. Nocą czy dniem. Po prostu zapominał o całej reszcie, spychając wszystko gdzieś przed siebie. Albo jak inne osoby z traumą, chował to, zakopywał i uciekał przed tym. Udawał, że tego nie ma, że ciężka, traumatyczna przeszłość zniknęła. Ale to nieprawda.

To, co działo się teraz, było tylko iskrą, która na moment pozwoliła mu zapomnieć. Teraz to śledztwo było niczym magnes, bezwzględnie przyciągający go do siebie.

Na horyzoncie pojawiło się nowe śledztwo, o wiele ważniejsze. Chłopiec, który utonął. Sprawa, na której się skupiał. Bo tak wyglądało jego życie. Żył od sprawy do sprawy, dzięki czemu zapominał o swoim życiu, tym prawdziwym, tym porzuconym, i tym, od którego wreszcie chciał się uwolnić.

Jechał szybko. Wycieraczki nie nadążały zbierać deszczu. Przednią szybę zalewały fale wody. Nie tylko ziemia była jej spragniona, ale też i ludzie. Właśnie tego prozaicznego uczucia kropel spadających na głowę, tak zwyczajnej i prostej rzeczy. Przez moment miał ochotę zatrzymać auto. Wysiąść, stanąć na deszczu i przemoknąć do nitki. Niczym się nie przejmować, odsunąć na bok teraźniejszość, zapomnieć, kim jest, i niczym beztroskie dziecko stać w strugach deszczu. A potem wrócić do domu, wytrzeć się ręcznikiem, bawić i cieszyć się tak, jakby znów miał piętnaście lat. Niczym się nie przejmować i bezkarnie cieszyć się szaloną chwilą. I wreszcie coś zrobić, by to było miłym wspomnieniem. A nie gorzkim i smutnym. Chciał odmieć ten przeklęty los. Odczarować wszystko to, co zdarzyło się w przeszłości.

Wjechał na parking. Wszystkie miejsca były puste. Był tutaj sam. Po prawej stronie znajdowała się brama wejściowa do cmentarza komunalnego.

Gdy odpinał pas, poczuł drżenie telefonu w kieszeni. Na wyświetlaczu pojawiło się nazwisko podkomisarza. Westchnął głęboko i zaczął się drapać po brodzie. Rozważał, czy odebrać. Nie chciał niczego przerywać, zwłaszcza teraz, gdy już tu był i bał się, że znów nie zdoła zrobić tego, co odwlekał od dłuższego czasu. Przesunął palcem po wyświetlaczu.

– Oby coś ważnego.

– Znaleźliśmy Pilecką.

– Gdzie?

– Była w swoim mieszkaniu, jak gdyby nic się nie stało.

– Jesteś tam teraz?

– Tak.

– Nie wiem, co powiedzieć, Jacek. Róbcie, co do was należy – zakończył.

– Siedziała niczym manekin, bez ruchu, bez emocji – kontynuował podkomisarz. – Muszę ci powiedzieć, że był to trochę przerażający widok. Bardziej od samego ataku i gwałtownych ruchów bałem się tego tajemniczego spokoju. I ciszy. Jakby wszystko, co miała do powiedzenia, ukryła w swoim spojrzeniu. Wyglądała inaczej, niż wynikało z twojego opisu. Tak jak człowiek, z którego ktoś wypruł całe życie. Gdy wkroczyliśmy do jej mieszkania, spojrzała na nas bezradnie, a potem zalała się łzami. Wiedziała, że u niej byliśmy. Wszystkiego się domyśliła, więc już niczego nie próbowała zataić. Patrząc mi prosto w oczy, powiedziała tylko tyle: „Chciałam tego i samą siebie przed tym wszystkim ochronić”. Nic więcej.

Komisarz przypomniał sobie jej spojrzenie. Mroźne. Przenikające człowieka na wskroś. Niczym

wykrywacz kłamstw wylapywało każdy fałsz, rejestrowało każde drgnięcie. Przez chwilę pocieszył się na myśl, że nie pojechał z nimi i nie musiał w tym uczestniczyć. Może jednak to załamanie się człowieka, pęknięcia wewnętrzne, które było tak silne, że aż wyszło na wierzch, nie było tym, co chciał dzisiaj oglądać. Złamało ono silną kobietę. Nie chciał. Po prostu nie chciał.

– Przyznała się?

– Powiedziała, że nie chciała, by tak się to wszystko potoczyło.

– Przyznała się? – powtórzył pytanie.

– Nie wiem.

– Czuję, że jest jakieś „ale”.

– Tak, bo to nie wszystko.

– To znaczy?

Głośne westchnięcie, które mówiło więcej niż słowa.

– On z nią tam był.

Komisarz zamknął oczy, ściszył radio, bo chciał usłyszeć każde słowo. Wyobraził sobie chwilę wtargnięcia uzbrojonych policjantów do jej mieszkania. A potem stanęli w miejscu i spojrzeli na nich. Przez ułamek sekundy przeszła mu po głowie myśl, że pojedzie tam i spojrzy mu w oczy, ale po chwili zrezygnował. Doszedł do wniosku, że to zły pomysł. Nie, nie pojedzie, pomyślał. Mam już dość.

– Nie mamy żadnych wątpliwości, że to on. Wystarczyło, bym na niego spojrział. A on na mnie. Obaj przecież cały czas wiedzieliśmy, że zrobiła to silna i duża osoba. Ten cały Krystian, mimo młodego wieku, wyglądał jak zapaśnik. Duży, barczysty, z najsmutniejszym spojrzeniem, jakie w życiu widziałem. Mimo to... Cholera, źle się z tym wszystkim czuję.

– Bo?

– Bo zrozum, ten chory i zaburzony chłopak... Jezu, nie wiem, jak to nazwać, Marek. Zwyczajnie w świecie ukarał gwałcicieli swojej matki. Rozumiesz? Ja nie wiem, naprawdę nie wiem, co mam o tym wszystkim myśleć. Ale pierwszy raz w życiu czuję się tak zmieszany, stojąc przy sprawcach brutalnego, potrójnego zabójstwa. Stoję i nie wiem, co mam zrobić ani co mam czuć. Nie potrafię, zwyczajnie nie potrafię ich ocenić. Powiedzieć, że zrobili źle. Bo, powiedz szczerze, kto jest winny? Jak mamy to ocenić? Czuję, jakby mi się to wymykało.

Iwanowicz przełknął tę gorzką prawdę. Zgadzał się z jego słowami. Czy to było dobre, czy nie, chłopak postąpił zgodnie z własnym sumieniem. Wymierzył im najgorszą i najsroższą karę, jaką tylko mógł. Zasłużyli, by tak skończyć, pomyślał. Byli bestiami, starymi, zdegenerowanymi bestiami, które zasłużyły na najsroższą karę.

– Ale z drugiej strony patrząc, tak sobie myślę, to dzięki nim pojawił się na tym świecie, to im zawdzięcza życie, to znaczy, cholera, jednemu z nich. Któremu? – zapytał sam siebie podkomisarz. – To chyba teraz nie ma większego znaczenia.

Kolejność. Iwanowicz pomyślał, że ta kolejność, którą ten chłopak naznaczał swoje ofiary, to była kolejność, w jakiej ją gwałcili. Być może matka dokładnie opowiedziała mu wszystko, nie unikając okrutnych szczegółów.

Poczuł dreszcz na karku.

Miał ochotę uderzyć z całej siły w kierownicę, ale zacisnął pięść. Czuł, jak go zaczyna rozsadzać napięcie. Ścisnął tak mocno kierownicę, że aż zbiały mu kostki.

– Nie wiem, czy ktokolwiek byłby wdzięczny za takie życie, jakie on ma – skomentował Iwanowicz po chwili. – Zobacz, jakie ono jest. Jakie było i jakie będzie? Zobacz, ile wycierpiał, co przeżył. I co go teraz czeka. Połowę, a może i większość życia w zamknięciu. Bo teraz czeka go kara, jedna z najsroższych. Czy naprawdę uważasz, że powinien być im za coś wdzięczny? Za to, że jeden z nich dał mu życie? Takie życie. W szpitalu psychiatrycznym, trudne dzieciństwo, pasmo przekleństw, choroba umysłowa, i na koniec wieść, że został poczęty na skutek gwałtu. Jacek, to

nie jest życie. I czy uważasz, że jest ono coś warte?...

Nie czekał na odpowiedź. Rozłączył się, pozostawiając niedopowiedziane słowa w powietrzu. Nie chciał już więcej o tym myśleć. Dla niego to śledztwo się zakończyło.

Zamknął oczy i próbował to wszystko w sobie przetrwać. Ustawił głośniej radio, w którym wciąż leciała piosenka Marka Kozeleka w akustycznej wersji.

Teraz musiał nabrać nowych sił do kolejnego śledztwa w sprawie śmiertelnego pobicia chłopca.

Zdawał sobie sprawę, że będzie to jedna z najboleśniejszych spraw, ale musiał to zrobić. Dla rodziców i dla siebie. Chciał uchwycić, a potem zamknąć kata, który dotkliwie pobił tego chłopca, a potem wrzucił do rzeki. O ile sam wcześniej nie skatuje tego, kto to zrobił. Obiecał sobie, że wymierzy sprawiedliwość. Tak by sprawca okrutnie cierpiał za to, co zrobił temu dziecku. Przypomniawszy sobie ostatnią rozmowę z Zalewskim. O swoim cichym pragnieniu dorwania tego człowieka. By pokazać mu, co to ból. Zada go, możliwie boleśnie. Zrobi to i po kryjomu wymierzy sprawiedliwość.

Chciał pomóc ludziom, którzy od kilku dni oplakiwali swojego jedyne syna.

Wsiadł z auta. Deszcz padał z taką siłą, że poczuł uderzenie strumieni wody na głowie, jakby ktoś rzucał drobnymi kamieniami. Odruchowo naciągnął kaptur, a potem podbiegł i wyjął kwiaty oraz znicze z bagażnika.

Dokładnie zaplanował sobie przyszłe dni.

To będzie najważniejsza rzecz, którą musi się zająć i którą będzie żył. Ta, która jemu samemu pozwoli żyć. Tak by choć trochę załagodzić zło i gorycz tego, co się stało. By potem, za jakiś czas, pójść do tych ludzi i powiedzieć im, że wymierzył sprawiedliwość.

Być może to nie załagodzi ich cierpienia, ale sprawi, że na pewno poczują się lepiej. Poczują ulgę. I to mu wystarczy.

Właśnie tego teraz potrzebował.

Pomóc im. Powiedzieć i pokazać, że nie są sami w tej najtragiczniejszej dla siebie chwili życia. W chwili, gdy tak bardzo potrzeba bliskości, pomocy, wzajemności.

Bo doskonale wiedział, co to znaczy stracić syna.

Zamknął bagażnik i ruszył w kierunku cmentarza.

Podziękowania

Chciałbym szczególnie podziękować kilku osobom. Bez Waszego zaangażowania ta książka by nie powstała.

Mojej kochanej Kasi, pierwszej czytelniczce – za wszystko.

Wspaniałej i nieocenionej ekipie Wydawnictwa Filia – Marii Stefaniak, Oldze Reszelskiej, Piotrowi Reszelskiemu, Adrianowi Tomczykowi oraz Mateuszowi Bandurskiemu.

Ponadto specjalne podziękowania należą się Pani Jolancie Świetlikowskiej, mojej pierwszej redaktorce, która udzieliła pierwszych rad pisarskich.

Autor

W SERII MROczNA STRONA
JUŻ WKRÓTCE UKAZĄ SIĘ:

Charlie Donlea
Dziewczyna z Summit Lake

Zero podejrzanych. Zero osób zamieszanych.
Jest tylko dziewczyna –
jednego dnia żywa, kolejnego już martwa.

Rachel Abbott
Zabij mnie znów

Kiedy całe twoje życie okazuje się kłamstwem,
komu możesz zaufać?

Steve Cavanagh
Zarzut

Oszustwo. Szantaż. Morderstwo.
Dla Eddiego Flynna to po prostu kolejny dzień pracy.



mrocznastrona.pl

Spis treści

Okladka

Karta tytułowa

1

2

3

4

5

6

7

8

9

10

11

12

13

14

15

16

17

18

19

20

21

22

23

24

25

26

27

28

29

30

31

[32](#)

[33](#)

[34](#)

[35](#)

[36](#)

[37](#)

[38](#)

[Podziękowania](#)

[Reklama 1](#)

[Reklama 2](#)

[Karta redakcyjna](#)

Copyright © by Hubert Hender, 2016
Copyright © by Wydawnictwo FILIA, 2016

Wszelkie prawa zastrzeżone

Żaden z fragmentów tej książki nie może być publikowany w jakiegokolwiek formie bez wcześniejszej pisemnej zgody Wydawcy. Dotyczy to także fotokopii i mikrofilmów oraz rozpowszechniania za pośrednictwem nośników elektronicznych.

Wydanie I, Poznań 2016

Projekt okładki: Mariusz Banachowicz

Fotografia na okładce: © **Filip Obr/Shutterstock**

Redakcja: Baltazar
Korekta: Baltazar
Skład i łamanie: JOTA

Konwersja publikacji do wersji elektronicznej:
„DARKHART”
Dariusz Nowacki
darkhart@wp.pl

eISBN: 978-83-8075-154-5

FILIA

Wydawnictwo FILIA
ul. Kleeberga 2
61-615 Poznań
wydawnictwofilia.pl
kontakt@wydawnictwofilia.pl

Seria: FILIA Mroczna Strona
mrocznastrona.pl
Redaktor prowadzący serii: Adrian Tomczyk